

ANDRZEJ PILIPUK

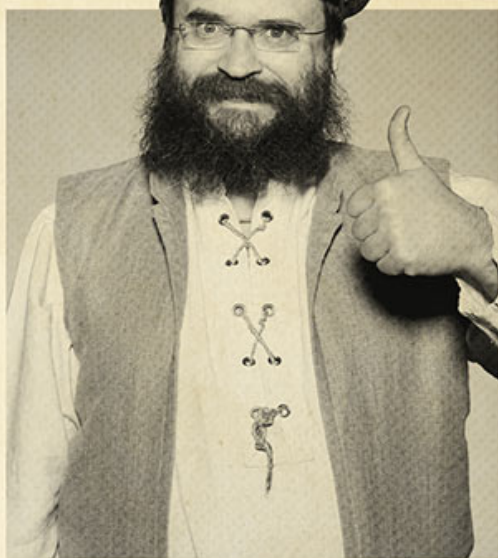
Wojszławicka masakra kosą łańcuchową



fabryka słów
WYDAWNICTWO

ANDRZEJ

PILIPIUK



© fot. Fabryka Słów

Człowiek z przeszłości. Nie-strudzony tropiciel ciekawostek z lamusa. Kolekcjoner nagród literackich, który z pisania z pasją uczynił swój sposób na życie. Miarą jego sukcesu jest miejsce na podium ścisłej czołówki najpoczytniejszych pisarzy w Polsce.

Homo literatus, który do pisania podchodzi z żelazną regułą – pracuje planowo, codziennie, a kiedy poczuje zmęczenie fabułą, zabiera się do innego tytułu. Uprzedzając krytykę, sam siebie nazwał Wielkim Grafomanem. Z wykształcenia archeolog, z zamiłowania łowca meteorów. Beznadziejnie zauroczony zapo-

mnianymi odkrywcami i wynalazkami XIX wieku. Społecznik. Własnym sumptem i ogromnym zaangażowaniem wydał unikatowy album o Wojsławicach, mieście, w którym narodził się Jakub Wędrowycz.

Twórca panteonu niezwykłych bohaterów literackich oraz Jakuba Wędrowicza – zawistnego, mściwego kmiota, bimbrownika i egzorcysty. Jedyne w polskiej literaturze rdzennie polskiego superbohatera, który przez lata rozśmieszania do łez dorobił się własnego festiwalu.

Pija herbatę. Ani wstrząśniętą, ani mieszaną. Parzoną w samowarze.

Spis treści

Karta tytułowa

Oblicza Wędrowycza

Poduszka uduszka

Dziadek

Teodor

Konkurs

Szara tynktura

Burzowa kuchnia

Fortepian

Krypta

Zielony czynnik

Syrenka

Program Ikar

Sygnet

Karta redakcyjna

Okładka

Andrzej Pilipiuk

Wojśławicka
masakra kosą
łańcuchową

Ilustracje
Andrzej Łaski

fabryka słów®
Warszawa

Oblicza Wędrowczya:

1. Kroniki Jakuba Wędrowczya
2. Czarownik Iwanow
3. Weźmiesz czarno kure...
4. Zagadka Kuby Rozpruwacza
5. Wiesznać każdy może
6. Homo bimbrownikus
7. Trucizna
8. Konan Destylator
9. Karpie bijem
10. Faceci w gumofilcach
11. Wojsławicka masakra kosą łańcuchową

Poduszka uduszka



Wiosna była w pełni rozkwitu. Słoneczko przygrzewało. Ćwierkały ptaszki. Krowy porykiwały na pastwisku. Muchy leniwie brzęczały nad gnojówką. Bielinki kapustniki składały jaja w kapuście. Pies sąsiada skuczał nad pustą miską. Izydor Bardak siedział właśnie w swojej altanie. Był ponury jak chmura gradowa. Od tygodnia knuł, jak tu się rozprawić z Wędrowyczem. Co jakiś czas zapisywał w notesie kolejne pomysły. Notował absolutnie wszystkie, łącznie z najbardziej idiotycznymi, uważając nie bez racji, że z dwóch głupich pomysłów można czasem złożyć jeden całkiem niegłupi.

Właśnie kończył szkicować schemat, jak za pomocą trotylu przekształcić chałupę wroga w niezidentyfikowany obiekt latający, gdy zameldowano mu, że jego wnuk Franek wrócił do domu. Rzeczywiście, po chwili na ścieżce rozległy się kroki i między krzakami porzeczek pojawił się szczupły, płowowłosy młodzieniec w garniturze z lumpeksu. W ręce potomek dźwigał starą walizkę, obitą skórą.

– Dzień dobry, dziadku – uklonił się grzecznie.

– Witaj. Siad na zad. – Nestor rodu serdecznym gestem wskazał ławkę. – Wróciłeś wreszcie z tego studiowania? Z tarczą czy na tarczy?

– Skończyłem studia. Obroniłem magistra.

Twarz starego rozciągnęła się w szerokim, szczerym słowiańskim uśmiechu. Błysnęła klawiatura złotych zębów.

– Czyli nie zmarnowałeś naszej rodzinnej forsy tak zupełnie bez efektu. Cieszę się. Wreszcie masz, czego chciałeś, jakiś papier potwierdzający jakość tego, co we łbie. No to wypijmy za spotkanie i za twój szczęśliwy powrót do domu.

Izydor wyciągnął naczynia. Wykonano je z ciężkiego lanego szkła. Przetarł rąbkiem koszuli, wyszczerbioną szklaneczkę zostawił sobie, a lepszą postawił przed wnukiem. Po chwili szamotaniny wyrwał korek i hojnie polał młodego wina z gąsiorka. Stuknęli się nad stołem i wypili. Banieczki gazu pozostałe po fermentacji delikatnie zaszczypały w język, a woń drożdży dźgnęła nozdrza.

– Miastowi mówią, że są trzy prawdziwe zawody: lekarz, prawnik i inżynier, a reszta to ofiary losu – odezwał się dziadek mentorskim tonem. – Na wsi mamy podobnie. Prawdziwe zawody są trzy: ksiądz, weteryniarz i mechanik od traktorów, a reszta to ofiary losu.

– Zaraz, zaraz – zdumiał się chłopak. – A rolnik?

– Rolnik to nie zawód, bęcwał. Być rolnikiem to zaszczyt, służba i powołanie! Mówimy „rolnik”, a w głębi duszy czujemy, że to słowo oznacza miecz i pług, sól w oku tej ziemi, pochodnię rozświetlającą mroki prowincji. Mówimy „rolnik”, a zarazem wiemy, że słowo to w głębi swojego jestestwa stanowi synonim prawdziwego mężczyzny. Polaka z krwi i kości, Lechity, duchowego spadkobiercy Piasta Kołodzieja, Rzepichy, Kopernika, Skłodowskiej, Kościuszki, a nawet Piłsudskiego. Człowieka zarazem twardego jak granit, giętkiego jak zomowska pałka i ostrego jak fryzjerska brzytwa. Przebiegłego jak lis i czujnego jak sowa. Zadziornego jak kogut i silnego jak wół.

– Pięknie powiedziane – szepnął wnuk.

– Wracając zaś do tematu zawodów: kiedyś liczył się jeszcze szewc, ale to już zamierzchła przeszłość. Teraz buty się w sklepie kupuje. A ty, lebiego? Popatrz tylko na siebie. Wybrałeś studia historyczne. – Izydor wydał wargi. – Pięć lat pracowałeś, żeby zostać nikim. Było warto? Nie sądzę. A tak w kwestiach praktycznych: narzeczoną jakąś na tej uczelni znalazłeś?

– Jakoś się nie trafiło.

– Melepeta... A zaliczyłeś miastowych dziewczuch choć z tuzin?

– Dziadku, no co ty, nie było czasu na takie rzeczy, studia ciężkie, kuliśmy dzień i noc. Gdzie nam tam dziewczyny w głowach.

– Melepeta i frajer do tego. – Izydor westchnął ciężko, z politowaniem. – Ale nie martw się. Przystojny jesteś, trochę ci tylko kinol trzeba sklepać. A potem sprzedamy cię do programu „Rolnik szuka żony”. A co do studiów... Pamiętaj, że uszanowaliśmy twój wybór. Powiedzieliśmy: „Podążaj swoją drogą”. Tak było?

– Owszem.

– No to na drugą nóżkę. Za twój powrót do rodzinnego gospodarstwa. Jak powiadają, w chlewie każda para rąk do pracy się przyda.

Polał i wypili. Młode wino z ubiegłorocznych zbiorów delikatnie trąciło kamieniem winnym i drożdżami, ale było smaczne i szybko szło do głowy.

– Przez kolejne lata nasz klan inwestował w twoje wykształcenie – podjął dziadek. – Kosztowały nas te twoje studia niemało. Miesiąc w miesiąc wysyłaliśmy ci stówka, a po zbiorach bywało, że nawet dwie stowy. Do tego kartofle i rąbanekę. No i teraz wróciłeś na wieś z dyplomem, koń by się uśmieł, historyka. Ale żeby nie było. Szanujemy ludzi wykształconych, nawet jeśli jest to wykształcenie śmieciowo-hobbystyczne.

– To nie jest wykształcenie śmieciowe, mógłbym zostać na przykład nauczycielem historii w szkole – bronił się potomek.

– No, teoretycznie niby można. Jak to mówią, żadna praca nie hańbi. Ale wakatu nie ma i raczej się w tej dekadzie nie pojawi. Wyszukamy ci zaraz ramkę, powiesz sobie ten papier na ścianie. Wieczorem popijemy, pośpiewamy, gratulacje dostaniesz, bo tradycja każe takie wydarzenie, choć raczej bezwartościowe, należycie oblać. A od jutra widły w dłoń i robota przy gnoju w oborze. Bezrobocie teraz, a przy rodzinie harówkę zapewniamy do samej emerytury. Z głodu też nie zginiesz. Studia... – prychnął Izydor. – Komu i na co to potrzebne? Ale pamiętaj, że ja cię zawsze wspierałem. A wiesz dlaczego?

– Eee... Nie.

– Widzisz, jak usłyszałem, w jakie szambo się pakujesz, pomyślałem sobie, że może to nie jest aż taka tragedia, jak by się na pierwszy rzut oka wydawało. Może to nie takie głupie z punktu widzenia interesów rodu. Może będzie z tego jednak choć minimalny pożytek dla naszego klanu. No bo pomyślmy logicznie. Tak w sumie historia to nauka o przeszłości. A przeszłość to wielki kompostownik poglądów, idei i czynów. I na takim kompoście czasem mogą wyrosnąć kwiaty. Jednym słowem, miałem cichą nadzieję, że studiując dzieje wypraw wojennych, poznasz jakieś szczerwane fortele starożytnych wodzów. Aleksandra, Cezara, Hannibala, wreszcie Napoleona. Wiesz, o co mi chodzi. Takie brudne sztuczki, których i w obecnych czasach moglibyśmy użyć przeciw naszym wrogom. – Dziadek zmrużył chytrze oczy. – Liczę, że nie zawiodłeś?

– Nie zawiodłem. Można powiedzieć, że przyswoiłem sobie kilka przydatnych informacji. – Chłopak uśmiechnął się skromnie. – A do tego zdobyłem pewien morderczy historyczny artefakt.

– Że niby co!? – Izidor czknął ze zdumienia.

– Widzisz, dziadku – zaczął Franek – jak wiesz, studiowałem historię, a licencjat miałem pisać z nowożytnych dziejów Rosji. Była okazja pojechać na pół roku do Petersburga. Na wymianę studencką. No i tam poznałem pewnego człowieka, staruszka takiego, tubylca. Biedował strasznie, mieszkał w nieczynnej kotłowni. Postawiłem mu obiad kilka razy i coś do wypicia. Zaprzyjaźniliśmy się, można rzec.

– Ty to się lepiej z ruskimi menelami nie kumpluj – ofuknął go nestor rodu. – Popatrz na tego bydlaka Wędrowycza. Sam widzisz, jak mu zaszkodziło. Wszędzie łązi z tym swoim przydupasem Semenem. Jakby para gejów, tylko takich hetero. – Skrzywił się.

– Ale ten ruski, co go poznałem, to nie był jakiś tam kozak ani putinista, tylko wręcz przeciwnie. Kagiebowiec, a zarazem ofiara, rzecz można, tego ludożerczego systemu. Połączyła nas miłość do historii. Godzinami gadaliśmy o carach, generałach i ważniejszych komuchach. Pewne wydarzenia na własne oczy widział. Na przykład

ten skandal na pogrzebie towarzysza Susłowa. No wiesz, gdy zagrała muzyka, a sklerotyk Breżniew zaczął prosić stare komunistki do tańca...

– Do rzeczy, bo na razie słyszę tylko ogólniki – burknął Izydor. – Gadaj, co zdobyłeś i jak to ma zaszkodzić Wędrowyczowi!

– Ten dziadek przez całe życie pilnował pewnego ściśle tajnego obiektu nad Morzem Białym. Konkretnie: był to tajny magazyn leningradzkiego KGB. Kłopot w tym, że gdy rozpadł się ZSRR, rozwiązano też jego organizację. A obiekt i funkcja staruszka były tak ściśle tajne, że jak poszedł do urzędu w sprawie emerytury, nie był w stanie udowodnić, że kiedykolwiek i gdziekolwiek pracował. Zatem nie dali mu złamanego grosza!

– Co za komunistyczne gady – oburzył się Izydor. – Własnego agenta tak na lodzie zostawić!? A myślałem, że KGB to poważna firma. I co było dalej?

– Przez kolejne dwadzieścia lat dziadek dalej pilnował bunkra, no bo ostatecznie złożył przysięgę. Jadł grzyby i jagody, czasem ubił z kałacha sarnę czy jelenia. Mięso wymieniał z chłopami na samogon i tak się zagospodarował. Aż wreszcie amunicja się skończyła. I wtedy nie wytrzymał. Bo widzisz, dziadku, gdy zaczynał służbę, dostał zapieczętowaną kopertę. A w niej był klucz kodowy na wszelki wypadek. Jakby pożar w bunkrze wybuchł albo szczury się dostały. W każdym razie któregoś dnia wkurzył się tak, że rozpruł kopertę, wyjął klucz i otworzył klapę. I wydobył to ściśle tajne coś. A ja to od niego kupiłem i teraz załatwimy tego starego pokemona Wędrowycza.

– Brawo, moja szkoła! – ucieszył się Izydor. – A co to niby jest za fant? Czerwona rtęć? Głowica wodorowa do rakiety międzykontynentalnej? Butelka nowiczoka, a może fiolka z jakąś zarazą? Zaciukamy Wędrowycza bronią atomową, biologiczną czy chemiczną?

– Nie wiem, dziadku, czy słyszałeś legendę, a właściwie to prawdziwą historię o poduszce uduszce?

– Obawiam się, że nie.

– To było tak. Gdy Paweł Pierwszy po śmierci mamusi objął tron Rosji, mało komu się to spodobało. Władca był z niego taki raczej marny, a co do sukcesji, też były uzasadnione wątpliwości. Po pierwsze, on sam nie bardzo wiedział, kto jest jego ojcem. Bo że car Piotr Trzeci, to raczej na pewno nie. Niby mówiło się, że księżę Dołgorukow, ale sam car był przekonany, że spłodził go polski król Poniatowski. I faktycznie, z gęby podobny był nawet, chociaż oczy to miał raczej po Tadeuszu Kościuszcze.

– I tylko dlatego się ruskim nie podobał? – zirytował się Izydor. – Powinni się raczej czuć zaszczyt, że nasz król raczył się zniżyć i pofiglował z tą paskudną maciorą Katarzyną. A jak ją zaciążył, to dla nich nawet jeszcze lepiej. Polska krew to dla tej skundlonej dynastii przecież jakby nobilitacja.

– Nie podobał się poddanym, bo nie miał wyglądu. Chucherko było takie, słaby, chorowity, a w dodatku bez muskulatury. Rączki i nóżki cieniutkie, a ponadto suchoklates. A Rosjanie, wiadomo, cara by chcieli mieć takiego bardziej po byku. Silnego jak tur i potężnego jak niedźwiedź. I żeby tradycji dochowywał. Car to wedle ich standardów musiał umieć pod poleć słoniny wypić wiadro wody.

– Słusznie, car powinien mieć twardą pięść i mocny łeb. A co do tej słoniny, dobrze, że przypomniałeś. Może nie jesteśmy na carskim dworze, ale i u nas coś się przecież znajdzie... – Izydor puścił oko.

Polał trzecią kolejkę, tym razem bimberku. Skroił wędzonego boczku i słoninki. Wyłowił ze słoja cztery kiszone ogórki. Wypili, zakąsili, gołnęli jeszcze na drugą nóżkę i młody podjął wykład.

– W każdym razie tak się biedaczysko Paweł ruskim nie podobał, że w końcu nie wytrzymali i go ukradkiem zadusili. Były jeszcze oczywiście pewne powody polityczne. Naraził się arystokracji, bo obniżył pańszczyznę chłopom. Naraził się armii, bo wypuścił polskich jeńców z niewoli, a z Kościuszką to się nawet polubili. Zbyt honorowy był dla tej swołoczy. Ale generalnie przegrał, bo był wątpliwy. Jakby miał choć trochę krzepy, toby się obronił przed zamachowcami.

– Rosjanie, wiadomo, lud dziki i prymitywny, ale żeby własnego cara wykończyć!? – Izydor zrobił mocno zniesmaczoną minę.

– Tak zrobili. Zaszli biedaka w kilku i udusili poduszką. Poniewierała się potem pomiędzy innymi poduszkami w Pałacu Zimowym. Aż przyszedł rok tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty. Lenin był już wtedy mocno schorowany i jasne się stało, że niedługo kipnie.

– A co mu tak właściwie było? – zainteresował się dziadek.

– Po pierwsze, syfilis go żarł nerw po nerwie. Po drugie, wylew miał, albo i kilka. Po matce cierpiał na takie schorzenie genetyczne, że mózg mu powoli zarastał wapniem. I jeszcze kulkę mu wsadzono jakiś czas wcześniej w zamachu. Niby udało się ją wyciągnąć, ale sam rozumiesz, że taka przygoda zdrowia nie poprawia.

– Z tego, co pamiętam, tak patrząc po zdjęciach, to Lenin też raczej był kurduplem i suchoklatesem – pokiwał głową Izydor. – A wypić i zakąsić chociaż umiał?

Polął znów i dokroił słoniny. Wnuka nie trzeba było namawiać. Stuknęli się szklaneczkami. Bimberek był doskonale przegryziony, gładko spłynął do gardeł. Słoninka, dobrze zasolona i natarta przyprawami, tylko wzmaczała pragnienie.

– Czy umiał wypić, pojęcia nie mam. Bo jego następcy, wiadomo, za kołnierz nie wylewali. Ale to chyba tym razem nie miało znaczenia. W każdym razie pewnego dnia, a może wieczora raczej, Józek Stalin zaszedł do wodza ot tak, pogadać, kto będzie rządził krajem i partią, skoro Władimir Iljicz już nie wyrabia. Gruzin oczywiście siebie widział na tym stanowisku. Ale Lenin uważał, że prawdziwy przywódca proletariatu musi mieć serce z kamienia i nerwy ze stali, a Stalin jego zdaniem był zanadto sentymentalny i ogólnie ciapa. Za miękki i zbyt łagodny. Do tego, jak robił grilla, to dawał za dużo ostrych gruzińskich przypraw, a Lenin miał słaby żołądek, więc mu kolo z Kaukazu nawet tym podpadł. Potoczyła się gadka szmatka i wyszło, że Lenin chce szefem rządu zrobić niejakiego Rudzutaka, a głównym wodzem ogłosić Trockiego. No i wkurzył wierne go ucznia. Józwa złapał, co było pod ręką, i żeby

udowodnić, jaki z niego twardy kizior, po prostu Lenina udusił. A traf chciał, że złapał tę samą pamiątkową poduszkę, którą...

– ...którą sto lat wcześniej wykończono cara Pawła! – domyślił się Izydor, dolewając do szklaneczek.

– Właśnie! Stalin był twardym łajdakiem, ale, o czym mało kto wie, faktycznie był też trochę sentymentalny. Jak już skończył mokrą robotę z Leninem, to się w głębi swojego czarnego i parszywego serducha nieco rozżalił. Zabrał sobie tę poduszkę ot tak, na pamiątkę tego wieczoru i żeby mieć jakiś fant po kumplu i zarazem ulubionym nauczycielu. I tak poduszka przez kolejne dekady wałała się w jego daczach pod Moskwą. Aż przyszedł rok pięćdziesiąty trzeci. Pewnego wieczoru zaszedł do Stalina Beria, żeby pogadać, kto w przyszłości zostanie wodzem. Stalin widział na tym stanowisku Malenkowa albo Chruszczowa. No bo sam rozumiesz, wódz proletariatu powinien być taki trochę jak fabryczny robot. Łapy jak bochny i twarz odpowiednio prostacka. Okulary wykluczone. Tego lud oczekiwał. A Beria? Po prostu nie miał odpowiedniego wyglądu. Kurdupłowaty, w okulkach, włoski przylizane. Rączki i nóżki cieniutkie. Z buziuchny trochę jak fryzjer, a trochę jak alfons. Zbyt inteligencki wygląd, jak na wodza państwa robotników i chłopów. A do tego ludzie gadali, że pedofil. A z tym hobby nawet w tamtych czasach lepiej było się publicznie nie obnosić.

– I może jeszcze też był suchoklates?

– Tego akurat nie wiem, ale prawdopodobnie tak. Wprawdzie torturować umiał i lubił, a w strzelaniu w tył czaszki mało kto mu dorównał. Ale to wszystko było za mało. Stalin chyba tego wieczoru za dużo wypił i zdobył się na niepotrzebną szczerłość. Beria, gdy usłyszał, że Józwa uważa go za zbyt łagodnego, trochę się wkurzył. Żeby udowodnić, jaki jest bezwzględny, złapał, co było pod ręką, i wodza udusił. A traf chciał, że była to...

– ...znów ta sama poduszka!? Lepsze jaja... – zdumiał się Izydor.

– Po uduszeniu trzeciego złodupcy poduszka zyskała krwiożerczą samoświadomość. Szalała po całej daczach, kąsała ochroniarzy jak wściekła. Wreszcie Beria zwabił ją do klatki na króliki, zamknął

i zabrał ze sobą. Oficjalnie kilka tygodni później został aresztowany, osądzony i stracony. Oskarżono go o knucie spisku przeciw kierownictwu politbiura. Nie można zaprzeczyć, bo spisek oczywiście knuł. Ale z tym aresztem i sądem to wersja dla historyków. Bo w rzeczywistości nie było nawet procesu, o egzekucji nie wspominając. Beria sam się załatwił. Mianowicie próbował poduszkę wytresować, żeby pozagryzała jego konkurentów. Ustawiał portrety członków politbiura, szczuł na nie... A zamiast tego, gdy otworzył drzwiczki klatki, poduszka uduszka załatwiła właśnie jego. Poszarpała tętnicę i gardło, wychłęptała całą krew. Wyrwała i zżarła serce. Słowem, nie było co zbierać. Malenkow, Kaganowicz i Żukow z największym trudem złapali ją i zapakowali z powrotem do klatki na króliki. Nie bardzo wiedzieli, co z nią zrobić, więc wywieźli z Moskwy i ukryli we wspomnianym bunkrze.

– I co było dalej?

– KGB miało własne laboratoria. No wiesz, dziadku, do produkcji śmiertelnych broni i trucizn, ale też do badania różnych fantów wykradzonych Amerykanom i kosmitom.

– I krwiożercza poduszka w ogóle ich nie zdziwiła!?

– Nie takie rzeczy tam kroili na plasterki. W każdym razie przebadali ją na dziesiątą stronę. Zdołali ustalić tylko tyle, że nie słucha nikogo, a wypuszczona na wolność atakuje najgorszego łajdaka w promieniu stu metrów. Gdy go rozsarpie, na trochę zasypia. Wtedy można ją uwięzić. KGB użyło jej kilka razy. Nieczęsto się przydawała, bo sam rozumiesz, że ci, których chciał sprzątnąć Związek Radziecki, przeważnie byli dobrzy, a takich poduszka zagryzać jakoś nie chciała. Z drugiej strony zlikwidować ją trochę się wahali. Wkurzony był bionekrotyczny to zawsze jakiś as w rękawie. Zachowali ją na czarną godzinę.

– Czyli twierdzisz, że krwiożercza poduszka uduszka była uwięziona w bunkrze pilnowanym przez emeryta z KGB, i może jeszcze powiesz, że masz ją w tej walizce? – Izydor, słuchając tych kocopałów, skrzywił się, jakby rozgryzł cytrynę. – Takie ściemy to możesz promotorowi na uczelni wciskać.

– Mam. – Wnuk uśmiechnął się dumnie i przepił do dziadka.

– Jak znam życie i ruskich, to niczym ostatniego frajera w jajo cię zrobili i tyle.

– No jak niby w jajo? – obruszył się Franek. – Prawdziwą kupiłem. Oryginalny oryginał. Dowolny antykwariat wydałby od ręki certyfikat autentyczności, tylko wolałbym nikomu z fachowców jej nie pokazywać. Tak po prawdzie, nikt nie wie, że mi ją sprzedał. A w bunkrze leży fałszywka na wypadek kontroli. Sam rozumiesz, dziadek cienko prządl. A dwieście eurosów piechotą nie chodzi.

– Czyli dałeś za nią prawie tysiąc złotych!? – Nestor rodu złapał się za głowę.

– No tak. Ale to przecież jak za darmo! W końcu kupiłem autentyk. Mówię to jako dyplomowany historyk.

– A tu mi tramwaj jedzie! – Izydor odciągnął dolną powiekę.

– No to sam zobacz!

Obrażony wnuk otworzył walizę. Wewnątrz znajdowała się klatka zespawana z mocnej drobnej siatki. W środku miotał się spory jasiek. Izydor łypnął na pokrycie ze spranego złotogłowiu, resztki eleganckich frędzelków i wyhaftowany artystycznie jedwabiem monogram Katarzyny II.

– Cholera – podsumował. – Zwracam honor. Chyba jednak faktycznie jest prawdziwa... A co ona je? – Spróbował wetknąć paluch przez oczka siatki.

– Przecież mówiłem. Ludzkie serca wtrądzala. No i krew chłepcze. Nestor rodu pośpiesznie cofnął dłoń.

– No fakt, mogłem się domyślić. A zęby niby gdzie ma?

– Po drugiej stronie, od spodu znaczy, bo tu, gdzie hafty, jest wierzch. Trochę jak płaszczka, no nie? W każdym razie chyba jest głodna i wkurzona. Co najmniej kilkanaście, a może i kilkadziesiąt lat nikogo nie zagryzła.

– Żeby tylko bidulka nie zdechła – zafrasował się Izydor.

– Jak ma zdechnąć, skoro nie jest żywa? A że głodna, to dla naszych celów idealnie. Dopadnie Wędrowczya jak wściekły brytan.

– Dopadnie, powiadasz? A jak niby się przemieszcza? Bo pełzając, nie dogoni nawet takiego dziada.

– Fruwa. W środku są przecież pióra – wyjaśnił wnuk.

– Kury nie fruwały.

– Dziadku, to przecież pałacowa, carska poduszka. Wyrób najwyższego sortu. Z pewnością nadziali ją jakimś lepszym pierzem. Może z dzikich gęsi, ale kto wie czy nie ze słowików, kanarków albo zgoła sokołów. Bo naukowcy z KGB ustalili, że w powietrzu pruje nawet setkę na godzinę.

– Wnusi kochany... – Izydor polał samogonu. – Wybacz. Źle ocenilem twoje wybory życiowe. Bycie historykiem może się jednak do czegoś przydać.



Wieczór w knajpie zapowiadał się bardzo sympatycznie. Gdy tylko Jakub i Semen przekroczyli próg, od razu zrozumieli, że szykuje się jakaś grubsza zadyma. Do wnętrza jak zwykle znalazło trochę Bardaków, ale siedzieli podejrzenie grzecznie, mieli sztucznie obojętne miny i szczególnie starannie omijali spojrzeniami stolik pod oknem.

– Ciekawe – podsumował egzorcysta i pociągnął łyk piwa. – Ewidentnie coś knują. Jest dziś jakieś święto?

– Dzień introwertyka – sprawdził w kalendarzu jego przyjaciel.

– To nie rozumiem, dlaczego akurat dzisiaj planują awanturę. Na introwertyków nie wyglądają. Ani zwłaszcza my nie wyglądamy.

– Powiadają, że wnuk Izydora skończył studia – burknął Semen. – Ludzie w południe widzieli, jak wysiadał z pekaesu w gajerku i pod krawatem. Może chemię studiował i ukręcił na nas jakiś materiał wybuchowy? Albo robotykę zaliczył i zbudował krwiożerczego androida? Tak czy inaczej, niebawem się dowiemy.

– Uniwersytety, politechniki, komu to potrzebne? Ludzkość rozwijała się tysiące lat bez tego barachła. Egipcjanie stawiali

piramidy, Rzymianie budowali akwedukty, Grecy toczyli kolumny, a to wszystko bez dyplomowanych inżynierów. Ja osobiście mam syna inżyniera i wnuka informatyka. – Egzorcysta skrzywił się. – Nie rozumiem, po co im to było, ale toleruję ludzi z tytułami naukowymi, przynajmniej tak długo, jak nie wchodzą mi na głowę. Jednak gdy sam próbowałem trochę zainteresować się tematem, to mnie obrzydzenie wzięło. Na ten przykład weźmy takiego Darwina. Nijak jakoś nie mogę się przemóc, żeby zacząć go szanować.

– A co, nie pasuje ci teoria ewolucji? – zdziwił się kozak.

– Nie pasuje. Na pewno są w niej poważne luki. Na przykład to cudaczne twierdzenie, że człowiek pochodzi od małpy. Przecież nie raz obserwowaliśmy, że ludzie pochodzą od własnych rodziców. A nawet jak maczał w tym palce jakiś sąsiad, to przecież też był homo sapiens... Czy może raczej homo erectus?

– No w sumie tak... – kiwnął głową Semen.

– Ale to z małpami nawet jeszcze bym przełknął. Do ewolucji mam poważniejsze zastrzeżenia. Jeśli istnieje, to pomyśl sam, jaka jest niesprawiedliwa. Unicestwiła tak pożyteczne istoty jak dinozaury i mamuty, a oszczędziła Bardaków. Z drugiej jednak strony, jak popatrzę na gębę Izydora, to w tej gadce o pochodzeniu od małpy może tkwi ziarno prawdy?

– O wilku mowa – mruknął Semen.

Trzasnęły potraktowane z kopa drzwi wejściowe. Jakub oderwał wzrok od kufla. Do wnętrza wtarabanili się Izydor Bardak i jego wnuk Franek. Mieli podejrzenie uroczyście miny, a uwadze egzorcysty nie uszło, że obaj wbili się w garnitury. Franek w dodatku niósł sporą walizkę. Wyblakłą i poznaczoną rysami skórę obicia zdobiły stare nalepki, jedna z olimpiady w Moskwie, a druga z Leningradu.

– Co on, komiwojażerem został? – zdumiał się Semen.

– Wędrowycz, łachmyto! – syknął Izydor. – Wybiła oto godzina sprawiedliwej zapłaty. Za moment staniesz wobec największej przygody ludzkości, czyli odwiecznej zagadki bytu i niebytu. W tej

wiekopomnej chwili zachowaj się jak ja, z powagą i godnością osobistą. I może zmów paciorek!

Jakub łypnął okiem na zdjęcie papieża zdobiące ścianę nad barem, zmarszczył z namysłem czoło i wreszcie przeżegnał się niedbale.

– Masz jakąś niespodziankę? Paciorek znaczy odfajkowany, no to pokaż, co przydźwigaliście w tej walizie.

– No nie – prychnął Izydor, najwyraźniej zirytowany. – Słuchaj, Wędrowycz, czy ty kompletnie nie masz poczucia uczestnictwa?

– Że niby uczestnictwa w czym!? – zirytował się egzorzysta. – Co on pieprzy!? – zwrócił się do kumpla.

– Myślę, że nie przytachali w tej walizie niespodzianki, tylko jakąś wredną broń. Chodzi mu o to, że teraz będzie tak jakby twoja egzekucja. I chyba uważa, że powinienes, jak dawniej skazańcy na szafocie, wygłosić mowę pożegnalną czy coś w tym stylu – wyjaśnił Semen. – No wiesz, żeby dodać scenie odpowiedniego patosu.

– Że niby będzie dziś nie tradycyjna zadyma, tylko moja likwidacja? To grubo mu się we łbie poprzestawiało. Chociaż z drugiej strony... Izydor – Jakub zwrócił się do wroga – ty mi wyglądasz na introwertyka. Zatem w dniu twojego święta, w ramach dobroci dla, że się tak wyrażę, solenizanta, raz w życiu zrobię po twojemu. Żebyś, bardackie nasienie, miał co wspominać.

Dopił piwo i wgramolił się na stół. Semen kurczowym ruchem przytrzymał chwiejny blat. Egzorzysta przez chwilę szukał natchnienia, a potem przypomniał sobie oglądany kiedyś film o rewolucji francuskiej. Przybrał marsową minę i wzniósł rękę. Dłoń zacisnął w pięść.

– Ludu Paryża, oto stoję na szafocie, a trybunał rewolucyjny orzekł, że dotknęła mnie choroba zdrady. Co więcej, jedynym lekarstwem dla mnie ma być ostrze tej oto gilotyny. – Wskazał ni to karnisz, ni plamę na suficie. – Pomnijcie jednak, że czterdzieści wieków spogląda na nas w tej chwili ze szczytów piramid, a z mojej krwi zrodzą się legiony mścicieli! Tak dobrze? – zagadnął, zezując na Semenę.

– To było bardzo piękne, podniosłe i uroczyste – przyznał kozak, ocierając łzę. – Sam Napoleon, gdyby go gilotynowali, nie wyraziłby tego lepiej.

Jakub ciężko zeskoczył na podłogę. Dechy zatrzeszczały pod gumofilcami.

– Słyszałeś, buraczana mordo? Umiem w etos, szafot i patos. A teraz, skoro dopełniłem formalności, jedziemy z tą egzekucją. Wyciągaj tę broń, co ją tam kitrasz w walizce, bo narobiłeś mi smaka i sam jestem ciekaw.

– Yyy... – wykrztusił Bardak, kompletnie skołowany.

Szczerze powiedziawszy, wyobrażał to sobie inaczej. Niestety, Wędrowycz jak zwykle wszystko popsuł. Przez chwilę Izydor nawet wahał się, czy nie wrócić do domu, ale jego wnuk stanął na wysokości zadania. Otworzył walizę i położył klatkę na szynkwasiu. Poduszka warczała i rzucała się na siatkę jak wściekła.

– Krucafuks! – szepnął Semen. – To wygląda wypisz wymaluj jak ta legendarna poduszka, którą książę Jusupow udusił mojego kumpla Griszkę Rasputina! Tylko monogram jakby inny i frędzelków więcej...

– Uduszko! Bierz Wędrowycza! – syknął młody, zdejmując kłódkę.

Trzasnęły drzwiczki. Poduszka wyfrunęła, wyskoczyła na środek knajpy i zamarła w powietrzu, jakby zdezorientowana.

– Cie choroba – mruknął Jakub. – Jakim cudem to lata!? Zresztą nieważne. No chodź tu, jasiek, zaraz ci upuszczę pierza!

Stuknął butelką o parapet, przekształcając ją w tulipana. Ale poduszka warknęła tylko i zwróciła się w stronę Semenę.

– Nawet nie próbuj – warknął Korczaszko, wyciągając z rękawa nahajkę. – Jestem kozakiem! A to oznacza, że umiem tym rzemyczkiem trafić lecącego komara w lewe jajo.

Poduszka, nadal warcząc wściekle, obróciła się i obserwowała teraz Izydora.

– To pomyłka – warknął Bardak. – Może jestem zły, ale pamiętaj, że oni są gorsi, a w dodatku ja tu jestem twoim zleceniodawcą!

Uduszka gapiała się teraz na barmana.

– A mnie za co? – zakwilił nieszczęśnik. – Ja tu poję i karmię ludzi, jestem, że się tak wyrażę, nieomal altruistą.

– Czemu nie atakuje? – zirytował się Jakub.

– Poduszka jest zaprogramowana, żeby wykończyć najgorszego złodupca w promieniu stu metrów – odezwał się Franek. – Siedzicie tak, że tworzycie idealny kwadrat, a ona tkwi dokładnie pośrodku. Nie wie, kogo zaatakować pierwszego. Gdyby tak któryś z was zechciał się kawałek przesunąć, kwadrat straci symetrię i wtedy...

– Ale ja jestem dobrym człowiekiem – zakwilił barman. – Golonkę z puszki przyrządzam najlepiej w powiecie...

– Że niby ten sparciały jasiek porównuje mnie do tego wszarza Izydora!? – warknął Jakub. – Jeśli ktoś tu jest najgorszym złodupcem, to oczywiście ja! Patrz, poduszko, na ten podły czyn! – Sięgnął na sąsiedni stolik, zwinął cudzy kufel, przechylił i wylał piwo na podłogę.

Wypełniający knajpę bywalcy zaszemrali z oburzeniem. Poduszka fuknęła i już miała się na niego rzucić, ale nieoczekiwanie zawirowała i znów przyglądała się Izidorowi.

– To po niego przyszłaś. – Bardak wskazał Jakuba. – Semena też możesz załatwić, niepotrzebni ruscy w naszej pięknej gminie.

Poduszka obejrzała się na kozaka, potem znów na barmana. Wreszcie zawirowała wokół własnej osi. Nagle zetlały dwustuletni materiał poszewki nie wytrzymał sił odśrodkowych i poduszka efektownie wybuchła, wyrzucając gejzer pociętego przez mole pierza.

Egzorcysta podszedł i rozdeptał tkaninę gumofilcem. A potem zrobił kolejny krok i od serca przylutował barmanowi w mordę.



– A jego za co!? – zdumiał się kozak.

– Nie wiem, ale ma swoje za uszami, skoro też go chciała zagryźć.

Nachylił się przez ladę, podniósł na wpół znokautowanego z podłogi.

– No to gadaj. Dlaczego poduszka uznała, że jesteś zły? Nie zabijasz, nie kradniesz, do kościoła chodzisz, resztę wydajesz, nawet kufle zawsze ponad kreskę napełniasz... Więc zapewne dolewałeś wody do kegów? – wycedził.

Ciężar oskarżenia sprawił, że w knajpie zapadła głucha cisza.

– Ależ skąd! Gdzieżbym śmiał. Chciała mnie zagryźć, bo jestem pedofilem! – zełgał barman, strzelając przerażonym spojrzeniem na boki.

– Jakoś ci, robaczku, nie wierzę. Patrz mi w oczy i gadaj prawdę!

– Może i robię drobne przekręty, ale wody do piwa nie dolewałem! Prawie nigdy... Eeee... to znaczy... raz czy dwa się zdarzyło... – zaplątał się w zeznaniach barman.

– Raz w roku, czy może raz w miesiącu? – Semen pobladł z oburzenia.

– A jeśli... raz w tygodniu!? – dobiegło z kąta.

– Bzdura, nawet u najgorszej kanalii są przecież granice podłości! – powątpiewał ktoś inny.

– Ludzie, wybaczcie! – Barman, widząc wyrok śmierci wypisany na twarzach bywalców, zakwilił jak ptaszyna polna. – To było raz czy dwa razy przez te trzydzieści lat... Zaraz na początku, jak dostałem tę knajpę w ajencję. Ale potem zrozumiałem własne błędy. A teraz, żeby odpokutować tamte grzechy, kolejka dla wszystkich!

– Kolejka!? – syknął ktoś z oburzenia.

– Czy ty nas chcesz przed śmiercią jeszcze obrazić!? – zdumiał się Semen.

– Przejęczyłem się! Wszystkim w opór na koszt firmy!

– Wreszcie gadasz jak człowiek. – Jakub puścił ofiarę. – No to nalewaj, ale pamiętaj, że dla Izydora i jego popapranego wnuka lejesz bezalkoholowe.

Ale wrogowie już skorzystali z zamieszania i zmyli się jak niepyszni.



Po niebie pędziły ciężkie, deszczowe chmury. Wiatr wył jak tej nocy, gdy Gorbaczow odłączył Breżniewowi kabel od respiratora. Dochodziła trzecia. Barman długo i uczciwie pracował, by odkupić grzechy młodości. Ale w końcu przyszła chwila, gdy wszyscy uznali, że już mu wybaczą. Jakub i Semen, walcząc z wichrem i grawitacją, na czworaka wspinali się szosą.

– Powiedz mi taką rzecz – mruknął Wędrowycz. – Skoro wtedy pomyślałeś o Rasputinie...

– Pomyliłem się.

– To wiem... Tylko, cholera... Czy to oznacza, że tych poduszek uduszek jest więcej niż jedna? Bo jeśli ta druga przyleci pomścić siostrę, to może warto wcześniej założyć siatkę drucianą na okno? No wiesz, żeby nas nie zaskoczyła.

Semen chyba coś odpowiedział, ale chichoczący wiatr zagłuszył jego słowa.

Dziadek



Nad Wojsławicami wstawał kolejny wiosenny dzień. Słońce przygrzewało, pszczołki brały się do pracy. Izydor Bardak stanął pośrodku podwórza. Członkowie klanu już czekali w karnym rzędku. Poranna odprawa przebiegała jak zwykle. Szybko i sprawnie rozdzielił zadania. Krewniacy ruszyli do roboty. Jedni pojechali traktorami w pole, inni dostali polecenie piłowania desek. Kobiety też zabrały się do różnych zajęć. Izydor swoim zwyczajem zrobił poranny obchód obejścia. Posprawdzał kłódki, skontrolował, czy obrządek wykonano jak trzeba. Na koniec zajrzał do obory. Krowy były już nakarmione, ale obornika nikt nie wyrzucił.

– Zapomniałem – burknął, zły na siebie.

Powinien komuś to zlecić, ale wszyscy rozeszli się już do zaplanowanych robót. Nestor rodu obszedł raz jeszcze gospodarstwo, ale nie znalazł ani jednego dekownika.

Cholera, pomyślał. Nasz dziedzic to żył sobie dobrze, parobczaków miał i tylko przydzielał im, co który ma zrobić. Moje wnuki będą wysyłać do pracy posłuszne roboty. A ja? Należę do straconego pokolenia. Urodziłem się za późno, żeby mieć pachółków, a za wcześnie, żeby kupić choćby z dziesięć androidów. I przez ten fatalny zbieg okoliczności sam będę gównem widłami wywalał!

Zaklął pod nosem i chcąc nie chcąc, ujął w dłoń wyslizgane grabowe stylisko. Spojrzał na drzwi obory i raz jeszcze zmełł w ustach kilka paskudnych wyrazów.

– Dzień dobry, gospodarzu – dobiegło nieoczekiwanie zza płotu.

– ...bry – odburknął odruchowo i uniósł głowę.

Przy drodze stał staruszek w spłowiałej płócienniej kurtce i zdefasonowanej maciejówce. Nogi obuwał w schodzone wojskowe bucior. Spodnie wyglądały jak uszyte z worka na kartofle. Przez ramię przerzucił rzemień sfatygowanego pseudowojskowego plecaka. Izydor przysięgłby, że nigdy nie widział przybysza na oczy, zarazem twarz obcego wydawała mu się dziwnie znajoma.

– Czym mogę służyć? – burknął. – Eee... panu?

– Wędruję od wsi do wsi. Szukam jakiejś roboty. Trza by zarobić parę groszy na coś do jedzenia, zanim ruszę dalej.

Bardak otaksował przybysza wzrokiem. Dziadek wyglądał, jakby miał dziewięćdziesiątkę na karku, ale trzymał się prosto i widać było po nim ślady dawnej krzepy. Łapy miał spracowane. Można było przypuszczać, że od małego był przyuczany do harówki. No i gadał jak typowy wsiok, a nie mieszczuch.

– Robota jest – mruknął Izydor. – Ale ciężka i upierdliwa. Gnój trzeba powywalać spod krów i taczka wypierńczyć na kupę, o tam. – Machnął dłonią w bliżej nieokreślonym kierunku. – A do tego ogarnąć w środku trochę, na wypadek jakiejś kontroli.

– Siem robi.

Obcy mimo wieku zaskakująco zręcznie przeskoczył przez furtkę. Idąc w kierunku obory, odczepił od sznura na pranie jedną klamerkę i założył sobie na nos, aby zabezpieczyć się przed przykrą wonią.

– Znajdą się jakieś gumiaki? – zagadnął. – Nie chciałbym butów ufajdać...

– Znajdą się. – Izydor pogrzebał w skrzyni i wydobył zdefasonowane gumofilce. – I kombinezon jest.

Staruszek stanął w progu. Dwadzieścia krów spojrzało na niego z zaskoczeniem. Obcy uśmiechnął się do nich i przyłożył palec do warg, nakazując ciszę. Potem zlustrował boksy, przepierzenia z metalowych rurek, żłoby i automatyczne poidła. Woń łajna wgryzła się głęboko w beton, mimo klamerki wykręcała nos.

– Gówniana nowoczesność – zauważył filozoficznie. – Znacznie bardziej ekologicznie, zdrowiej i przyjemniej było, gdy krowy żyły sobie po dwie lub trzy w starych drewnianych obórkach, na grubej warstwie porządnej słomianej ściółki. A co parę lat ziemię z obory wybierano i wysypywano w ogrodzie.

– A co poradzę, że tak teraz wymagają. Może i śmierdzi jak w chlewie, ale jest za to zgodnie z normami unijnymi – burknął gospodarz.

Obcy zabrał się do dzieła może niezbyt szybko, ale z wprawą i systematycznie. Powygarniał starą ściółkę i gnój. Odszukał hydrant. Podpiął parciany wąż. Ustawił ciśnienie na dwie atmosfery i spłukał beton ze szlaucha. Przemył także poidła. Na zakończenie pojechał strumieniem po wykafelkowanych ścianach.

– Terakotę dali głupki, a powinna być glazura – powiedział do najbliższej stojącej krowy. – Terakota nasiąka.

– Muuu... – krasula chyba przyznała mu rację.

Izydor przyszedł skontrolować postęp prac. Dziadek przetkał zacopowany łąjnem spust, poczekał, aż gnojownica spłynie do odstojnika. Zręcznie rozłożył krowom nową ściółkę. Słomy dał oszczędnie, ale odpowiednią ilość. Potem otworzył tylne wrota, ułożył sobie kilka desek i zabrał się do taczek. Wywoził obornik, postękując z wysiłku. Bardak, jako człowiek w gruncie rzeczy dość wrażliwy, nie mógł patrzeć, jak się biedny dziadek męczy, więc poszedł do altany i strzelił sobie piwko. A potem drugie.

Słoneczko przygrzewało, nad stosem obornika leniwie brzęczały muchy. Zagadkowy staruszek zasuwał kolejne kursy, posapując. Z bazy rolniczej wrócił Seba Bardak. Przystanął w drzwiach obory i z ironicznym uśmieszkiem nadzorował, jak stary, zataczając się z wysiłku, wywozi łąjno.

Ale zdechłak, po pół taczki bierze i ledwo drepcze, a ja umiem całą zapakowaną z czubem kłusem przetoczyć na kompost i z powrotem, pomyślał z pogardą.

Wreszcie praca została wykonana. Izydor przyczłapał, ocenił front robót gospodarskim okiem. Bardzo chciał się do czegoś

przyczepić, ale wszystko zrobione było perfekcyjnie. Dziadyga nawet gumiaki, łopate, widły oraz taczke wyszorował na wysoki połysk. Teraz rozebrał się do pasa, umył tors i łapy pastą BHP, a włosy płynem do naczyń. Pod pomarszczoną skórą widać było węzlaste mięśnie.



– No i gotowe – mruknął obcy, naciągając kapotę.

– Nieźle – podsumował gospodarz. – Twoja wypłata, stary. – Wyjął portfel i odliczył dwa nowiutkie banknoty, jeden dwudziesto-, a drugi dziesięciozłotowy.

Dziadyga popatrzył na pieniądze i trochę się skrzywił.

– Trzy dychy? Za pięć godzin ciężkiej pracy fizycznej, w dodatku przy gnoju, liczyłem na odrobinę lepsze wynagrodzenie – bąknął rozczarowany.

– Człowieku – uśmiechnął się pobłaźliwie Izydor – to jest Polska, nie Norwegia. I tak zapłaciłem ci lepiej niż członkom własnej rodziny!

– Potwierdzam – burknął Seba. A potem spojrzał koso na nestora rodu, skrzywił się, jakby rozgryzł plasterek cytryny, i zamyślił się nad czymś bardzo głęboko.

– No cóż, bywa i tak – westchnął dziadyga i wpuścił pieniądze do kieszeni.

Pożegnał się zdawkowo i zmęczony powlókł się drogą.

– Może epoka niewolników i chłopów pańszczyźnianych odeszła już w niebyt, a czasy automatyzacji i robotyzacji jeszcze nam nie zaświtały, ale na szczęście istnieją pewne formy pośrednie w postaci frajerów do ogolenia i wydojenia – mruknął pod nosem gospodarz i uśmiechnął się do swoich robaczywych myśli.



Semen wraz z kumplem szykowali właśnie wieczornego grilla, gdy ulicą Grabowiecką nadszedł jakiś obcy. Obaj starcy, słysząc zbliżające się kroki, unieśli głowy. Nadchodzący był mniej więcej w ich wieku, ale trzymał się równie krzepko.

– Jakiś stary piernik – mruknął kozak. – Ciekawe, czego tu szuka?

– Jeśli chce zabytki pooglądać, to spóźnił się o jakieś dwieście lat – zarechotał egzorcysta.

Podeszli zaciekawieni do płotu.

– Co tu porabiasz, wędrowcze? – zagadnął Jakub.

– Idę od wsi do wsi... Słucham, jak trawa rośnie – odparł nieznajomy.

– Marihuana znaczy? – zmarszczył brwi Wędrowycz.

– Nie, zwykła trawa – odparł staruszek z godnością. – A konkretnie, dreptam tak sobie aktualnie od Uralu po Gibraltar. Patrzę, co ciekawego na świecie, jak żyje się ludziom, oglądam zabytki, pomniki przyrody, podziwiam skarby moralne ukryte w sercach ludzi.

– I to wszystko niby w naszej okolicy!? – zdumiał się Semen.

– Jeszcze nie wiem. Na razie kolekcjonuję wrażenia.

– Z Uralu po Gibraltar to chyba spory dystans. – Egzorcyście obie te nazwy coś mówiły, a wspomniane góry chyba nawet umiałby pokazać na mapie.

– Idę pieszo przez błotniste drogi świętej Rusi, przez wsie i miasteczka pięknej Polski, a przede mną jeszcze ziemie Rzeszy Niemieckiej i winnice Francji. Potem hop przez śniegi Pirenejów...

– I że niby pieszo!? – Semen wytrzeszczył oczy.

– W zasadzie nigdzie mi się nie spieszy. Pieniędzy też nie mam. To znaczy zarobiłem trzy dychy za dzień harówki u niejakich Bardaków. – Dziadek skrzywił się na wspomnienie.

– Szczęśliwe uszy, które nie słyszały nigdy tego ohydneho nazwiska! Uuuu... Liczyć na wypłatę od tych wszarzy to fatalne nieporozumienie. – Wędrowycz z naganą pokręcił głową.

– Powiem tak – westchnął kozak. – Sama praca dla tych krwio pijców jest błędem. Patrząc jednak szerzej, fakt, że ten dusigrosz Izydor dał aż trzydzieści złociszy, to nieomal cud.

– Tylko sklep już zamknięty, ale może w sąsiedniej gminie znajdę całodobową stację benzynową. Chleba i coś na kolację chciałem kupić. A jak nie, to przecież nad ranem dojdę do Zamościa. Nie będzie kolacji, to zjem śniadanie – rzekł nieznajomy.

– Zachodź, facet, do nas. – Jakub wskazał miejsce na ławie. – Zjesz sobie z nami karkóweczkę. Chleb, chrzanik i musztardę też mamy.

Miejsce do spania w szopie się znajdzie. A do kolacji kropelki czegoś mocniejszego nie pożalujemy.

– Nie odmówię, ale nie chcę nic darmo. Odpracuję wam to jakoś, dobrzy ludzie.

– O nie! – fuknął Semen. – Żadne takie. Ja tu jestem gospodarzem. Przywykłem karmić i poić potrzebujących całkowicie bezinteresownie. Takie są moje zasady.

Jego przyjaciel potwierdził to kiwnięciem głową.

– Moją zaś zasadą jest, żeby nie nadużywać ludzkiej gościnności – nastroszył się obcy.

– No to mamy pewien impas... – zadumał się kozak.

– Bardzo szlachetny impas – zauważył filozoficznie Wędrowycz. – Ale znam wyjście. Poczęstunek i popitka będą gratis. Ale za nocleg odpracujesz pan... Na przykład rąbiąc drwa.

– Stoi – uśmiechnął się nieznajomy.

– Ty to masz łeb – skomplementował kumpla Semen.

– Znaczy kompromis po polsku, owca będzie głodna i wilk rozszarpany, czy jakoś na odwrót może... – mruknął egzorcysta.

Zasiedli, karkówka niebawem ślicznie się przyrumieniła. Zachodzące słońce sprawiło, że piwo w szklankach stało się jeszcze bardziej złociste. Było ciepło, tylko podmuchy wiatru chłodziły trzy genialne czoła.

– Więc powiadasz, że pogonili do roboty i zapłacili tyle co nic... Taka duża, nowoczesna obora z blachodachówką? – upewnił się Semen. – Na jakieś trzydzieści, no, może dwadzieścia krów?

– Dawno nie sprząтали. Było z tym obornikiem trochę roboty, tak ze sto taczek – odrzekł staruszek. – Ale dałem przecież radę.

– Sto taczek i tylko trzy dychy to wychodzi za jedną po, eeee... Mało! A mówiąc konkretnie, o wiele za mało! Pieprzone Bardaki... – burknął Jakub. – Bez przerwy przynoszą wstyd i obciach naszej gminie. Ale tym razem przegięli! – W jego oczach zapaliły się ponure ogniki. – Niech się ten grzyb Izydor modli, żeby Unia Europejska dopadła go wcześniej niż ja.

– Jedzmy i pijmy. – Obcy machnął lekceważąco ręką. – Dziękuję za propozycję wymierzenia sprawiedliwości, ale nie będę panów fatygował. Chciwość i głupota wcześniej czy później każdemu odbiją się czkawką.

– Jednakowoż jakaś kara powinna być – upierał się Wędrowycz. – Choćby z powodów wychowawczo-społecznych.

– Kara będzie. – Staruszek uśmiechnął się zagadkowo. – Jutro.

Jakub i Semen spojrzeli na niego z zaciekawieniem, ale on tylko raz jeszcze uśmiechnął się skromnie. Nie wyglądał na samotnego mściciela ani na zakamuflowanego superbohatera. W ogóle prezentował się przeciętnie. A może nawet zbyt przeciętnie? Jakub na wszelki wypadek postanowił zbadać aurę nieznanego. Ale nim zdążył się dostroić i zapuścić telepatycznego żurawia, gość nagle odsunął krzesło i wstał.

– Zdrowie zacnego gospodarza i jego sympatycznego przyjaciela – powiedział poważnie, unosząc szklanę ku zachodzącemu słońcu.

– Raczej zdrowie gościa – zaprotestował kozak, też wstając.

– Za spotkanie – dorzucił egzorcysta.

Stuknęli się szklanicami nad stołem.



W czasie gdy Jakub, Semen i zagadkowy dziadek spożywali mięcho i popijali piwkiem, przed domem Izydora zatrzymało się auto. I to nie było jakie... To znaczy fura nie była może szczególnie wypasiona, a najlepsze lata miała dawno za sobą, ale za kierownicą siedział nie było kto. Gospodarz, ujrawszy przez okno, kto do niego zawitał, narzucił na grzbiet najlepszą kapotę i wyszedł aż do furty.

– Witam włodarza gminy w naszych skromnych progach. – Ukłonił się. – Kawy czy herbaty? A może coś mocniejszego?

– Słuchaj no, Izydor, jest sprawa – powiedział wójt. – Masz masę krewniaków. Silne chłopaki, przyuczone do roboty w różnych zawodach. I działalność gospodarczą kilka lat temu zarejestrowałeś.

– A co, nie wolno? – nastroszył się Bardak.

– Tego nie powiedziałem. Gmina popiera przedsiębiorczość. W każdym razie masz firmę budowlaną i różnego sprzętu też wam nie brakuje. A ja potrzebuję, żeby ktoś ułożył kostkę brukową na rynku, od rogu przy kościele aż do knajpy. Jakieś dwa tysiące metrów kwadratowych. Będę miał w przyszłym tygodniu ważnych gości.

– Z powiatu czy może z województwa?

– Z samej centrali! A tam na rynku i dziury, i krzywo. Sam rozumiesz, nie chcę świecić oczyma. Idzie – wójt zniżył głos – o poważne dotacje rządowe. Muszę się pokazać jako sprawny organizator i dobry gospodarz. A tu w centrum miasteczka zamiast eleganckiego ryneczku syf, kiła i mogiła.

– Od peerelu nikt tego chodnika nie ruszał – mruknął Bardak filozoficznie. – Ale wymienić wszystko? Kupa roboty.

– Dlatego przyszedłem do ciebie. Czy wasza rodzinna firma mogłaby się tym zająć? Kostkę mam na paletach. I dziesięć wywrotek podsypki w workach. Budżet też jest. Brak tylko ludzi, którzy mogliby mi to ogarnąć.

– To może urzędnicy w ramach prac społecznych? – zakpił Bardak.

– Izydor, nie przeginaj, bo pojedę szukać wykonawcy do Uchań.

– Przeeeepraszam. Tak mi się powiedziało. W zasadzie moglibyśmy się tym zająć... Tylko mamy mały problem. Wnuczka, która jest u nas księgową, pojechała na szkolenie. A tu pewnie trzeba przygotować ofertę pod przetarg.

– Bezprzetargowo was zatrudnię.

– To tak się da? I po legalu będzie? – zdumiał się dziadyga.

– Tak, są pewne zadania, gdzie do konkretnego limitu wydatków można zatrudnić kogokolwiek. A że firma jest zarejestrowana w naszej gminie, to dla mnie dodatkowy profit, wydaję pieniądze na utrzymanie miejsc pracy mieszkańców. A wy macie sprzęt i doświadczenie, i legalną, zgłoszoną działalność. Chociaż wiem, że to dla picu, bo trzy czwarte robicie na lewo – dodał wójt.

- Płacicie od wykonania czy za godzinę?
 - Za godzinę. Projekt jest zatwierdzony przez architekta krajobrazu. Dobrze by było, gdybyście to zrobili do końca tygodnia.
 - Dziś poniedziałek... Wyrobimy się.
 - Musicie. Nie ma bata.
 - A stare płyty?
 - Na zwałkę. Obróćcie traktorem ze dwa razy. Tylko załadunek...
 - Ja bym sobie zabrał. To chodnik jeszcze z lat sześćdziesiątych. Dziś już takiego betonu nie robią, a tu się przyda.
 - Bierzcie. A jak wasza wnuczka wróci, niech wdepnie do urzędu, wyprostujemy wszystko w papierach, żeby dokumentacja była.
 - Się wie. Jaka stawka?
 - Skoro to na ekspres, proponuję pięć dych za godzinę – uściślił wójt. – Przelewem, płatne od ręki, zaraz po odbiorze.
 - Aaaaa.... Było tak od razu! Jutro od siódmej rano bierzemy się do roboty.
- Bardak zatarł ręce.



Jakub otworzył oczy. Z podwórza chaty Semena dobiegały jakieś dźwięki. Ktoś pracował siekierką czy co? Naciągnął łąchy, wypił pół słoika soku z kiszanej kapusty i wyczłapał przed dom. Zagadkowy nieznajomy wstał, a teraz ociosywał sztachety. Jakub łypnął kontrolnie okiem w bok i spostrzegł ze trzydzieści metrów nowiutkiego płotu. Kozak też już wstał, właśnie wynurzył się spod prysznicza.

- Nie trzeba było – bąknął skonfundowany. – Śniadanie też będzie gratis.
- Wstałem wcześniej, była chwila, nie chciałem marnować czasu – wyjaśnił staruszek trochę niewyraźnie, bo w ustach trzymał ze trzydzieści gwoździ.

Głupio było stać bezczynnie, gdy gość pracował, więc gospodarz z przyjacielem ruszyli mu pomóc. Nim minęła godzina, cały płot od ulicy lśnił bielą nowiutkich sztachet.

Zasiedli do śniadania.

– Jak plany dalszej drogi? – zagadnął Semen.

– Wrócę do Wojsławic i odbijam na północ – wyjaśnił staruszek. – Chociaż Zamość też kusi. Nie byłem tam już ze sto lat.

– Gibraltar to na zachodzie raczej – zauważył kozak.

– Wiem, ale przecież mi nie ucieknie, a dawno nie byłem też w Chełmie. Zasadniczo nigdzie mi się nie spieszy, nie muszę iść najkrótszą drogą. Jak wspomniałem, chcę obejrzeć zabytki i pomniki przyrody. Bo złote serca już znalazłem.

– Bardzo słuszne podejście – pochwalił egzorcyta. – Nasza chełmska ziemia jest piękna, warto tu zostać kilka dni.

Po śniadaniu jakoś tak wyszło, że dokończyli stawianie płotu. A potem jeszcze go pomalowali... Nim skończyli, była pora na obiad, a przed wyprawieniem gościa w drogę wypadało jeszcze strzelić jakiegoś strzemiennego w knajpie.



Robota nie wydawała się szczególnie trudna, ale ciężka i upierdliwa. Bardaki zabrali się do zadania z umiarkowanym zapalem.

– Robimy tak, żeby się nie przemęczyć, ale też żeby nikt nie powiedział, że się obijamy – poinstruował Izydor. – Trzeba dobrze rozłożyć wysiłek, żeby idealnie wypełnić przewidziany czas, bo jak skończymy wcześniej, to wójt zapłaci mniej.

– Się robi – burknął Seba. – Do kiedy ma być gotowe?

– Ci goście z Warsiaffki przyjadą w poniedziałek. Mamy pięć dni, z sobotą włącznie. Robimy po osiem godzin dziennie. Ośmiu chłopów raz po raz, osiem godzin, raz po raz, pięć dni, raz po raz, pięć dni...

Wyciągnął z kieszeni telefon i dłuższą chwilę stukał paluchem w klawisze. Wyszło mu szesnaście i trzy zera.

Szesnaście tysięcy, pomyślał zadowolony. Za tydzień roboty. Na kursie słusznie gadali, najlepsze lody kręci się tam, gdzie publiczna forsa. I faktycznie, gołym okiem widać, że niezły biznes zrobię na przysłowiowym styku państwowego z prywatnym.

– To ile zarobimy? – zaciekał się któryś z członków klanu.

– Dla was po cztery... yyy... po trzy stówy na łba, a reszta do naszego rodzinnego skarbcza. Na sfinansowanie najważniejszych przedsięwzięć rodowych i inwestycji. – Izydor wołał nie chwalić się sumą, którą ujrzał na ekranie wyświetlacza. – No, ruszcie tyłki, chłopaki, samo się nie robi.

Przeżegnali się, splunęli w dłonie, zabrali się do roboty. Kolejno podważali płyty chodnikowe i odkładali na pakę dostawczaka. Nie spieszyli się jakoś szczególnie, ale ku pewnemu zaskoczeniu Izydora niebawem cały teren przyszłych robót został oczyszczony. Gienek Bardak wjechał ciężkim sprzętem, wyrównał co trzeba. Podjechała pierwsza wywrotka. Podsypkę rozprowadzili spychaczem, poprawili tu i ówdzie graczami, potem włączyli zagęszczarkę. Franek, jako najlepiej wykształcony, uruchomił laserowy niwelator. Sprawdzili, poprawili... Sprawdzili ponownie. Niby się nie spieszyli, ale mięśnie szybko zaczęły boleć, pot lał się strumieniami. Poszła cała zgrzewka mineralnej, potem druga. Nestor rodu zastanawiał się nawet, czy nie zarządzić przerwy, ale co rusz przechodzili obok jacyś urzędnicy z gminy. Nie chciał, żeby ktoś podkablował wójtowi, że się obijają. Ku zdumieniu Izydora niebawem cały plac został wyrównany, utwardzony, pokryty podsypką i przygotowany pod układanie kostki.

– Co jest grane!? – mruknął. – Przecież to nieprawdopodobny ogrom roboty! Myślałem, że ten etap będziemy robili ze dwa albo i trzy dni!?

Łypnął okiem na słońce. Potem wyciągnął komórkę, spojrzał na wyświetlacz i wtedy naprawdę zdębiał. Była dopiero jedenasta.

– Dziadku, coś jest nie tak – zakwilił Seba.

– Co niby?

– Robimy i robimy, łap już nie czuję, a tu jeszcze południa nie ma – bąknął młody Bardak.

– Tak, faktycznie. – Nestor rodu raz jeszcze spojrział na telefon. – Ale bywają takie dni, gdy człowiek robi i robi, a czas zdaje się stać w miejscu. A bywają i takie, że robota jakby pali się rękach i w ogóle nie zauważa się upływu czasu. No trudno, pracujemy dalej.

Tyrali i tyrali. Co jakiś czas Izydor popatrywał na zegarek i marszczył czoło. Czas faktycznie jakby stał w miejscu, za to roboty ubywało. Wzięli się do układania kostki. Rozpakowali z folii pierwszą paletę, drugą, dziesiątą...

– Co z drewnem? – zapytał Franek.

– Wójt nic nie mówił, ale to odpad przecież, dawaj palety na dostawczaka, przyda się. Może do palenia albo coś z tego zrobimy.

Plac nieubłaganie pokrywał się śliczną równą nawierzchnią. Niektóre kostki trzeba było ciut dobić gumowym młotkiem. Wydawało się, że pierwszą paletę rozpakowali dopiero przed chwilą, a już pruli folię na ostatniej. O czternastej skończyli. Cały plac lśnił nowiutką, równiutką nawierzchnią. Wyglądało to niezwykle nowocześnie, estetycznie, było co pokazać ważnym gościom ze stolicy.

– Niemożliwe – burknął Izydor, gdy ostatnia kostka trafiła na miejsce. – To jest... – urwał na chwilę – niemożliwe!

Nadszedł wójt. On też z głębokim zdumieniem patrzył na ogrom wykonanej roboty. Przez chwilę marszczył brwi, a potem jego twarz rozplynęła się w uśmiechu, jakiego nie używał, od kiedy jego opcja polityczna dostała łomot w wyborach parlamentarnych.

– Panowie – wykrztusił – jestem pod wrażeniem... Sądziłem, że to robota na co najmniej cztery albo i pięć dni, powiem nawet, że poważnie się obawiałem, czy wasza firma da radę i nie będzie obsuwy z terminem, a wy uwinęliście się w kilka godzin. Świetnie, Izydorze! – Poklepał nestora rodu po ramieniu.

Ten tylko jęknął i aż przysiadł z bólu. Plecy rwały go, jakby przewalał łopatą dwadzieścia ton ziemi.

– Ku chwale naszej kochanej gminy – wymamrotał półprzytomnie.

– Hura... – niemrawo zawtórowali członkowie klanu.

– W siedem godzin zrobiliście wszystko, a nawierzchnia równiutka jak stół. – Wójt wyglądał na głęboko wzruszonego. – I to wszystko za niecałe trzy tysiąki wynagrodzenia!? Kiedy pomyślę, jak horrendalnie gmina przepłacała przez ostatnie lata, zatrudniając firmy z przetargów, podczas gdy tak doskonałych fachowców mieliśmy pod samym nosem... Panowie! Nie znajduję w sobie słów wystarczających, żeby wam pogratulować. Chodźmy do knajpy, strzelimy kilka piw, ja stawiam. Z własnej kieszeni, nie z urzędowych pieniędzy – dodał pospiesznie.

– No to chodźmy – mruknął Izydor bez większego przekonania.

Był tak wykończony i tak rozczarowany, że nawet na darmowe piwo nie miał ochoty. Ale głupio było odmawiać, gdy stawiał ktoś taki. Powędrowali.

– Wiecie, jak ciężko spiąć budżet – perorował urzędnik. – Każda firma tylko rwie pod siebie, byle się nachapać państwowych pieniędzy. Prywaciarze to prawdziwe hieny i sępy, każdy by tylko kręcił lody. Wszyscy zawyżają koszty, żądają gór złota za byle wykopanie rowu, a potem i tak obijają się w robocie, robią byle jak, zazwyczaj zawałają terminy... Ale ty, Izydorze, jesteś, jak widzę, prawdziwym lokalnym patriotą i do tego krystalicznie uczciwym człowiekiem. Przy kolejnych zleceniach będziemy o was pamiętali.

– Tak jest – wymamrotał Bardak. Rozczarowanie dusiło mu gardło. Przecież... przecież to wszystko miało być kompletnie inaczej! A do tego... Taka forsa przepadła!

Wójt kopnął drzwi knajpy jak swojak. Wnętrze było prawie puste, tylko przy ulubionym stoliku Wędrowycza majaczyły w półmroku jakieś sylwetki.

– Osiem dużych dla, jak by to kiedyś powiedziano, przodowników pracy i bohaterów planu sześcioletniego – zadysponował wójt gminy, kładąc pieniądze na ladzie. – Dziewięć – zreflektował się. – Ja też sobie jedno wypiję, tylko dla mnie bezalkoholowe, w końcu do szesnastej jestem w pracy.

– Się robi. – Barman wybrał najczystsze kufle.

Izydor potoczył wzrokiem po wnętrzu. Jego spojrzenie ponownie zatrzymało się na znienawidzonym stoliku i na postaciach trzech dziadów spożywających alkohol. Potrząsnął głową. A potem ruszył w tamtą stronę, nabuzowany jak parowóz. Był już blisko, gdy w trzecim biesiadniku rozpoznał staruszka, którego wczoraj zatrudnił przy oborniku.

Aaaa... To i on jest z tej bandy, mogłem się domyślić! – przeleciało mu przez głowę.

Jakub, słysząc kroki, uprzejmie się obrócił.

– Wędrowycz, ty ścierwo! – syknął Bardak.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, ty gnido.

– Jak ci zaraz przypier...

– Staropolskie przysłowie mówi, że nieładnie fikać starszemu, a zwłaszcza takiemu, który też może dać w mordę – burknął Jakub. – A teraz spadaj, bo mój imperatyw niemoralny podpowiada mi szereg...

– Tak myślałem! Był jakiś zamęt z czasem. W jeden dzień zrobiliśmy robotę przewidzianą na pięć! Wykończeni jesteśmy jak po tygodniu harówki, a wypłata będzie tylko za siedem godzin – rąbał słowo po słowie Bardak. – To twoja robota, łachmyto!

– Nie jego, tylko moja – burknął zasuszony staruszek. – Masz za swoje. Pracowałem uczciwie, a zapłaciłeś marnie. Postanowiłem delikatnie cię skarcić. A w zasadzie nawet nie skarcić. Jest takie przysłowie: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. A na przyszłość nie rób drugiemu, co tobie niemiłe.

– A kto ty właściwie jesteś!?

– Dziadek Czas. Do usług. – Nieznajomy żartobliwie zasalutował zaskoczonemu Izydorowi kuflem i znikł.

Teodor



Była połowa czerwca. Nadchodził wieczór. W knajpie panował przyjemny gwar. Wentylator pod sufitem wiosłował łopatami duchotę, niewiele mającą wspólnego z powietrzem. Na szczęście lodowato zimne piwko lane w spragnione gardziele pozwalało ochłodzić spocone cielska bywalców. Jakub siedział i popijał przy ulubionym stoliku, Semen przepchnął się bliżej baru i na ekranie oglądał relację z bitwy pod Grunwaldem. Wreszcie program się skończył. Kozak zamówił dwa kolejne kufle i wrócił na swoje krzesło.

– I jak tam? – zagadnął Wędrowycz.

– Już po bitwie. To znaczy bitwa tegoroczna za miesiąc będzie. To był program o tej w zeszłym roku. Powtórka telewizyjna znaczy się.

– Pytałem, kto wygrał.

– Nasi, jak zwykle. Co ty, historii się nie uczyłeś?

– W sumie to nie. Była w starszych klasach, a do tego etapu mojej nauki to już szkoła nie dotrwała. – Jakub uśmiechnął się do jakichś swoich wspomnień. – Ale o Grunwaldzie coś tam wiem. Byłem tam, czy może jakiś mój przodek. Albo widziałem w kinie? Nieważne.

Stuknęli się szkłem. Złocisty trunek zagulgotał w gardzielach i po chwili w postaci potu zaperlił się na czołach.

– Z tym Grunwaldem to jednak mam mieszane uczucia – wyznał egzorcysta. – Bo widzisz, rozumię tak: z jednej strony to dobrze, gdy dobro za każdym razem zwycięża. Z drugiej jednak to trochę nudne.

– A tobie co, pod wpływem alkoholu wzięłeś się za filozofię?

– No gdzieżby tam. Po prostu tak sobie dumam. Co za sens oglądać mecz, jak z góry znamy wynik? Wiadomo, że nasi piłkarze zawsze dostaną baty, to po co sobie głowę zawracać?

– Ty nie oglądasz meczy – zauważył Semen.

– Przykładowo mówię. Są pewne podobieństwa. Zmagają się ci rycerze, zmagają, a wynik wciąż ten sam. Tylko tak jakby odwrotnie niż w piłce kopanej, nasi zawsze górą, a Krzyżacy zawsze rozgromieni. Tylko się męczą ci biedacy z bractw rekonstrukcyjnych. Blachy twarde, miecze ciężkie, a jeszcze termin idiotyczny. Walczyć w lipcowe upały, do tego z metalowym garnkiem na głowie. Udaru można dostać. To bez sensu.

– Termin musi być taki, a nie inny, bo to już w średniowieczu ustalono – wyjaśnił kozak. – Tradycja, rozumiesz?

– Yhym...

– No dobra, widzę, że coś ci nie pasuje. No to gadaj, jak ty byś to widział.

– Po pierwsze, trochę sprawiedliwości. Przed rekonstrukcją bitwy powinni robić losowanie, kto w danym roku wygra. Wiem, że Krzyżacy byli źli, ale wiesz, jak to bywa w życiu, czasem zło jednak zwycięża. Na ten przykład te cholerne Bardaki... – Jakub rzucił spojrzeniem jak odbezpieczonym granatem. – Ja wiem, że tę rekonstrukcję dzieci oglądają i trzeba się trzymać pewnych rzeczy zapisanych w podręczniku, ale chciałbym czasem inaczej. No i z jajem. Rycerze nasi i tamci... Nudne. A gdyby dodać jakieś urozmaicenie?

– Co masz na myśli?

– Nacierają Krzyżacy, a tu zza lasu zamiast wojsk Jagiełły wypada na ten przykład konnica Hannibala i falangą szarżuje na słońiach.

– Jak konnica, to nie na słońiach. I nie falangą.

– Słonnice miałem na myśli.

– Kompletnie nie ta epoka. Widzisz, to jest tak, że ci uczestnicy bardzo się przykładają do wszystkich szczegółów. Dążą do tego, żeby jak najwięcej elementów było identycznych jak w średniowieczu. A Hannibal to starożytność. Zupełnie nie te czasy.

– Wiem, ale mimo wszystko ciekawie by było. I rekonstruktorom też byłoby przyjemnie, gdyby nie musieli kurczowo trzymać się jakichś tam scenariuszy, tylko mogli swobodnie i beztrosko mierzyć się z nowymi, zaskakującymi rycerskimi przygodami.

– Chodźmy się przejść, bo widzę, że od tego upału mózg ci się już zupełnie rozlasował.



Izydor Bardak stał oparty o płot i z ogromnym zadowoleniem toczył wzrokiem po swoich włościach. Towarzyszył mu wnuk Franek, świeżo upieczony magister historii. Dziadek wezwał go w trybie pilnym, więc przybiegł z chlewa tak, jak stał, z widłami w ręce, w gumiakach i drelichu roboczym. Umyć się oczywiście nie zdążył, ale stary nie zwracał uwagi na takie drobiazgi jak odrobina zdrowej, ekologicznej wiejskiej woni.

– Widzisz, wnuku – zatoczył dłonią krąg, obejmując tym gestem pola, sady i zabudowania – kiedyś to wszystko było hrabiego Poletyły. Jeszcze twój prapradziadek, a mój dziadek, zaczął podorywać hrabiowskie miedze. Było to wówczas zadanie bardzo niebezpieczne. Ekonom pilnował, karbowi też. Jak dworscy pacholki dorwali chłopą, to bez litości tłukli kijami, a bywało, że i batogiem. Ale my, Bardaki, nie daliśmy się zastraszyć dziedzicowi i jego przydupasom. Konsekwentnie pracowaliśmy, żeby co rok powiększyć areał choć o kilka palców. Fornale próbowali nas przechytrzyć. Na przykład jednego roku posadzili lipy na granicy włości dziedzica. W południe posadzili, a o północy nasi wykopali drzewka i poprzesuwali. Szopę kiedyś wymurowali, niby na narzędzia. To dopiero była operacja, przepchnąć kilka metrów spory ceglany budynek wraz z fundamentami. I to w jedną bezksiężycową noc!

– No niby jak!? – zdumiał się Franek.

– A to już ze studiów powinienes wiedzieć! Zrobiliśmy to metodą starożytnych Egipcjan. Belki pod fundament, liny, sześć par wołów ciągnęło. A jeszcze do rana kobiety i dzieci tyrały. Miedzę odcięły od głębszych warstw gleby i po kawałku przełożyły dalej, a tam przyklepały, niby że od zawsze się tam znajdowała. I ślady zabronowaliśmy. Karbowi oczywiście rankiem spostrzegli, że coś nie tak. Ale wszystko na folwarku dziedzica było domierzane do repera wmurowanego w ścianę, którą przesunęliśmy. Z planami w ręce i taśmami mierniczymi cały dzień chodzili, sprawdzali. I co? Na papierze wszyściutko się zgadzało! Dzięki tej operacji zyskaliśmy sześć mórg od jednego kopa, co na dzisiejsze będzie chyba prawie ze trzy hektary.

– Cie choroba – wykrztusił potomek.

– Potem przy parcelacji majątku trafiła się kolejna okazja. Zjechała się taka komisja z Warszawy. Wtedy również zaryzykowaliśmy. Poszła też masa pieniędzy i bimbru dla geodetów, co tam wszystko mierzyli. Ale znów się opłaciło, i to sowicie. Niejeden papierek wspólnie sfalszowaliśmy... Oczywiście inni mieszkańcy okolicy marudzili trochę, no bo sam rozumiesz, my się nachapaliśmy. Ale stratni nie byli, bo meble z pałacu zaiwanili i inne fanty. W każdym razie teraz wszystko, co widzisz, jest nasze... Bardackie. Całkowicie po legalu. Wpisane w księgi wieczyste i, co najważniejsze, z czystą hipoteką. I to niezmierzone bogactwo naszego rodu kiedyś odziedziczysz. W jakimś tam procencie oczywiście.

Franek zaczął coś liczyć na telefonie.

– Dużo nas – zauważył.

– To chyba dobrze? Klan jest rozległy. Kuzyni, kuzynki, dzieci, wnuki, prawnuki. A będzie jeszcze więcej, bo kilka dziewczyn wiosną świeżo zaciążyło. Mnożymy się jak króliki, na pohybel Wędrowyczowi. Choćby się zesrał, wszystkich nas nie zabije. A właśnie, byłbym zapomniał, na tobie też spoczywają obowiązki wobec rodziny! Poszukaj sobie dziewczyny i bierz się do roboty! –

Izydor pogroził wnukowi paluchem. – Jakbyś czegoś nie wiedział, to kuzynów zapytaj. I nie baw się telefonem, jak do ciebie mówię!

– Ale jak tak dokładnie policzyć ten majątek do odziedziczenia, to wypadnie z ćwierć hektara na twarz – zauważył trzeźwo potomek, pokazując ekran wyświetlacza pokryty gęsto cyferkami. – Nie wiem, czy ten plan z liczebnością jest aby na pewno dobrze przemyślany. Już w średniowieczu Kościół wprowadził celibat właśnie po to, żeby nie rozdrabniać majątku, tylko go akumulować. A arystokracja nadmiar dzieci wysyłała na wojny albo zamykała po klasztorach, żeby dziedzic był tylko jeden.

– Ty sobie Kościołem mordy nie wycieraj. Że nasz proboszcz pobożny i za kobietami nie gania, to jeszcze nie znaczy, że masz go naśladować. A arystokracja szeszła marnie od obżarstwa, lenistwa i syfilisu, komuchy już tylko jej trupa dobili. To też nie jest dla nas żaden przykład do naśladowania! Pojutrze dyskoteka w Uchaniach. Szukaj sobie odpowiedniej laski, zabierz romantycznie w krzaki i łapaj na dziecko! Tylko żeby szerokie biodra miała.

– Dziadku, patrzysz na rodzinę jak na zarodowe stado bydła! – zaprotestował Franek. – A uczucia wyższe?

– A kto wam broni się oprócz tego zakochać? – prychnął zirytowany Izydor. – Nikt ci nie zabrania łączyć przyjemnego z pożytecznym. I ślub weźmiecie, to nawet po bożemu będzie. A uczucia mam. Na ten przykład uczucie nienawiści do Wędrowycza jest uczuciem wyższym. Sprzątnięcie tego dziada byłoby czynem niezwykle bohaterskim i humanistycznym. Z miejsca podniosłoby poziom moralny, intelektualny, a nawet estetyczny naszej pięknej gminy! Poza tym jeszcze nie dorosłeś, żeby krytykować starszyznę rodu! A ziemi dokupujemy przecież. Będziemy potęgą.

– Poza ilością dzieci przydałaby się jeszcze jakość – bąknął wnuk.

– Miałeś na studiach zajęcia sportowe? To powinieneś wiedzieć. Najpierw masa, potem rzeźba. A o jakość to ty się nie martw. Inwestujemy w to. Ot, popatrz choćby na siebie. Jesteś magistrem? Jesteś. Dokładnie tak jak chciałeś. Psu na budę twój dyplom do

roboty w oborze, ale nie broniliśmy ci przecież. No to o co się strzepisz?

– W sumie to już o nic – westchnął młody.

– Plan uczynienia z naszej rodziny potęgi demograficzno-ekonomicznej w ostatnich latach rozwija się jak sznurek z kłębka. Jest tylko jeden supełek. Coś jak korek zatykający butelkę z dżinem. Kamyk w bucie zwycięskiej armii maszerującej na podbój wielkiego świata. Grzyb na ścianie naszego miasteczka. Szczypta pieprzu wetknięta w zadek wspaniałego wierzchowca. Słowem, ten przeklęty dziad Wędrowycz.

– Tylko czy to naprawdę jest dla nas problem? – zamyślił się wnuk. – Jego syn robi karierę w Warszawie, wnuk i prawnuk już tu na stałe nie wrócą. Tłuką kasę, robiąc te swoje gierki strzelane na aparaty fotograficzne. Idiotyzm moim zdaniem, w Europie ani Ameryce się nie przyjęło, ale podobno w Japonii sprzedają to jak ciepłe bułeczki. A Jakub stary jest, w końcu umrze.

– Stary to on był już ze trzydzieści lat temu. A że wkrótce umrze, to słyszę od ćwierćwiecza co najmniej. Jak mówi staropolskie przysłowie, złego diabli nie biorą – burknął stary Bardak. – A mnie się marzy, żeby pewne procesy biologiczne zdecydowanie przyspieszyć!

– Wezwałeś mnie... Czy to znaczy, że masz, dziadku, jakiś konkretny plan? Odnośnie do tych procesów i ich przyspieszania?

– Nieodmiennie.

Izydor wyciągnął z kieszeni gruby notes oprawiony w wyszmelcowaną wołową skórę. Notes pokryty był różnymi plamami, widać niejedno przeszedł.

– Wiesz, wnuku, jak działa amerykański urząd patentowy? – Głos nestora rodu stał się uroczysty.

– No nie bardzo... Tak szczerze mówiąc, to wcale.

– Przychodzą do nich kolesie z różniastymi pomysłami. Oni to wszystko rejestrują i wbijają do archiwum. A potem siadają do tego inżynierowie wdrożeniowi i przeglądają. Na tysiąc głupich i zbędnych pomysłów trafia się jeden genialny i, powiedzmy,

dziesięć sensownych. Reszta na kompost, a nad tymi jedenastoma pracują uczone głowy. A czasem bywa i tak, że z dwóch pomysłów głupich składa się jeden wcale już nie taki głupi.

Przekartkował notatnik przed oczyma potomka. Strony zapisane zostały gęsto niezbyt czytelnym pismem. Przy kolejnych pomysłach umieszczono numerki i daty. Niektóre, zapewne te wypróbowane ze skutkiem negatywnym, przekreślono na krzyż. Przy najbardziej obiecujących postawiono krwistoczerwone znaki zapytania.

– Dzięki temu nie obciążam pamięci i nie ma ryzyka, że o czymś zapomnę – wyjaśnił stary.

– Hmm... Coś w tym jest.

– Postanowiłem zastosować tę amerykańską metodę przeciw Wędrowyczowi. Notuję wszystko, co wymyślę, każdy pomysł, jak mu dopierdolić. A potem nad nimi myślę. Konfrontuję i czasem z kiepskich pomysłów coś się złoży, w sensie powstanie zupełnie nowy. A czasem bywa i tak, że coś w telewizji zobaczę albo w gazecie przeczytam i zaczynam to sobie obracać w głowie. I tak jest w tym przypadku. No ale my tu gadu-gadu, a czas ucieka.

– Zatem co mam robić?

– Odpalisz teraz internet. Pogrzebiesz w ukraińskiej części globalnej sieci. Jest plan, ale najpierw potrzebuję nawiązać kontakt ze stalkerami.

– Takimi prawdziwymi, znaczy się z zony koło Czarnobyła?

– Tak.

– A to nie jest tylko legenda?

– Hmm... Nie wykluczam. Może w strefie wokół elektrowni tak naprawdę nie ma mięsożernych krocących grzybów, bezgłowych łosi, wilkojeleni, mutantów, dinozaurów, zombiaków i tak dalej. Ale w latach dziewięćdziesiątych, gdy ze szmuglu budowałem podwaliny fortuny naszego rodu, często obcowałem z ukraińskimi przemytnikami. Nasłuchiłem się wówczas zbyt wielu opowieści, żeby całkowicie odrzucać to, co wydaje się nieprawdopodobne. Oporządź do końca świnię i wio do komputera. Niech twoje dyplomy chociaż raz się na coś przydadzą. Trzeba parę rzeczy sprawdzić.



Jakiś tydzień po tej rozmowie, gdy Izydor skończył karmić krowy i wyszedł przed oborę, zauważył ładę niwę zatrzymującą się przed bramą obejścia. Auto ewidentnie miało za sobą niejedną ciężką przeprawę. Burty pojazdu znaczyły przestrzeliny i zadrapania wyglądające na ślady pazurów czegoś dużego. Lakier miejscami pokrywała kaszka korozji, a tu i ówdzie wyrdzewiały dziury na wylot, jednak ślady te wyglądały odmiennie niż w zwykłych starych gratach. Układały się w dziwne pasy i rozbryzgi, jakby powstały przy taranowaniu zarośli lub zgola jakichś potworów posiadających zamiast płynów ustrojowych kwas. Szyby dla odmiany były nowiutkie, jakby prosto z magazynu. Uwadze Izydora nie uszedł fakt, że na koła pojazdu założono łańcuchy z dospawanymi kolcami.

– Ha! – mruknął pod nosem. – Już myślałem, że się nie doczekam.

Ruszył w tamtą stronę. Z łady wysiedli dwaj goście. Stalkerzy wyglądali jak stalkerzy. Mieli wysokie kierzowe glany wojskowe z demobilu jeszcze po ZSRR. Z cholewek prawych buciorów sterczały rękojeści bagnetów od kałacha, z lewych szyjki piersiówek. Ortalionowe dresowe spodnie szeleściły dumnie przy każdym kroku. Torsy przybysze przyoblekli w tielniaszki, a na to założyli wyszmelcowane skórzane kurtki. Poryte malowniczymi bliznami łapy wystawały z przykrótkich rękawów. Daszki oprychówek ocieniały ogorzałe od stepowego wiatru czoła. Wyższy nie miał jednego oka. Oczodół osłonił jakby piracką opaską. Na ramieniu niższego siedziała małpa. Od zwykłych różniła się tym, że posiadała dwa ogony. Nosy łowców były czerwone, ale to Izydora w ogóle nie zdziwiło. Wiadomo – robota ciężka i niebezpieczna, więc trzeba jakoś odreagować.

– Dzień dobry – ukłonił się jednooki.

– Dobry den, dzień dobry – uśmiechnął się Izydor. – Witam panów serdecznie w Wojsławicach. Zdobyliście to, o co prosiłem?

– Jakbyśmy nie zdobyli, tobyśmy się nie fatygowali tysiąc kilometrów – zauważył filozoficznie niższy stalker. – Łatwo nie było, ale... zgodnie z zamówieniem.

Mówił z mocnym akcentem typowym dla Ukraińców, którzy nauczyli się polskiego, oglądając telewizję. Sięgnął do auta i wydobył sporą papierową torbę. Wewnątrz kryło się coś ciężkiego.

– Super! Ale nie stójmy tak na widoku, zapraszam do altany.

Usiedli w cieniu. Bardak odpalił klimatyzator, sięgnął do lodówki, wydobył trzy piwa i otwieracz. Ze skrzynki wyjął kufle ukradzione kiedyś w knajpie. Obok umieścił miskę orzeszków i drugą z chipsami.

– Lachy pany... eee... To znaczy, chciałem powiedzieć: czym chata bogata – mruknął, przelewając złocisty trunek do szkła.

Stuknęli się, pociągnęli po długim łyku. Piwo było smaczne i, co najważniejsze, lodowato zimne. Na twarzach gości odmalowała się najgłębsza rozkosz. Wyższy stalker wyciągnął z torby duży słój. Do środka wrzucono kilka gałązek...

– A oto i zamówione zwierzątko.

Gospodarz liczył na coś spektakularnego, ale to bydlę było nawet większe, niż zakładał. Wyglądało też groźnie.

– O w mordę, ale okaz! – szepnął wstrząśnięty.

– No owoż nie tak do końca... – westchnął ten z małpą. – Mizerny raczej się trafił. Zazwyczaj ciut większe rosną, ale jakoś tego lata nie obrodziło. Trzy dni ganialiśmy po Czerwonym Lesie i dorwaliśmy tylko tego tutaj. Ale za to będzie ze zniżką. Umawialiśmy się na tysiąc dolarów. Dziewięćset i jest pański. Oczywiście poza rozmiarem nic mu nie dolega. Jadowitość w pełni gwarantowana. No i radioaktywny konkretnie.

Wyjął licznik Geigera. Minimalnie uchylił pokrywkę. Wskazówka urządzenia natychmiast powędrowała na czerwone pole, a z głośnika dobiegły trzaski.

– Szkło ołowiowe, zakrętka też powleczone tym metalem, zatrzymuje radiację – poinstruował. – Łapać bydlaka przez szczypce. Rękawice i gogle na oczy bardzo wskazane. Oczywiście nie bierzemy

odpowiedzialności za skutki doświadczeń. Może być naprawdę różnie.

– Spoko... Co może pójść nie tak? Widziałem to na dziesiątkach filmów.

Obaj stalkerzy, słysząc jego słowa, wymienili zafrasowane spojrzenia. Nawet mała poskrobała się po głowie. A potem jak na komendę wszyscy troje wzruszyli ramionami.

Izydor wyjął plik banknotów, odliczył dziewięć.

– A niech tam, robota nielekką, umawialiśmy się na tysiąc, to niech będzie tysiąc. – Dorzucił dziesiąty. – Ewentualnie potraktujcie to panowie jako kaucję za słoik.

Na gębulach stalkerów odmalowały się uśmiechy. Stuknęli się znów kuflami. Mała zeskoczyła na stół. Spojrzała prosząco trzecim okiem, tym z tyłu głowy. Gospodarz podsunął jej orzeszki. Zwierzę wsadziło całą garść do paszczy. Błysnął podwójny rząd zębów.

– W takim razie tu jeszcze na pamiątkę. – Jednooki wydobyl z torby małą szklaną piersiówkę czegoś wściekle błękitnego. W półmroku altany ciecz zdawała się lekko świecić. – To legendarna czarnobylska gradusowka. Naparstek przed snem i sikając w nocy, nie potrzeba światła zapalać.

– Oryginalny kolor i ciekawa nazwa – mruknął gospodarz. – Jak powstaje ten szlachetny trunek?

– Gdy wybuchła elektrownia w Czarnobylu, szybko wysiedlono wsie w promieniu trzydziestu kilometrów – zaczął opowiadać wyższy. – Oczywiście ludzie zabrali, co mieli w barkach i w lodówkach, ale nikt nie przejmował się termometrami okiennymi. Penetrujemy strefę i w opuszczonych chatkach znajdujemy te termometry. Potem wystarczy ukruszyć koniuszek i zlać. Przegryziona idealnie, minimum trzydzieści lat dojrzewała na parapecie. Wystawiona na wiatry niosące promieniowanie.

– Myślę, że więcej alkoholu znaleźlibyście w opuszczonych szpitalach.

– Na to wpadli już nasi poprzednicy. Bolnicowka... Do dziś krążą legendy o jej zdumiewających właściwościach – westchnął stalker. –

Niestety, zasoby skończyły się definitywnie. Może w sejfach oligarchów ocalała jeszcze butelka albo dwie.

– A to bezpiecznie można pić? – Bardak końcem palca puknął w zakrętkę.

– Kolorem proszę się nie przejmować, to tylko odrobina atramentu, barwili spirytus, żeby dało się temperaturę na rurce odczytać. Język robi się ciut niebieski i tyle. A potem samo zejdzie. I proszę nie cedzić przez zęby, bo z nich już tak łatwo nie schodzi. – Stalker obdarzył gospodarza błękitnym uśmiechem.

– Ale ja pytałem raczej w kwestii radiacji – uściślił Izydor.

– Gadają, że radioaktywność szkodzi – powiedział drugi stalker. – Niby teoretycznie tak, ale przecież u was na Śląsku są sanatoria w tunelach po nieczynnej kopalni uranu. Ludzie leżą tam sobie i wdychają radon, którego niewielkie ilości unoszą się w powietrzu. U nas już w osiemdziesiątym szóstym społeczeństwo odkryło, że jak się pije dużo czerwonego wina, to całkowicie oczyszcza krew z radiacji. Kolejne lata badań pozwoliły stwierdzić, że to w zasadzie nie musi być ani czerwone, ani nawet wino. Słowem, po serii doświadczeń na ochotnikach i analizie, co się z nimi stało, nasza medycyna ludowa ustaliła, że alkohol niweluje praktycznie całą szkodliwość izotopów, pozostawiając tylko ich dobroczynny wpływ.

– Panowie, pozwólcie, że się zrewanżuję, weźcie na drogę po buteleczce naszej legendarnej bardackiej padlinówki. Jak to mówią Anglicy, dobra szkocka whisky zawsze trochę trąci.

Większy stalker dostał butelkę z rozjechaną jaszczurką i szerszeniem, a mniejszy z myszką wydobytą z pułapki i pszczołką. Do obu wciśnięto też hojną garść ziół nazrywanych na bardackiej miedzy. Obaj obdarowani byli facetami twardymi jak dębowe polana, ale nawet nimi odrobinę wstrząsnęła idea rodowego napitku. Pobledli, jednak szybko wzięli się w garść. Podziękowali za prezent, schowali butelki i zapakowali się do auta.

Izydor został sam. Pociągnął mały łyżeczek stalkerskiego eliksiru. Smak był rzeczywiście bardzo oryginalny, a napój miał uczciwe siedemdziesiąt obrotów.

– Skoro żółty z niebieskim po zmieszaniu dadzą kolor zielony, to ciekawe, jakiej barwy będą moje siekacze – mruknął, zakładając nakrętkę.

A potem łypnął okiem na zawartość słoja. Zapewne pod wpływem stalkerskiego dekoktu gdzieś w głębi trzewi zaczął mu narastać szatański chichot.

– O, Wędrowycz, zapłacisz mi teraz, ścierwo, za wszystko. Absolutnie za wszystko. Z procentami i nawiązką. Za wszystkie lata naszych bardackich krzywd i zniewag! – wymamrotał Izydor i zarechotał tak przerażająco, że nawet korniki żrące stół przerwały pracę.

A potem wyjął komórkę i zaczął obdzwaniać co ważniejszych członków klanu.



Walne zebranie rodu Bardaków odbyć się miało w stodole Izydora. Na zewnątrz zapuszczono silniki traktorów, by uniemożliwić podsłuchanie przebiegu narady. Rozstawiono czaty. Ba, nawet wypuszczono drona, by obserwował okolicę na wypadek pojawienia się Wędrowycza. Płot podpięto do kabla od siły. Spuszczono psy. Obudzono koty. Słowem, zadbano o wszystkie możliwe i niemożliwe środki bezpieczeństwa. Dla starszych członków rodu przyniesiono krzesła, młodszy usadowili się na ławkach i na belach słomy.

– Drodzy krewniacy! – Izydor podniósł serwetę. – Wybiła historyczna chwila krwawej, ale sprawiedliwej odpłaty. Oto niniejszym chciałem zaprezentować nową, tajną broń przeciw naszemu odwiecznemu, znienawidzonemu wrogowi.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Wszyscy zebrani w milczeniu gapili się na słoń.

– Ale co to niby jest? Egzotyczny, jadowity pająk? – jako pierwszy odezwał się kuzyn Izydora Gienek Bardak. – Stracona forsa,

obawiam się. Wędrowycz utłucze go gumofilcem i połknie jako zagrychę, albo i bez popitki nawet.

– Jak chciałeś jadowitego pajaka, to cię, dziadku, w balona zrobili – dodał Franek Bardak. – Te wielkie ptaszniki może i są okazałe, ale nie nazwałbym ich jakoś szczególnie jadowitymi. Chociaż z drugiej strony... – Przyjrzał się uważnie. – Szczerze mówiąc, to nie wygląda jak zwykły ptasznik czy tarantula. Jest jakiś taki smuklejszy.

– Najbardziej to mi przypomina krzyżaka ogrodowego, tylko rozmiar się nie zgadza – burknął Maciej Bardak.

Teraz wszyscy zaczęli przyglądać się pajakowi. Marszczyli czoła, skrobali się po głowach. A Izydor, patrząc na ich skonsternowane miny, uśmiechał się tylko szyderczo.

– Eeee? – któryś wyraził powszechne wątpliwości. – Powiedz wreszcie, o co chodzi z tym robalem.

Dziadek milczał jeszcze przez dobre pół minuty, sycąc się miłą świadomością, że jako jedyny zna wszystkie szczegóły szczwanego planu. Było to szalenie miłe uczucie. Czuł się jak siwowłósy mędrzec otoczony zgrają ignorantów. Albo może jak stary mistrz kung-fu górujący nad stadkiem przyszłych adeptów szlachetnej sztuki walki. Przemógł się naprawdę tytanicznym wysiłkiem woli.

– Tak zasadniczo to jest krzyżak ogrodowy – powiedział wreszcie. – Ale nie taki zwyczajny, tylko prościutko z Czarnobyła. Ten konkretny egzemplarz został złapany w słynnym Czerwonym Lesie. No wiecie, tam gdzie po awarii opadły z nieba drobinki metalu ze stopionego reaktora. Znaczy się z prętów uranowych i innych takich, co są w środku rdzenia.

– Znaczy się od izotopów taki byczy urósł? – upewnił się Franek.

– Nie inaczej. Wielki, jadowity, a przy tym radioaktywny jak sam diabeł – rąbał słowo po słowie zadowolony nestor rodu. – A teraz do rzeczy: pamiętacie film „Spajdermen”?

– No, było coś takiego – mruknął Maciej. – Kilka miesięcy temu, co nie? W kinie w Chełmie nasze dzieciaki oglądały.

– I komiksy Amerykańce o tym rysują – dodał Franek. – I wpadłeś, dziadku, na pomysł, że to radioaktywne, zmutowane bydlę ukąsi

któregoś z nas, a ten zmieni się w spajdermena i da wycisk Wędrowyczowi? Tylko... hmm... myślę, że wśród naszych dzieciaków będzie kilku ochotników. Ale, szczerze powiedziawszy...

– Mogę uszyć kostium taki jak w filmie – zaoferowała się Karyna Bardak. – Z kolorowej lycry będzie chyba dobry?

– Nie trza szyć, gotowe stroje u Chińczyków można zamówić – odezwał się Seba Bardak. – Ja przez internet swojemu na zabawę przedszkolną kupiłem. Tylko poczekać musiałem coś ze dwa miesiące, zanim paczka przyszła, bo droga z Chin daleka.

– Przedszkolak, nawet zmutowany przez pajaka, nie załatwi Wędrowycza. Trzeba wyznaczyć kogoś starszego. To twój kostium ciut mały będzie – rzucił ktoś z tylnego rzędu.

– Zamówimy nowy, nie są drogie, a Chińczycy mają w ofercie pełną rozmiarówkę. Jak teraz zamówimy, to najdalej w sierpniu będziemy gotowi do akcji.

Izydor uciszył zebranych gestem.

– Zasadniczo mój plan zakłada użycie pajaka, ale z drobną modyfikacją. Takie ugryzienie to jednak ciut ryzykowne jest, bo nie wiadomo, czy na człowieka to zadziała jak w filmie. No a sami rozumiecie, nie po to budowałem potęgę demograficzną klanu, żeby teraz ryzykować jej uszczuplenie.

– Coś z racji w tym jest – przyznał Franek.

– Dlatego proponuję użyć Azora. Zmutowany w pajaka rottweiler, siedemdziesiąt kilogramów żywego mięcha, bez grama tłuszczu. To będzie konkretny przeciwnik.

– O nie! Tylko nie Azora! – wrzasnęła kuzynka Marta. – To ulubieniec całej rodziny. Jak coś mu się stanie, co powiemy dzieciom?

Przy stole zapadło niezręczne milczenie.

– Hmm... no tak – mruknął wreszcie nestor rodu. – Dobra. Skoro nie psa, to może jednak któryś z was zgłosi się na ochotnika? Na przykład taki, który już zrobił swoje, naprodukował dzieciaków dla dobra rodu – zakpił. – A może uważacie, że to ja powinienem zostać spajdermenem? Wnuki pewnie dumne by były z takiego dziadka

superbohatera. Tylko wiek już chyba nie ten i kondycja za słaba, żeby na ten przykład śmigać po dachach wysokościowców. Zresztą w gminie i tak nie mamy odpowiednich budynków – zreflektował się.

Milczenie stało się głębsze o dobry metr.

– A może zaszprycujemy tym pajakiem Zygryda? – podsunął nieoczekiwanie Paweł.

– Tego starego byka!? – zdumiał się Izidor.

– Bykopajak, prawie tona masy... – zamyślił się Franek. – Brzmi bardzo konkretnie.

– W sumie ma swoje lata, jako reproduktor słabo się ostatnio sprawdzał. Impotencja starego łobuza łapała. Z drugiej strony tyle lat służył wiernie naszej rodzinie, głupio mi go było odstawić do rzeźni – zadumał się Izidor. – Ale bykopajak... Hmm... Tona masy? No sam nie wiem. To chyba jednak odrobinę ryzykowne. Jak coś źle pójdzie, to się nie pozbieramy.

– Głupi nie jest – podsunął Franek. – Myślę, że załapie, kogo zlikwidować... A kogo nie!

– Wolałbym najpierw wypróbować jad na jakimś mniejszym organizmie. Bo Zygryd, jak pójdzie w tany, rozniesie całą wiochę – podsunął Seba.

– Nie jakąś wiochę, tylko Stary Majdan – sprostował Paweł Bardak. – Nikt z naszego klanu już tam nie mieszka. Przyjaciół tam też nie mamy. A miejscowi? Żałować ich nie będziemy. Powiem więcej, diabła tam, niech rozpierniczy im zabudowania. To będzie dla nich surowa nauczka! Za nadmiar sąsiedzkiej tolerancji dla tego wrednego grzyba Wędrowycza!

– Chaty, obejście, to wiadomo, ale przypadkowi ludzie poginą – zauważył któryś z wrażliwszych członków klanu.

– Wielkie mecyje! Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Gorzej, jak byk nie załapie, co ma zrobić, i, nie daj Boże, zawróci. Albo dojdzie do wniosku, że jednak ma porachunki do wyjaśnienia z nami. Co wtedy? Żeby kropnąć coś takiego, trzeba pewnie rusznicy

przeciwpancernej. A nie mamy! Ostatni pancerfaust został zmarnowany dekadę temu, pamiętacie tamten nieudany zamach...

Zapadło milczenie.

– A gdyby tak zaszprycować coś mniejszego? – rzucił Franek. – Na ten przykład knurka? Wieprzopająk też chyba będzie w porządku?

– Królików mamy sporo, gdyby kilka poszczepić... Stado krwiożerczych puchatych... – burknął Seba. – Jak w tym filmie o rycerzach od Monty Pythona. Wędrowycz takiego zagrożenia się nie spodziewa.

– Króliki są na futerka dla naszych dzieci. Chyba że by maluchy na zimę ubrać w polary. To nawet ekologicznie będzie – rozważała Marta.

– No jak niby sztuczne tworzywo pozyskane przez Chińczyków z butelek ma być bardziej ekologiczne od naturalnej skóry? – zirytował się kuzyn Witek. – No i nie zapominajcie o pasztecie! Ja nie wiem, czy z królikopająków da się przyrządzić jadalne dania! Co do idei świniopajaka, też raczej jestem sceptyczny. To ludzie jedzą świnie, a nie świnie ludzi.

– Tylko czy aby na pewno powinniśmy zaliczać tego gada Wędrowicza do naszego gatunku? – Karyna zmarszczyła brwi.

– Drogą bezproduktywnych narad jak zwykle do niczego nie dojdziemy – burknął Izydor, waląc łapą w stół. – Kończymy zebranie. Decyzję co do wykorzystania czarnobylskiego pajaka podejmie jak zwykle starszyzna rodu, a wy zostaniecie o niej demokratycznie poinformowani.



Roczny byczek o imieniu Teodor stał w kojcu zespawanym z metalowych rur wodociągowych. Nie był szczególnie duży, niedawno wyrósł z wieku cielęcego, powoli dobijał do stu dwudziestu kilogramów. Naprzeciw kojca wisiał duży wydruk ze zdjęcia Wędrowcza. Obok umieszczono równie okazały portret

Semena. Wydruki oprawiono w krwistoczerwone ramy, ozdobione dodatkowo czerwonymi wstążeczkami. Przy najsłabszym powiewie poruszały się, drażniąc zwierzę.

– Byki nienawidzą koloru czerwonego. Widziałem na filmie o torreadorach. Będzie się na to gapił i wkurzał. I tak mu się we łbie zakoduje, kto jest jego wrogiem. Jak go spuścimy, to na widok tych mord wpadnie w szal i rozniesie ich na rogach – wyjaśnił Maciej.

– Brawo, moja szkoła – pochwalił Izydor. – Jak się czuje po tym ugryzieniu? To już trzeci dzień. Wygląda na osowiałego.

– Osowiały jest, bo nie ma towarzystwa. Wczoraj wysłaliśmy do rzeźni osiem cielaków, co tu obok stały, i cztery jałówki. Samotność widać poczuł, nie ma z kim pogadać. A po ukąszeniu trochę mu kark spuchł. Przez kilka godzin czuł się chyba nieswojo, ale wczoraj mu przeszło i odzyskał wigor. Żre paszę już normalnie, wodę pije z poidła.

– Nie zaobserwowaliście, żeby zmutanciał, zaczął gadać po ludzku czy coś takiego? – zapytał Franek.

– Jak na razie nie.

– Telekineza, telepatia, lewitacja, przenikanie przez mury, a może bieganie po ścianach? – drążył Izydor.

– Też nie. Stoi spokojnie i przeżuwa, jak to wcześniej robił. Placki też stawia jak normalna krowa. A właśnie, ciotka Karyna pytała, czy trzeba kostium spajdermena mu uszyć, bo ma zapas czerwonej lycry i jeszcze ścinki w różnych innych kolorach.

– Byk w ubraniu!? – zirytował się szef klanu. – Czy ona zgłupiała? Chociaż z drugiej strony... hmm... – Poskrobał się po ciemieniu. – Na wszelki wypadek niech uszyje, a potem się zobaczy. Dobra, wypuśćmy łobuza na pastwisko, niech sobie świeżego trochę podje.

Maciej przesunął potężny skobel.

– Nu! – poleciał, odpinając łańcuch.

– Muuu... – zabuczał byczek.

Łypnął na puste kojce po cielakach wywiezionych do rzeźni, spojrzał na ludzi spode łba i leniwie przestąpił próg. Znów zamuczał

ni w pięć, ni w dziewięć, potem ruszył do bramy prowadzącej na pastwisko.

– Idzie, idzie! – Maciej postraszył go miotłą. – Wio, bydlę. Koniczyny podeżresz, zaraz ci się humor poprawi.

– Zaraz, zaraz, co jest grane? – burknął Izydor, podchodząc do zwierzaka. – Stój, głupi.

Teodor posłusznie się zatrzymał.

– Ten byczek nam jakoś zjałowiać – bąknął Franek.

Nestor rodu długo i w zadumie oglądał zwierzę od spodu. To, co normalnie miewają byki, nadal tam dyndało. Ale obok wyrosło jakby wymię, tyle że opatrzone aż ośmioma strzykami.

– Płeć zmienia? – zdziwił się Maciej. – Hmm... A gdyby tak ściągnąć telewizję, niech zrobią o tym reportaż! – ożywił się. – Transpłciowy byczek to będzie sensacja. Myślę, że wyrwiemy na ten oborowy gender sutą dotację.

– Ani mi się waż kogokolwiek ściągać! – syknął Izydor. – Dotacja od tęczowych, nie powiem, dobra rzecz, ale za eksperymenty na zwierzętach, nawet z postępowymi wynikami, to nas zieloni tak dojadą, że ruski miesiąc popamiętamy. Diabli nadali z tym czarnobylskim pajakiem. – Westchnął ciężko. – W filmach tego nie było. Widać amerykańskie zmutowane, radioaktywne robactwo ma lepsze jady. Albo może na krowy to działa inaczej niż na ludzi? Ewentualnie co innego wymyśli amerykańskich reżyserów, a co innego realia życia na polskiej wsi. Tyle dobrze, że miałem nosa, żeby najpierw na zwierzętach sprawdzić. I to nie na tych dużych. – Spojrzał zezem na starego byka Zygryda, który ponuro przeżuwał paszę. – Bo dopiero byśmy mieli niezły bigos. Franek, masz jakichś kumpli studentów na Ukrainie? Takich, co by można ich podpytać o to i owo przez ten cały internet?

– Mam. Przecież to ja sprowadziłem tych stalkerów. – Wnuk prawie się obraził.

– To poproś, żeby poryli na ichnich listach dyskusyjnych, może ktoś już zetknął się z podobnym problemem.

– Pogrzebać oczywiście mogę. Ale myślę, że to, co widzimy, jest normalne – odezwał się wnuk. – I że nie zachodzi zjawisko zmiany płci. To, co widzimy, to wprawdzie są wymiona, ale nie takie zwyczajne. Skoro to ma być byczkopająk, to musiały mu wyrosnąć gruczoły do produkcji pajęczej sieci. Wiecie, jak to pająk robi? Wypuszcza taką wydzielinę, urabia ją łapkami, a ona w powietrzu tężeje w długie, cieniotkie niteczki. W tym przypadku może to będzie krowie mleko z dodatkiem jakiegoś polimeru albo silikonu.

– Wiesz, młody, coś z racji w tym jest. – Nestor rodu poskrobał się po głowie. – Myślisz znaczy się, że doświadczenie rozwija się w dobrym kierunku?

– No, na sto procent nie mogę potwierdzić, ale chyba możemy założyć, że tak! Jak się płyn sieciujący zacznie wydzielać, można wysłać próbkę do laboratorium.

– Ani mi się waż! Im mniej ludzi wie o naszych doświadczeniach, tym lepiej. Jak mówi rosyjskie przysłowie, tisz jeiesz, dalsze staniesz... Nu, wio. – Izydor klepnął byka dłonią po zadzie.

Teodor posłusznie wyczłapał na zewnątrz. Zygfryd spojrział na nich ze swojego kojca i ponuro potrząsnął łańcuchem.

– No, staruszk, sam widzisz, że twój następca dostał inne zadanie i nie będzie u nas reproduktorem. – Izydor poczochnął byka po łbie. – Więc szykuj się, dwie krowki latują, za kwadransik bierzesz się do roboty. Sam widzisz, jak się tu pusto zrobiło.

Byk spojrział na niego jakby przestraszony i zamuczał żałości.

– Co on, zgłupiał? Do krowy nie chce!? Seks to przecież sama przyjemność i dla człowieka, i dla bydła – zirytował się Franek.

– Młody jesteś i głupi. Widzisz... Zygfryd, jak ostatnio poszedł do krowy, trochę się skompromitował. No i chyba ma teraz traumę. Starość nie radość, jak mówią. Ale na wszystko są sposoby i nie trza do tego weteryniarza, a tylko trochę zdrowego chłopskiego pomysłu. Na, żryj. – Izydor podsunął pod mordę byka dłoń, na której połyskiwało błękitem pięć tabletek podrabianej ukraińskiej viagry. – To ci doda wigoru i jeszcze będziemy mieli z ciebie pociechę. Chodźcie, obejrzymy Teodora w świetle dziennym.

Młody byczek skubał trawę. Obserwowali go we trzech przez dobry kwadrans.

– Na nogach ma jakieś takie grubsze włosy – zauważył Franek. – Myślicie, że to podobne do tych na nogach pająka?

– Ni cholery. – Maciej pokręcił głową. – Wprawdzie ja nie z takich, co by dużo razy w życiu w mikroskop patrzyli, ale na filmie o tarantulach widziałem... Ale faktycznie przed ugryzieniem tego nie miał. Znaczą się jakieś procesy biologiczne już w nim buzują.

– No i chyba tyle na razie – mruknął Izydor. – Coś już się dzieje, ale niewiele widać chwilowo. Napatrzyliśmy się, trza wracać do obrządku.

– Jedno mnie martwi – burknął Maciej. – Na razie żre trawę i paszę. Co będzie, jak przestanie?

– Co masz na myśli, wuju? – zdziwił się Franek.

– Pająki drapieżne są. Nie jedzą trawy, tylko owady. Muchy i tak dalej. Plotą sieci, żeby łapać żywe ofiary, wstrzykują jad, wysysają. Boję się, co będzie, jak nasz Teodor stanie się pająkiem. Bo może też zechce zmienić dietę?

– Martwisz się o inne krowy? – Izydor wzruszył ramionami. – Moim zdaniem niepotrzebnie. Jak się spajęczy, to przecież w głębi serca nadal pozostanie trochę byczkiem. Swojaków nie ruszy.

– No i to mnie właśnie martwi. Jakby żarł krowy czy świnię, to pół biedy. A co, jeśli zacznie łapać w sieci i pożerać ludzi? Sto dwadzieścia kilogramów wagi. To jak pantera, czy może nawet taki mniejszy tygrys. Będzie musiał czymś cielsko napędzać.

– No co za idiota – westchnął Izydor. – Przecież o to właśnie chodzi, żeby dopadł i zeżarł Wędrowycza. A wtedy my go kropniemy i wszyscy będą nas uważali za zbawców gminy, a może i całej ludzkości... A właśnie, co z pająkiem?

– Zdechł po ugryzieniu. Ale nie zmarnuje się. Zalałem go bimbrem. To będzie limitowana edycja specjalna naszego rodzowego napitku.

– Brawo, moja szkoła.



Kolejne dni nie przyniosły większych zmian. Cielak chodził na łąkę i żarł trawę. Na nogach ponad kopytami wyrosły mu ni to pazury, ni to haki, ale na tym przemiana się zatrzymała. Klan już sądził, że cały misterny plan spalił na panewce, aż wybiła godzina... A konkretnie: wpół do trzeciej nad ranem w nocy z czwartku na piątek.

Izydor śnił właśnie, że został wójtem, idzie przez Wojsławice, a na każdym kroku spotyka kolejnych członków rodu. Starych i młodych. Wysokich i niskich. Grubych i chudych. Co chwila mijał też kobiety w zaawansowanej ciąży prowadzące za rękę dzieci lub ciężarne pchające wózki z niemowlętami. Co więcej, nie spotykał żadnych mieszkańców, którzy nie byliby Bardakami.

– Wujek, wstawaj, sprawa jest! – Obudziło go potrząsanie.

Uchylił powieki.

– Czego? – burknął.

– Wuju – potrząsającym okazał się jego bratanek Adam Bardak – jest problem.

– Jaki znowu problem? – zirytował się Izydor. – Finansowy czy demograficzny?

– A chrzanić tę twoją zasraną demografię! – zdenerwował się krewniak. – Teodor, ten mały byczek, cośmy go naszprywali radioaktywnym pajakiem, spierniczył z zagrody.

– Co!?! – ryknął nestor rodu, aż szybki w oknie zadrżały. – Jak niby spierniczył!? Przecież był w kojcu z metalowych rur, przypięty na łańcuchu!

– Łańcuch urwał, a z kojca wylazł górą. Znaczy się chyba po ścianie i po suficie. Jak pajak. Belki podrapane, chyba używał haków, to znaczy tych pazurów, co mu na łapach wyrosły.

– Jak pajak!? Hmm... Spierniczył, powiadasz? – Izydor poskrobał się po łysinie. – Teraz trzeba się zastanowić, czy to na pewno źle. Narobił jakichś szkód?

– Dziurę wyrwał w dachu, połamiał gałęzie na jabłonkach i płot przewrócił. I zboże na polu stratowane.

– Dach pal diabli, to eternit, i tak do wymiany, już nawet dotację na to wzięliśmy. W którym kierunku prowadzą ślady?

– Z grubsza na południowy zachód.

– To może oznaczać, że tresura zadziałała i pognął na Stary Majdan dopaść Wędrowczyca... Spokojnie, nie ucieknie. Ma obrożę z GPS-em. Obudź kilku kuzynów, weźcie noktowizor, latarki, rowery i ruszajcie tym tropem. Jak rozdeptał albo wyssał Wędrowczyca, utnijcie Jakubowi głowę i przywieźcie w worku, wygotujemy czachę i będzie lampka nocna. No chyba że czacha też roztrzaskana, to wtedy zobaczcie, czy da się posklejać. A jak nie, to nie bierzcie.

– Tak po nocy gnać? Że niby przez łąki, a potem jeszcze koło żydowskiego cmentarza... – skrzywił się krewniak. – Tam straszy.

– Jak cię zaraz przeciągnę harapem po dupie...

– A spajdercielak? Jeśli załatwił Wędrowczyca... To może i nas zechce!

– Taaa... Faktycznie. Weźcie coś do obrony, łańcuchy krowiaki, siekiery i orczyki. I, niech stracę, dam wam moją dubeltówkę. Walcie nabojami na dzika. I ruchy, smarkacze!

– Dobra, dobra... Już idziemy.



Jakub ocknął się z drzemki. Uchylił powieki i zobaczył atramentową ciemność.

Denaturatu nie zwykłem pijać, więc nie ośleplem, pomyślał. Nic nie widzę, bo ciemno jest. Czyli jeszcze noc... I co gorsza, coś wlaźło w szkodę, wywnioskował, słysząc, jak w sadku trzeszczą gałęzie jabłonek. Duże coś, ocenił na słuch. Dinozaur zapewne. Albo mamut. A nie, one wymarły. To chyba żyrafa będzie, albo coś jeszcze gorszego.

Przewrócił się na drugi bok. Na zewnątrz coś jakby zamuczało, trzasnęła gałąź, odgłos chrupania jabłek stał się donośniejszy. Egzorcysta okropnie nie miał ochoty wstawać, ale niepokój o zasoby surowca na owocowy zacier pomógł mu się zmobilizować. Odrzucił derkę, dźwignął się z siennika. Odnalazł – na węch – gumofilce i wzuł je na bose stopy. Doczłapał do progu, uzbroił się w polano i otworzył drzwi. Noc była bezksiężycowa, w ciemności przedświt faktycznie tłukło się coś dużego. Ale nie była to żyrafa, tylko bardziej zwarty kształt, przyczajony w koronie drzewa.

– Pterodaktyl może? – zadumał się egzorcysta, próbując przebić wzrokiem ciemności. – Kogo żarły dinozaury? Gruszki żarły, aż wymarły – zrymował.

Ujął polano i cisnął nim, kierując się w zasadzie bardziej na słuch. Trafił. Z sadu dobiegło głucho i pełne złości muczenie.

Że niby krowa na jabłonce!? One nie chodzą przecież po drzewach, zdumiał się w duchu. Nie, niemożliwe, krowa za dużo waży, połamałaby drzewka... Ciele raczej. Głos silny, więc byczek. Chyba że to jakieś egzotyczne bydlę. Muczająca mała czy coś... Z zoo w Zamościu z pewnikiem spierniczyło. Albo z hodowli komuś.

Namacał spracowaną dłońią kolejne polano, ale na wszelki wypadek postanowił zacząć dyplomatycznie.

– Te! – wrzasnął. – Paskuda! Wypad z mojego sadu! U sołtysa połasuj, ma lepsze odmiany. Szczepione! I gruszki jeszcze. A nawet i arbuzy pod folią trzyma!

Niestety, w odpowiedzi z sadu dobiegło tylko obelżywe chrupanie. Wędrowycz miotnął polanem, ale tym razem chybił. Zabrzęczał trafiony wrak siewnika. Zatrzeszczały gałęzie.

No nic, pomyślał Jakub. Jeśli wszystko zeżre, to zrobię zacierek z owoców Bardaków. Tak będzie sprawiedliwie! Bo jak znam życie, to, co mi wlażło w szkodę, to oni napuścili... Z drugiej strony krowa czy mała, jeden czort, bo i to mięso, i tamto mięso. A mały to, jak mi się wydaje, chyba nawet nie są u nas pod ochroną.

Cofnął się do chaty i zaczął macać za piecem. Były tam różności. Drewniana noga przedwojennego lekarza, kilka pustych butelek,

połówka siodła, silnik do motocykla. Ku swojemu niejakiemu zaskoczeniu wygrzebał też kotwicę, wiosło i koło ratunkowe.

– Za dużo rumu – stwierdził.

Wreszcie namacał i wyciągnął obrzyna. Zeszło mu kolejne kilka minut na poszukiwaniu amunicji i ładowaniu broni. Gdy znów wyszedł przed dom, niebo na wschodzie było już nieco jaśniejsze, widoczność też się poprawiła. Ale zagadkowego stwora na jabłonce już nie było.

– Małpy jeszcze nie spożywałem. Ale skoro nie chce zostać zastrzelona i zjedzona, to nie. Bez łachy, tylko po co mi dupę zawracała? – warknął zirytowany.

Splunął z pogardą za próg. Przez chwilę walczył z pokusą wygarnięcia z obu luf w powietrze. Sąsiadom chyba dobrze by zrobiła taka pobudka... Nabraliby respektu. Ale żał mu się zrobiło amunicji. Wrócił do chałupy i fukając z irytacji, zagrzebał się w jeszcze ciepłym barłogu.

Swoją drogą, coś do oświetlenia by się jednak przydało, rozmyślał, zasypiając. Tak na awaryjne sytuacje albo gdy w nocy szczać się zachce. Nie żeby zaraz elektrykę ciągnąć, ale raketnicę tobym kupił. Albo miotacz ognia... Niby tyle lat się obywałem, ale stary już jestem, czy nie te. A rano się sprawdzi, co też łasowało w moim sadzie.



– Myślę, że to był pająk – powiedział Semen.

– Weź nie piernicz! – zirytował się Jakub. – Pająk łamiący tak grube gałęzie? Musiałby ważyć ze sto kilogramów. Mmm... z drugiej strony... Cholera, to by nawet pasowało.

Pomiędzy drzewkami wisiały pasma czegoś w rodzaju przędzy. Substancja przypominała włókno nylonowe i trochę lepiała się do palców.

– Duży pająk, ze sto, może sto dwadzieścia kilogramów. – Egzorcysta poskrobał się po głowie. – Tylko czemu muczał? I czemu

roślinożerny!? Bardaki... ani chwili spokoju z łajdakami... Chociaż z drugiej strony, gdyby nie oni i nie ich głupie pomysły, zanudziłbym się na tej emeryturze. Ale powiedzmy sobie uczciwie. Co innego rozrywka od czasu do czasu, a co innego nieustanne sprzątanie po ich durnych eksperymentach.

– Czy ty trochę nie przesadzasz? – zirytował się Semen. – Cokolwiek się dzieje, zawsze uważasz, że to oni są winni.

– No bo są! Używam elementarnej logiki.

– Że niby winny jest ten, kto odnosi korzyść? – zmarszczył czoło kozak.

– Nie. Po prostu, jak widzę w trawie ślady cielących racic, a obok zgubioną obrożę z zaczepionym GPS-em i nadrukiem ich gospodarstwa hodowlanego, od razu wiem, skąd ta chudoba, co wlażała w szkodę. Ewentualnie ktoś to podrzucił, żeby ich wrobić. Ale akceptuję nawet taki scenariusz. Każdy powód jest dobry, żeby bydlakom wklepać.

– Aaaa... chyba że tak. Wspomniałeś, że muczało?

– Taa. Myślałem najpierw, że żyrafa, potem, że może jakaś odmiana małpy, ale tu, gdzie skopane, widzę kolejne świeże odciski identycznej cielęcej racicy.

– Hmm... – zadumał się kozak. – Żyrafy to chyba są parzystokopytne. Szczerze mówiąc, nie przyglądałem się, jakie mają racice.

– Żyrafa jest wielgachna, ze cztery metry wysokości albo i lepiej. Nawet jeśli ma racice jak krowa, to muszą być odpowiednio większego rozmiaru, żeby utrzymać tak duże zwierzę. No i żyrafy nie muczą. Nieczęsto je widywałem, tyle co w zoo z prawnikiem, ale taki detal bym raczej zapamiętał.

– Masz sto dwadzieścia procent racji. Czyli odwiedziła cię nocą młoda jałówka, byczek albo spore cielę, łązące po drzewach i zostawiające pajęczę sieci... Zaczynamy do czegoś dochodzić. – Semen w zadumie podkręcił węża.

– Najbliższym rezerwatem dla mutasów jest zona wokoło Czarnobyła. A tak się składa, że widziałem w zeszłym tygodniu

w gminie terenową ładę na ukraińskich blachach. Ergo: albo stalkerzy przywieźli Bardakom jakieś bydłę, albo, co bardziej prawdopodobne, dostarczyli izotopy, którymi ten grzyb Izydor zmutancił coś ze swojej chudoby. Na ten przykład niewinne cielątko – wydedukował egzorcysta. – Jak mówi staropolskie przysłowie, chłop żywemu nie przepuści. Wiem coś o tym, bo też jestem ze wsi.

– Sherlock Holmes mógłby za tobą teczkę nosić – zachwycił się jego przyjaciel.

– Kto? Aaaa... tamten palant. Pamiętam. Po co nam on, jak ja teczki nie mam? W każdym razie kombinuję tak. Nażarło się na mojej krwawicy, mówi się trudno. Teraz trzeba to coś złapać, uwięzić, przegłodzić kilka dni i wypuścić do bardackiego sadu, tego, gdzie uprawiają te lepsze jabłka, co potem w skrzynkach jadą do Szwecji, Anglii czy innej Belgii. Dziadek, choć kanalia, zawsze mnie uczył: gwałt niech się jeszcze gorszym gwałtem na Bardaku odciska!

Semen pokiwał głową i dobry kwadrans badał różne ślady. Oglądał wyplute ogonki jabłek, zbadał konsystencję krowich placków, przypatrzył się poprzegryzanym i połamanym gałązkom. Wreszcie zdjął papachę i zeszkrobał nieco łupieżu z potylicy.

– Myślę, że twoje owoce mu zasmakowały. Daleko nie odeszło i pewnie zechce tu wrócić. A nawet jak postanowi spróbować innych, to u sąsiadów pełno drzewek posadzone, więc tym bardziej daleko nie odejdzie.

– Łasowało nocą... Czy to oznacza, że pędzi nocny tryb życia? – rozważał gospodarz. – Bo jeśli tak, to nażarło się i śpi w jakimś zakamarku.

Zajrzał kontrolnie do skrzyni siewnika, ale ujrzał tylko śmieci, zardzewiałą lufę pepeszy oraz opuszczone gniazdo szczurów.

– No właśnie, gdzie to coś mogło się ukryć? – zafrasował się kozak. – Ta suka twoich sąsiadów, co to ją czasem dokarmiasz, umie tropić?

– Chyba każdy pies to potrafi. Mam ją przywlec?

– Ty chyba nie lubisz psów.

– W zasadzie to bardzo lubię – wyznał Wędrowycz. – Tylko jest z nimi nieco kłopotu. Gryzą i szczekają jak głupie.

– Zwłaszcza gdy się je pakuje do garnka? – zakpił przyjaciel.

– Od lat nie jadam psów! – obraził się Jakub. – Ja je nawet trochę kocham i szanuję, byle na odległość. Dawniej, w ciężkich okupacyjnych, a potem kartkowych czasach, przyznaję, bywało różnie. Zdarzyło się czasami spożyć jednego czy drugiego. Ale to głównie profilaktycznie, bo jak wiesz, sadło z czarnego psa leczy gruźlicę. Było po wojnie tyle przypadków chorób płucnych i wenerycznych, więc profilaktycznie stosowałem na jedno i na drugie.

– Na weneryczne też!? Smarowałeś ptaka smalcem z psa!? – Semen zrobił się zielony i wyglądało na to, że zaraz puści pawia.

– Jedno i drugie płuco miałem na myśli! Ale za to teraz z czystej, bezinteresownej serdeczności dokarmiam wiejskie Ciapki, Burki i Azorki. Z wdzięczności za te smutne okresy, gdy to one wykarmiły mnie i mojego syna. I przyjaciół, którzy przymierali głodem, też częstowałem. – Jakub łypnął i z zadowoleniem obserwował, jak twarz kozaka kolejny już raz staje się jakby zielonkawa. – Żartowałem – zełgał. – Co z tą suką?

Semen odetchnął ciężko i z wyraźną ulgą.

– Nie masz jej przywlec na łańcuchu, tylko łagodnymi słowami przywabić i skłonić, żeby nam pomogła. Możesz ją przy tym przekupić kielbasą.

– Dobra, dobra. Raz czy dwa miałem własnego psa, coś tam jeszcze pamiętam. Na ten przykład żeby nie bić smyczą, a tylko uderzać lekko gazetą, bo pies nie lubi dźwięku i od razu wie, że źle zrobił. I coś tam jeszcze było.

Jakub wrócił po kwadransie. Prowadził na sznurku od snopowiązałki dużą brązową psinę. Suka obwąchała ślady racic i wystawiła zwierzynę.

– No trop, trop – zachęcił ją kozak.

Pies okręcił się wokół siebie bezradnie.

– Krowa lazała po drzewach, na ziemię zeskakiwała tylko w miejscach, gdzie jabłonki rosną zbyt daleko od siebie – zawyrokował Jakub. – Podsadź ją na konar, tam złapie trop!

Kozak dźwignął zwierzę i przyłożył mu nos do gałęzi, ale poślizgnął się na krowim placku i rymsnął jak długi na plecy.

– Hau! – psina szczeknęła przyjaźnie i dla docucenia polizała go po twarzy.

A potem spojrzała na szopę i ponownie wystawiła zwierzynę.

– Złapała trop – zameldował Semen. – Bestia pewnikiem siedzi tam, na stryszku. – Wskazał gestem uchylone drzwiczki.

– Spuść psa, niech ucieka – polecił jego przyjaciel. – Jeśli zginiemy w starciu z krowołakiem, to chociaż niewinna psina ocaleje.

– Co ty, głupi? Cielęta nie jedzą psów. Ale uzbroić się trochę nie zawadzi.

Gdy po kwadransie zajrzeli na strych, byli wyposażeni jak trzeba. Semen krzepko dzierżył widły, a Jakub siekierę. Na wypadek gdyby zadyma wymknęła się spod kontroli, kozak zapakował do kieszeni dwa granaty, a jego towarzysz przerzucił przez ramię sznur od pepeszy. Zabrali też wiaderko marchewek, na wypadek gdyby ze stworem dało się jednak pogadać po dobroci. Strych wyglądał jak zwykle, był brudny, ponury i zaśmiecony rozmaitymi Jakubowymi „przydasiami”. Jedynym elementem odbiegającym od normy była podłużna bryła jakby włóczki nylonowej wisząca między krokwiami. Starcy kontemplowali ją dłuższą chwilę.

– Powiedz mi – mruknął Jakub. – Przędza przypomina tę, która na drzewkach wisiała. Czy to nie wygląda czasem jak kokon jedwabnika?

– No trochę tak, tylko rozmiar za duży o jakieś sto razy. Kokony jedwabników są niewielkie.

Egzorcysta w zadumie obejrzał ślady racic odbite w kurzu.

– Czyli jakieś zmutanciale bydlę pobuszowało w sadzie, nażarło się, zostawiło ślady nóg jak cielak, rozciągnęło nici jak pajak, a teraz uplotło sobie kokon w mojej szopie i korzystając z substancji odżywczych zawartych w moich jabłkach, zmienia się w jeszcze gorszego potwora? – postawił hipotezę.



– Na to wygląda – przyznał kozak. – Likwidujemy od razu czy czekamy, aż się przepoczwarzy?

– Z jednej strony niegłupio byłoby zlikwidować. Rach-ciach i święty spokój. Z drugiej atakować bezbronno, pogrążonego we śnie przeciwnika to jednak niehonorowo. Jak z tatkiem kłusowaliśmy wilki, to kilka razy trafiliśmy na śpiące. Mieliśmy swoje zasady! Zanim oberwały widłami, zawsze najpierw ciągnąłem za ogon, żeby się obudziły.

– Te skrupuły przynoszą waszej rodzinie wieczną chlubę. – Wzruszony kozak otarł łzę.

– W każdym razie, zgodnie z tradycją myśliwską rodu, ja tam do dziś jestem za tym, żeby zwierzynie dać zawsze jakąś minimalną szansę ucieczki lub zaciukania myśliwego. Oczywiście nie dotyczy to szwabów i komuchów. No i, rzecz jasna, ciekawe będzie zobaczyć, co też się z tego wykluje. Kto wie, może będzie też smaczne? Cielecina to, wiadomo, cymes, pajaków jeszcze wprowadzie nie spożywałem, ale podobno Indianie jedzą.

– Nie wiemy, co z tego wylezie ani jaką bydlę będzie miało odporność – zamyślił się Semen. – Niby powiadają: jest ryzyko, jest zabawa, ale ta zasada niekoniecznie sprawdza się w prawdziwym życiu. Pomyślmy chwilę. Krowy zasadniczo są trawożerne, ale w świecie owadów bywa i tak, że larwa jest drapieżnikiem, a przepoczwarzona postać dorosła już nie. Ale czy to może pójść w drugą stronę?

– Krwiożercze paskudztwo, zapewne ze skrzydłami – uzupełnił Jakub. – Jak ze skrzydłami, to latające. Być może opancerzone chityną i uzbrojone w żądło z jadem. Faktycznie może być gorąco. Ale damy radę.

– Umiesz ocenić, ile miesięcy miał ten cielak i ile może ważyć? – zagadnął kozak.

– Spróbuję.

Wrócili do sadu. Jakub popatrzył na połamane konary, potem dłuższą chwilę kontemplował ślady. Badał ich rozmiar, później

kontrolnie odbił obok swojego gumofilca. Porównał głębokość odcisków. Następnie, marszcząc czoło, dokonał obliczeń.

– Około stu, może stu dwudziestu kilogramów żywca – ocenił. – Raczej nie mniej i nie więcej.

– To jesteśmy uratowani – odetchnął z ulgą kozak.

– Jeszcze się nie wykluło, a ty już sądzisz, że jesteśmy uratowani? – Wędrowycz wytrzeszczył oczy.

– Jest za ciężki. Zwierzaki, które latają, muszą być w miarę lekkie i mieć sporą powierzchnię skrzydeł. Nietoperze bywają wielkości kota, ale nie urosną większe, bo ich błony lotne stałyby się zbyt ciężkie.

– Ale są ptaszydła znacznie większe od nietoperzy. Orły, łabędzie, kondory nawet.

– Owszem, ale pióra ważą niewiele, a są twarde i mają dużą powierzchnię. Kondory, największe latające ptaszydła, ważą może z piętnaście kilogramów. Dropie olbrzymie, zanim wymarły, ważyły podobno nawet osiemnaście kilo. Wymarły gatunek z Ameryki Południowej, zwany argentawis, mógł być nieco cięższy, ale nie wiadomo dokładnie, ile ważył. Na pewno nie przekraczał czterdziestu kilogramów. Struś to też ptak, ale nie lata, bo jest już zbyt ciężki. Jeśli to coś powstało na bazie genomu krowy, raczej nie będzie miało piór, tylko rodzaj błon lotnych. Jeżeli trafiły tam jakieś geny pająka, to one też nie mają odpowiednich instrukcji genetycznych. Nawet jeśli będzie miało skrzydła, to nie pofrunie.

– Tego nie możemy być pewni! – Wędrowycz ostrzegawczo uniósł dłoń. – Zona czarnobylska to miejsce, w którym wysiadają prawa biologii, a nawet logiki i estetyki.

– Ale fizyki, a zwłaszcza grawitacji, nawet mutant tak łatwo nie oszuka. Sto dwadzieścia kilo. To o wiele za dużo. Nawet jakby wykształcił ogromne skrzydła, nie uniosą takiego cielska, bo wymagałoby to potężnych mięśni. A ich nie da się odpowiednio szybko zasilać w paliwo, to znaczy w cukry i tlen. W dodatku mięśnie też ważą. Gęstość energetyczna za mała. Stosunek masy do siły, rozumiesz?

– Nie.

– Łopatologicznie. Jak coś jest za duże, to nie pofrunie, choćby się zesrało, bo grawitacja sprawia, że nawet tylko próbując, rozkwasi sobie mordę o glebę.

– Teraz gadasz po ludzku. Kapuję. Czyli to coś, jak już wylezie z kokonu, to nie odfrunie?

– Moim zdaniem nie ma najmniejszych szans. A na ziemi nie będzie już takie groźne i jakoś to zaciukamy. Zróbmy śniadanie, a potem pomyślimy chwilę.

– O tej porze to już obiad właściwie.

– Nie będę się spierał. Może być i obiad.

Posiłek trochę się przeciągnął, na stole pojawiła się flaszka i obiad jakoś tak płynnie przeszedł w podwieczorek. Jakub z Semenem nawet chcieli się wybrać do Wojsławic, ale dzień szybko minął i nim się obejrzel, już siedzieli przy zakrapianej kolacji.



– Piękne włosy, świeża cera zrobią z ciebie bohatera – Jakub zacytował reklamę, przeglądając się jednocześnie w zmatowiałym lustrze.

Pociągnął po przerzedzonych kudłach wyleniałą ryżową szczotką, którą kiedyś czyścił boki swojej kobyły. Uśmiechnął się do swego odbicia.

– A o zębach nic nie powiesz? – zagadnął złośliwie kozak.

– O zęby dbam, nawet pastę sobie niedawno kupiłem. – Jakub pokazał z dumą tubkę. – I szczoteczkę znalazłem, prawnuk chyba zostawił.

– To jest pasta malachitowa do polerowania metalowych klamek.

– Aaaa... Pewnie dlatego taka zielona i dziwnie smakuje. A że do klamek, to chyba nawet dobrze, przecież na trzech zębach mam złote koronki. Zwlecz się z tego barłogu, trzeba zorganizować klina i jakieś śniadanie.

Dochodziło południe, gdy wreszcie stanęli na nogi na tyle, by zajrzeć do szopy. A tam czekała ich raczej niemiła niespodzianka. Gdy wdrapali się na strych, między belkami zastali pusty, rozdarty kokon.

– No co za granda! – syknął egzorcysta. – Motyle i jedwabniki potrzebują co najmniej kilkunastu dni, to myślałem, że taka krowa będzie siedziała w środku co najmniej miesiąc!

– Może coś przyszło w nocy i poczwarkę zeżarło? – próbował go pocieszyć kumpel. – Szczury na ten przykład.

– Nie, to się wykluło. Jestem pewien. Nie mogło poczekać? Bylibyśmy świadkami cudu narodzin. Nie ufało nam czy jak... – zirytował się Jakub.

– Sam zauważyłeś, że fauna czarnobylska rządzi się innymi prawami – westchnął kozak.

– Że też natura stworzyła to parszywe miejsce!

– No, niezupełnie natura – zauważył pogodnie Semen.

– Bolszewiccy naukowcy, zaraza gorsza niż dżuma! Ale patrząc obiektywnie, nawet ruskie są w jakimś tam stopniu częścią natury. – Jakub splunął z obrzydzeniem. – Jak szerszenie, komary czy wszy. Ale trochę to jednak dziwne. Jak dotąd zawsze wszystko robiłem na czas i wszystkiego dopilnowałem. Widzę dwie możliwości. Albo się starzejemy i już nie nadążamy za biegiem wydarzeń, albo... – umilkł, próbując zebrać myśli.

– Albo? – podchwycił przyjaciel.

– Albo los tak chciał i wszystko jest idealnie na swoim miejscu. Może to sama rzeczywistość zdecydowała, że to bydlę ma wykonać jakieś zadanie ważne dla ogólnego porządku wszechświata. I dopiero potem mamy posprzątać.

– Brzmi głupio – skrzywił się Semen.

– Ale to lepsze i bardziej eleganckie wyjaśnienie niż takie, że zachlaliśmy i zawaliliśmy! Dobra, nie ma co filozofować. Śniadanie zjedliśmy, więc dupy w troki i robimy z poczwarą porządek!

Wyszli przed bramę, rozejrzeli się wokoło. Na Starym Majdanie panowała cisza i spokój. Gdzieś daleko muczała krowa, zaszczekał

pies. Ptaszęta ćwierkały. Delikatne powiewy wiatru pieściły czoła dziadychów. Nie było słychać wrzasków przerażonych ludzi, nikt nie uciekał na oślep, na pylistej drodze nie było widać wsiąkających kałuż krwi.

– Hmm... Bestia musiała zmyć się jeszcze nocą albo bladym świtem – wydedukował kozak. – I tym razem nie wyżerała owoców. Czyżby przeszła na tryb mięsożerności? – zafrasował się.

– Bydlęcia nigdzie nie widać. Co gorsza, nie widać też żadnych śladów – odparł Jakub. – Czyli i fizykę umie oszukać. Myślę, że to jednak lata. Nie wiemy, co się wyklęło, nie wiemy, jak wygląda, nie wiemy, czy zjada ludzi – rąbał słowo po słowie. – I nie mamy pojęcia, gdzie się podziało.

– No to nie ma wyjścia, trzeba iść i szukać.

– Nic, tylko łązić i sprzątać – bulwersował się Wędrowycz. – A to po hitlerowskich naukowcach, a to po Bardakach. A jeszcze w wolnych chwilach ratować ludzkość przed rozmałą paranormalną gadziną. Mam dość tego naszego parszywego losu superbohaterów.

– Przesadzasz – zbagatelizował kozak. – Przynajmniej się nie nudzimy. Naprawdę wolałbyś leżeć w hamaku, czytać i patrzeć, jak świat pędzi nieuchronnie ku samozagładzie?

– E, żeby od razu czytać, to może niekoniecznie. Ale poleżeć w hamaku i odpocząć? Czemu nie... Gorzej, jakby naprawdę doszło do tej samozagłady świata i cywilizacji. Albo gdyby, co jeszcze gorsze, objęła też naszą gminę.

Jakub i Semen bite trzy godziny przetrząsali bliższe i dalsze otoczenie, nie natrafili jednak na ślad zagadkowego stwora. Przepytyali napotkanych mieszkańców, ale oni także niczego nie widzieli. Na ile dało się ustalić, nikt we wsi nie został zjedzony, nie odnotowano też strat w zwierzętach gospodarskich.

– Dwanaście mutasów poszło się przejść na majdańskie wzgórza, heja-hej – zanucił Jakub.

– A Izydor wrzeszczy: a-a-a! Bo już tylko trzy mutasy ma – zawtórował mu przyjaciel.

Ponieważ w trakcie poszukiwań jakoś tak niechętnie doczłapali do Wojsławic, postanowili przy okazji zejść do knajpy i zasięgnąć języka. Zaskrzypiały drzwi, Jakub odruchowo rzucił groźnym spojrzeniem w kąt zajmowany przez klan Bardaków, ale ku swojemu zdumieniu spostrzegł trzy puste stoliki otoczone wianuszkami równie pustych krzeseł.

– Ło choroba!? – mruknął. – Powinni tam siedzieć i strugać niewiniątka. Nigdy dotąd nie było tak, żeby się wszyscy przede mną chowali. Czyli mamy ostateczny dowód. Ta skrzydlata krowomałpa łażąca po moich drzewach i plotąca kokony to faktycznie była ich robota.

– Chałupy im się spaliły, całą bandę harują na pogorzelisku – wyjaśnił barman. – Tylko Maciej był tu rano. Ale golnął ledwie jeden kufelek, bo Izydor po niego przyleciał i poszli pomagać.

– Mówili coś ciekawego? – Kozak dyskretnym ruchem wsunął do kieszeni na piersi barmana szeleszczący banknot. Dwie dychy.

Ajent zmarszczył czoło.

– Maciej nie chciał iść, powiedział, że to wszystko dlatego, że sprzedali jałówki i cielęta do rzeźni. I że jakiś Teodor się za to mści.

– Teodor? Nie słyszałem w gminie tego imienia. Czyli ktoś obcy podpalił nory moich wrogów na moim terenie i, co gorsza, nawet nie pytając mnie o pozwolenie!? Bezczelność! – Wędrowycz sapnął z oburzenia.

– Dwa duże – zadysponował Semen, wyciągając z portfela kolejne banknoty.

– Już nalane. – Barman gestem wskazał stół.

Teraz dopiero obaj starcy spojrzeli w ulubiony zakątek. Przy ich stole na dostawionych krzesłach czekali Birski z Rowickim. Byli po cywilnemu, ale chyba jednak na służbie, bo dokleili sobie sztuczne wąsy i założyli peruki, a szef posterunku mimo upału wbił się w „ubecki” skórzany płaszcz. Na blacie stały cztery zapotniałe kufle.

– Tym też by się przydało trochę przylutować, bo za bardzo się ostatnio nachalni zrobili – zauważył kozak. – Rozumiem, że odwiedzają knajpę, żeby obserwować elementy półświatka, ale

chłanie z takimi jak my, nawet operacyjne, wydaje mi się nieeleganckie.

Obaj starcy podeszli i bez słowa zajęli wolne miejsca. Zaszurały po betonie metalowe nóżki dosuwanych krzeseł. Niechętne spojrzenia skrzyżowały się w powietrzu.

- ...dobry – zaczął Birski.
- ...bry – warknął Rowicki.
- ...ry – odpowiedział kozak.
- ...y – burknął egzorcysta.

Zapadła krępująca cisza i tylko piwo bezproduktywnie gubiło banieczki gazu.

– Słuchajcie no, Wędrowycz – odezwał się Birski. – Sprawa jest. Pomyśleliśmy, że lepiej dla wszystkich będzie, jak omówimy to sobie na spokojnie, przy piwku, bez niepotrzebnego pisania protokołów.

– Aaaa... Taka sprawa? Kryminalna znaczy? A już myślałem, że flaszeczkę czegoś dobrego pan potrzebuje – zakpił Jakub.

– Prowadzimy właśnie poważne dochodzenie policyjne. Na razie pogadamy nieoficjalnie. Mogę was przesłuchać tutaj albo będzie trzeba iść na posterunek. Chyba sami rozumiecie, że na posterunku to już będzie wszystko oficjalnie i zeznania składać trzeba na trzeźwo. – Birski stanowczym gestem nakrył kufle dłońmi.

– Czekaj, po co tak nerwowo! – zaprotestował egzorcysta. – Zamiast mnie straszyć trzeźwością, lepiej powiedz, o co chodzi. Może tym razem naprawdę nie jesteśmy tacy podejrzani, jak ci się wydaje? Pożar był u Bardaków. Ale dowiedzieliśmy się dopiero przed chwilą. Poza tym mam aluzję... nie, zaraz... a, już wiem, alibi. – Wskazał Semenę.

– Jeśli dochodzenie odbywa się w kwestii tego pożaru, to potwierdzam. Całą noc chlaliśmy razem. I poprzednią też. A nawet jeśli to nie wydarzyło się w nocy, to i tak chlaliśmy razem... I nawet tym razem mówię prawdę – wyjaśnił kozak. – Słyszał pan, co barman powiedział? To zemsta za jakieś sprzedane jałówki. Wystawili kontrahenta do wiatru i się zemścił. Ludzka rzecz,

zwłaszcza na wsi. Nas z tym nie wiążcie. Nawet nie znamy żadnego Teodora.

– No i, co najważniejsze, jakbyśmy się za nich na poważnie zabrali, to nie byłoby komu uprzątać pogorzeliska – dodał Wędrowycz.

– Spaliła się część zabudowań rodu Bardaków. Straty wycenili na pół miliona, albo i lepiej – wyjaśnił Rowicki. – Podejrzewają oczywiście was.

– Taka już tradycja pomiędzy naszymi rodzinami – odparł egzorcysta. – Zawsze jak coś się dzieje, ja podejrzewam ich, a oni mnie.

– Puszczanie czerwonego kura to też tylko tradycja? – zagadnął Birski z niedobrym błyskiem w oku.

– Poniekąd rzeczywiście. Ale nie tym razem. Może po prostu kara boska na nich spadła za liczne łajdactwa i aspołeczny tryb życia? – zadumał się Jakub.

– Czyli w tej karze boskiej nie maczaliście paluchów?

– My? W karze boskiej? A niby jak? Aniołami przecież nie jesteśmy – uśmiechnął się Semen. – Nawet, rzekłbym, wręcz przeciwnie.

Birski cierpliwie poczekał, aż dziady przestaną rechotać.

– No dobra – mruknął egzorcysta. – Jesteśmy podejrzani. Tylko że przesłuchanie nieoficjalne... Czyli nie jesteśmy głównymi podejrzanymi? Podejrzewają nas, ale nie jakoś bardzo mocno? Swoją drogą, to nawet trochę obraźliwe, że kogoś innego podejrzewają bardziej.

– Nie ten modus operandi, czyli mówiąc po ludzku, inny styl działania – wyjaśnił Rowicki. – Poza tym sprawdziliśmy logowania telefonu twojego kumpla. Faktycznie wygląda na to, że nie opuściliście Starego Majdanu przez ostatnie kilkanaście godzin.

– Mówiłem, że elektronika to ogromne zagrożenie dla naszej wolności i swobody ekspresji! Nie raz powtarzałem, żebyś wywalił to bawidełko w cholerę! Nie słuchałeś! Stary, a głupi – syknął Jakub, celując paluchem w Semenę. – A teraz masz czarno na białym, jak to

świństwo cię szpieguje. Byle gliniarzyna z podrzędnej wiochy jest w stanie sprawdzić, gdzie byłeś i co robiłeś!

Rowicki chyba chciał coś powiedzieć, ale szef dyskretnie kopnął go pod stołem.

– Niby tak, ale z drugiej strony dzięki temu mamy alibi – mruknął kozak. – Niepodważalne, rzekłbym.

– Wolę tradycyjne metody unikania odpowiedzialności! – wkurzył się Wędrowycz.

– Zdrówka! – Birski uniósł kufel, żeby uspokoić sytuację.

Stuknęli się nad stołem i przez chwilę panowało milczenie, przerywane tylko odgłosem gulgotania cieczy w spragnionych gardłach.

– Więc nic nie wiecie, niczego się nie domyślacie... A może jednak?

– Posterunkowy przechylił pytająco głowę. – Walczycie z nimi przecież od lat. Od pokoleń wręcz. I cały czas samotnie? Może mają jeszcze jakichś innych wrogów?

– Niemożliwe, wiedziałbym coś o tym. – Wędrowycz pokręcił głową. – Widzicie, ja jestem jak koło łowieckie. Chronię swoją zwierzynę przed obcymi kłusownikami.

– Może sami podpalili, żeby wyłudzić odszkodowanie? – podsunął kozak. – A tak à propos elektroniki. Na wieży ratusza są kamery podpięte do internetu. Jak w Warszawie byłem, prawnuk mi pokazał, że mogę na odległość zobaczyć, jak się Bardaki z moim kumplem naparzają na rynku. Pan przedzwoni do gminnego specja od komputerów, niech grzebnie na twardych dyskach i wyciągnie odpowiedni kawałek nagrania. Wieża jest wysoka, kamera skierowana na wschód powinna objąć chałupy tych obszczymurów.

– Co!?! – zdumiał się Birski.

– On ma rację! – szepnął Rowicki. – Mógł się nagrać moment wybuchu pożaru. Wprawdzie to za daleko, żeby zidentyfikować podpalaczy, ale zobaczymy na przykład, jakie auta przejechały przez rynek w tamtym kierunku przed zdarzeniem.

– Co za czasy parszywe nastały, żeby elementy podejrzane musiały gliniarza uczyć jego roboty – westchnął egzorcysta. – A tak

właściwie przypomnijcie mi: dlaczego wam pomagamy?

– Z poczucia obywatelskiego obowiązku – odpowiedział Rowicki.

– Żeby nie iść do pierdła – uściślił jego szef. – Przecież jeśli tylko pojawi się cień szansy, żeby was obciążyć, ze dwudziestu z nich złoży fałszywe zeznania. Na wyścigi będą opowiadali, że widzieli, jak osobiście rzucaliście koktajle Mołotowa na dachy ich chałup.

– Coś z racji w tym jest.

– Pijcie, zaraz wracam. – Birski wyszedł przed knajpę.

Gminny informatyk uwinął się szybko. Nie zdążyli opróżnić kufla do końca, gdy przyszedł SMS. Posterunkowy ściągnął film. Odpalił i cztery pary rozgorączkowanych oczu wbiły się w ekran. Zasadniczo widoczność była niezła, a kamera obejmowała naprawdę rozległy teren, ale najlepiej było widać to, co oświetlone, a stary dusigrosz Izydor raczej nie marnował energii na nocną iluminację rodowych posiadłości. Chaty Bardaków tonęły w mroku.

– Zaraz, a co to jest? – zdumiał się Rowicki, patrząc na ognistą smugę, która nieoczekiwanie spłynęła z nieba i niczym bat siekła po dachach i budynkach.

Źródło ognia nikło w ciemności, ale po chwili pojawiła się kolejna smuga, a po niej jeszcze jedna. Na ziemi powoli rozlała się pożoga.

– Ha! Czyli jednak kara boska! – ucieszył się egzorcysta. – Grom z jasnego nieba, albo raczej anioł Teodor chlasnął mieczem ognistym. A tak poważniej, to wygląda, jakby ktoś zrzucił z góry napalm. Z helikoptera na ten przykład. To nie może być moja robota, nie posiadam samolotu, latającego talerza, ani nawet motolotni. Nie potrafię też pilotować żadnego lataadła.

– A lewitacja? – wycedził słodko szef posterunku.

– Ksiądz proboszcz zabronił podobnych diabelskich sztuczek. Poza tym jest sprzeczna z prawami fizyki. Choć pomysł, nie powiem, bardzo dobry. Trzeba zapamiętać. Tak czy inaczej, naprawdę tym razem jesteśmy całkowicie niewinni. Szukajcie raczej lotników, którzy zostali przekreśleni na interesach z tymi karaluchami. Imię znacie, to skróci listę podejrzanych.

– No dobra, jesteście wolni – burknął Birski. – I... – tu skrzywił mordę w parodii uśmiechu – dziękuję za pomoc. Barman, jeszcze cztery piwa. – Strzelił palcami.

– Dobra, ale żeby było honorowo, następne dwie kolejki my stawiamy!



Jakub i Semen wlekli się szosą. Nawierzchnia delikatnie falowała pod ich stopami. Można powiedzieć, że czuli się podobnie jak ich przodkowie, gdy żeglowali na chybottliwym pokładzie okrętu „Das Wappen der Herzogin von Kurland” ku brzegom dalekiej wyspy Tobago.

– Teodor? Kto to, do cholery, może być? – dumał Semen. – I czemu Bardaki nie powiedzieli o tym tropie naszym gliniarczykom?

– Widać nie tylko my mieliśmy z tymi gnojami zadawnione, a może i zupełnie świeże porachunki – mruknął egzorcysta.

– Ty już chyba coś wiesz, ale ja nic z tego nie kapuję – poskarżył się kozak. – Ktoś, lecąc na motolotni, poczęstował ich z miotacza ognia?

– Pamiętasz, co było na stryszku?

– Pamiętam. To znaczy pamiętam, że coś było, ale przecież za cholerę nie wiemy co! Przepoczwarzyło się i wydostało, ale nawet się nie domyślamy, jak mogło po tym wszystkim wyglądać! Myślisz, że sprawa kokonu i pożar u tych karypli jakoś się wiążą?

– Bezapelacyjnie. Sami podejrzewaliśmy, że to pajakocielę, jak się przepoczwarzy, będzie latać. No i lata. A do tego najwyraźniej zionie ogniem. Poszczuli go na mnie, dlatego przylaźł i jabłka powyżerał. A gdy zmienił się w groźniejszą bestię, może by nas i kropnął, ale w pierwszej kolejności postanowił wyrównać porachunki z Bardakami. Za co? Sam słyszałeś, że jego kumpli, znaczy inne cielaki, sprzedali do rzeźni.

– A więc powiadasz, że byczek o imieniu Teodor zmutanciał, uciekł Bardakom, wyżarł ci jabłka, zamienił się w smoka i powrócił, żeby pomścić przyjaciół?

– A masz inne wyjaśnienie?

Semen zadumał się głęboko.

– W sumie to nie... I teraz co? Wytropimy gadzinę i kropniemy? Chyba trzeba. Takie smoki, jak podrosną, mogą być cholernie niebezpieczne, widziałem w serialu „Gra o tron”.

– Wytropimy, ale nie kropniemy. Schwytamy żywcem, trochę obłaskawimy i za tydzień zabierzemy na wycieczkę pod Grunwald. Rok w rok zastępy rycerzy odtwarzają tę samą bitwę. To nudne i bez sensu. I myślę, że oni też tak po cichu chcieliby jakiegoś urozmaicenia. Dostarczymy im choć raz godziwej rycerskiej rozrywki!

Konkurs



Nad lasem powoli wstawał pogodny wrześniey dzień. Miejsce na zawody dobrano idealnie. Aby dostać się na wyspę, trzeba było długo kluczyć leśnymi duktami pośród bagien i jezior. Przeszkoleni przewodnicy spotykali delegatów w wyznaczonych punktach i prowadzili ich sobie tylko znanymi ścieżkami przez trzęsawiska. O bezpieczeństwo zadbano bardzo drobiazgowo. Telefony zabierano do depozytu, gdzie na zakończenie zmagania musiały poczekać w specjalnie ekranowanej skrzyni. Oczywiście obowiązywał też ścisły zakaz robienia zdjęć i nagrywania filmów. Nad terenem zawodów rozciągnięto dziesiątki metrów siatki maskującej. Zawieszony na niebie dron obserwował teren.

Na polanie przygotowano wiatę, stanowiska dla zawodników oraz rozbito namioty, żeby zapewnić choć prowizoryczny nocleg. Zbito kilka sławojek oraz niewielkie podium, na którym ustawiono tron cehmistrza. Obok na stoliku połyskiwał złotem puchar przechodni, będący główną nagrodą konkursu. Nad dużym grillem unosił się delikatny dymek. Mięsiwo powoli dochodziło. Kurpiowska orkiestra ludowa grała na skrzypcach marsz imperialny. Kolejne delegacje ze swoimi sztandarami wkraczały dziarsko na arenę przyszłych zmagania. Cehmistrz, usadowiwszy się na tronie zrobionym ze starego gdańskiego fotela, odbierał hołdy mistrzów i najlepszych wydelegowanych czeladników. Kanclerz przycupnął obok i notował, kto z zaproszonych już przybył.

– Aż serce rośnie – szepnęła. – Z roku na rok coraz więcej adeptów naszej szlachetnej sztuki. I kolejni aplikują do tego zacnego grona! Młodzi ludzie, świeża krew...

– Trzeba tylko trzymać fason. Nadawać temu narybkowi odpowiedni sznyt. Strzec etosu. Drobiazgowo pilnować, żeby ta większa ilość nie przeszła w niższą jakość. A zwłaszcza mam na myśli jakość produktu – ostudził go szef. – Inkluzywność tak, ale nie kosztem ekskluzywności! Jesteśmy elitą i tak ma pozostać.

Goście zajmowali miejsca przy stołach oznaczonych karteczkami: Puszcza Białowieska, Puszcza Augustowska, Puszcza Knyszyńska, Puszcza Mielnicka, Puszcza Piska, Puszcza Borecka, Puszcza Napiwodzko-Ramucka, Puszcza Nidzicka, Puszcza Romincka. Przybyli też kandydaci z Kampinosu i Borów Tucholskich oraz honorowi członkowie zagraniczni – Białorusini z Puszczy Nalibockiej. Wreszcie zebrali się wszyscy zaproszeni goście.

– Witam serdecznie zebranych tu tak licznie anonimowych uczestników naszego anonimowego konkursu – odezwał się cechmistrz. – W tym roku impreza nieoczekiwanie okazała się międzynarodowa. Nasza nieśmiertelna idea śmiało przekracza granice. Po raz pierwszy w historii naszych zmagani witamy serdecznie gości z Litwy i Białorusi.

Zebrani zaklaskali nieśmiało.

– Panowie – cechmistrz uklonił się gościom – zasady są proste i niezmiennie. Każdy zespół przyjechał z własnym zacierem i własnym sprzętem. Macie sześć godzin. Rankiem komisja dokona oceny waszych wyrobów. Najlepsza ekipa otrzymuje puchar przechodni Związku Bimbrowników Białostockizny, Suwalszczizny i Podlasia. I postarajcie się z całych sił! Meteorolodzy zapowiadają idealną pogodę. Lekki wiatr i brak opadów. Życzę wszystkim powodzenia. Są pytania? – dorzucił zwyczajowo.

– Ja w kwestii formalnej. Czy jest szansa na zmianę kierownictwa naszego cechu? – odezwał się zwalisty bimbrownik z Puszczy Augustowskiej. – To już dwadzieścia lat pod tym samym szefostwem...

– Niestety, status organizacji dopuszcza możliwość zmiany władz jedynie w przypadku poważnego uchybienia honorowi lub tradycji naszego ruchu. Ten przypadek obecnie nie zachodzi – uciął kanclerz.

– Cholera... – skwitował pytający.

– Do dzieła, panowie, czas start! – Cechmistrz uroczyście nastawił budzik.

Po chwili polana rozbrzmiała rytmicznym stukotem siekier – to bimbrownicy rąbali drwa. Zabulgotał zacier płynący do kotłów, zaszumiała woda napełniająca chłodnice. Widok kilkudziesięciu ludzi zajętych pożyteczną i twórczą pracą psuł tylko jeden detal. Delegaci przybyli z Puszczy Augustowskiej niby to uwijali się równie dziarsko jak pozostali, ale popatrywali spode łba, a na ich twarzach ewidentnie brakowało uśmiechów.



Minęła może godzina, gdy w kieszeni cechmistrza zabrzęczała komórka. Mężczyzna, zaniepokojony, wymacał telefon. Zagryzł wargi. W obawie przed namierzeniem wyraźnie rozkazał, aby dzwonić tylko w sytuacji naprawdę poważnej.

– Halo? – odebrał.

– Szefie, mamy problem... – usłyszał w słuchawce głos jednego ze strażników.

– Policja? – zaniepokoił się.

– Nie... Ale na naszym punkcie kontrolnym pojawiło się dwóch Murzynów. Czarni jak smoła, krzyżyki takie fikuśne mają. Na rzemykach. Po angielsku coś tam dukają. Twierdzą, że są z Etiopii.

– Nielegalni imigranci przeleźli przez granicę od Łukaszenki? Związać, jutro zaraz po naszej imprezie przekażemy ich Straży Granicznej. Niech im wyjaśnią po swojemu.

– Szefie, tylko że... Jak by to powiedzieć, ci dwaj to chyba są bimbrownicy.

– Że niby co!?

– Dźwigają wiadro zacieru i miedzianą aparaturę w częściach. W dodatku podali pański pseudonim i machają łapami jak wiatraki, pokazując, że chcą na nasze zawody. Co gorsza, machają łapami z grubsza we właściwym kierunku.

– To cholernie dziwne, nie zapraszaliśmy nikogo z Etiopii!

– No wiemy, że nie mają zaproszeń, ale jako cechmistrz, sam pan układał statut, a tam stoi jak byk, że te zmagania mają charakter otwartej, szlachetnej konkurencji. No i w preambule jest jeszcze, że każdy, kto pędzi samogon, jest nam bratem i teoretycznie każdy ma prawo aplikować do cechu. Konkurs niby jest tylko dla oficjalnych delegacji, ale oni wyglądają na delegatów.

– Słusznie. Hmmm... Trzeba będzie na przyszłość przeredagować ten kawałek. A na razie mówi się trudno, musimy ich przepuścić.

Nie minęło pół godziny i na polanę weszli dwaj Etiopczycy. Jeden był nieco wyższy, drugi niższy. Ten wyższy założył na głowę papachę ze skóry lwa, a niższy coś jakby maciejówkę, ale z krokodyla. Mieli na sobie galabije, pod szyją dyndały im na rzemykach ozdobnie powycinane etiopskie krzyżyki. Stopy obuli w sandały zrobione z samochodowych opon, przy czym ten niższy miał jeszcze dodatkowo ogniście zielone skarpetki. Ukłonili się zebranym. Ten mniejszy nie miał zarostu, za to jego towarzysz niemal zamiótł klepisko imponującymi, jakby kozackimi wąsiskami.

– Good moon. – Większy zasalutował do wschodzącego nad lasem księżyca.

Ktoś zaraz wskazał im wolne palenisko. Obaj czarnoskórzy zabrali się od razu do montażu przyniesionego sprzętu. Miedziane rurki połączyli szybko i z widoczną wprawą. Wlali wodę do chłodnicy. Zacier też mieli nie byle jaki – daktylowy.

– Nie podobają mi się nasi goście z Afryki – burknął cechmistrz, nachylając się do kanclerza.

– Dlaczego? – zdziwił się zagadnięty.

– Murzyni tutaj? Etiopczycy z drugiego końca świata? A skąd niby mieliby się dowiedzieć o naszych zawodach? A nawet zakładając, że się dowiedzieli, jak mieliby tu trafić? Podejrzewam, że ci dwaj nie są

prawdziwi. Przeczucie mówi mi, że mniejszy to ten stary pokemon Jakub Wędrowycz, a większy to jego przydupas Semen.

– Od lat próbują się wkręcić na nasz konkurs – zadumał się kanclerz. – Hmm... Ciekawa teoria, ale chyba są, że się tak wyrażę, niepodobni. Ani Jakub, ani Semen nie są przecież czarni. Ani nie mają takich loczków na głowach.

– Włosy zakręcili w loczki i ufarbowali, zęby wybielili albo przykleili sztuczne, wysmarowali się pastą do butów. Nosy niby mają murzyńskie, ale sądzę, że odwiedzili jakiegoś boksera i im sklepał na płasko. Stroje i krzyżyki pewnie przez internet kupione. Prawie nic nie gadają, żebyśmy się po akcencie nie skapnęli.

– Hmmm... Może i tak. To co robimy?

– Trzeba by ich jakoś szybciej zdemaskować i wykluczyć z konkursu. Weź trzech zaufanych ludzi i przygotujcie jakąś cwana prowokację! Tak żeby się sami ujawnili.

– Eee... Ale niby jaką?

– Liczę na was!

– Ta...est!



Nad lasem zapadał coraz gęściejszy zmrok. Na szczęście dym i aromat podgrzewanej brahy wypłoszyły z polany komary. Zebrani każdym porem skóry chłonęli cudowną atmosferę. Wieczorny chłód i cudownie wygwieżdżone niebo. Ognie płonące pod kotłami. Woń parującego zacieru unosząca się w powietrzu. Perlisty szmer pierwszych, nieśmiałych jeszcze strumyczków aromatycznej gorzałki ciekących z rurek do podstawionych kanek.

– To mógłby być taki piękny wieczór, gdyby nie ci dwaj dranie z Lubelszczyzny – burknął cechmistrz. – Ciekawe, swoją drogą, co z tą prowokacją? Już dobre pół godziny minęło.

Jak na zawołanie, z bagienka otaczającego z trzech stron polanę dobiegło podejrzanе bulgotanie, a potem wynurzyła się z niego

dziwaczna istota. Stwór miał jakieś trzy metry wzrostu, skołtunione, przerosłe bagiennym zielskiem włosy opadały mu na mordę. Z rękawów łachmanów wystawiał długie łapy, zakończone imponującymi pazurami. Skóra straszdyła była blada i pokryta plamami jak u kilkutygodniowego topielca. A śmierdział jeszcze gorzej. Cechmistrz wytrzeszczył oczy. Gdyby nie wiedział, że to prowokacja, przysięgłby, że widzi autentycznego utopca albo co gorsza – błotniaka.

– Uuuu! – zawyla istota i rozczapierzyła paluchy jak szpony.

– To upiór! Zajmę się nim! – krzyknął po angielsku mniejszy Etiopczyk i wyciągnął z podeszwy sandała nóż.

Ale nie zdążył ruszyć do ataku, bo drogę zastąpił mu cechmistrz.

– Panowie – odezwał się gromkim głosem – padliśmy ofiarą podłego podstępu. To nie jest żaden delegat z Etiopii, tylko przebrany Jakub Wędrowycz. A ten drugi to oczywiście jego wierny przydupas Semen Korczaszko.

Zebrani zaszemrali z oburzeniem. Ten i ów zacisnął pięści.

– What? – zdziwił się mniejszy bimbrownik.

– Umalowałeś się na czarno, ale od razu cię poznałem po tych zielonych skarpetkach! Dawałem ci, łachmyto, szansę, mogłeś się tu nie pokazywać. Nie skorzystałeś! Łapcie ich! – zwrócił się do zebranych cechmistrz. – Wyszorować oszustom mordy z pasty, a potem dowalić, a zdrowo! Nie będą nam psuli zabawy!

Obaj goście próbowali stawiać opór, ale już po chwili wykręcono im ręce i zawleczono nad miednice. Szczotki ryżowe poszły w ruch. Jednak po kilku minutach szorowania delegatów dziwnie opuścił zapał.

– Szefie, głupia sprawa... To czarne jakoś nie schodzi – bąknął kanclerz. – Oni chyba jednak są prawdziwi.

– Jak to prawdziwi!? Szorować mocniej, użyjcie pasty BHP i domestosu!

Ale nawet szorowanie najmocniejszym samogonem nie pomogło. Zapanowała konsternacja. Bimbrownicy przerwali czynności i teraz

niepewnie popatrywali to na siebie, to na sponiewieranych gości z Etiopii.

– Siepacze Białowieży torturują naszych braci bimbrowników Murzynów! Precz z rasizmem! Naliboki za mną! – Delegat z Puszczy Augustowskiej pierwszy spostrzegł okazję do przechwycenia tronu organizacji w sposób może nie do końca demokratyczny, ale za to skuteczny.

– Do mnie fikacie, leszcze!? – ryknął cechmistrz. – Tłuc uzurpatorów!



Jakub Wędrowycz i Semen Korczaszko przemaszerowali w gumofilcach przez bagienko, wychynęli z lasu i stanęli obok maskary. Bimbrownicy z różnych klanów i krajów kotłowali się na polanie. Tłukli się przy tym po mordach ile wlezie. W zamieszaniu rozdeptali grilla, potargali namioty, powywracali kotły, chłodnice i kanki. Płonące kałuże wysokoprocentowego samogonu oświeślały pole bitwy nierzeczywistym, lekko błękitnym światłem.

– Zawsze uważałem, że bimber raczej łagodzi obyczaje – mruknął egzorcysta, nieco zde gustowany tym widokiem.

– Przepraszam, panie Jakubie – odezwał się błotniak. – Nie wykonałem zleconego zadania, ale po prostu nie zdążyłem nic zrobić, jak zaczęli się tłuc między sobą.



– Nie szkodzi... Masz tu flaszkę, zasłużyłeś.

– Czyli tak wyglądają te legendarne zawody? – nastroszył się Semen. – Myślałem, że jakoś godniej. W sensie, że każdy pędzi, a potem jakaś komisja degustuje i wybiera najlepszy produkt. Ale żeby ustalać, kto jest mistrzem, za pomocą prymitywnego mordobicia!?

– Widzisz, to było tak – zaczął mu tłumaczyć przyjaciel. – Gdy tylko się dowiedziałem, że nie jesteśmy tu mile widziani, wynająłem tego lokalnego upiora, żeby ich postraszył i rozgonił na cztery wiatry. Sam chyba przyznasz, że nie zaprosić nas na taką imprezę to tak jakby prowincjonalny proboszcz nie wpuścić na mszę papieża! Więc się wkurzyłem i postanowiłem surowo ukarać to towarzystwo! Tylko jak widzę, niepotrzebnie się fatygowaliśmy. Z tym ukaraniem sami sobie poradzili.

Szara tynktura



Niewielki okręt wycieczkowy dobił do nabrzeża. Kolorowy tłumek turystów zatupotał po trapie i pokład szybko opustoszał. Kapitan pożegnał ich uprzejmym skinieniem głowy, poprawił fez i niespiesznymi ruchami nabił fajeczkę. I właśnie wtedy, gdy miał już skinąć na pomocnika, by podnosił trap i zwijał cumy, z ławeczki ukrytej w cieniu załomu nadbudówki podźwignęli się dwaj malowniczo ubrani starcy. Wyższy odziany był w sprany i wyblakły mundur, niższy założył nowiutką kufajkę i kościółkowe spodnie od dresu. Ich twarze, przeorane zmarszczkami, zniszczył czas oraz trudy wiejskiego życia. I tylko spod krzaczastych brwi zawadiacko połyskiwały oczy. Ale czy lśniły blaskiem młodzieńczej energii i żądz przygód, czy może błyszczały skutkiem spożycia łyeczka wysokoprocentowego samogonu, tego kapitan mógł się tylko domyślać. Obaj podróżni przeciągnęli się leniwie. Ten w papasze zarzucił na lewe ramię pasek wypchanego plecaka, a jego kumpel podniósł wyszmelcowaną walizkę powleczonej płótnem napuszczonym olejną farbą. Zeszli na nabrzeże. Ten wyższy sprawdził na komórce, jak mają iść dalej, i po chwili zniknęli za zakrętem.

– Sztambuł – powiedział Semen, rozglądając się wokoło. – No cóż, trochę się ta dziura zmieniła, od kiedy byłem tu ostatnio. Aut przybyło i skuterów. I domy nowe pobudowali.

– Turystyka – skwitował Jakub ponuro i splunął w wody Bosforu.
– Komu to potrzebne? Upał jak u nas, palmy jak w holu Urzędu

Gminy, woda jak w stawie, tylko słona. I gadają w jakimś cudacznym języku. Zabytki niby ładne, ale jednak obcych kultur.

– Wakacje należą nam się jak psu buda. – Jego towarzysz poprawił papachę. – Twój wnuk kupił nam wycieczkę i dał ci kartę kredytową, zaszalejmy trochę, może ostatni raz w życiu.

– Yhym... Żebym jeszcze te numery pamiętał – burknął Jakub pod nosem.

– Znaczy się nie pamiętasz PIN-u? – zirytował się Semen. – To jak niby wypłacasz pieniądze z bankomatu w Wojsławicach?

– Normalnie. Najpierw miałem wydrapane na ścianie banku. Rzuciłem tylko okiem, wklepywałem i maszyna wypluwała forszę.

Semen złapał się za głowę.

– Chłopie – powiedział poważnie – tych numerów nie wolno nikomu ujawniać. Przecież mogli ci wyczyścić konto.

– Daj se siana. Co z tego, że tam były na ścianie ujawnione, skoro nikt nie wiedział, że to moje numery? Problem w tym, że jakiś rok temu zrobili odnawianko elewacji i je zamalowali. Ale Piotruś pomógł. Ustawił wszystko tak, żeby te cyferki były identyczne jak na tablicy rejestracyjnej auta dyrektora naszego banku. Zazwyczaj parkuje albo przed budynkiem, albo po drugiej stronie ulicy. Jeden rzut oka i wiem, co wklepać.

– A jak akurat nie parkuje?

– No to wtedy nie wypłacam. – Jakub wzruszył ramionami. – Wielkie mecyje. Ludzie uzależnili się od elektryczności, pieniędzy i tak dalej. A ja? Uprawiam tradycyjne formy wiejskiej ekonomii. Przerabiam owoce z mojego sadu na bimber, bimber wymieniam z sąsiadami na potrzebne towary i usługi, spiżarkę zapełniam gospodarką zbieracko-łowiecką. Gdyby piwo w knajpie było za darmo, w ogóle nie potrzebowałbym gotówki. Dawniej życie było jednak prostsze. Urodziłem się sto lat za późno. I jeszcze ta fatalna sprawa z islamizacją Europy – westchnął. – Popatrz, ilu tu Turków.

– Jakub...

– Taaa...?

– To jest Stambuł. Owszem, jest tu pełno Turków, ale dlatego, że jesteśmy w Turcji. Oni tu po prostu mieszkają. Gdzieś od sześciuset lat.

– Dobra, dobra, załapałem. Bo wiesz, to nie jest takie oczywiste. Wprawdzie w Polsce żyją Polacy, ale to nie jest reguła! Na przykład w Armenii żyją Ormianie, w Izraelu Żydzi, a w Egipcie Arabowie. W Indiach tak na logikę powinni mieszkać Indianie, a też wcale tak nie jest. To skąd niby miałbym przypuścić, że w Turcji żyją Turcy? Poza tym ja prosty chłop ze wsi jestem. Gdzie mi tam do geografii czy etnografii.

– Yhym, wybaczam ci – burknął Semen.

– Wracając zaś do meritumu, ta islamizacja Europy...

– Nie jesteśmy w Europie. Po tej stronie cieśniny to już Azja. Europa to tamte budynki na horyzoncie za wodą.

– Pitolisz!? Ci ludzie kompletnie nie wyglądają na Azjatów! – Egzorcysta rozejrzał się zdeorientowany.

– Ufasz mi?

– Nie.

– Trudno. Idź po prostu obok i postaraj się nie zgubić. Milcz przez chwilę, nie dogryzaj, nie docinaj, nie mędrkuj! Oglądaj sobie zabytki i tak dalej. Nie musisz niczego rozumieć, chłoń egzotykę dostępnymi zmysłami. A za godzinkę siądziemy sobie w małym, przytulnym lokaliku mojego znajomka, popijemy herbaty, coś mocniejszego pewnie też się znajdzie. Nalewka z kardamonu albo spirytus z daktyli.

Powędrowali najpierw przez szerokie ulice, potem płataniną zaułków. Słoneczko dawało się we znaki. Kozak kupił w sklepiku dwie butelki wody.

– Rozumiem na kaca, ale tak bez powodu wodę pić? – mruknął egzorcysta, pociągnąwszy kilka łyków.

– Powód jest, groźba nomen omen odwodnienia. W tych południowych krajach słoneczko operuje mocniej. Nie jesteśmy przyzwyczajeni, musimy bardziej na siebie uważać i regularnie się nawadniać.

– Yhym... – Jakub chciał przedstawić swoje teorie, ale w porę przypomniał sobie, że ma się nie wymądrzać.

Zamiast tego spróbował chłonać wodę różnymi zmysłami. Przepłukał oczy, przemył jedno ucho, wciągnął odrobinę do nosa... Wreszcie poczłapali dalej.

– Pan Omar to w zasadzie kumpel nie mój, ale jednego z moich prawnuków – wyjaśnił kozak. – Studiował w Polsce, dobrze zna nasz język. Sporo o nas słyszał i koniecznie chciał nas poznać.

– Turek? I to jeszcze pewnie muzułmanin – wydziwiał Jakub.

– Nie czepiaj się. Po kilku latach w Polsce to już swój człowiek, oswojony i spolonizowany. Uwielbia bigos i pierogi. Żadna tam Al-Kaida. No i wrócił do swoich.

Wdrapali się na jakieś wzgórze. Ulicę przecinały stare, zardzewiałe tory kolejowe. Zapewne kiedyś biegła tędy bocznica do warsztatów lub magazynów.

– Czasy upadku – burknął Jakub.

Nie mógł dłużej utrzymać języka za zębami. W ciszy zbyt wyraźnie słyszał własne myśli, a co gorsza, ich brak.

– Co znowu chodzi ci po głowie? – Kozak zagadnął tylko z grzeczności, ale jego kumpel bezwzględnie wykorzystał szansę, by znów kłapać dziobem.

– No spójrz tylko na te nieszczęsne zardzewiałe szyny! Kiedyś na ten przykład jeździł taki pociąg Orient Express z Paryża aż tutaj. Ale po tym skandalu pewnie zawieszono linię. Albo to może skutek tych wojen, co to były w Jugosławii? W każdym razie już chyba dłuższy czas nie jeździ. To i zrobił się taki rdzawy nalot.

– Skandalu? – Kozak łypnął na kumpla zdeorientowany.

– Morderstwo w tym pociągu popełniono. Film nawet o tym nakręcili, widziałem kiedyś u wnuka. Podróżowało wagonem takie lepsze towarzystwo, bogaci, wpływowi i tak dalej. No i nocą jednego z tych gogusiów zaszlachtowano sztyletami. Powiem tak: to był bardzo dobry film, reżyser zręcznie wyprowadził mnie w pole.

– Eeee?

– No, jak się dowiedziałem, że tyle razy klienta dźgnięto, to myślałem, że może jacyś żydowscy mściciele dopadli ukrywającego się hitlerowca i wsadzili mu dwanaście sztyletów w imieniu dwunastu plemion Izraela. Ale to podpucha była fabularna. Taki facet z wąsikami wyjaśnił sprawę i okazało się, że to ci bogaci i wpływowi zaciukali jednego ze swojaków. W każdym razie myślę, że po tym wszystkim nikt bogaty już nie chciał jeździć tym Orient Expressem, a biedaków nie było stać na bilety, to i linia splajtowała.

– To była tylko fikcja literacka.

– No jak literacka, skoro w telewizji puszczali? – zirytował się Wędrowycz. – Literacka toby na papierze była!

Semen policzył powoli do dziesięciu.

– Trochę trudno mi to wytłumaczyć.

– E, nie musisz się wysilać, było, minęło. Ten pociąg i tak już od dawna tu nie jeździ. Chociaż z drugiej strony... – W oczach Jakuba pojawił się ponury błysk. – Może nie byłoby głupio zmierzyć się z Bardakami w ten sposób?

– Co konkretnie masz na myśli?

– Wyobraź sobie, zanurzamy się w kolejarskim luksusie na kółkach, wsiadamy do takiego wypasionego przedziału, nie wiedząc nawet, że w tym samym wagonie podróżuje kilkunastu Bardaków. Jedziemy, pijemy koniaki i inne takie luksusowe trunki, zakąszamy jak bogaci ludzie pralinkami, oliwkami i kawiozem. Zapada noc. Izydor podrywa swoich krewniaków, skradają się na paluszkach. W łapach trzymają wykwinne sztylety z rękojeściami wykładanymi masą perłową. Na grzbietach mają fraki i smokingi. Chcą nas elegancko i wykwinnie zaszlachtować, wyłamują po cichutku drzwi złoconymi, grawerowanymi łomami, a tu figa, bośmy się w porę obudzili i witamy ich salwą z czterech luf! A potem leżą w korytarzu na perskich dywanach, krew niczym poranna rosa znaczy im kropelkami koszule od Armaniego, albo nawet i z samej Wólczanki... Kosa na kamień! – Jakub zarechotał.

– Bardaki w smokingach? Musisz ograniczyć gapienie się w telewizor – burknął Semen. – Nie przywykłeś i ewidentnie szkodzi

ci na dekiel. Książkę byś czasem jakąś poczytał. Nie mówię, że zaraz Agathę Christie, ale coś lekkiego.

– Nie mogę drukowanego. Wiesz, mam od małego straszne uczulenie na ołów. Co gazetę wezmę, od razu mi czerwone kropki wyskakują na dłoniach. I na zadku, jak się podcieram.

– Od dawna nie używa się ołowiu ani do odlewania czcionek, ani do farb drukarskich.

– Może się i nie używa. Ale stara alergia pozostała – westchnął smutno Jakub. – To się fachowo efekt placebo nazywa. W sumie jest rozwiązanie. Ty będziesz czytał, a potem streścisz mi najważniejsze wątki swoimi słowami.

Siedli na obramowaniu fontanny. Semen zakupił w najbliższym sklepiku plan miasta i teraz studiował go z uwagą.

– Prosto, a potem w bok – wydedukował wreszcie. – Jeszcze może kwadrans i będziemy na miejscu. Bez konieczności zakładania smokingu i podjeżdżania Orient Expressem.

Szli i szli, ale ciągle jakoś nie mogli dotrzeć na miejsce.

– Myślałem, że w takiej Turcji wszystko będzie napisane arabskimi robaczkami. – Jakub rozglądał się zaciekawiony. – A tu litery wypisz wymaluj jak nasze, no, może z wyjątkiem tylko niektórych.

– Kiedyś tak tu było – tłumaczył cierpliwie kozak. – Wszystko po arabsku, ludzie w fezach i turbanach. Ale pojawił się taki koleś, Kemal Pasza. Uważał, że Turcja wygląda obciachowo i jest zacofana, a on chciał wpuścić trochę nowoczesności. No wiesz, żeby było ładnie i egzotycznie. Przeprowadził reformy. Kazał zgolić brody, pościagać fezy, poprzebierał ludzi w europejskie ciuchy, zagonił dziewczęta do szkół, zakazał tańców derwiszy i wymienił kalendarz i alfabet na podgapione od białasów. Dlatego tu wszędzie napisy, które można przeczytać, tylko cholera wie co te słowa znaczą.

– Aaa... to dużo tłumaczy.

– Jesteśmy na miejscu!

Herbaciarnia wyglądała dość dziwacznie. Niewielki, ładny pawilon oraz towarzyszący mu ogródek kawiarniany umieszczono

na płaskim dachu jakiegoś betonowego budynku. Na górę prowadziły eleganckie, kute w metalu schodki. Wdrapali się, posapując.

– Mówiłem, że palmy tu jak u nas w holu Urzędu Gminy – zarechotał egzorcysta.

Faktycznie, roślinki ocieniające stoliki umieszczono w dużych glinianych donicach.

– Ciekawe – mruknął kozak, patrząc pod nogi.

– Blacha jakaś... Przykrywa dach tego magazynu pod nami. – Jakub wzruszył ramionami. – U nas, w Wojsławicach, tego niby nie ma? Fakt, na domach to często blachodachówka. Ale na kościele gładka, na cerkwi też.

– Ta tutaj wygląda na ołów. To raczej nietypowe pokrycie, chociaż kiedyś było popularne. W Wenecji widywałem podobne. Na katedrze Świętego Marka i na dachu więzienia. A oto nasz gospodarz.

– Witam szanownych gości, Omar jestem. – Otyły Turek mówił po polsku prawie bez akcentu. – Cieszę się szalenie. Zapraszam. Kawy, herbaty? Mam też coś na ząb. I kielonek czegoś mocniejszego się znajdzie.

Przywitali się i z ulgą zanurzyli w klimatyzowanym wnętrzu. Po chwili na stół wjechała pieczona ryba, miseczki z sosami oraz dzbanek mocnej, aromatycznej kawy. Obok pojawiły się kieliszki czegoś dobrze schłodzonego.

– Noce Lewantu, nalewka na figach – pochwalił się gospodarz. – Moja rodzinna receptura.

– Myślałem, że islam zabrania wam alkoholu? – zdziwił się egzorcysta.

– Zasadniczo zabrania się upijać. Poza tym pod dachem Allah nie widzi. Panów zdrowie.

Wypili. Nalewka miała uczciwe sześćdziesiąt obrotów. Kozak wydobyl z plecaka pięciolitrowy słój bigosu i drugi, równie wielki, wypełniony pierogami w różnych smakach. Gospodarz omal się nie rozplakał ze wzruszenia. Ryba była doskonała. Obaj starcy delectowali się nią dłuższą chwilę.

– Mam tu dla panów przygotowany pokoik. W wolnej chwili oprowadzę po mieście. Ruch w interesie, niestety, marniuchny. Dopiero wieczorem zejdzie się więcej klientów.

Egzorcysta wychylił drugi kieliszek nalewki. Usiadł wygodniej, popuścił pas o dwie dziurki.

– A teraz proszę opowiedzieć – zachęcił.

– Ale o czym? – nie zrozumiał gospodarz.

– Masz, człowieku, jakieś zmartwienie – wyjaśnił Jakub. – Echo telepatyczne aż bije. Nawet bigos i pierogi poprawiły ci humor tylko na chwilę. A my przecież moglibyśmy jakoś pomóc.

Gospodarz uśmiechnął się smutno.

– Pomóc? Niby jak? – westchnął.

– Jesteśmy jako ten psi patrol, wprowadzie nie szczekamy, ale nie ma problemu, którego nie rozwiążemy – zapewnił go kozak.

– Nie chcę zawracać wam głowy swoimi kłopotami, panowie. Jedzmy, pijmy, pogawędźmy sobie. Od roku z nikim nie gadałem po polsku. Wracają miłe wspomnienia z waszego kraju i na duszy lżej się robi. To musi wystarczyć.

– O nie! – pokręcił głową Jakub. – Ignorowane problemy tylko rosną i rosną. Załatwmy sprawę raz a dobrze, po męsku i do końca. Wtedy można spokojnie jeść i pić.

– No dobrze. Ale... Ja jestem bardzo wdzięczny za tę propozycję, jednak w niczym nie możecie mi, panowie, pomóc. Trafiłem na trop afery – powiedział. – Czy możemy pomówić otwarcie?

– Jesteśmy jak bank za peerelu, wszystko, co włożysz, znika bez śladu – zapewnił Jakub.

– Mój przyjaciel miał na myśli, że powierzone nam sekrety wpadną jak w studnię – doprecyzował kozak.

– Widzicie, panowie, Turcja od dawna ma różne nieoficjalne związki z Rosją. Jest tajemnicą poliszynela, że reżim Putina omija sankcje, kupując tu rozmaite towary, które następnie szmuglowane są przez Morze Czarne na Krym i na tereny okupowane. Objęte embargiem towary z Unii Europejskiej też wędrują tym szlakiem. Elektronika, optyka, mikroprocesory. To wszystko, co jest

wykorzystywane w dronach, rakietach balistycznych, ale też w pojazdach wojskowych.

– Rozumiem – mruknął Semen. – Powiem od razu, że urodziłem się jako Rosjanin zupełnie przypadkiem i stanowczo potępiam imperialną politykę mojego kraju. Zwłaszcza od kiedy zaciukano cara batiuszkę i mojego przyjaciela Griszkę Rasputina.

– Po tylu latach w Polsce mogę ci wystawić certyfikat wzorowej autopolonizacji. A raczej mógłbym, gdybym umiał to na komputerze wydrukować – zapewnił go Jakub.

– To ja potem, jako prawdziwy już Polak, wystawię tobie – wzruszył się kozak.

Gospodarz na widok tak wspaniałego przykładu braterstwa między narodami polał następną kolejkę. I po chwili byli już po imieniu.

– Mój skromny lokalik znajduje się na dachu sporego kompleksu magazynowego, który dzierżawi duża międzynarodowa firma – Turek wrócił do przerwanego wątku. – Niby to turecka, ale z kapitałem zagranicznym. Siłą rzeczy przez kilka lat prowadzenia tej kawiarni mimochodem to i owo zaobserwowałem. I usłyszałem, choć do mojego ogródka docierają głównie takie mniej ciekawe wyrazy. W każdym razie co jakiś czas przybywa tu niewielki transport, kilka skrzyń dosłownie. Potem ktoś odbiera te skrzynie furgonetką, a w zamian podejżdża tir i napełnia magazyny setkami palet różnego dobra. Okno w panów pokoiku wychodzi na ich rampę i plac załadunkowy. Ci, którzy tam pracują, gadają po rosyjsku. No i, co najważniejsze, jest tu taka dziurka. Kabel zasilający moją herbaciarnię przechodzi przez żelbetowy strop nad halą magazynową. I jak się tak zajrzy, to obok kabla coś tam widać. I słyszać też. Wiem, że kilka dni temu przyłynął do portu frachtowiec pod banderą wyspy Nauru. Wypakowano z niego skrzynie i przewieziono do magazynu. Podejrzałem, że to bloki żeliwa, ważące po ćwierć tony.

– Stara sztuczka ze złotem? – zagadnął egzorcysta.

– Właśnie.

– Hmm... Nie bardzo kapuję – bąknął Semen.

– Putinowcy muszą jakoś zapłacić za towar – wyjaśnił Jakub. – Trudno jest im obecnie wykonywać przelewy, waluty też mają mało, za to złota z syberyjskich kopalni posiadają ogromne ilości. Ale złoto to rzecz bardzo wrażliwa. Sztabka kruszcu o wadze kilograma jest wielkości mydła. Łatwo ktoś może taką podpierniczyć. Putin nie ufa nikomu, nawet konwojentom. W razie ryzyka kradzieży albo napadu robią tak, że biorą wielką sztabę żeliwa, ważącą na przykład dwieście kilogramów. W niej jest zagłębienie. Wypełnia się je ciekłym złotem. Dziesięć czy dwadzieścia kilo złota złodziej wyniesie w plecaku. Ale wielgachnej sztaby nawet nie oderwie od podłogi.

– Rozumiem. Sprytne.

– Można wtedy też pokazać dostawcy, że kasa jest przygotowana – dodał Omar. – Byli tu wczoraj jacyś Francuzi. Poszli, otworzono przy nich skrzynie, pogadali i odjechali.

– Skoro regularnie sprawdzasz, co oni tam robią, to zapewne planujesz podpierniczyć ten kruszec, popsuć ruskim szpiegom operację i tak dalej? – zaniepokoił się Jakub.

– Mam w nosie osobiste korzyści. Po prostu chcę popsuć interes, który prowadzi do wojny i śmierci niewinnych ludzi – wyjaśnił Turek.

– Popsuć samodzielnie? – zdziwił się Semen. – To raczej robota dla kontrwywiadu, albo może ewentualnie dla policji.

– Nie dałem znać miejscowym służbom, bo podejrzewam, że wszystko odbywa się za ich wiedzą – westchnął gospodarz.

– Gdyby to były banknoty, problemu by nie było, litr benzyny i ognisko... Ale złoto, zwłaszcza zabezpieczone przez bloki żeliwa... Musimy opracować plan skoku – mruknął egzorcysta. – Zaiwanić kruszec, utopić w morzu, coś w ten deseń.

– A gdyby wysadzić budynek w powietrze? – podsunął Semen. – Magazyn zostanie przywalony gruzem. Zanim odkopią skrzynie, minie sporo czasu. A jak odkopie miejscowa straż pożarna i znajdą złoto, zrobi się smród.

– No cóż, to rozwiązuje problem tylko na krótką metę – westchnął Omar. – W dodatku nie chciałbym być niedelikatny, ale w przypadku wysadzenia budynku diabli wezmą moją kawiarnię, a to mój jedyny majątek, i to jeszcze nie do końca mój, bo nie spłaciłem dwudziestu ostatnich rat kredytu. Niby jest ubezpieczona, ale sami wiecie, jak to bywa z ubezpieczeniami.

– Ja osobiście nie korzystam, ale słyszało się niejedno – zgodził się Wędrowycz.

Przy stole zapadło ponure milczenie.

– A może po prostu iść do ambasady USA, poprosić, żeby skontaktowali nas z CIA, oddać sprawę w ręce prawdziwych szpiegów? – zamyślił się kozak.

– Tylko czy można zaufać Amerykanom? – skrzywił się Omar. – Odnoszę wrażenie, że na pewnym poziomie te wszystkie mocarstwa grają do jednej bramki, a konflikty między nimi to tylko tak dla picu, żeby wkręcać zwykłych zjadaczy chleba.

– Wprawdzie nigdy nie byłem szpiegiem, ale podejrzewam, że masz rację – mruknął egzorcysta. – Trzeba ten problem rozwiązać samemu. W zasadzie można po prostu nadać cynk miejscowej ferajnie... Macie tu w mieście złodziei?

– Całe stada, i to różnych specjalizacji. A nadwyżki regularnie wędrują do Niemiec – wyjaśnił Omar.

– Gdyby tak dowiedzieli się, że jest tu niepozorny magazyn, a w nim kilkadziesiąt albo i kilkaset kilogramów kruszcu...

– Tam jest ochrona. – Turek pokręcił głową. – Między rampą załadunkową a magazynem znajduje się pomieszczenie, gdzie czuwa kilku uzbrojonych drabów ze specnazu. Widać, że konkretne bydlaki, zaprawione w mokrej robocie. Poza tym gildia złodziejska ma swój wywiad. Wie, kogo lepiej nie ruszać.

– A gdyby tak woda królewska? – Wędrowycz wpadł na kolejny pomysł. – Ona rozpuszcza złoto. Wykorzystać tę dziurkę w podłodze, wpompować kwas do magazynu... Można by wtedy cały ten skarb spuścić do kanalizacji. Nie mamy my, nie mają też oni. Remis.

– Trzeba by jej użyć setki litrów – zaprotestował Semen. – Sam budynek też poważnie ucierpi, bo woda królewska wejdzie w reakcję z wapniem, przegryzie beton, opary kwasu też są żrące... W dodatku szybko dojdą, któredy to wlano. My pewnie zdążymy uciec, ale naszego gospodarza przerobią na kebab i upieką bez znieczulenia. Nie, tak się nie da.

– Zatem trzeba zastosować inny sposób – powiedział Jakub. – Tylko że, niestety, dużo trudniejszy.

– Co masz na myśli?

– Da się rozpuścić bez śladu kilkaset kilogramów złota bez użycia kwasów i tak dalej. Ale tradycyjne nauki, takie jak chemia czy fizyka, niewiele nam tu pomogą. Trzeba sięgnąć do sposobów niekonwencjonalnych.

– Magia? – skrzywił się kozak. – Wiesz, że ksiądz proboszcz nie pochwała! Poza tym to broń, że się tak wyrażę, mocno obosieczna.

– W magii to i ja nie lubię się babrać – westchnął Jakub. – Na szczęście jest coś jeszcze w połowie drogi między czarnoksięstwem a naukami uniwersyteckimi.

– Astrologia? Telepatia? Może chcesz wyciągnąć te skrzynie telekinezą, bilokacją czy jakoś w ten deseń? – próbował odgadnąć Semen.

– Alchemia – rzucił Wędrowycz i uśmiechnął się do jakichś wspomnień.

– To się nam chyba nie przyda – bąknął właściciel lokalu. – Alchemicy, jak powszechnie wiadomo, usiłowali uzyskać złoto z innych metali, a tu problem zasadza się w tym, że złoto już jest i trzeba się go dyskretnie pozbyć.

– Da się też w drugą stronę – wyjaśnił Jakub. – Gdyby na ten przykład transmutować kruszec w ołów, popsujemy ruskim szpionom szyki.

– Ale czy te plany są, że się tak wyrażę, realne? – Omar spojrzał na Semenę.

– Z reguły pomysły mojego kumpla brzmią jak stek bzdur lub urojenia kretyna, ale gdy przychodzi co do czego, zazwyczaj okazuje

się, że jednak działają – wyjaśnił kozak. – Przeżyliśmy razem niejedno.

– Mój przyjaciel z roku, a twój wnuk, coś tam opowiadał. – Omar uklonił się kozakowi.

– Alchemicy szukali mnóstwa rzeczy. Najbardziej znana jest oczywiście czerwona tynktura, czyli kamień filozoficzny. Substancja, która zmieniała ołów w złoto. Była też biała tynktura, to samo w zasadzie, ale o słabszej mocy. Przemieniała ołów w srebro. Ponadto szukali panaceum, czyli leku na wszelkie choroby. Usiłowali uzyskać alkahest, uniwersalny rozpuszczalnik wszystkiego. Wieczny płomień, który płonie bez zasilania. Wodę, która nie moczy rąk. Oraz pieniądź ostateczny, będący uniwersalnym ucieleśnieniem samej idei pieniądza – wyjaśnił Jakub. – Gadałem o tym jeszcze przed wojną z żydowskim mędrce z Chełma. Twierdził, że w zasadzie alchemików można podzielić na dwie grupy. Wybitnych uczonych, którzy uczciwie i w szlachetnym trudzie dążyli do uzyskania poszukiwanych substancji, i cynicznych oszustów, którzy tylko udawali alchemików, żeby orżnąć sponsorów badań i ulotnić się z kasą.

– W niemieckim mieście Gross-Sachsenheim niemiaszki mieli nawet specjalną żelazną szubienicę przeznaczoną do wieszania alchemików oszustów – pochwalił się wiedzą kozak. – Czytałem o tym w książkach tego grafomana Pilipiuka.

– Jak znam życie, prawdziwych alchemików było niewiele, za to oszustów na pęczki – odgadł gospodarz, dolewając kawy do szklanek i nalewki do kielonków.

– Tak, ale mówią, że nie ma reguły bez wyjątku. W szlachetnym gronie uczonych pojawiła się raz czarna owca. No, może trochę przesadziłem. Nie czarna, ale raczej zielona. I wesołe różowe kropki. Hans Schäker.

– Schäker to po waszemu Zgrywus? – upewnił się Omar.

– Taaa... Nie powiem, zdolniacha, ale niestety, pewna skaza charakteru sprawiała, że bardziej od odkryć, pieniędzy, złota i zaszczytów cenił sobie dobrą zabawę i robienie złych ludzi

w balona. Sam nie był przy tym człowiekiem złym, zazwyczaj jego żarty okazywały się dokuczliwe, ale niegroźne. Bywało jednak, że alchemików, tych prawdziwych, szlachetnych uczonych, wynajmowali różni władcy, którzy prywatnie byli nikczemnikami. No i wobec takich ludzi podłych i chciwych Hans Zgrywus stosował cały arsenał alchemicznych psikusów. Co najważniejsze, historycy twierdzą, że swoją wiedzę zdobył tu, w Stambule – dokończył Jakub. Przelał zawartość kieliszka do filiżanki, zabełtał i pociągnął łyk. – Ha! – mruknął. – Od razu inny smak.

– Zatem twój plan zakłada, że trzeba odnaleźć ludzi, którzy tu, w Stambule, zajmują się alchemią, sprawdzić, czy posiadają w swoim arsenale odpowiednie odczynniki, kupić, wyłudzić lub skonfiskować im co trzeba, po czym przeprowadzić alchemiczną operację przemiany złota w ołów – podsumował kozak.

– Szczerze powiedziawszy, nie słyszałem nigdy, żeby ktoś w moim mieście uprawiał alchemię – bąknął Omar. – Wydawało mi się zawsze, że to pseudonauka, która zanikła wraz z rozwojem chemii i fizyki.

– Wielu tak myślało, co więcej, niejeden na to liczył. – Jakub uśmiechnął się drapieżnie.

– Tylko jak to zrobić? – zafrasował się gospodarz. – Popytałbym znajomych, ale boję się, że mnie wyśmieją.

– Macie tu taki duży, stary bazar. Tam zaczniemy.

– Bazar? Tak po prostu pójdziemy na bazar i zapytamy o kamień antyfilozoficzny!? Proszę się nie obrazić, ale to brzmi idiotycznie.

– Na świecie są miliony targowisk. Te zwykle to po prostu ludzie, którzy sprzedają i kupują. Ale bazyry istniejące kilkadziesiąt czy kilkaset lat to już inna para kaloszy. Taki bazar, obrosły tradycją, z czasem uzyskuje strukturę warstwową – pouczał Jakub. – To, co widać, jest najwyższą warstwą. Legalny lub półlegalny towar, sprzedawcy, naganiacze klientów. Głębsza warstwa to towar, który już legalny nie jest, i ludzie, którzy nim obracają. Broń, narkotyki, nielegalny alkohol, różne rzeczy kradzione albo przeschmuglowane.

A pod tym wszystkim jest jeszcze układ nerwowy i system immunologiczny.

– Skąd u ciebie tak uczone określenia!? – zdumiał się Semen.

– A to już twoja wina. Bez przerwy nawijasz różne fikuśne słowa, musiałem się przystosować, żeby rozumieć, co w ogóle do mnie gadasz. I jeszcze mnie zmuszasz, żebym oglądał jakieś nudziarstwa w telewizji – burknął Jakub. – W każdym razie, gdy na bazar zachodzą normalni klienci, wciska im się rozmaite barachło. Czasem trafiają się ludzie, którzy szukają specyficznych towarów i usług, im też zapewnia się w miarę możliwości pełny serwis. Ale czasem... hmmm... Wyobraźcie sobie, że przy ulu pojawiają się szerszenie. Kilka szerszeni może zlikwidować nawet cały ul, zabijając po kolei pszczoły, ale bywa i tak, że obrońcy rzucają się całą chmarą, żeby rozszarpać napastników, dźgają bandytów żądlami, aż ich pokonają. A jeśli taki drań wedrze się do ula, otaczają go jak kulą i machają skrzydełkami, aż temperatura wzrośnie na tyle, że agresor się wykończy. I bazar działa podobnie.

– Rozumiem – mruknął Omar. – A właściwie to nie rozumiem. Do której warstwy bazaru planujemy dotrzeć?

– No, tak zasadniczo to nie wiem. Musimy złapać kontakt z bazarową arystokracją, ale musimy to zrobić na tyle delikatnie, żeby nie sprowokować reakcji obronnej.



Grand Bazar wyglądał ni to jak małe miasteczko, ni to jak hala targowa. Kramy i sklepiki tworzyły długie pasaże. Nad wszystkim znajdowały się łukowate przesklepienia. Cała trójka wkroczyła do środka główną bramą i wmieszała się w kolorowy tłumek turystów.

– Coś podobnego... – Jakub rozglądał się wokoło. – Tak tanich dresików Adidasa jeszcze nie widziałem. Może moda się skończyła i trwa rozpaczliwa wyprzedaż?

– Ceny są niskie, bo cały ten towar to podróbki z Chin. – Semen wykazał się większą dozą realizmu.

– To w Chinach też są dresiarze? – zdumiał się Wędrowycz.

– A po co ci właściwie dres? – zirytował się kozak. – Chcesz w kościele elegancko wyglądać, to sobie kufajkę wyprasuj.

Przeszli się kilkoma uliczkami.

– Ładnie tu, egzotycznie, rzekłbym, ale do warszawskiego bazaru Różyckiego czy bazaru na Polnej to temu jednak daleko – mruknął egzorcysta. – Mam na myśli oczywiście nasze bazary w najlepszych latach.

– Chyba nie złapiemy tu żadnego użytecznego kontaktu – zauważył trzeźwo kozak. – Za nowocześnie tu, zbyt czysto.

– No właśnie. Nie chciałbym być niedelikatny – mruknął Omar – ale czy jest sens tu buszować? Znam to miejsce, bywałem tu nieraz. Może niezbyt często, bo i po co? To tak bardziej atrakcja dla turystów z Europy. Można kupić podróbkę markowej torebki, coś z biżuterii albo kindżał, który wygląda nawet nieźle, jednak przyjechał z Chin... Ale obawiam się, że nie znajdziemy tu niczego przydatnego, nie złapiemy żadnego użytecznego kontaktu.

– Owszem, to, co widzimy, jest dla turystów – wszedł mu w słowo Jakub. – Ale to tylko fasada. Dekoracje dla frajerów. Prawdziwy bazar jest głębiej. Trzeba tylko znaleźć punkty stykowe. Hmm... może tutaj?

Przystanął. Pomiedzy dwoma sklepikami znajdował się kawałek ściany. Wpuszczono w nią niepozorne blaszane drzwiczki, ozdobione tabliczką z trupią czachą i piorunem.

– Transformatornia – przetłumaczył treść tabliczki Omar.

– Może tak, a może i nie. – Jakub wyciągnął zza kołnierzyka kobietą wsuwkę do włosów, zapuścił ją w dziurkę od klucza i przez chwilę majstrował. Zamek cicho szczękął.

– A jeśli to naprawdę transformatornia? – zaniepokoił się kozak.

– No to nas prąd trzepnie, bo to pierwszy raz?

Zgrzytnęły zawiasy i znaleźli się w wąskim, słabo oświetlonym korytarzyku biegnącym pomiędzy ścianami obu sklepów.

Zatrzasnęli za sobą drzwi i ruszyli przed siebie.

– O krucafuks! – zaklął po góralsku ich turecki towarzysz. – To niemożliwe!

Znaleźli się na uliczce podobnej do wcześniej zwiedzanych, ale węższej, brudniejszej i bardziej zatłoczonej. Trotuarami przewalały się tłumy groźnie wyglądających brodatych dziadów w galabijach. Spod fezów połyskiwały czarne, okrutne oczy. Za pasami mieli zatknięte groźnie wyglądające kindżały. Towarzyszące im kobiety odziane były w burki. Wszystkie szyldy na sklepikach i warsztacikach wymalowano arabskimi robaczkami. Na małym placu tańczyło kilku derwiszy.

– No i wreszcie kawałek prawdziwej, starej Turcji. – Semen uśmiechnął się do swoich wspomnień.

– To niemożliwe – powtórzył skołowany Omar. – Może film tu kręcą czy co?

– A co, nie spodziewałeś się, że gdzieś jeszcze przetrwały podobne miejsca? – Jakub dał mu przyjacielską sójkę w bok. – Ale to jeszcze nie to, o co chodzi. Szukamy głębszej warstwy.

– O mamuniu... Ja już chyba nie chcę. – Ich towarzysz wyglądał na wystraszonego.

– Czego się boisz? To już nie ci Turcy, co w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim – mruknął z politowaniem Semen. – Pamiętam pod Plewną, generał Hurko uniósł szablę, poszliśmy ławą, a naprzeciw nas dwadzieścia tysięcy...

– Tutaj – przerwał mu Jakub.

Jeden z kramików świecił pustką. Tylko na podłodze wśród kotów kurzu poniewierało się kilka par starych żelaznych okowów. Łańcuchy były solidnie nadgryzione przez korozję.

Kozak omiótł rękawem pajęczyny i odcyfrował pordzewiały szyld:

– Niewolnicy i niewolnice, chwilowo brak towaru, czekamy na dostawę.

– Suuuper – skwitował jego przyjaciel. A potem złapał za jeden z łańcuchów i podniósł klapę wpuszczoną w podłogę kramu.

Ich oczom ukazały się wąskie schodki.

– Ja... – bąknął Omar – chyba mam klaustrofobię.

– To zostań tutaj na czatach – zaproponował egzorcysta. – Jeśli nie wrócimy w ciągu sześciu godzin, będzie znaczyło, że nas tam zaciukali. Albo my ich.



Dolny poziom przypominał nieco górny, tylko brodate dziadygi patrzyły bardziej spode łba. Najbliższe stoisko wyglądało na kram z przyprawami, ale zamiast kardamonu, imbiru czy cynamonu eksponowano marihuanę, haszysz, opium i afgańską heroinę. Egzorcysta użył mocy i zrobił skan otoczenia.

– Chrześcijanom wstęp wzbroniony – burknął jakiś rosły typek, który za pasem miał nie jeden, ale trzy kindżały.

Jakub w odpowiedzi rąbnął telepatycznie taką wiąchę międzynarodowych przekleństw, że Turek aż przysiadł z wrażenia.

– Panowie pozwolą przodem – wykrztusił, wykonując łapą zachęcający gest.

– Szukam alchemika – rzucił Wędrowycz. – Najlepszego, jakiego tu macie.

– Alchemia to była oszukańcza pseudonauka od dawna... – zaczął ochroniarz. – To znaczy, ale niech to zostanie między nami...

– Zapewniamy pełną dyskrecję.

– Druga alejka w lewo, trzeci kram.

Ruszyli między coraz dziwniejszymi stoiskami. Można tu było nabyć różności. Antyczną broń, manuskrypty, trucizny i zatrute noże. Wreszcie stanęli przed kramikiem, który wyglądał trochę jak bimbrownia, a trochę jak chatka zielarki. Za ladą siedział brodaty starzec w wypłowiałym fezie na głowie.

– Już mnie powiadomiono, że szukacie alchemika – odezwał się w międzynarodowym bimbrowniczym esperanto. – Czym możemy służyć?

- Przybyliśmy do Stambułu, gdyż jesteśmy wędrownymi poszukiwaczami prawdy, mądrości i wiedzy. Zapragnęliśmy zaczerpnąć oświecenia ex oriente lux – nawijał Jakub, a telepatia usłużnie przekładała jego słowa na turecki, aż mu z uszu parowało.
- Konkretnie: potrzebuję trochę szarej tynktury, takiej samej, jaką posługiwał się wasz uczeń Hans Schäker, zwany Zgrywusem.
- Nie szafujemy naszymi dekoktami na prawo i lewo. Jesteście alchemikami? – Brodacz łypnął na nich surowo i podejrzliwie. – Nie wyglądacie.
- Szlachetna sztuka produkcji najdoskonalszego samogonu, którą uprawiamy, ma niewątpliwie bardzo wiele z prawdziwej alchemii – odparł z godnością Wędrowycz.
- Jakoś nie jestem przekonany – skrzywił się gospodarz.
- To może sam pan oceń. – Jakub wyłowił zza pazuchy piersiówkę z najlepszym produktem.





Zgrzytnęło i kłapa do podziemi uniosła się. Jakub i Semen wyszli z lochów. Omar na ich widok omal nie popłakał się ze wzruszenia.

– Już myślałem, że przepadliście – wykrztusił.

– Mamy to. – Egzorcysta pokazał mu fiolkę szarego proszku. – Oto najgroźniejsza broń na świecie. Jak już wspomniałem, Hans Zgrywus przeciw złym władcom stosował alchemiczne psikusy. Ale wobec tych, którzy skrzywdzili jego kolegów po fachu, używał broni po prostu straszliwej. Kamienia fizjologicznego.

– Hmmm... I jakie było działanie tej substancji? – Omar łypnął podejrzliwie na fiolkę w jego ręce.

– Metal, którego dotknęła, zamieniał się w łajno. Plan jest taki. Włamujemy się do tego ruskiego magazynu. A w zasadzie nawet nie musimy się włamywać. Rozpylamy tam przez dziurkę w suficie alchemiczny roztwór. Kamień fizjologiczny rozpuszczony w alkoholu. Dwadzieścia minut i na dole nie ma żadnego złota. Nie tylko tracą wszystko to, co tam skitrali, ale w dodatku nie będą mieli za co kupić podzespołów, które chcieli przemycić za morze. Jeśli potrzebowali ich na wojnę, to zepsujemy im ofensywę, albo i kilka. Jeśli używali w bardziej pokojowych dziedzinach gospodarki, przyprawimy ich o miliardowe straty.

– Brzmi dobrze. Aprobuję ten plan. Tylko czy to bezpieczne?

– Poza falą smrodu nic nam nie grozi.

Złapali taksówkę i po półgodzinie byli już w kawiarni.



U Omara w lodówce znalazła się flaszka dobrze schłodzonej wódki. Obaj starcy najpierw bardzo sumiennie sprawdzili, czy alkohol jest wystarczająco dobrej jakości. Teoretycznie gorzałka była markowa, a nakrętka nawet zabezpieczona hologramem, ale Semen wyczuł

w niej jednak jakiś fałszywy posmak. Sprawa była niepokojąca i wymagała dalszych badań. Na szczęście znalazła się jeszcze jedna butelka. Wędrowycz przesypał do środka zawartość fiolki. Alkohol nabrał leciutko błękitnawej barwy.

– Hy! Całkiem jak denaturat!?! – zdziwił się Omar, który zapewne zetknął się z tym napojem, gdy studiował w Warszawie.

– Faktycznie, trochę podobne – zgodził się Jakub. – Potrzebowałbym tego zraszacza, którym podlewasz palmy w ogródku.

Kilka minut później skierował dyszę przez otwór i odpalił urządzenie. Pomieszczenie piętro niżej powoli zasnęła szarobłękitna mgła.

Przez jakiś kwadrans nic się nie działo. Omar był już pewien, że alchemicy wystrychnęli staruszków na dudków, gdy nieoczekiwanie złowił nosem jakiś paskudny zapaszek. Przez chwilę nawet podejrzewał, że to któryś z gości cichaczem puścił bąka, gdy rozległ się rumor odpadających desek. Najwyraźniej puściły gwoździe i zamki spajające skrzynie do kupy. Przez moment w tumanach mgły majaczyły żeliwne sztaby, naznaczone jaśniejszymi prostokątami złota, ale nagle przez otwór, w którym zniknął kabel, buchnęło wonią szamba. Smród był porażający. Oczy obserwatorów zasły łzami. Pospieszenie zatkali dziurę. Z zewnątrz też zajechało oborą. Zatrzasnęli okna i drzwi, a gospodarz puścił klimatyzację na pełną moc. Po chwili było już czym oddychać.

– To chyba działa – zauważył Semen. – Ale czemu śmierdzi aż tak potwornie?

– Tego nie wiem – zadumał się Jakub. – Pewnie po prostu dużo się tam tego zebrało. Tynktura najwyraźniej trawi różne metale, sami widzieliście, że gwoździe i zawiasy skrzyń puściły. Czyli załatwi nie tylko złoto, ale też te bloki żeliwa.

– Czy ta mała fiolka wystarczy, żeby przeżreć całe tony metali? – zaniepokoił się Semen.

– Nie wiem, nie jestem chemikiem. Ani fizykiem. Alchemikiem w sumie też nie...

– Skoro ta substancja niszczy też żelazo, to zaraz będzie zabawa – mruknął Omar. – Drzwi pomiędzy magazynem a kanciapą, gdzie siedzą strażnicy, są zrobione ze stali. Ciekawe, co ruscy powiedzą, gdy na ich oczach rozplyną się w krwi placek...

Jakub i Semen nie odpowiedzieli, tylko ryknęli upiornym szyderczym śmiechem. Zjedli kolację, choć zapachy z dołu odbierały trochę apetyt. Strażnicy magazynu chyba mocno przeżyli utratę drzwi i zasobów złota, bo wymyślne wiąchy rosyjskich przekleństw przenikły nawet przez beton.

– Dawno nie byłem nad Wołgą. – Zasłuchany kozak westchnął, ocierając łzę wzruszenia. – A słyszę, że od mojej ostatniej wizyty masę nowych słów wymyślono.



Była mniej więcej trzecia w nocy, gdy obudziły ich jakieś odgłosy. Dobiegały zza okna. Najpierw rozległ się hurkot przesuwanej bramy, zgasły silniki jakichś aut, trzasnęły drzwiczki. Ktoś wyszczekał na jednym oddechu długi meldunek. Słów nie dało się rozróżnić, ale w odpowiedzi padło ostre „mać!”. Potem uszy obu starców wychwyciły nowe odgłosy – tym razem dobiegające spod podłogi. Najpierw rozległy się wiąchy przekleństw, od których aż pomarszczył się beton. Zaraz potem ciszę nocną rozdarło kilka huków. Dźwięki, choć przytłumione, brzmiały dość charakterystycznie.

– Ktoś strzela – zauważył Semen.

– Rewolwer nagant chyba...

– Myślę, że to raczej makarow – pokręcił głową Korczaszko. – Myślę, że strażnicy, jak im drzwi rozpuściło, zadzwonili gdzie trzeba. Zdaje się, że ktoś z ambasady pofatygował się sprawdzić, jaki jest stan depozytu, i bardzo się zdenerwował.

Rozległo się nerwowe pukanie do drzwi pokoju. Uchylili. Omar chyba dopiero wyskoczył z łóżka.

– Słyszeliście, panowie? To chyba egzekucja naszych sąsiadów.

– Zapewne tak, ale nie będziemy płakać nad agentami FSB. – Wędrowycz wzruszył ramionami. – Pilnowali złota, nie upilnowali, tak to bywa. Kto chce być szpiegiem, musi się liczyć, że wcześniej czy później dostanie kulkę. Zwłaszcza w krajach totalitarnych.

– Uchylmy ciut-ciut roletę i popatrzymy ostrożnie przez okno – zaproponował Semen. – Tylko może bez zapalania światła.

Gospodarz i goście przywarli nosami do szyby i obserwowali, co dzieje się na podwórzu. A działo się sporo. Jacyś kolesie w garniturach i ciemnych okularach najpierw wywlekli kilka par noszy z truposzami i zapakowali je do furgonetki. Potem przez bite dwie godziny wynosili z wnętrza magazynu wiadra łajna i wylewali je do studzienki kanalizacyjnej. Później szpiedzy przez jakiś czas deliberowali przyciszonymi głosami, z czego echo przyniosło tylko fragmenty przekleństw. Wreszcie nakryli studzienkę żeliwną klapą, zamknęli wrota magazynu na kłódkę, zapakowali się do pojazdów i odjechali.

– Jakub... – zagadnął Semen.

– Taaa?

– Powiedz no mi taką rzecz. Złoto zamieniło się w obornik. Ale czy ten proces dałoby się jakoś odwrócić? Nie mówię, żeby od razu dużo, ale tak kilogram albo dwa...

– Hmm... – zadumał się egzorcysta, patrząc na klapę. – Nie, nie wydaje mi się. Magia to magia. Zmieniasz człowieka w świnię, potem odczarowujesz i znów jest człowiekiem. Jak używasz magii, to możesz zapomnieć o takich duperelach jak prawo zachowania materii, grawitacja, ekonomia krain fantasy, powierzchnia nośna skrzydeł smoków czy pegazów. Natomiast alchemia ma swoje ograniczenia, wynikające z tego, że jest już częściowo nauką. Transmutacja metali to prawie fizyka jądrowa. Rozbijasz atom na kilka mniejszych albo mniejsze jądra atomowe sklejasz w większe. Wydziela się energia i promieniowanie. Jak przy wybuchu atomówki, tylko mniej.

– Promieniowanie – zafrasował się Omar.

– Dlatego alchemicy, którzy zdołali uzyskać kamień filozoficzny i posiadli sztukę przemiany ołowiu w złoto, przeważnie nie żyli zbyt długo. To jak Czarnobyl... Tylko na raty.

– Mówiłeś, że to całkowicie bezpieczne!

– Nie martw się, magazyn, jak zauważył mój przyjaciel Semen, ma dach wyklepany z ołowianej blachy. Promienie w tym ugrzęzły, więc nam nie zagroziły. Tak czy siak, zaprowadziliśmy tu trochę porządku. A co do samego procesu przemiany, nie ma już odwrotu. Ze złotem jest jak z Bardakami. Co obróciło się w łajno, zawsze już pozostanie łajnem.

Burzowa kuchnia



Burza oddalała się, ale deszcz nadal siekł bez litości. Zimne krople wybijały werble na czole nieprzytomnego człowieka. Wreszcie powieki drgnęły. Zamarły, a po chwili drgnęły jeszcze raz. Sebastian Buk otworzył jedno oko. Jęknął cicho. Bolało go całe ciało, ale najbardziej żebra. Uniósł dłoń. Palce drżały jak w febrze. Obmacał klatkę piersiową. Wyglądało na to, że kości nie są połamane, ale dotyk sprawiał ból. Kojarzył jak przez mgłę, że świecąca bestia uderzyła go barkiem, a potem potelepało go prądem, i to naprawdę mocno.

„Po porażeniu trzeba ofiarę zakopać w ziemi” – gdzieś z głębin pamięci napłynęły słowa jednego z krewniaków.

Potrząsnął głową. Przeczesał palcami brodę, próbując usunąć z niej choć część błota. Przed oczami nadal latały mu powidoki. I te od pioruna, i te, których nabawił się podczas zderzenia z bydlęciem. Miał tylko nadzieję, że wzrok nie został trwale uszkodzony. Namacał w kieszeni latarkę. O dziwo, działała. Powoli dźwignął się na nogi, otarł ciemną kroplę wody i założył znajdomą w kałuży wyswinioną czapkę. Była mokra, podobnie jak reszta ubrania. Przyjrzał się śladom łap odbitym w błocie. Spróbował zmierzyć ich wielkość, przykładając rozczapierzone palce. Nie starczyło. Poczłł chłodny pot na karku. Rozejrzał się z obawą, ale na szczęście drzewa i ruina kaplicy stały ciemne, mokre i milczące. Potwora nie było nigdzie widać.

Sebastian Buk, zataczając się i posyając z bólu, podszedł do wędzarni. Drzwiczki, prawie wyrwane, kołysały się na jednym

wygiętym zawiasie. Zaświecił do środka. Złowił nosem nutkę bardzo ciekawego zapachu, a potem zaklął cicho, acz siarczyście. Co najmniej połowa wsadu znikła. Długo kontemplował puste druty oraz nieliczne szynki i pętka kiełbasy wiszące na hakach. Na ziemi wały się jakieś niedojedzone resztki.

– Takie buuuty – mruknął. – Głupi byłem, nie pomyślałem o skobelku czy choćby najgłupszym haczyku z drutu.

Zagryzł wargi i wystawił twarz na siekący deszcz. Powoli doszedł do siebie.

Po pierwsze, zatrzeć ślady! – rozkazał sobie w duchu. Po drugie, uratować, co jeszcze da się ocalić. Po trzecie... Spojrzał na stratowaną glebę. To, co się stało, to moja wina. Muszę... Muszę kropnąć to bydlę, zanim kogoś rozszarpie!

Odszukał auto i podjechał bliżej. Poprzenosił wędliny, posprzątał odpadki, zakopał ochłapy. Na koniec usunął najcięższe elementy konstrukcji. Nim wstał świt, tylko wypalony w trawie kwadrat świadczył, że nocą wydarzyło się w tym miejscu coś dziwnego.



Jakub koniuszkiem gumofilca pieszczotliwie pchnął drzwi knajpy. Semen namacał w kieszeni pieniądze. Podeszli do lady. Barman był akurat zajęty – płukał kufle. Egzorcysta powiódł zadumany spojrzeniem po obskurnym wnętrzu lokalu. Chwilę kontemplował spękane tynki i lamperie namalowane farbą olejną burego koloru. Jego spojrzenie ciężko omiotło stoliki, przy których zasiadło kilkunastu przedstawicieli klanu Bardaków.

– Czasem mam wrażenie, że jesteśmy jako te kwiaty na lotosie jeziora – powiedział w zadumie. – Nieskazitelnie białe, nietknięte brudem tego świata, dumnie unoszące się nad powierzchnią nawet najgorszego ludzkiego ścieku. – Łypnął w stronę wrogów.

– Ładnie powiedziane, ale chyba trochę przesadzasz. – Kumpel delikatnie próbował sprowadzić go na ziemię.

– Białe...? – Barman uniósł głowę znad zlewu i zmarszczył czoło. – Że niby dziś stolik papierowym obrusem wam nakryć czy jak?

– Te lotosy to w przenośnym sensie, rzecz jasna. – Egzorcysta chyba chciał coś wyjaśnić, ale zagmatwał sprawę do reszty.

Barman, sięgając po gąbkę i płyn do mycia szkła, pytająco zerknął na Semenę.

– Mojemu przyjacielowi chodziło o to, że chociaż wchodzimy do knajpy pełnej elementu lumpenwioskowego, zachowujemy swoistą autonomiczną wyższość moralną. Moim zdaniem myli się, nie jesteśmy ani specjalnie lepsi, ani szczególnie gorsi od tego tu pospólstwa. A zwłaszcza nie jesteśmy bardziej czyści, ani fizycznie, ani moralnie. Obrusem, rzecz jasna, proszę sobie głowy nie zawracać. Oczekujemy jedynie, żeby poziom trunku sięgał kreski wygrawerowanej na kuflu. A najlepiej, gdyby ją tak ciut-ciut przekraczał.

– Siem wie... Zaraz nalewam – mruknął barman i wrócił do płukania.

Ktoś wrzucił monetę i telewizor ożył. Na ekranie pojawiła się drobna ruda kobietka, trajkocząca jak karabin maszynowy. Obaj starcy kojarzyli ją z widzenia. Zatrudniona niedawno w lokalnej telewizji, musiała być bardzo spragniona awansu, bo ganiała po powiecie jak kot z pęcherzem, szukając wszelkich możliwych tematów i regularnie wtykając nos w nie swoje sprawy.

– Wyszczekana jak mały, zajadły piesek – burknął Izydor, a Jakub z niejakim zdumieniem musiał przyznać wrogowi rację.

– Do szeregu niepokojących zjawisk doszło na południu powiatu chełmskiego. Od dobrego tygodnia w gminie Leśniowice i na południowych obrzeżach Chełma zachodzi cała seria głęboko tajemniczych zdarzeń. Ludziom regularnie ginie inwentarz. W lesie znajdowane są szczątki zwierzyny dzikiej. Kilkoro mieszkańców dokonywało obserwacji niezidentyfikowanej bestii. W dniu wczorajszym nasza fotopułapka umieszczona w lesie zarejestrowała dziwne zwierzę. O komentarz poprosimy pana eksperta

z nadleśnictwa. – Dziewczyna wyrzuciła z siebie tych kilka zdań na jednym wydechu.

Kamera pojechała w bok i pokazała mężczyznę w mundurze leśnika. Stał na tle drzew. W dłoni trzymał niezbyt wyraźne zdjęcie.

– Moim zdaniem zarejestrowane zwierzę to zwykły rottweiler – powiedział spokojnym i rzeczowym tonem. – Niestety, niektórzy z okolicznych mieszkańców nie przywiązują właściwej wagi do zabezpieczenia kojców i zdarza się, że psy z ich obejść uciekają. Prowadzi to, rzecz jasna, do szeregu niekorzystnych zjawisk, jak na przykład płoszenia dzikich zwierząt i ptactwa.

– Twierdzi pan, że to zwykły pies? – Babka wsiadła na niego bezceremonialnie. – Przecież na zdjęciu widać, że był nieomal wielkości krowy!

– Na pierwszy rzut oka faktycznie można tak pomyśleć. Proszę jednak zwrócić uwagę, że zdjęcie wykonano wczesnym rankiem, gdy znad okolicznych łąk wstawały mgły. W tej sytuacji nietrudno o złudzenie optyczne podobne do opisanego w pracach o perspektywie spisanych przez naszego wielkiego średniowiecznego uczonego Vitelona. Myślę, że to zupełnie zwykły pies, całkowicie naturalnej wielkości. Powiększył go wyłącznie skrót perspektywiczny. A drobinki wody w powietrzu zadziałały jak soczewka i tym samym spotęgowały złudzenie. Naprawdę nie widzę powodu, żeby robić z tego sensację.

– Koło Wieży Ariańskiej w miejscowości Krynica znaleziono szczątki sarny. Konkretnie: głowę z resztkami szyi i jedną nogę...

– To także nic nadzwyczajnego i raczej nie wiązałbym tego w żaden sposób z obserwowanym rottweilerem. – Leśnik wyglądał na zdrowo poirytowanego. – Pies, nawet słusznych rozmiarów, nie dałby rady pożreć tak dużego zwierzęcia. Zresztą to już sąsiedni powiat.

– Jak zatem pan to wyjaśni?

– Wilki, proszę pani. I to cała wataha. Cztery do siedmiu sztuk.

– W dzisiejszych czasach? – zdumiała się.

– Przecież nie wymarły. – Leśnik chyba się zirytował. – W naszych lasach to wprawdzie ogromna rzadkość, ale zdarza się, że samotne sztuki, a nawet niewielkie stada przemieszczają się przez te tereny. To naturalne migracje. Zbliża się lato, zwierzęta ciągną na południe, ku Lasom Janowskim i pozostałym kompleksom Puszczy Solskiej. A że głodne, wychudzone po zimie, no cóż, osaczyły i schrupały sarenkę. Nie ma w tym nic niezwykłego. Dzika przyroda rządzi się swoimi nomen omen wilczymi prawami.

Obaj starcy odebrali napełnione kufle i pożeglowali do swojego ulubionego stolika. Stuknęli się i pociągnęli po łyku.

– Wilki? Co dziś ludzie wiedzą o wilkach? – nad gwar rozmów wybił się ochryply bas Izydora Bardaka. – Kiedyś lasy były pełne tego krwiożerczego i zębatego draństwa, w pierwszą wojnę się namnożyło, a w drugą to już w ogóle. Pamiętam, w latach młodości robiliśmy dowcipas taki... Jak kto ubił wilka, wycinało się kawałek świeżej skóry i przybijało nielubianemu sąsiadowi pod wozem. Chciał zaprzęgać, a tu figę! Koń czuł zapach bestii, wierzgał, stawał dęba.

Członkowie klanu zarechotali zgodnie.

– Tak było – westchnął Jakub. – Pamiętam jak dziś... Ten łachmyta zapomniał tylko dodać, że to ja te skóry przybijałem. W dodatku do furmanki jego ojca. Zresztą wycinało się też inne numery. Niewypałów były pełne lasy, szedł człowiek jak na grzyby. Granaty się zbierało i amunicję. Nie to, co teraz. Nie musiał człowiek oszczędzać.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Byli przy trzecim kufelku, gdy w telewizji znów pojawiła się migawka z okolic Chełma. Ruda dziunia ewidentnie nagrywała reportaż z tamtej okolicy, a teraz dopadła i osaczyła jakiegoś garniturowca.

– Panie Kwiatkowski, co pan, jako reprezentant władz powiatu, ma do powiedzenia zaniepokojonemu społeczeństwu? – Natarła na urzędnika jak wściekła osa.

– Pragnę wszystkich uspokoić. Władza uważnie analizuje doniesienia z gmin Kamień i Leśniowice. W ciągu ostatnich czterech

dni mieliśmy kilka doniesień o błakającym się bezpańskim psie monstu... to znaczy słusznych rozmiarów. Został wstępnie zidentyfikowany, to prawdopodobnie rottweiler o imieniu Azorek, zbiegły z posesji pewnej miłej starszej pani. Zasadniczo raczej niegroźny. Przekazaliśmy prośbę ekopatrolowi straży miejskiej z Chełma, obiecali wszelką możliwą pomoc. Schwytemy go, przebadamy i zwrócimy właścicielce albo trafi do schroniska.

– Czyli neguje pan doniesienia, że zagadkowa bestia rozszarpała w ciągu kilku nocy szereg zwierząt dzikich i przetrzebiła zwierzęta gospodarskie.

– Przesadza pani, i to grubo, z tym przetrzebieniem. – Mężczyzna skrzywił się ironicznie. – Zagryzienia sarny, zaginięcia trzech kóz i owcy nie wiążemy raczej z tą sprawą. W gminie Leśniowice i, patrząc szerzej, w naszym powiecie nic się nie dzieje. Doniesienia od naszych sąsiadów z powiatu krasnostawskiego są raczej enigmatyczne. Ja w każdym razie nie widzę związku. A gdyby nawet coś się działo, władza trzyma rękę na pulsie. Powtórzę: nic nie wskazuje na występowanie zagrożeń dla ludności. Podkreślę z całą mocą, że władze gminne i powiatowe nad wszystkim czuwają. Tajemnicza bestia to wymysł nieodpowiedzialnych dziennikarzy. Ludzi, którzy w pogoni za wierszówką z igły robią widły, wszędzie wietrzą sensację. Kosmitów lepiej poszukajcie albo duchów. W ruinach zamku w Sielcu podobno znów widziano białą damę.

– A sprawa ogłuszonych ryb w stawach hodowlanych i w jeziorze?

– To też nie u nas. Proszę pytać u sołtysa we wsi Krupe. Kłusownictwo to jedna z plag społecznych. Policja i straż pożarna współpracują nad ustaleniem sprawców i eliminacją zjawiska. Uprzedzając pani pytanie, psy nie łowią ani nie jedzą ryb. W szczególności psy, niezależnie od rasy, nie głuszą ryb elektrycznością. Powtórzę: nie ma żadnych bestii, to tylko plotki, bzdury, pomysły i fakty prasowe.

– Ten facet ma minę, jakby wiedział znacznie więcej, niż chce powiedzieć – mruknął Semen, zadumany.

– Ale to chyba dobrze, jak władza dużo wie? – Jakub poskrobał się po głowie. – Z drugiej strony lepiej, żeby organa ścigania i urzędnicy nie wiedzieli wszystkiego. To znaczy Bardaków niech sobie szpiegują do woli, nadzór nad tym tałatajstwem to wręcz obowiązek! Ale od nas wara!

– O czym to ja...? – zadumał się kozak. – A tak... Jeszcze po kufelku?

– Taa... I chyba właśnie do nas idą – mruknął egzorcysta.

– Panowie pozwolą, że się dosiadę? – Przy stoliku stanął mężczyzna w garniturze. W jednej ręce trzymał dwa świeżutko nalane litrowe kufle. W drugiej podobny kufel, tylko pusty, i dwie butelki bezalkoholowego.

– Siadaj pan. – Kozak wskazał wolne krzesło.

Łypnął okiem w telewizor. Reportaż już się skończył i wyświetlano akurat reklamę pasty do zębów, ale i tak od razu rozpoznał, że przybysz był tym samym kołesiem, który dopiero co przemawiał z ekranu.

– Jerzy jestem – przedstawił się gość.

Wymienili swoje imiona.

– Ludzkość zabrnęła oto w ślepą uliczkę rozwoju – westchnął egzorcysta, patrząc z obrzydzeniem, jak przybysz przelewa zawartość butelek do swojego kufla. – Mądrzy ludzie ostrzegali, że nadchodzi czas upadku obyczajów. I oto właśnie my staliśmy się tego upadku świadkami. A wszystkiemu winne te cholerne samochody!

– Co masz na myśli? – Jego przyjaciel łypnął badawczo, a gość uśmiechnął się pytająco.

– Z tą masową motoryzacją... To jest przegięcie. Kiedyś ludzie szli z buta albo jechali pekaesem. A teraz dobrobyt wzrósł niepokojąco i wszędzie śmigają własnymi autami. A że za kółkiem trzeba być trzeźwym, to piwo piją bez procentów. Najpierw ta marna podróba była tylko w sklepach, teraz wciska się do naszej ulubionej knajpy, a co będzie w przyszłości? Co zrobimy, gdy ten podły zajzajer wedrze się do naszych chałup!? A jakby tego było mało, przez te cholerne auta jeszcze demografia siadła!

– Chce pan powiedzieć, że motoryzacja zaszkodziła przyrostowi naturalnemu!? – Przybysz zmarszczył czoło i odstawił puste butelki na parapet. – W sumie i w naszym powiecie mamy problem z dietnością...

– To proste – zaczął tłumaczyć Wędrowycz. – Wprawdzie dzięki autom chłopakom łatwiej uganiać się za dziewczynami, ale skutki uboczne są przerażające. Dawniej człowiek miał sześcioro czy ośmioro dzieci. Bez problemu upchnął na furmankę swoją babę i cały przychówek. A teraz?auta są czteroosobowe przeważnie. I jeszcze obowiązek fotelików wprowadzono. No to ludzie ograniczają swoją płodność, bo na tylnym siedzeniu maksymalnie trójka się zmieści.

– Pomędrkujesz potem – powiedział Semen. – Nie każmy czekać zleceniodawcy. Posłuchajmy, do czego jesteśmy potrzebni.

– Jeszcze nie powiedziałem, że to zlecenie przyjmiemy – fuknął Jakub.

Stuknęli się z przybyszem nad stołem.

– Nawet nie usłyszeliśmy, o co chodzi, a ty już jesteś na nie – burknął kozak. – Ja bym na twoim miejscu nie fikał wicestaroście, i to w sytuacji, gdy pofatygował się do nas osobiście.

– Oj tam, czemu sądzisz, że jestem na nie? Poza tym nie muszę niczego słuchać. Jeśli widzę przy naszym stoliku tego samego urzędnika, który dopiero co przekonywał wszystkich w telewizji, że nic się nie dzieje, to wiem, że jednak się dzieje. I że dzieją się naprawdę grube rzeczy, skoro zdecydowano się wynająć właśnie nas. No ale dobra... Proszę opowiedzieć, co pana sprowadza. Bo na razie wiemy tyle, że pies wielkości krowy terroryzuje kilka gmin, zagraża sąsiedniemu powiatowi, poluje na dziką zwierzynę, pożera ludziom chudobę, a w dodatku zjada karpie ze stawu. Zgadza się?

– Dokładnie tak – przyznał urzędnik. – Policja ani straż pożarna nie zdołali bestii wytropić. Straż miejska nawiązała kontakt wzrokowy z obiektem, ale uznali, że jego rozmiary przekraczają ich możliwości sprzętowe.

– A po ludzku? – poprosił kozak.

– Zobaczyli bydlę dwadzieścia razy większe, niż się spodziewali, więc spierniczyli w podskokach, a potem tłumaczyli się, że nie wiedzieli, jaka dawka środka usypiającego będzie potrzebna, ani nie mieli tak dużej klatki. Wojsko ma to i owo w swoim arsenale, ale trudno się z nimi dogadać. No i wolałbym zachować pewną dyskrecję.

– Czy on faktycznie jest wielkości krowy? – zapytał Semen.

– Ci z ekopatrolu oszacowali masę na jakieś sześćset do siedmiuset kilogramów. Ale to mi powiedzieli tak w cztery oczy, bo nie chcieli tego wpisać w żaden oficjalny protokół. Moim zdaniem przesadzają. Ten pies nie jest aż tak duży. Pół tony to maks.

– Czyli tylko my dwaj możemy uratować powiat, jego mieszkańców, kobiety, dzieci...

– Na razie to coś nie atakowało ludzi. Ale stanowi problem. A ja, jako gospodarz, chcę ten problem rozwiązać. W każdym razie polecono mi panów jako renomowanych specjalistów od likwidacji wszelkich paranormalnych kłopotów.

– Ten pies jest, eeee... paranormalny? – zdumiał się Jakub. – Fakt, psy wielkości krowy to raczej nieczęsty widok, ale po co od razu podejrzewać dotknięcie nienazwanego?

– To dlaczego jest taki wielki?

– To pewnie kwestia podatności genetycznej. Co jednemu organizmowi szkodzi, innemu pomaga. Wszystkiemu winne wielkie koncerny. Dawniej pies jadł odpadki ze stołu pana. Kończyło się golonkę, kość zrzucało na podłogę. Porządek w chałupie był i pies miał radochę. A teraz? Paskudzą paszę, czym mogą. Tyle w niej teraz antybiotyków, hormonów, białka i mąki ze świerszczy. Nie widzę nic dziwnego w tym, że się organizmy mogą od tego rozregulować. Najwyraźniej jeden ciasek był bardziej wrażliwy. Zaszkodziło mu i trochę urósł.

– Świeci w ciemności i razi prądem – uściślił przybysz. – Te ryby to też ewidentnie jego robota.

– No fakt, to już bardziej podejrzane. – Egzorcysta zatarł ręce. – Elektryczne psisko to brzmi jak początek jakiejś przygody, dlatego

bierzemy to zlecenie. Dopijmy i jedziemy. Tylko po drodze wpadniemy do mnie na pięć minut. Najważniejszy sprzęt mam zawsze przy sobie, ale zgarniemy jeszcze walizeczkę z wyposażeniem ekstraordynaryjnym.

– Najważniejszy...? – podchwycił gość.

– Wyposażenie pierwszej potrzeby. – Jakub odchylił połę kurtki, ukazując osikowy kołek i sierp wetknięte w wewnętrzne kieszenie.

– Rozumiem. Zatem jeszcze po jednym, czy może ruszamy od razu?

– Głupio odmawiać tak miłej propozycji, ale czas nagli. – Jakub westchnął boleśnie. – Napijemy się po robocie!

Nie minęło pół godziny, jak pruli autem Kwiatkowskiego na północ.



Zbliżał się wieczór. Nad łąkami snuły się języki przedwieczornych mgieł. Pola pokrywała zieleń pierwszych pędów zboża. Gawrony penetrowały przeorane bruzdy. Okolica tchnęła spokojem.

– W gminie Leśniowice byłem raczej dawno temu. – Jakub zmarszczył brwi. – Ale co nieco pamiętam. Rozwaliska zamku mieliście takie fajne. Może niezbyt imponujące, choć z szosy widać. Odbudowaliście to już może?

– Fortalicja w Sielcu?

– Tak.

– Eeee... jeszcze nie odbudowana.

– Czyli można powiedzieć, że od potopu szwedzkiego nic się tam u was nie zmieniło. – Uspokojony egzorcysta pokiwał głową. – Miałem rację, że się nie tłukłem taki kawał od domu. Wszędzie dobrze, ale we własnej gminie najlepiej.

– Pozwiedzać to i owo czasem można – zauważył kozak. – Dla samorozwoju i zaspokojenia naturalnej ludzkiej ciekawości.

– Z tym samorozwojem tobym nie przesadzał. Takie rzeczy lepiej dawkować z rozsądkiem i umiarem. Mój syn też od tego zaczynał. Czytał i czytał. Nie widziało mi się to, ale póki obowiązków w gospodarce pilnował, to i nie broniłem. Przy pieleniu buraków zarobił i gazetę zaprenumerował, uznałem, że trudno, zresztą liczyłem, że pożytek będzie, bo papieru toaletowego nie szło wtedy kupić. Ale w tym „Młodym Techniku” to kartki takie sztywne raczej były... Jak maturę w Chełmie zdawał, już mi się to zupełnie nie podobało, ale pomyślałem, że niech mu będzie. Zaspokozi ambicję, dostanie ten różowy papierek i da sobie spokój. Ale on się już tak nakręcił, że nie było odwrotu. I co mu z tego rozwoju przyszło? Inżynierem został. Z dobrej chłopskiej rodziny uczona owca... A wnuk to już w ogóle nie dość, że informatyk, to jeszcze biznesmen.

– No faktycznie, prawdziwy horror – zakpił kierowca i puścił oko do Semenę.

Gdy dotarli na miejsce, był już prawie wieczór. Choć obaj starcy rozglądali się uważnie, nie spostrzegli niczego podejrzanego. Zjechali z głównej drogi na żużłówkę. Ładnie odnowiona drewniana chatka, kryta blachodachówką, zdawała się drzemać wśród świerczków.

– To będzie panów kwatery. – Urzędnik wydobył klucze. – Ten fiacik jest do panów dyspozycji, kluczyki i papiery leżą na stole. Proszę sobie swobodnie korzystać, gdyby był potrzebny transport czy coś. Jeśli natomiast potrzebujecie panowie wsparcia... Tu jest moja wizytówka z numerem telefonu. – Wręczył kartonik Semenowi. – A tu kartka z numerami do szefów policji w Chełmie i na wszelki wypadek też w Krasnymstawie i Rejowcu. Jest też numer komendanta WOT i telefony alarmowe okolicznych Ochotniczych Straży Pożarnych. Wszyscy już powiadomieni, w razie czego wesprą was bronią i sprzętem. Na starostwo powiatowe też możecie oczywiście liczyć. Pomożemy, jak umiemy.

– Dziękuję, nie używam telefonu – wyjaśnił Jakub. – Zasadniczo pracujemy sami. Poradzimy sobie jakoś, jeszcze nie spotkałem psa, któremu nie dałbym rady. Albo którego bym się przestraszył. Ale jak

będziemy potrzebowali pomocy, to jej zażądamy – dodał, żeby nie robić człowiekowi przykrości.

– Super. Proszę czuć się jak u siebie.

– Do ruin zamku to będzie prosto i w bok? – upewnił się egzorcysta.

– Tak, około siedmiuset metrów. Idąc wzdłuż szosy, z pewnością panowie nie zabłądzą. I uważajcie na tę rudą wścibską dziennikareczkę. Węszy po okolicy jak natrętna mucha. Tylko mi problemów z telewizją brakuje...

Zlecniodawca pożegnał się i odjechał. Obaj świeżo upieczeni łowcy zostali sami. Najpierw rozejrzeli się po wnętrzu kwatery. Chatkę przygotowano chyba pod agroturystykę historyzującą. Ściany pobielono, a łóżka stylem przypominały przedwojenne, nakryte zostały wspaniałymi pierzynami. Piec kaflowy wyglądał nawet lepiej niż prawdziwy. Ustawiono na nim żeliwne garnki, a po pstryknięciu przełącznika spod płyty zabłysła czerwona żarówka i dobiegł nagrany dźwięk trzaskających polan.

Ponadto wewnątrz zdobiły oprawiane ludowe wycinanki i makatki. Dla dodania realizmu na kołku przy drzwiach zawieszono stary, pocięty przez mole barani kozuch, a poniżej stały plecione ze słomy walonki. Nie zabrakło też wiszących pod sufitem świętych obrazów i skrzyżowanych szabl.

– Ładnie tu, coś jak moja chałupa po tym, gdy synowa posprzątała. – Jakub skrzywił się lekko.

– Klasa – mruknął kozak, oglądając dywanik z gałganków zdobiący podłogę. – Można sobie mieszkać. Lodówka też nieźle zaopatrzona, do tego kuchenka mikrofalowa, i nawet piwko się chłodzi. Zadbali o nas.

– Ty się tak tym AGD nie podniecaj – ofuknął go Jakub. – Łatwo się przyzwyczaić, a potem nagle wyłączają prąd i katastrofa. A piwo najlepiej chłodzi się w studni. Co do podgrzewania potraw, mikrofałe kojarzą mi się z wybuchami bomb atomowych! Uwierz mojemu doświadczeniu: nic nie zastąpi wiązki polan.

– Ciebie to chyba w dzieciństwie prąd poraził – wysnuł teorię Semen. – Nie umiem inaczej wyjaśnić tej awersji.

– Może i poraził... No nic, w każdym razie, jak sam zauważyłeś, zadbali o nas, zatem pora odpracować. Zamek niedaleko stąd, od niego zaczniemy – zdecydował Jakub. – Chyba przejdziemy się na wycieczkę.

– Noc już zapada...

– I bardzo dobrze. Po pierwsze, dlatego że to bydłę jest aktywne głównie nocą. Po drugie, dlatego że na zamku nocą straszy. – W oku egzorcysty zapaliły się mroczne iskierki.

– Myślisz, że te dwie sprawy się ze sobą wiążą?

– Myślę, że nie. – Wędrowycz pokręcił głową. – Ale mam pewien plan. Zaufaj mi...

Kozak wzdrygnął się lekko, ale nic nie powiedział. Ogarnęli się, zabrali najpotrzebniejszy sprzęt i ruszyli szosą. Niebawem ich oczom ukazał się zapuszczony park. Z fortalicji wojewody Orzechowskiego pozostała ściana z białego kamienia, podparta drewnianymi drągami, oraz ruiny okrągłej bastei. Przez bramę widać było dworek stojący w miejscu dawnych umocnień.

– Podczas powstania styczniowego był tu tajny szpital powstańczy – powiedział Jakub. Faktycznie dużo to z dawnych umocnień nie zostało, ale to, co zostało, i tak jest całkiem imponujące – ocenił. – Jak trafię kumulację w totolotka, to się odbuduje.

– A kiedy będzie kumulacja?

– Nie wiem, na razie nie gram. Tam jest tyle tych cyferek... – Egzorcysta skrzywił się. – I kratki do zaznaczania malutkie. Ale może faktycznie warto lupe kupić i spróbować?

– I co? Będiesz tu mieszkał?

– Nie, zaproszę tylko Bardaków na bankiet, niech dziadów krew z zazdrości zaleje. A potem oddam rezydencję wnukowi. Przyda się na siedzibę firmy.

Szli, podziwiając ruiny. Budowla składała się z resztek ścian murowanych z lokalnego białego kamienia. Potem podeszli do drzwi

dworku. Niegdyś była tu szkoła, potem ktoś to nabył, ale chyba nie zamieszkał na stałe.

– Trochę ta twierdza faktycznie zdefasonowana, ale widywałem już zabytki w gorszym stanie, na ten przykład w Egipcie – burknął egzorcysta. – Ale z naszego punktu widzenia najważniejsze, że w tym dworze straszy, i to podobno straszy srogo.

– A konkretnie?

– Biała dama tu grasuje. Zapewne dusza pokutująca za jakieś grzeszki, bo spełnia dobre uczynki w sektorze wychowawczym, to znaczy uprzykrza życie pijakom i parkom, które wybierają sobie rozwaliska na rozbierane randki. Chcę z nią chwilę pogadać – mruknął Jakub, dłubiąc w zamku wsuwką do włosów.

Drzwi ustąpiły. Rozejrzeli się po wnętrzu.

– To pomieszczenie będzie odpowiednie – uznał wreszcie egzorcysta.

Wyjął z kieszeni kawałek poświęconej kredy i na każdej ścianie narysował krzyżyk. We framugi wbił dwa gwoźdźniki i przeciągnął srebrzony drucik.

– Jesteśmy już w zasadzie trzeźwi... Czyli jaki jest twój plan? Napijemy się wody i poczekamy, aż przyjdzie nas straszyć, czy może zwabimy tu jakieś dziewczęta i będziemy udawali rozbieraną randkę? – zagadnął kozak.

– Obie metody posiadają swój siermiężny urok, ale wydają mi się zbyt czasochłonne. – Jakub wyjął świeczkę sporządzoną z trupiego wosku i odpalił. Postawił ją w kąciku.

Nie minął kwadrans, gdy dało się zaobserwować pierwsze objawy obecności ducha. Temperatura ewidentnie spadła. W powietrzu obaj starcy wyraźnie widzieli parę z własnych oddechów, po kolejnych kilku minutach pośrodku pomieszczenia pojawił się kłęb pary, który z wolna przybrał postać niebrzydkiej damulki w sukni skrojonej wedle mody z siedemnastego stulecia.

– Uuuu! – Biała dama spojrzała na intruzów i uniosła ręce. – Uuuuu! – dodała głośniej, a z bladych palców wystrzeliły imponujące szpony. – Uuuuu! – Tym razem do wycia dołączyła brzęk łańcuchów.

Obaj przybysze stali nieporuszeni.

– No co jest? – zirytowała się i tupnęła widmową stópką w podłogę. – Panowie, przecież ducha widzicie... Dlaczego nie uciekacie!?

– Dzińdoberek, proszę gardła nie zdzierać. Miło panią poznać, jestem Jakub Wędrowycz. – Egzorcysta uprzejmie uchylił czapki. – A to mój asystent Semen Korczaszko, kozak prawosławny, to na wypadek spotkania duchów niekatolickich.

– Jakub Węd... Sacrebleu! – Dama zaklęła nie wiedzieć czemu po francusku i rzuciła się do panicznej ucieczki.

Przemknęła przez pomieszczenie jak woal białej mgły i chyba chciała wniknąć w ścianę, ale tylko uderzyła w resztki tynku, aż pył poleciał, a ektoplazma zafalowała.

– Co jest!? – pisnęła żałośnie.

– Nic takiego, zwykła pułapka – wyjaśnił Jakub. – Ściany i podłoga oznakowane poświęconą kredą. Wejść się da, ale wyjść już nie. Stąd nie ma ucieczki... Ale spokojnie, proszę się nie miotać, chcemy tylko pogadać.

– Pogadać? – prychnęła. – Zawodowi łowcy duchów... I tylko... pogadać!?

– Nie dostaliśmy na panią zlecenia, a za darmochę robił nie będę. Nie należy pani do duchów, które krzywdzą ludzi. Zadamy kilka pytań i może sobie pani straszyć pijaków i nastoletnich erotomanów do woli, nie nasz interes. A nawet trochę to popieramy.

– Zatem czego panowie chcecie? Tu nie ma skarbów – pisnęła.

– W sumie to nawet niegłupi pomysł z tymi skarbami – zaśmiał się egzorcysta. – Ale tym razem chodzi nam o psa.

– Psa? Nie miałam nigdy psa. Straszę tu sama jak palec – rozżaliła się nagle. – Od setek lat samotna i pogrążona w śmiertelnej melancholii. Za całe towarzystwo mając jedynie żaby kumkające w trzcinach, gołębie paskudzące na resztki posadzek niegdyś pięknych komnat i gawrony gnieźdzące się w koronach pobliskich drzew. W dodatku jeszcze ze trzysta lat pokuty zostało.

– Wyrazy współczucia – mruknął kozak.

– Dziękuję. – Dama uśmiechnęła się blado. – Zatem czym mogę służyć? – Przeniosła wzrok na Wędrowycza. – Pytał pan o jakiegoś psa?

– Po kilku okolicznych gminach gania nocami świecący pies wielkości krowy – uściślił Jakub. – Gryzie, to znaczy nie tyle gryzie, co raczej rozszarpuje zwierzęta. Dzikie, hodowlane... Nawet rybom ze stawu nie odpuszcza. Zaszliśmy zapytać, jak to mówią, u źródła. Wie pani coś na ten temat?

– To mi wygląda jak poltergeist zwierzkształny podtyp dwadzieścia cztery łamane na c – zdziwiła się. – Na moim terenie? Niemożliwe. Wiedziałabym coś o tym. Zresztą jak niby miałyby wyžerać ryby ze stawu? Duchy nie pływają, woda jest szkodliwa dla ektoplazmy. A zresztą, chwileczkę...

Przyłożyła dłonie do skroni i odpaliła taki skan terenu, aż łowcom w oczach pociemniało. Jakub umiał trochę w telepatię, ale w jednej chwili zrozumiał, że jednak co byt nekrotyczny, to byt nekrotyczny.

– Nie. Zdecydowanie niczego podobnego nie ma w naszej okolicy. – Pokręciła głową. – To raczej musi być coś żywego.

– No to trochę nas pani zmartwiła – westchnął Jakub. – Zapowiadała się taka prosta robota... Ale jak to mówią, z próżnego i slalomem nie nalejesz. Pożegnamy się zatem i dziękujemy za informacje.

Pościerał rękawem kredę ze ścian i poczłapali na kwaterę.

– Dziwne – mruknął Semen, wyciągając z lodówki dwie butelki piwa. – Pies widmo faktycznie okazał się materialny.

– Dziwne – przyznał egzorcysta. – Ale jak to mówią, skoro wzięliśmy zlecenie, trzeba je jakoś wykonać. Żywy czy martwy, w sumie to bez większego znaczenia. Jakoś musimy sobie z nim poradzić.

Pociągnęli po łyku.

Semen przeciągnął się jak stary, wyleniały kot i popatrzył tęsknie na tapczan. Łóżko kusiło... Oczyma wyobraźni ujrzał siebie, jak bierze prysznic, a potem pada w pościel i nakrywa się wraz z głową puchatym, wzorzystym kocem.

– Nawet o tym nie myśl! – burknął Jakub. – Noc jeszcze młoda. Wykluczyliśmy dopiero jeden z kierunków poszukiwań... A ja mam już pewien plan!

– Zamieniam się w słuch.

– To coś nie tylko rozszarpuje, ale też zjada zwierzęta. Zatem jest głodne. Zastosujemy sposób najprostszy z możliwych. Zwabimy bestię za pomocą żywej przynęty – zaproponował egzorcysta.

– To znaczy przywiążemy kozę albo owcę do słupa i gdy będzie rozpaczliwie beczeć, on przylezie, a wtedy my go trach? – upewnił się kozak. – Faktycznie to genialne w swojej prostocie – pochwalił.

– Cieszę się, że ten pomysł budzi twój entuzjazm, albowiem z braku kozy ty odegrasz jej rolę – mruknął Wędrowycz pogodnie.

Podszedł do kąta, zdjął z kołka wyleniały kozuch i zręcznie wyrócił go na lewą stronę.

– Że niby co!? Coś ty znów wymyślił!?

– To proste. Założysz to wdzianko włosem do wierzchu, staniesz na czworaka i będziesz rozpaczliwie beczał. Gdy pojawi się bestia, wyskoczę z ukrycia i ją kropnę. Albo może lepiej cisnę cytrynkę, nie wiadomo, jaką to bydlę ma odporność.

Semen milczał przez jakieś piętnaście sekund, najwyraźniej obracając sobie w głowie błyskotliwy plan kumpla.

– Khmm... – odezwał się wreszcie. – Popraw mnie, jeśli się mylę. Czy dobrze wszystko zrozumiałem? Ja będę udawał owcę, pojawi się pies wielkości krowy, a wtedy ty z ukrycia rzucisz granatem!?

– No tak.

– To szukaj innego frajera!

– Co ci się znowu nie podoba? – zirytował się egzorcysta.

– Kilka detali. Ryzyko zagryzienia, wybuch, fala uderzeniowa, odłamki...

– Mogę rzucić z drugiej strony, cielsko psa zasłoni cię i przed falą uderzeniową, i przed odłamkami. Widziałem na filmach, że głupi drewniany stół chroni przed serią z pistoletu maszynowego, więc żywe zwierzę...

– Nie mieszaj filmów z rzeczywistością! Pamiętasz, jak podczas wojny strzelaliśmy do szwabów? Normalnie dziurawiliśmy ich łożem.

– A czy którykolwiek zasłonił się stołem? – Jakub zręcznie zbił argument. – No dobra, nie chcesz, to nie! Sam się przebiorę, a ty rzucisz granatem. Zadowolony? Bierzemy rowery i w drogę.

– Rowery?

– Musimy mieć środek lokomocji, którym będziemy się poruszali w miarę szybko i cicho. Tropimy wielkie bydło, ale ta gmina też mała nie jest.

Wyciągnęli pojazdy. Przetarli siodełka rękawami i popedałowali szosą w noc. Gmina faktycznie okazała się dość rozległa. Pojechali kawał drogi w stronę Chełma, potem zakręcili na wschód, wreszcie, nieco już zziębnięci, zawrócili w stronę kwatery. Wszędzie panowała cisza i spokój. Księżyc oblewał wszystko nierzeczywistym srebrzystym blaskiem. Jakub parokrotnie zapuszczał telepatycznego żurawia, ale kompletnie niczego nie mógł wyczuć. Wreszcie zatrzymali się, by popić wody z butelek.

– Pełnia – burknął egzorcysta. – Szkoda, że nic się nie dzieje, mamy najlepszy moment zapolować na wszelaką gadzinę.

– Bo przy pełni aktywizują się wilkołaki i tak dalej?

– Nie, miałem na myśli, że lepiej widać... Ale, ale... Słyszysz?

Wyteżyli słuch. W nocnej ciszy gdzieś z daleka wiatr przyniósł znajomy dźwięk.

– Coś jakby beczenie kozy. – Semen zmarszczył brwi. – Czyżby ktoś już próbował zrealizować twój genialny plan?

– Na to wychodzi. Ale to mnie wcale nie zniechęca.

– Skoro władza wynajęła nas, to mamy poniekąd koncesję na załatwienie sprawy. Może po prostu przegonimy tych palantów, przejdziemy ich pułapkę i sami stukniemy bestię? – zasugerował kozak.

– W żadnym wypadku, to nieetyczne, poza tym męczące... Jak tamci nieznani nam przyjaciele odwałą brudną robotę, to dobrze. Nie mam parcia na szkło, honorarium też nie jest mi do szczęścia

potrzebne. A co sobie zjemy i wypijemy, tego nam nikt nie odbierze przecież. Jeśli tamci sfuszerują i narobią sobie kłopotów, to ich nawet uratujemy. No chyba że zginą, wtedy sami dokończymy.

– Brzmi dobrze, godnie i szlachetnie – pochwalił Semen.

Przejechali jeszcze może sto metrów. Beczenie stało się głośniejsze.

– Dobiega gdzieś z tego miejsca. – Jakub wskazał kierunek.

Obok szosy rozciągała się łąka, wysrebrzona trochę poświatą, a trochę światłem nieodległej latarni. Na jej środku bielą sylwetka niedużego zwierzęcia. Obaj łowcy zostawili rowery oparte o drzewo i przyczaili się w krzakach.

– Stąd mamy niezły widok. Przygotujmy tylko broń, na wszelki wypadek – zakomenderował egzorcysta.

– Naszych konkurentów jakoś nie widać – zadumał się kozak.

– Wygodnisie, pewnie postawili owcę, podłożyli ładunek wybuchowy i liczą, że pies sam się wyeliminuje.

Jakub wyjął z torby poobijaną niemiecką lornetkę. Zlustrował uważnie otoczenie, a potem skupił wzrok na przynęcie.

– Dziwna jakaś ta owca – zauważył Semen. – Mało ruchliwa, rzekłbym.

– Bo to nie owca, tylko sama skóra zawieszona na kilku kijach – mruknął Jakub. – A to beczenie z magnetofonu pod spodem idzie. Nie powiem, może to i ekologiczne, nie męczą zwierzątka... Ale nie sądzę, żeby nawet głodne bydło dało się nabrać na takie plewy.

– To co robimy?

– Nie wiem, nikt tego chyba nie pilnuje. Demontujemy tę badziwną przynętę i realizujemy wcześniejszy plan. Do takiego zadania trzeba fachowca. Dlatego tę owcę zagram ja. Osobiście! Zostań tu i obserwuj okolicę. Jakby się pojawił pies, działaj wedle własnego rozeznania. W miarę możliwości weź go żywcem, przyda się na Bardaków. Ale to nie jest priorytet.

– Tak jest.

Jakub zgarbił się nieco i ruszył w stronę przynęty. W kożuchu włosiem na wierzch wyglądał trochę jak Buka, a trochę jak

czarnobyłski mutant. Podkradł się i najpierw wyłączył magnetofon. Rozejrzał się wokoło, ale nie wypatrzył żadnego ładunku wybuchowego.

– Ależ niemożliwa fuszerka! – burknął. – Kury im szczać prowadzać, a nie...

W tym momencie huknęła policyjna strzelba i na zaskoczonego egzorcystę spadł kłęb nylonowej sieci do chwytania uciekinierów. W krzakach zabłyśły reflektory terenowego jeepa. Auto, tratując trawę, pomknęło w stronę pułapki, z chaszczy po drugiej stronie łąki wyskoczył koleś ze strzelbą. Ale Semen nie dał się zaskoczyć, z granatem w dłoni gnał już na ratunek kumplowi. Dobiegł na miejsce jednocześnie z autem. Ze środka pojazdu wygramoliła się pańcia z telewizji. Towarzyszył jej kamerzysta. Facet z dubeltówką właśnie nadbiegł. Dziennikarka otwierała już usta, ale Semen był szybszy.

– Co to ma znaczyć!? – ryknął. – Dlaczego strzelacie do mojego przyjaciela!? Do powszechnie szanowanego obywatela, przy tym weterana, partyzanta, bimbrownika, opozycjonisty, kłusownika, patrioty, Polaka, a nawet katolika!

Kobitka, przytłoczona ciężarem argumentów, aż przysiadła, ale zaraz odzyskała rezon.

– Chwytamy groźną bestię terroryzującą okolicę! – odszczeknęła się. – Popsuliście nam całą misternie przygotowaną zasadzkę!

– A gówno mnie obchodzi, na co polujecie. – Głos Semena ociekał godnością. – Poszczuję was telewizję!

– Yyyy? – zdumiał się ten uzbrojony w strzelbę.

– Eeee? – uzupełnił kamerzysta.

– Ale to przecież my jesteśmy telewizja! – zaczęła kobitka i urwała. – Kręcimy tu reportaż uczestniczący! Zaraz, co jest!? – wykrztusiła, patrząc pod nogi. – Co to za przebieranki?

W płataninę nylonowych nitek zamotany był tylko kozuch. Jakub właśnie podnosił się z trawy może dwa metry dalej.

– Usłyszałem beczenie zagubionej owieczki, więc ruszyłem wybawić ją z opresji. – Głos egzorcysty też ociekał godnością. –

A w kożuchu, no bo zimno nocą, a ja jestem starym człowiekiem i mam prawo mieć marne krążenie!

– My tu służbowo jesteście! Kręcimy reportaż o poważnych problemach dotyczących społeczeństwa! – Damulka znów wchodziła na wyższe obroty.

– I dla dodania dramatyzmu ujęciom strzelaliście do czcigodnego starca, ojca, dziadka, a nawet i pradziadka! – warknął kozak.

– To strzelba na sieci – próbował się bronić towarzysz kobiety.

– Pułapka, strzelba... Ale na myśliwych to wy mi nie wyglądacie – syknął Wędrowycz. – A za kłusownictwo są paragrafy! A kłusowanie na człowieka to się twórcom kodeksu karnego nawet w głowach nie mieściło! To, co tu odwalacie, daleko wykracza poza to, na co zezwala wam prawo prasowe! Wynocha, pókim dobry, bo jeden telefon do nadleśnictwa, drugi na policję i jesteście ugotowani! A i pozwać też was mogę!

Jeszcze przez chwilę cała piątka wymieniała rytualne obelgi i zniewagi. Wreszcie obaj przyjaciele pokazali reporterom słowiański znak pokoju i pożegnali się oziębłe z ekipą. Odszukali rowery i pedałując powoli, ruszyli na kwaterę. Dochodziła druga w nocy, nim wreszcie znaleźli się w suchym i ciepłym wnętrzu.

– Bez mordobicia wprawdzie, ale i tak fajna awantura nam wyszła, akurat na pobudzenie krążenia, bo już przysypiałem – zarechotał kozak.

– W sumie niegłupia rzecz te wyrzucane siatki – mruknął Wędrowycz, wyciągając jakieś strzępy zza ucha. – Trzeba by się zaopatrzyć. Niezła broń na Bardaków.

– Oplotło cię jak wielkanocną szynkę. Już myślałem, że ciąć będzie trzeba. Jak tyś się z tego wyplątał? – zagadnął Semen.

– Teleportacją chyba – westchnął Jakub. – Sam nie wiem, wszystko przebiegało tak szybko... Tyle dobrze, że nie walili ostrą amunicją... Miałeś rację, z żywą przynętą to jednak nie był dobry pomysł. Albo może pomysł nie był zły, tylko my zmęczeni jazdą rowerową po trzeźwemu i dlatego sfuszerowaliśmy? Mam dość przygód na dzisiaj, napijmy się i chodźmy spać.



Semen chętnie odespałby nocne przygody, ale przyjaciel poderwał go bezlitośnie z łóżka już o wpół do jedenastej. Śniadanie czekało na stole. Egzorcysta zaserwował pajdy chleba z serem i jajecznicę na boczku. W dodatku tym razem usmażył ją na oliwie.

– Miła odmiana – mruknął kozak.

– Kaloryczne draństwo – westchnął Jakub. – Utyjemy. Jak zrobię na silnikowym, to wiadomo, że wersja fitness, organizm tego nie trawi. A w oliwie z oliwek z pewnością są liczne kalorie albo, co gorsza, hormony i witaminy.

Semen kliknął pilotem i niewielki telewizor ożył. Trafili akurat na lokalne wiadomości. Pańcia reporterka przepytывała jakiegoś strażaka.

– Znalezione na południowych obrzeżach Chełma odciski psich łap mają ponad trzydzieści centymetrów średnicy – trajkotała. – Czy nie sądzi pan, że to jednoznaczny dowód istnienia bestii?

– Myślę raczej, że jakiś żartowniś użył silikonowej nakładki na buty. Ta afera z gigantycznym psem to jedna wielka bujda obliczona na wypłoszenie albo i przywabienie turystów. Bujda, nawiasem mówiąc, wyjątkowo kiepsko wymyślona. Ktoś spał w szkole na lekcjach przyrody. Istnienie tak wielkich psów wykluczają prawa fizyki i biologii.

– Ale naoczni świadkowie...

– Staropolskie przysłowie mówi, że nikt nie łże tak pięknie jak naoczny świadek. Wcisnęli pani kit. Żaden elektryczny pies widmo nie istnieje. To tylko zabobon i ciemnota. Podlane plotkami, których generatorem jest nuda dręcząca na co dzień mieszkańców prowincji.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie, przecież też jestem ze wsi. Może mi pani wierzyć, nie takie historie się słyszało po knajpach.

Reportaż został przerwany przez blok reklamowy. Obaj starcy przez chwilę podziwiali skaczące kolorowe obrazki.

– Ciągłe reklamy o sraniu i szczaniu – burknął Jakub. – I o zgodzie, grzybicy i upławach. Aż człowiek nabiera ochoty łyknąć te wszystkie tabletki naraz.

– I o to właśnie chodzi. Żebyś to wszystko kupował i łykał jak gęś kulki chleba. A że mało oglądasz telewizji, to i złapało cię mocniej. Odporności nie masz.

– Może i nie mam – przyznał Jakub. – O, zobacz, ciąg dalszy zapodali.

Faktycznie, pańcia z telewizji dopadła pod sklepem jakiegoś człowieka. Mężczyzna dobiegał chyba trzydziestki. Był niemal łysy, ale jakby na przekór brakowi włosów, posiadał całkiem porządną brodę.

– Pan się nazywa Sebastian Buk? – trajkotała babeczka, wymachując do taktu mikrofonem. – Pani sklepowa powiedziała mi właśnie, że jest pan naukowcem, a jakby tego było mało, podobno zajmuje się pan fizyką?

– Nie jestem naukowcem, ale faktycznie otarłem się nieco o tę naukę. – Nieznajomy strzelił spojrzeniem na boki, jakby szukał drogi ucieczki sprzed kamery.

Ale ekipa osaczyła go bardzo fachowo.

– Panie Sebastianie, proszę nam powiedzieć, co człowiek nauki i w dodatku tak świątły intelektualista porabia na tej naszej prowincji? Czyżby zbierał pan tu informacje do habilitacji? A może postanowił pan zaszyć się w głuszy?

– Pilnuję domu przyjacielowi – bąknął brodacz. – Siedzę, czytam fantastykę i oglądam telewizję.

– To wspaniały przykład poświęcenia. W dodatku wzorem dawnych naukowców czerpie pan z futurystycznej literatury inspirację do wynalazków...

– Tego nie powiedziałem!

– A zatem, przechodząc do rzeczy, jak nauka ścisła zapatruje się na fenomen, którego jesteśmy świadkami?

– Proszę pani... – Gość wyglądał na nieco zirytowanego. – Nauka w takich przypadkach zajmuje jednoznaczne stanowisko. To są kompletne bzdury.

– Pies wielki jak krowa, świecący jak żarówka został zaobserwowany przez szereg wiarygodnych mieszkańców tej okolicy.

– Taaa... słyszałem od sąsiadów. Jeśli wierzyć rzekomym świadkom, bestia świeci jak mocna latarka. Wykluczam zjawiska bioluminescencji, to kompletnie nie ta moc. Podobnie nasmarowanie zwierzęcia fosforem: pomijając toksyczność tej substancji, nie dałoby aż takiego blasku.

– A może jest radioaktywny? – podsunęła dziennikarka.

– Też odpada. Z taką mocą mogą świecić wyłącznie nieliczne pierwiastki i oparte na nich związki chemiczne. I od razu wyjaśnię. Żeby powstał tak mocny poblask, organizm domniemanego psa musiałby wchłonąć dawkę radu wartą ciężkie miliony złotych, a do tego promieniowanie zabiłoby go w kilka godzin. Tak więc z punktu widzenia fizyki, chemii i biologii świecący Azorek to bujda na kółkach. Raczej podejrzewałbym zjawiska nadprzyrodzone. Proszę porozmawiać z diecezjalnym egzorcystą.

– Ale nie zaprzeczy pan chyba, że...

Semen zdegutowany zgasił telewizor.

– Z dwojga złego wolę już słuchać o polityce – wyznał. – Jedźmy, póki ciepło.

Dłuższą chwilę przy stole słyszać było tylko zgodne mlaskanie i brzęk sztućców.

– Co dziś robimy? – zagadnął kozak, gdy skórkami chleba wypolerowali talerze i postawili je na ociekaczu.

– Na początek sprawdzimy, czy przypadkiem pies, który uciekł przed paru dniami jednej z mieszkańek, nie jest tym, którego szukamy – powiedział Jakub.

– Uciekł pies... A, mówili coś takiego?

– Znalazłem to wczoraj na parkingu przed zamkiem. – Egzorcysta pokazał nieco zawilgłe ogłoszenie odklejone od latarni. – Sam

przeczytaj.

– „Zaginął pies o imieniu Azor. Dla znalazcy nagroda” – odcyfrował Semen spod rozbryzgów błota. – Sądząc po tym, jak ten druk rozmoczyło, od jego powieszenia minęło kilka dni. Hmm... Dużo to tu nie widać. – Przyjrzał się kompletnie zniszczonej fotografii. – Tyle, że ciemny... Albo to ksero tak go wyczerniło.

– Pies jaki jest, każdy widzi. A czy to jamnik, czy pudel, to się zaraz dowiemy. Ważne, że mamy adres. Pójdziemy, powęszymy. Detektywi na filmach zawsze tak robią. A właściwie nie pójdziemy, tylko pojedziemy. Umiesz prowadzić fiata?

– Się wie.

– A za tym brodaczem też warto się przy okazji rozejrzeć. Mam do niego kilka pytań.

– Sądysz, że może być zamieszany w sprawę?

– Taaa... Ładnie wykluczył zjawiska chemiczne, biologiczne, nawet promieniotwórczość. Obalił teorie, uzasadnił. Zręcznie podsunął fałszywy trop i odesłał kobietę do kościółkowych. A czego nie wykluczył, choć na logikę powinien?

– Eee... hmmm...

– Elektryczności! Fizyk niby i nie wpadł na najprostsze wyjaśnienie? On coś wie. – Jakub chytrze zmrużył oczy. – Ale sprawdzamy po kolei.

Niczego nie wypili, bo Semen miał się za kółko, a Wędrowycz nie chciał robić mu przykrości. Zapakowali się do pojazdu. Kozak dłuższą chwilę dumał nad pedałami i dźwignią biegów. Liczył przy tym coś na palcach i skrobał się po głowie.

– W limuzynie cara Mikołaja to trochę inaczej było poustawiane – mruknął wreszcie. – Ale już chyba się połapałem.

Odpalił silnik. Pojazd zdrowo szarpnął i wyrwał do przodu jak narowisty rumak potraktowany ostrogą. Trochę ich zarzuciło, nie powinni brać zakrętu z taką szybkością. Ale Semen opanował jakoś niesforną kierownicę i po chwili mknęli już asfaltową wstęgą szosy w stronę Chełma. Kozak prowadził z trochę niepewną miną. Auto

pędziło naprawdę szybko, dlatego aby nie wpaść do rowu, trzymał się dokładnie środka jezdni.

– Może te samochody posiadają jednak pewne plusy dodatnie? – zadumał się egzorcysta, patrząc, jak podwójna biała linia znika pod maską. – Gdyby na ten przykład wszyscy Bardacy zrobili prawko, to może zajęliby się bezużytecznym jeżdżeniem autami i rzadziej zanieczyszczaliby powietrze w mojej knajpie? A i Birski z Rowickim, zamiast bez przerwy się nas czepiać, zajęliby się czymś pożytecznym, czyli walką z piratami drogowymi!

Niebawem dotarli do wsi Strupin. Odbili od głównej szosy i pokręciwszy się chwilę, zaparkowali obok bramy ocienionej krzewami. Wysiedli.

– To tutaj. – Kozak wskazał tabliczkę z numerem posesji.

– Uuuu... Miastowe obejście na daczę sobie kupiły – mruknął Wędrowycz, czując, jak szczecina podnosi mu się na przedramionach.

– Fakt – potwierdził Semen.

Chata obita była sidingiem, ale w zadbanym ogródku brakowało tradycyjnej dekoracji z plastikowych zwierzątek. Nie było też tradycyjnego odlewu Jana Pawła II, ani nawet tyranozaura. W cieniu szopy pod nowiutką wiatą stał mercedes na obcych numerach. Na leżaku pod parasolem leżała kobieta w dresiku. Otaksowała przybyszów raczej zimnym spojrzeniem.

– Dzień dobry, pani Piątkowska. – Egzorcysta uchylił czapki. – Przepraszam, że przeszkadzamy, ale my w sprawie pieseczka. Znaleźliśmy na słupie pani ogłoszenie... Tak się składa, że jesteśmy tak jakby trochę detektywami.

– Prowadzimy szeroko zakrojone badania terenowe na obszarze kilku okolicznych gmin i przy okazji moglibyśmy rozejrzeć się za tym pani Azorkiem – dodał Semen. – Potrzebujemy jednak kilku dodatkowych informacji. Rasa, wielkość, kiedy przepadł i tak dalej.

– Mój Azorek nie przepadł, tylko pewnikiem go ukradli – warknęła baba. – Wie pan, jacy tu sąsiedzi? Zawistne, prymitywne

kmioty. Nie podobało im się, że jestem z miasta, a pies duży i rasowy. Rodowodowy rottweiler po złotych medalistach, kosztował krocie!

– Jak duży był? – zaciekał się egzorcysta.

– A tak z siedemdziesiąt kilo. Ja tam dbam o zwierzęta, nie żałowałam mu kartofelków z omastą, to i wyrósł. Sąsiedzi pisali donosy, że szczeka i stwarza zagrożenie. Banda ćwoków. On był łagodny jak baranek. No fakt, jak wtedy przeskoczył ogrodzenie, to rzeczywiście trochę się zdenerwował, ale żeby o kilka starych kur robić taki raban? Ale zapłaciłam tej jędzy Nowakowej, i to więcej, niż były warte! A leśniczy się czepia prawie bezpodstawnie! Zające to przecież szkodniki. Plenią się bez opamiętania, potem wyżerają ludziom warzywa w ogródkach. To chyba dobrze, że mój piesio je przeganiał? A że jednego czy dwa przy okazji rozszarpał... Ubyło ich tym leśnikom czy co? Zające są niby państwowe? Po mojemu to raczej niczyje!

– Rozumiem – uciął Jakub. – A kiedy znikł?

– Pięć dni temu. W tę noc, co burza była. Pewnie przestraszył się grzmotów i błyskawic. Samotna psinka drżąca z przerażenia w lichej budzie – rozczuliła się kobieta. – Albo to sąsiedzi, wykorzystując osłonę deszczu, zakradli się i zaiwanili mojego pieseczka. W każdym razie, gdyby go gdzieś panowie przyuważyli, to za odprowadzenie dam na dwie flaszeczki.

Pożegnali się i zapakowali do auta. Odjechali spory kawałek i dopiero po dłuższej chwili zabrali się do porządkowania wrażeń z rozmowy.

– Co o tym sądzisz? – zagadnął Semen, zatrzymując auto na poboczu.

– Uważam, że zające do skłusowania natura umieściła w tych lasach dla miejscowych. Dla gospodarzy tej ziemi osiadłych z dziada pradziada. Żeby mieli skórki na kozuszki dla dzieci i mięso na świąteczny pasztet. A nie na zabawkę dla psa jakiejś baby, co tu przypadkiem chatę kupiła!

– A poza zającami?

– Paskudny babsztyl – skwitował egzorzysta. – Nigdy nie powinna mieć psa. Po prostu nie dorosła do tak poważnego obowiązku! Kartoflami go karmiła? Nic dziwnego, że rozszarpywał kury i zające. Na wegetariańskiej diecie był trzymany, to po prostu łaknął mięsa. I nie ma się co dziwić, że uciekł. Też bym spierniczył. Szczerze powiedziawszy, sądzę, że chwyciliśmy trop. Jeszcze nie wszystko jest dla mnie jasne, ale rozkminimy tę sprawę.

– W sumie to niewiele się dowiedzieliśmy – mruknął kozak. – Kobiecie zaginął rottweiler. Ale sądząc po wielkości budy, normalny. Po okolicy natomiast grasuje pies wielki jak krowa.

– No właśnie. Opis z grubsza się zgadza. Ale dlaczego urósł? I czemu, u diabła, świeci? Czuję, że gdy się tego dowiemy, łatwiej będzie go wytropić.

– Ten koleś z brodą wykluczył bioluminescencję.

– A możesz przestać wyskakiwać z tymi uczonymi wyrazami? – zirytował się Jakub. – Gadaj po polsku.

– Żywe zwierzę może świecić za pomocą związków chemicznych obecnych w jego skórze, sierści, a może i śluzie. Ale nie jest to mocne światło, i tu się z nim zgadzam. Sugerowałeś elektryczność... Tylko jak niby miałby ją gromadzić w organizmie? Przecież ciało to nie akumulator.

– To znaczy, że nie nażarł się węgorzy elektrycznych – skrzywił się Wędrowycz. – A może połknął kilka baterii, czy raczej powerbanków?

– Myślę, że ani jedno, ani drugie nie spowodowałoby takiego efektu. Zresztą węgorze elektryczne chyba u nas nie występują.

– Ha! Czyli musi tu zachodzić jakaś inna okoliczność. Zapewne związana z jego wzrostem. Jak się pogłaszcze kota w ciemności, to widać isierki w jego futrze. I to chyba z prądu. – Jakub poskrobał się po głowie.

– Ale one błyszczą tylko przez chwilę. I też raczej słabo.

– A może niepotrzebnie się przejmujemy. – Egzorzysta wzruszył ramionami. – Świeci, to świeci. Jak go dorwiemy, to zrobimy sekcję i wtedy dowiemy się dlaczego. A teraz nie ma co sobie głowy łamać!

– W sumie coś z racji w tym jest – przyznał kozak.

Zajechali do Sielca. Odbili w bok od głównej szosy.

– Widzisz tamtą ruinę kaplicy? Podjedź kawałek dalej i zaparkuj, przejdziemy się na cmentarz.

– Nie poznaję cię... – Semen łypnął podejrzliwie. – Dawniej nie interesowałeś się zabytkami.

– I wcale nie zacząłem! Ale pomyślałem, że a nuż bydlę tam za dnia siedzi? Każdy pies lubi mieć budę. Jeśli naprawdę jest wielkości krowy, to taka kaplica mogła mu podpasować. Poza tym krążą legendy, że w podziemiach tej kaplicy pogrzebano kilku powstańców styczniowych.

– Jaki to ma związek?

– Zginęli młodo, nie załatwili wielu swoich ziemskich spraw... To wytwarza specyficzne pole smutku i pogrzebanych nadziei. Byty demoniczne to lubią. Dopuszczam w jakimś tam procencie myśl, że ten pies jednak jest paranormalny.

Obok drogi wyrównano kawałek gruntu, tworząc prowizoryczny parking. Semen zaparkował trochę krzywo. Zdążyli wygramolić się z auta, gdy nadjechała furgonetka z logo telewizji. Zablockowała fiacika. Na widok obu starców z wnętrza jak diaboliczka z pudełka wyskoczyła ta wściekle ruda z mikrofonem.

– Widzę, że panowie miejscowi... – zagadnęła. – Aaaa... To wy!? – rozpoznała uczestników pechowej zasadzki.

– Też się cieszymy, że panią widzimy. – Egzorcysta splunął. – Ładny dzień dziś mamy i tak dalej...

– No, w zasadzie to nie do końca miejscowi – mruknął Semen. – Raczej można powiedzieć, że okoliczni... Przyjezdni turyści. Nieszkodliwi starsi panowie podziwiający lokalne zabytki. Może się pani od nas łaskawie odczepić? Niczego nie wiemy, a nawet gdybyśmy wiedzieli, to jesteśmy tak starymi dziadami, że nie pamiętamy. Skleroza i te sprawy.

– Coś tam chyba jednak wiecie, a sądząc po tym, co wyrabialiście w nocy, turystami raczej nie jesteście – warknęła. – Chcę zadać tylko kilka pytań.

– Ma pani trzydzieści sekund. – Kozak wyjął z kieszeni okazały zegarek na dewizce.

– Co sądzą panowie o zachodzących tu niezwykłych wydarzeniach? – Kobieta była chyba w transie.

– To na pewno sprawka Bard... – zaczął odruchowo Jakub i urwał. Zmarszczył czoło. – Cholera, tym razem to chyba jednak nie oni! – burknął.

Kobieta podsunęła mikrofon Semenowi.

– Może pan będzie bardziej elokwentny?

Kozak przewrócił oczyma, po czym łypnął w obiektyw kamery.

– Droga pani, mamy tu do czynienia z całym szeregiem niepowiązanych zjawisk. Rozszarpana sarna, ogłuszone ryby, domniemana obserwacja świecącego psa wielkości krowy. Przecież to się kupy nie trzyma! Psy nie jadają saren. Psy nie świecą, nawet te z Czarnobyli. Ryby zapewne głuszyli kłusownicy, spłoszeni porzucili łup, wtedy dobrał się do nich jakiś duży kot. W Polsce prowadzony jest program reintrodukcji rysia. Może na tym terenie się udało? A tamtych harcerzy nastraszyły zapewne miejscowe łobuziaki.

– Harcerzy, jakich harcerzy!? – Kobieta łyknęła fałszywy trop jak gęś kulkę chleba.

– Z ZHP, albo może z ZHR – łął bez mrugnięcia okiem Semen. – To znana sprawa była, chyba pięć dni temu maszerowali całym zastępem w środku nocy, gdy usłyszeli przerażające wycie jakby całej watahy wilków. A rano znaleźli ślady łap. Wielkie, jakby słoń przeszedł, ale z kształtu psie.

– Gdzie to było!?

– Kojarzy pani Wieżę Ariańską? Trzeba przy szosie z Chełma do Krasnegostawu odbić w prawo, we wsi Krynica. Tam jest taki zagajnik.

– Grobowiec wojewody Orzechowskiego? Znam.

– No więc koło wieży jest polana. I tam harcerze obozowali. W nocy ujrzeli dziwnego świecącego stwora, a rano znaleźli liczne ślady jakby psich łap... Prawda, że to się kupy nie trzyma? Pewnie lokalni żartownisie.

Kobitka machnęła na kamerzystę, wyłączyła mikrofon. Wskoczyli do auta i po chwili znikli w oddali. Pozostał po nich tylko kłęb spalin.

– Może to nieładnie oszukiwać, ale cel uświęca środki, pozbyliśmy się poczwary na czas jakiś – uśmiechnął się Semen. – Straci kilka godzin na szukanie śladów, wypytywanie miejscowych i tak dalej. A my sobie spokojnie popracujemy.

– Brawo, moja szkoła.

Powędrowali przez zapuszczony cmentarz. Niegdyś służył grekokatolikom. Niestety, carskim ukazem zdelegalizowano wyznanie, a siedemdziesiąt lat później wysiedlono z okolicy potomków pogrzebanych tu ludzi i mogiły popadły w zapomnienie. Budowla pośrodku wyglądała dziwacznie. Miała grube ściany spojone z białego kamienia. Tynki poodpadały, dachu brakowało.

– Zabytek bardzo ciekawy od strony historycznej – powiedział Jakub. – Pierwotnie była to kaplica cmentarna.

– I myślisz, że pies widmo założył tu legowisko?

– Raczej nie. Gdy byłem tu poprzednio, dach jeszcze istniał. Ale teraz, pod gołym niebem... Nie. Sprawdźmy jednak, skoro już tu jesteśmy.

Rozejrzeli się, zbadali klepisko. Nie znaleźli ani odcisków łap, ani kłębów sierści, ani nawet ogryzionych kości. Słowem – nic nie wskazywało, by budowla mogła stanowić kryjówkę potwora.

– Cholera... – zmartwił się egzorcysta. – A taka ładna teoria była.

Wyszli na zewnątrz. Kozak w zadumie podziwiał zabytek, jego kumpel też się przyglądał.

– Jedno mnie zastanawia – powiedział Jakub. – Po kiego grzyba założono piorunochron? Nikt tu nie mieszka, kamień się nie zapali od uderzenia... A jednak ktoś się pofatygował. Biegnie od niego drut... Aż do ziemi. To też słusznie, musi być uziemienie. Ale jeśli dobrze się przyjrzymy powierzchni kamienia, widzimy ciemniejszą smugę.

– Zapewne po piorunochronie przeszło wyładowanie. To są miliony woltów. Ekstremalne zjawisko. A ta smuga to okopcenie,

albo może cząsteczki powłoki galwanicznej metalu odparowały i wpięły się w kamień – zauważył Semen.

– Taaa... Drut po wierzchu poczerniał... A teraz zobacz ostatni odcinek, metr od ziemi. Powinien dotykać gleby, a tu... nie ma nic.

Egzorcysta pochylił się i opuszkami palców badał powierzchnię stalowej plecionki.

– Upitolili?

– Nie, ktoś tu dosztukował miedziany przewód i gdy błysnęło, podpierniczył wyładowanie schodzące po piorunochronie.

– „Złodziej pioruna”, był taki film. – Kozak zmarszczył brwi.

– O czym? – żywo zaniepokoił się jego przyjaciel.

– Nie mam pojęcia, nie oglądałem. Ale film był zagraniczny, więc to raczej nie jest ten przypadek.

– Pomyślmy zatem... Kabelek pociągnął w tę stronę... Przewód był zawieszony na trzech tyczkach. – Jakub wypatrzył trzy zagłębienia w cmentarnej glebie. – I kończył się tam, na tej łączce.

Na skraju zagajnika widać było kwadrat przypalonej trawy.

– Sądząc po rozmiarach, budka telefoniczna do przemieszczania się w czasie. – Kozak poskrobał się po głowie. – No wiesz, taki wehikuł zamaskowany, żeby nie rzucał się w oczy. Przylecieli do naszej epoki, siadły im akumulatory albo reaktor termowodorowy. Musieli podładować ogniwa przed dalszą drogą i dlatego użyli pioruna.

– Budka telefoniczna to raczej nie była. Telefonów na monetę już się w zasadzie nie używa, poza tym coś takiego blisko wsi? Zaraz ktoś by zauważył i nastąpiłaby dekonspiracja. Myślę, że jak skaczą do naszych czasów, na pewno jakoś inaczej wehikuł maskują. Tak na logikę, wygodka z funkcją lotów w przeszłość! To chyba ma sens! – Jakub poskrobał się po głowie.

– Pomysł fajny. Siedzisz wygodnie, robisz co trzeba, a przez serduszko wycięte w drzwiach patrzysz, jak na zewnątrz mijają stulecia – rozważał kozak. – Tylko że tu nie cuchnie wygodką, a jakby znacznie przyjemniej. Czujesz?

– Spalenizna jakby... – Jakub pociągnął nochalem. – A do tego... Zaraz, zaraz, to chyba... wędzonka!? Nic z tego nie kapuję.

– Ani ja. Ale cokolwiek się tu znajdowało, było spore i zniknęło. Albo faktycznie przeniosło się w czasie, albo odparowało, ewentualnie zostało przez kogoś zabrane, gdy już się naładowało. Tylko po co komu takie napięcie!? Hmm... W ogóle nie wiem, czy potrzebnie zawracamy sobie głowę – zamyślił się Semen. – Nie sądzę, żeby to był element naszego dochodzenia.

– Może nie oglądałem zbyt wielu kryminałów – mruknął jego przyjaciel – ale bardzo często tak właśnie jest. Detektywi ignorują ważny ślad, bo są przekonani, że nie pasuje do sprawy. A pod koniec pluja sobie w brodę. Ja w każdym razie wolałbym niczego nie zaniedbać. Poza tym pies świeci, bo zapewne jest trochę elektryczny. A w tym miejscu ktoś bawił się „prundem”. Nie sądzisz, że to się jakoś łączy?

– Może i tak. Tu są ślady wleczenia czegoś bardzo ciężkiego. A w tym miejscu załadowano to coś na przyczepkę. W błocie odbiły się także opony auta, i to z niezłym bieżnikiem.

– Terenowa fura, ale na pewno nie furgonetka tych leszczy z telewizji – skwitował Wędrowycz. – Ruszajmy tym tropem. Mam pewne przeczucie.

Trop doprowadził ich do asfaltówki i tam się urwał.

– Taaa... – burknął Jakub. – Elektryczność to część fizyki? Zajedź pod sklep, musimy ustalić, gdzie mieszka ten koleś z brodą.



Kwadrans później zatrzymali się koło bramy jednego z gospodarstw.

– Myślę, że to kwadratowe, w co uderzył piorun, to była przenośna blaszana wędzarnia – powiedział kozak.

– No wiesz? Rozwiązanie zagadki z taką podpowiedzią w ogóle się nie liczy – oburzył się Jakub.

Przez chwilę milczeli, patrząc przez płot. Na podwórzu niewielkiego gospodarstwa stała okopcona wędzarnia, terenowe auto i przyczepka. Przyczepka była załadowana po brzegi. Ze stodoły dobiegły odgłosy kucia metalu.

– Mamy naprawdę gorący trop! Te papierowe worki to psia karma – syknął Wędrowycz.

– Chyba każdemu wolno mieć psa? – zdziwił się Semen.

– Nie neguję. Po prostu wydało mi się to dziwne. A wręcz podejrzane. Jeden taki worek waży dwadzieścia pięć kilo. A widzę co najmniej cztery. Albo ten facet prowadzi schronisko, albo ma sklep zoologiczny, albo już złapał tego wyrośniętego Azorka i trzyma go tu w stodole, albo...

– ...albo dopiero to planuje i szykuje przynętę! Całkiem jak twój szczwany plan, tylko bez kozy.

– Chce ukraść mój pomysł, zdmuchnąć nam sprzed nosa nagrodę i jeszcze złapać psa, którego planowałem poszczuć na Bardaków!!! – oburzył się Jakub. – W dodatku ewidentnie wie więcej niż my i chyba ma coś za uszami. Świecący jakby elektrycznością pies, facet zajmujący się fizyką i ten szacher-macher z piorunem. To wszystko jakoś się wiąże! Wkraczamy do gniazda przestępców!

– Hmm... Wczoraj planowałeś oddać zwycięstwo walkowerem, a pomocy udzielić tylko w razie palącej konieczności, pamiętasz?

– Tak, ale telewizja mnie zdenerwowała i zmieniłem plan. Nie dam odebrać sobie zasług. Dość podziwiania należnych nam orderów upiętych na cudzych piersiach!

– W sumie racja.

Jakub jednym susem przesadził sztachety. Przemknęli jak duchy do wrót stodoły i zajrzeli przez szparę.

– No, grubo... Znaczy się miałeś rację! – syknął przez zęby Semen.

Jakiś brodaty facet naszykował sobie potężne kowadło, młot i stos naciętego drutu zbrojeniowego, a teraz w pocie czoła wykuwał z tego gigantyczną kolczatkę. Na klepisku spoczywał także stalowy łańcuch, gruby jak wąż boa.

– Ty z lewej, ja z prawej. Tylko pamiętaj, bierzmy żywcem i nie połam mu szczęki, musi być zdolny do składania zeznań – zakomenderował egzorzysta. – Na trzy!

[W tym miejscu, mimo protestów Autora, redakcja zdecydowała się wyciąć trzy strony z nudnym, rozwlekłym opisem siermiężnego mordobicia. Uznaliśmy, że po książkę tę może sięgnąć młodzież, nie należy zatem epatować scenami przemocy, zwłaszcza że bohaterowie walczyli nieczysto, niehonorowo, dwóch na jednego, stosując doping alkoholowy i zadając absolutnie nieprzepisowe ciosy].

– Sebastian Buk. – Kozak odczytał nazwisko z dowodu osobistego.

Kubel wody prosto ze studni przywrócił więźniowi przytomność.

– Dzińdoberek – ukłonił się Jakub. – Jak pan zapewne widzi, zdecydowaliśmy się wykorzystać pańską kotlinkę kowalską i zapas węgla, a to, co się w nim nagrzewa, to pogrzebacz. Zabraliśmy też pańskie kleszcze, będą wręcz idealne do łapania za żebra i inne wystające części ciała.

Nieznajomy szarpnął się niemrawo, ale przywiązany był do słupa nośnego bardzo starannie.

– Macie w tej gminie niezły nomen omen bardak – dodał Semen. – Nas zaś wynajęto, żebyśmy tu posprzątali. A ty, facet, wyglądasz na takiego, który coś wie. Planujemy zatem wycisnąć z ciebie wszystkie sekrety jak serwatkę z twarogu. Nastaw się na długotrwałe straszliwe tortury... No chyba że będziesz rozsądny, wtedy przypalimy cię tylko trochę.

– Mmm... – Więzień szarpnął głową.

– Może wyjmijmy mu ten knebel? – zaproponował kozak. – Jak ma zatkaną gębę, to raczej niczego sensownego nie powie.

– No dobra.

– Ależ, panowie, po co to wszystko? – Klient wyglądał na bardziej zirytowanego niż przestraszonego. – Po pierwsze, niepotrzebnie was wynajmowano. Ja narozrabiałem i ja planowałem posprzątać, tylko

chwilowo nie wychodziło. Po drugie, po kiego grzyba jakieś tortury, skoro możemy współpracować?

– Że co!? Przyznajesz się tak od razu!? – Jakub tak się zdziwił, że upuścił pogrzebacz.

W powietrzu rozszedł się swąd przypalanego gumofilca.

– Ten elektryczny pies widmo to twoja robota? – zdziwił się Semen.

– No przecież nie będę się głupio wypierał. Tak, to moja robota. I jak już mówiłem, sam planowałem zrobić z tym porządek. Myślicie, że po co te przygotowania?

– No granda – burknął Jakub. – Szykujemy przypalanko, zużywamy coraz droższy węgiel, wytwarzamy efekt cieplarniany, a ten, zamiast się wszystkiego wypierać i dać nam okazję do fajnej zabawy...

– Już nie marudź, węgiel i tak był jego. A efekt cieplarniany się nie zmarnuje, lekkie zimy przy tych cenach energii to błogosławieństwo.

– Wiecie panowie co? Darujmy sobie te wygłupy – zaproponował więzień. – W chałupie jest lodówka. A w niej stoi flaszka czegoś dobrego. Siądziemy jak ludzie przy stole, wypijemy i jakoś się przecież dogadamy. Wy chcecie dopaść psa i ja też. Połączymy siły, a honorarium sobie zatrzymajcie.

– Dziwne, miastowy, a gada po ludzku. – Jakub z niedowierzaniem potrząsnął głową. – No dobra, odwiążmy go.

Nie minął kwadrans, jak siedzieli przy stole. Szklaneczki pełne dobrze schłodzonego, wysokooktanowego samogonu pokrywały się kropelkami rosy, a pokrojony cieniutko wędzony boczek kuśił zapachem.

Wypili, zagryźli, wypili na drugą nogę. Rozmowa potoczyła się jak leśny strumyk po kamyczkach.

– No więc pracując w Anglii, otarłem się trochę o sfery ludzi naprawdę bogatych. Napatrzyłem się na luksusy i na to, jak wywalają pieniądze nawet nie garściami, ale łopatą. I zacząłem kombinować, jak tu uszczknąć ich bogactw. Oczywiście uszczknąć

w sposób całkowicie uczciwy, legalny, moralny i tak, żeby i bogacze też mieli z tego jakąś radochę – opowiadał Sebastian.

– Że niby bez porwań, szantaży, oszustw, włamów i przewarów? – zdumiał się Semen.

– Wszystko uczciwie co do joty – zapewnił gorliwie gospodarz.

– To bardzo szlachetna postawa, nieczęsta w naszych paskudnych czasach. – Kozak pokiwał głową z uznaniem.

– Bardzo wysoko zawieszona poprzeczka – zadumał się egzorcysta. – Bo żeby zdobyć bogactwo legalnie i uczciwie, ale za to niemoralnie, to mniej więcej wiem jak. – Uśmiechnął się oblesnie do jakichś swoich wspomnień.

– Absolutnie moralnie – zapewnił Sebastian.

– Zaciekawiasz nas, młody człowieku. – Kozak poskrobał się po potylicy, ale niczego nie wymyślił.

– Czego pożądają ludzie naprawdę bogaci? Rzeczy niedostępnych zwykłym śmiertelnikom. Willi na brzegach ciepłych mórz, aut limitowanych serii, obrazów spod pędzla najslynniejszych malarzy, wspaniałych klejnotów ozdobionych kamieniami szlachetnymi z najwyższej półki i tak dalej.

– No fakt – przyznał Semen. – Nawet car batiuszka miał w swoim skarbcu szereg ciekawostek geologicznych z ładnymi szlifami.

– Trochę byłem w kropce. Nie wiem, gdzie szukać szlachetnych kamieni. Nie jestem znanym malarzem, po prawdzie nawet nie umiem malować.

– To nie jest w obecnych czasach konieczne – mruknął Jakub. – Tę całą sztukę nowoczesną to byle szympans umiałby stworzyć.

– Nie umiem też zbudować luksusowego samochodu. Pomyślałem zatem od innej strony. Przyjrzałem się, co jedzą i piją bogacze. Jak kto ma tyle kasy, że od tego głupieje, nie kupi sobie po prostu dwudziestu skrzynek whisky, tylko jedną butelkę w cenie dwudziestu skrzynek. Ale za to musi to być butelka wypędzona z jęczmienia użyźnionego nawozem wierzchowca królowej Anglii i leżakowana w beczkach z dębu, pod którym odpoczywał Robin Hood.

– Jestem prostym człowiekiem i więcej radochy dałoby mi zdobycie dwudziestu skrzynek z flaszkami niż jedna flaszka choćby macerowana w łajnie jednoroźca – wyznał Jakub. – Ale zasadniczo rozumiem, o co biega.

– Dziadek nauczył mnie kiedyś, jak zrobić naprawdę niezły bimber, ale szczerze powiedziawszy, nie mam dostępu do łajna z królewskiej stajni ani do odpowiednio historycznej dębiny, o jednoroźcach nie wspominając. W dodatku alkohol musi leżakować, a te wykwinne odmiany nawet dziesiątki lat. A mnie się trochę spieszy. Postanowiłem iść w kierunku wykwinnych i niezwykłych kulinariów.

– Hmm... Czy do wykwinnych dań nie potrzeba wykwinnych i niezwykłych składników, w dodatku trudnych do zdobycia? – wszedł Sebastianowi w słowo zaintrygowany Semen. – Coś w rodzaju sadzonych jaj żółwi z Galapagos ze skwarkami z białego wieloryba. Najlepiej smażonymi na patelni wykopanej w Pompejach.

– I na oleju utoczonym z beczki odnalezionej w trzewiach wraku Titanica – dodał Jakub.

– Zasadniczo tak, ale nie miałem dostępu do takich cudów. Ich pozyskanie wymaga zainwestowania sporej kasy, a w portfelu mam zazwyczaj płótno. Poszedłem jeszcze inną drogą. Opracowałem pewną recepturę. Najbardziej niesamowity, wykwinny, ekskluzywny i snobistyczny sposób przygotowywania posiłków – wyjaśnił. – Zupełnie proste, tanie i powszechnie dostępne składniki, ale poddane niezwykłym zabiegom kuchennym. Można powiedzieć: coś z niczego.

– Sprytne – cmoknął Jakub. – Zdradzisz jakieś szczegóły? Nikomu nie powiemy. – Uderzył się w pierś.

– W sumie to sekret, ale sytuacja jest taka, że chyba nie mam wyjścia.

– Nikt się nie dowie – zapewnił Semen.

– Burzowa kuchnia – rzucił Sebastian.

Obaj starcy wymienili zaskoczone spojrzenia i obaj rozłożyli ręce, pokazując, że nic nie kapują.

– No więc wymyśliłem to tak. Danie umieszczamy w metalowym naczyniu i ustawiamy na szczycie góry. Do garnka przyczepiamy długi drut celujący w niebo. Następnie czekamy na nadejście burzy. Gdy piorun uderza w pokrywkę, wyładowanie elektryczne piecze zawartość.

– A jeśli burza nie nadejdzie? – zaciekał się Jakub. – Albo gdyby należało poczekać na nią kilka dni? Produkty się zepsują?

– Wtedy się nie uda. Ale zainstalowałem sobie na telefonie aplikację meteo... Skombinowałem duży blaszany sześciąt. Dorobiłem mu drzwiczki jak w wędzarni. Wspawałem w środku haki. Całość da się bez trudu umieścić na przyczepce. Mogę gonić burze po całym powiecie. W czynie społecznym ustawiłem trzydzieści piorunochronów, wystarczy drut doczepić.

– Cwane! – mruknął kozak.

– To było ponad tydzień temu. Byłem gotów, wszystko sobie przygotowałem i akurat wtedy zapowiedzieli burzę. Podpatrzyłem w internecie, którędy się przesuwają. Wsadziłem wędzarnię na przyczepkę. Zawiozłem na łąkę za opuszczonym cmentarzem. Zapakowałem całość schabem i polędwiczkami. Wszystko wisiało wewnątrz na żelaznych drucikach, żeby prąd z pioruna dobrze przepłynął. Podpiąłem się do piorunochronu na ruinach kaplicy. Liczyłem, że takie wyładowanie na kilka milionów woltów upiecze mi naraz ćwierć tony mięsiwa. Mam tu w domu oczywiście odpowiednią zamrażarkę, żeby produkt rozprowadzać pomalutku, nie przegrzać rynku. Panowie rozumieją cośkolwiek z ekonomii?

– Cośkolwiek rozumiemy – potwierdził kozak.

– Burza nadciągała jak na zawołanie. Byłem dokładnie na jej trasie, widziałem błyski wyładowań. Już liczyłem przyszłe zyski! A potem wszystko poszło nie tak, jak zaplanowałem.

– Niech zgadnę, jak w doświadczeniach profesora Frankensteina, uderzenie pioruna ożywiło te ochłapy, tworząc z nich niezniszczalnego, agresywnego elektrycznego świnioluda? – zaciekał się egzorcysta. – A że oszukali cię w hurtowni i niektóre kawałki były z psa...

– Nie, żeby aż tak, to nie... Ale... prawie.

– Zamieniam się w słuch – zapewnił Jakub.

– Mój błąd. Nie dorobiłem do wędzarni haczyka ani skobelka. Ustawiłem ustrojstwo, oddaliłem się na bezpieczną odległość. Nadciągnęła burza, i to konkretna. Grzmiało, błyskało, coraz mocniej i mocniej. A tu jak na złość napatoczyło się jakieś psisko. Wlazło do środka i zaczęło wyżerać. I wtedy właśnie uderzył piorun. Poszedłem zobaczyć, jak tam moje przetwory. Otworzyłem drzwiczki, a tu spomiędzy wędlin wyskoczyło to coś. Świeciło jak żarówka halogenowa, raziło prądem jak pastuch elektryczny. Trzepnęło mnie, że wszystkie świeczki zobaczyłem, i pognało w pola. Tylko mi morda rottweilera mignęła. Biegło na czterech nogach i, że się tak wyrażę, chyba nabrało ciała, bo jak doszedłem do siebie i zajrzałem do wędzarni, okazało się, że mięsa wyraźnie ubyło. Nie wiem tylko, czy to bydlę wyżarło moje wędlinki, czy w jakiś sposób je zaabsorbowało. Tak czy inaczej, teraz gania po gminie pies wielkości krowy, naładowany prądem jak tesla na próbnej jeździe.

– Hmm... to wygląda dość poważnie – zadumał się kozak.

– Czy profesor Frankenstein miał psa? – zagadnął Wędrowycz.

– Wykluczyć się nie da, ale ani książka, ani filmy nie poruszają tego wątku.

– Cholera, czyli znikąd pomocy... Bo ja tam na elektryczności nie bardzo się wyznaję – powiedział Jakub. – Od razu, gdy tylko hitlerowcy podczas okupacji uruchomili swój generator, wiedziałem, że z tą elektryką to będzie więcej kłopotów niż radochy. Prąd to swego rodzaju wada genetyczna upośledzająca harmonijny rozwój naszej cywilizacji.

– Patrząc obiektywnie, pioruny przecież nie z generatora idą – zauważył kozak. – To zjawisko naturalne.

– Cóż, od dawna już podejrzewałem, że przyroda też jest przeciw nam. Te wszystkie upały, siarczyste mrozy, epoki lodowcowe... A teraz jeszcze doszła elektryczna sobaka.

– Przestań marudzić – burknął Semen. – Jojczysz jak jakaś przekupa. Elektryczna bestia? Co z tego? Nie z takimi problemami sobie radziliśmy! Czyli trzeba psinę kropnąć? No cóż, jak trzeba, to trzeba.

– Niewykluczone, że tak się to właśnie skończy – przyznał wynalazca. – Ale mam plan. Widzieliście, nad czym pracowałem? Wymyśliłem, żeby zarzucić mu na łeb kolczatkę, którą wykułem, a do ogona przypiąć klamerkę z przewodem. Oba końce zostaną podłączone do starego wojskowego reflektora. Ustrojstwo jest z czasów, gdy nikt się nie przejmował zużyciem prądu. Jak to odpalałem, to w połowie wsi światło przygasało. Taki pobór mocy powinien psa rozładować. I zobaczymy. Może pozostanie duży, ale miejmy nadzieję, już nie elektryczny. Wyznaję zasadę, że trzeba być dobrym dla zwierząt.

– To mniej więcej tak jak my. – Jakub pokiwał głową w zadumie. – W ogólnym zarysie oczywiście – dodał, widząc szyderczy uśmiech starego kumpla. – Chłapnijmy sobie jeszcze po jednym i przystopujmy. Do polowania trzeba jednak chłodnego umysłu i koordynacji ruchowej.

– Chwileczkę – bąknął Sebastian. – Bo widzę, że zagrycha wyszła, ale może... skosztujcie czegoś z ocalałych wędlinek?

– Nie śmieliśmy się napraszać...

Po chwili talerz znów był pełen frykasów.

– Burzowa polędwiczka. – Kozak popatrzył na równo ukrojone plastry mięsiwa. – Sporo czasu zeszło, od kiedy jadłem coś wykwinanego... Pamiętam, jak raz z Griszka Rasputinem namówiliśmy cara, żeby wyrwał się incognito na małe wagary...

– Da się to jeść tak w ogóle? – zagadnął Jakub. – To znaczy... nie zaszkodzi?

– Oczywiście, że nie – obraził się wynalazca. – Nie myślcie, panowie, że sprzedawałbym te produkty bez uprzedniego przetestowania na sobie. Bogacz też człowiek, w dodatku klient, i to wypłacalny, czyli w ogóle już rzecz święta. Częstujcie się, proszę.

Golnęli i skosztowali. Mięso smakowało tak sobie. Pachniało spalenizną. Za to papryczki nie żałowano.

– Przyzwoicie przyprawione – pochwalił egzorcysta. – Ostro, że można się ogolić, chociaż autorytety balwierskie twierdzą, że golić należy się jednak od zewnątrz.

– Car batiuszka był w głębi duszy prostym człowiekiem – westchnął kozak. – Lubił proste, chłopsko-żołnierskie żarcie. Uwielbiał bimberk od Rasputina, kaszę ze skwarkami i tanią kielbasę z koniny, byle miała dużo czosnku. Nie raz mu mówiłem, żeby plunął na ten tron, zamieszkał w Pokrowskiem, kupił sobie konia. Ale te petersburskie elity... – Skrzywił się. – Jusupowowie na ten przykład... Ciągłe tylko krymski koniak, kawior z bielugi, ostrygi. Nic dziwnego, że się zdegenerowali. Najważniejsze jest naturalne odżywianie, zwłaszcza gdy smażymy jajecznicę.

– Czy nie opowiadałeś przypadkiem przed chwilą, że robiliście z carem rajdy po wykwinnych knajpach? – zdziwił się Jakub.

– Robiliśmy, ale to tylko dlatego, że miał forszę, a nas lubił i chciał ugościć. Głupio było odmawiać.



Przygotowanie pułapki trzech łowcy zaczęli tuż po zachodzie słońca. Zapakowali worki z psią karmą na taczki. Posuwając się przez teren gminy, usypywali co kilkadziesiąt metrów kupki tak po pięć kilogramów. Przedostatni stosik znalazł się na podwórzu, a ostatni koło kolczatki. Tam też przygotowali stanowisko pracy, kable i reflektor. Bramę i wrota stodoły pozostawili szeroko otwarte. Wynalazca szybko i sprawnie rozdzielił zadania. Pozostało czekać.

Słońce powoli i majestatycznie zaszło. Cała trójka siadła sobie na ganku i rozkoszowała się wieczornym chłodem. I naraz, zupełnie niespodziewanie, gdzieś w polu huknął strzał. Walono chyba z karabinu. Po chwili wystrzelono ponownie, ale tym razem z daleka

dobiegło też przeraźliwe, pełne bólu wycie. Nie minęło pół minuty, gdy na szosę wypadł pies wielkości krowy. Zaskomlał boleśnie.

Jakub gwizdnął i wskazał mu drogę do stodoły. Wynalazca zatrzasnął wrota, Semen zamknął bramę. Zrobili to w ostatniej chwili, bo z lasu wybiegła ekipa dziennikarzy. Jeden mężczyzna niośł kamerę, drugi przewiesił przez plecy automat Kałasznikowa, a ruda kobieta dzierżyła mikrofon.

– To znowu wy!? Widzieliście psa!? – rzuciła babka.

– Takiego wielkiego jak lokomotywa i świecącego na niebiesko? Tam pobiegł. – Jakub wskazał fałszywy kierunek.

Upewnił się, że skobel bramy jest zasunięty, i ruszył czym prędzej do stodoły. Pies leżał pośrodku, wyglądał bardzo źle. Cały bok miał we krwi. Po sierści biegały wyładowania elektryczne. Nie dało się go dotknąć, bo kopał prądem, i to o sporym woltażu. Skamlał cicho i boleśnie.

– Przyładowali mu z kałacha – warknął Semen. – Szybko, obroża i kabel na ogon. Zanim go opatrzymy, trzeba rozładować!

– Podpinam reflektor...

Kabla ledwie starczyło. Lampa zabłysła, iskierki przeskakiwały coraz słabiej i słabiej, ale widać było, że na ratunek jest już za późno. Bestia zaskuczała, wierzgnęła nogami i zdechła.



- No i załatwiony – mruknął egzorcysta.
- Żal psiska, ale przynajmniej tyle dobrze, że posprzątane – westchnął wynalazca. – Biznes z wykwinnym żarciem mi nie wypalił, mówi się trudno. Wymyślę coś innego.
- Dlaczego nie wypalił? – zdumiał się Jakub. – Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie, teraz dopiero twój interes nabierze wiatru w żagle. Pomyśl, człowieku: co tutaj leży?
- No pies...
- A jaki pies?
- Rottweiler.
- Niezupełnie o to pytam.
- No, pies wielki jak dorodny byk.
- No właśnie. Największy na świecie, medalowy okaz. Niezwykły. Unikalny. Wykroisz z niego pół tony doskonałego mięsa. Tylko zrób dokumentację fotograficzną. W Polsce tego oczywiście nie sprzedasz, zwłaszcza że to z ewidentnie nielegalnego uboju, ale już na przykład w takiej Korei Południowej psie mięso to przysmak i delikates. A idę o zakład, że bogatych snobów mają znacznie więcej niż my. Ale najpierw...
- Wyjął z kieszeni srebrną puszkę i przez chwilę gmerał coś przy uchu martwego psa.
- No i załatwione – mruknął. – Pomożemy przy rozbiórce tuszy, a potem trzeba podskoczyć na chwilę do dworu. A co do tych szczurów z telewizji, jeszcze się z nimi policzymy!

Epilog

Dochodziła trzecia, gdy obaj starcy doczłapali przed bramę fortalicji. Ekipa z telewizji nie odpuszczała. Gdy Jakub obejrzał się dyskretnie, spostrzegł w oddali furgonetkę jadącą za nimi na wygaszonych reflektorach.

– Namolne gady – westchnął ciężko. – Reportaż uczestniczący... Też wymyślili. Niech się cieszą, że nie jestem konfidentem, bo za strzelanie do psów jest paragraf, i to konkretny. Biedna, nieszczęsna psinka szukała życzliwych ludzi, którzy mogliby ją uratować, i prawie znalazła, gdy te wieprzki...

– Skoro ich nie podkablujemy, to może spleatamy im jakiegoś bolesnego psikusa? – zaproponował kozak. – Żeby długo popamiętali.

– Obligatoryjnie spleatamy, ale najpierw dobry uczynek, a potem dopiero rozrywka.

Ruiny tej nocy wyglądały jeszcze bardziej przerażająco. Chmury to przesłaniały, to odsłaniały księżyc. Powiał wiatr. Gałęzie drzew klekotały o siebie złowieszczo. Egzorcysta zapalił świeczkę. Nie trwało długo, a wokół rozszedł się cmentarny chłód.

– Uuuuu...! – zawyła biała dama, potrząsając zardzewiałym łańcuchem.

Naraz urwała skonsternowana.

– Aaaa... to znowu wy, panowie! I tym razem, jak mniemam, macie na mnie zlecenie? Ale chyba o czymś zapomnieliście. Nie widzę tu znaczków zrobionych kredą. – Uśmiechnęła się złośliwie, robiąc krok w tył.

– Pani zaczeka – rzucił Wędrowycz.

Już miała wtopić się w ścianę, ale przystanęła skonfundowana. Jakub nie atakował. Semen też nic nie robił. Łowcy nie wyciągali strzykaw z wodą święconą, posrebrzonych sierpów ani podobnych narzędzi. Ciekawość przeważała.

– Co jest grane? – zapytała dama w mało arystokratyczny sposób.

– Nie mamy zlecenia – burknął Jakub. – My znów w innej sprawie. Tak, wiem, sprawy żywych nie powinny mieszać się ze sprawami umarłych, wy, duchy, zawsze to powtarzacie...

– W innej sprawie? – Dama tupnęła widmową nóżką i zmarszczyła brwi. – A w jakiej? Panowie, spójrzcie obiektywnie! Duch grasuje w nawiedzonych ruinach, turyści uciekają, PKB gminy

spada, a najlepszy w kraju egzorcysta ma to w nosie? Chyba powinnam się obrazić!

– Może i jest w tym coś z racji. – Kozak poskrobał się po ciemieniu.

– Dzień kobiet był nie tak dawno, no, ze dwa miesiące temu. Ale pomyślałem, że to jednak fajne święto, więc prezent dla pani przyniosłem – wyjaśnił Jakub.

– Eee... Ale jak to prezent? – Dama wytrzeszczyła widmowe oczęta.

– Marudziła pani, że nudno straszyć w pojedynkę, więc tu jest duch pieska, specjalnie dla pani. – Jakub potrząsnął puszką. – Taki konkretny rottweilerek. Za życia był wielkości krowy, ale cielsko rozděło od eksperymentów z elektrycznością. Myślę, że jego duch jest normalnych rozmiarów. Możecie sobie straszyć razem. Tylko prosiłbym wypuścić go za jakiś czas dopiero, bo jakby od razu zaczął ganiać, to jeszcze by w powiecie pomyśleli, że nie wykonaliśmy zadania.

– I niech pani uważa, póki się nie obłaskawi, bo to za życia wredziocha trochę była, może užreć – dodał Semen. – Ale sądzę, że nie ma złych psów, tylko źli właściciele nie umieją ich wychować. Poradzi sobie pani z tresurą. Psy czują dobrego człowieka, to znaczy, chciałem powiedzieć...

– Dziękuję! – Dama uśmiechnęła się szeroko. – Jesteście panowie bardzo mili. Jeśli mogę się jakoś zrewanżować...

– Skoro nie ma tu zakopanych skarbów, to proszę sobie nie robić kłopotu. Zresztą zapłacono nam za zrobienie porządku w gminie, przyjmijmy, że to dodatkowy dobry uczynek.

– Raz jeszcze dziękuję. I wiecie, panowie – puściła oko – gdyby trzeba było postraszyć jakichś waszych wrogów, dajcie tylko znać.

– Faaaajny pomysł – przyznał Jakub. – Ale nasi wrogowie mieszkają kawał drogi stąd. Sami musimy sobie poradzić. Chyba że by... – Zamarł tknięty jakąś myślą. – Kręci się tu taka ekipa z telewizji. Czają się na podjeździe. Nie trzeba zaraz zawału, ale niech się posikają ze strachu.

– Dla panów wszystko. – Skłoniła się elegancko.

Odkłonili się i wyszli z lochów. Ruszyli na kwaterę. Z daleka dobiegły ich uszu wrzaski przerażenia. Ekipa telewizyjna dostawała za swoje.

– No i załatwione – mruknął egzorcysta. – Pracowita nocka była, ale zobacz, jak wszystko gładko poszło. Piesek wprawdzie zginął, ale zarazem dostał nowy, lepszy dom i kochającą panią, samotna damulka ma własne zwierzątko, wynalazca legalnie i etycznie zarobi kupę szmalu, dziennikarzom utarliśmy nosa, a pan wicestarosta Kwiatkowski ma na swoim terenie spokój i porządek. Dawno już nie czułem się tak pożyteczny. Chodźmy to oblać!

Fortepian



Semen dreptał niespiesznie przez Stary Majdan. Zostawił po lewej remizę i samotne kible stojące w kępie krzaków – pamiątkę po rozebranej przed laty szkole. Potem po prawej świeżą wodą zwabiło go na chwilę źródło. Wreszcie zaczął wspinać się na Jakubowe wzgórze. W tym momencie z zadumy wyrwał go wściekły brzęczyk dzwonka rowerowego. Uskoczył, a jadący wężykiem listonosz ominął go o milimetry. Intensywna woń nadtrawionego samogonu ciągnęła się za pocztylionem jak ogon za kometą.

– Ha! Jakub dostał jakąś przesyłkę – wydedukował kozak. – I oczywiście, zamiast samemu się męczyć, poprosił listonosza o jej przeczytanie. A potem się rewanżował przez jakiś czas.

Odprowadził rower spojrzeniem i westchnął ciężko. Podreptał na górę. Jego kumpel siedział na ganku. Na widok gościa uśmiechnął się szeroko.

– ...bry. Dobrze, że cię widzę. Napijemy się dziś trochę inaczej niż zwykle.

– To znaczy jak? – zaciekawił się kozak.

– Widzisz, miałem wczoraj taką przygodę. Idę przez Wojsławice, patrzę, coś błyszczący. Schylam się, podnoszę i co widzę? Szwedzka moneta jednokoronowa. Idę dalej, patrzę, druga! Też oczywiście podniosłem.

– Trzeciej nie było?

– Nie, ale to nie szkodzi, dwie wystarczą. Bo widzisz, jak już je znalazłem, przypomniało mi się, co gadał jeden znajomy marynarz...

Wiesz, jak Szwedzi piją kawę?

– No... chyba nie. – Semen bezskutecznie przetrząsnął pamięć.

– Wrzucają na dno kubka monetę jednokoronową – zaczął wyjaśniać Jakub. – Potem leją kawę, aż moneta przestanie być widoczna. Wtedy przerywają i zaczynają łać wódkę. Robią to tak długo, aż moneta znów staje się widoczna. Tak łapią właściwą proporcję napoju.

– Genialne w swojej prostocie – pochwalił kozak.

– No i pomyślałem, że skoro znalazłem te monety, jest okazja, żeby wypić jak Szwedzi.

– Nie obraż się, ale tak dopytam. – Korczaszko łypnął w stronę kubka. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale to chyba nie jest sklepowa wódka?

– Samogon, rzecz jasna. Po co pieniądze wydawać na coś, co można zrobić samemu?

– Rozumiem... A gdzie jest kawa?

– Po pierwsze, nie mam, bo i skąd. Po drugie, uznałem, że nie warto dobrego produktu paskudzić obcymi dodatkami smakowymi. Bimber rozcieńczyłem bimbrem. I wszystko jest tak jakby na swoim miejscu.

– To dlaczego mówisz, że wypijemy jak Szwedzi? Aaaaa... rozumiem. – Semen zajrzał kontrolnie do kubka. Moneta jednokoronowa leżąca na dnie dumnie połyskiwała przez warstwę berbeluchy.

Stuknęli się nad stołem.

– God jul, znaczy wesołych świąt! – Kozak wzniósł jedyny znany sobie szwedzki toast.

Wychylił do dna, mlasnął. Posmakował językiem cieczy. Przez długą chwilę badał bukiet pozostały na ściankach naczynia. Bimber cuchnął i smakował bimbrem. Zagraniczne pieniążki w żaden sposób tego nie zmieniły.

– Nieźle, ale następnym razem dodajmy jednak kawy – zaproponował. – Myślę, że w tym akurat drinku stanowi nieodzowny dodatek.

– Myślisz? – Wędrowycz zmarszczył w zadumie brwi. – A jak nam nie zasmakuje? A zresztą jest ryzyko, jest zabawa... A teraz przejdźmy do meritumu. Szwedzkie monety znalezione niby to zupełnie przypadkowo to znak, że niebawem ruszymy na północ!

– Do Szwecji? – zainteresował się kozak.

– Prawie. Pojedziemy do Sopotu, to tak jakoś w połowie drogi. – Egzorcysta wyciągnął z kieszeni pomietą kopertę.

– O, to jednak przypomniałeś sobie, że umiesz czytać? Aaa... zapomniałem... listonosz ci przeczytał. Mijałem go.

– Mówił, że na dziś już skończył roznosić listy, dlatego trochę go poczęstowałem. Zresztą kodeks pracy to miejski wynalazek. Widzisz, z tym czytaniem to u mnie nie taka prosta sprawa. Wszystko przez to, że mam swoje zasady. Oczywiście, gdy byłem mały, dziadek kanalia lał pasem, aż mnie wyuczył i łacińskiego, i cyrylicy. Ale w przeciwieństwie do innych, co to bezrefleksyjnie wykuli znaczki, ja mam ogromny szacunek dla Fenicjan, Żydów, Greków i Rzymian. W końcu to oni zbudowali naszą cywilizację, co nie? Gdzie nie spojrzysz w architekturę, tam łuki, kolumny, bryły i tak dalej, wszystko od nich podgapione. A ci Sumerowie czy Egipcjanie to w sumie tylko przeszkadzali... Albo Babilończycy. Oni to nawet tych nieszczęsnych Żydów najechali i zabrali na wiele lat do niewoli, ksiądz kiedyś czytał taki kawałek.

– Nie bardzo rozumiem, co ma piernik do wiatraka? – bąknął kozak, nieco skołowany.

– No pomyśl sam. Jak pisali Egipcjanie? Hieroglifami. A Sumerowie? Klinami. Natomiast wspomniane przeze mnie ludy stworzyły alfabet. A nawet kilka. Litery... Cudowne narzędzie, umożliwiające zanotowanie najwznioślejszych myśli i najbardziej bohaterskich czynów naszych przodków. Najdoskonalsze dzieło ludzkości. Najwspanialsze.

– Najwspanialsze? – spytał kozak podejrzliwie. – I ty to mówisz?

Przyjaciół ewidentnie bredził tego popołudnia znacznie bardziej niż zwykle. Nadużył samogonu, już pijąc z listonoszem, czy coś innego zaszkodziło mu na głowę? A może winny był oprysk sadu

u sąsiada? Wiatr powiał, zniósł chmurę pestycydów i Jakubowi chemikalia namieszały pod dekiem?

– Bezapelacyjnie najwspanialsze. Problem w tym, że ludzie nie traktują tego daru ani z szacunkiem, ani z powagą. Literami smarują ohydne wulgaryzmy na ścianach domów. Alfabetu nadużywają do pisania i czytania kompletnych głupot. A ja podchodzę z pokorą. Dlatego ze sztuki posługiwania się literami korzystam jedynie w sprawach najważniejszych. Notuję i czytam wyłącznie rzeczy naprawdę godne napisania lub przeczytania. A sam wiesz, że niewiele jest takich, zwłaszcza tu, na zadupiu powiatu, gdzie prawie nic się nie dzieje. Mam opisywać, jak Bardakom wklepałem? Szkoda liter zużywać na to paskudne nazwisko.

– Czyli nie czytasz i nie piszesz z szacunku dla tych, którzy wymyślili alfabet. Ale zad podcierasz drukowaną gazetą? – Semen zarechotał w kułak.

– Jak ty lubisz się czepiać! Ja tu mówię o wyżynach intelektu, kultury i cywilizacji, o godnym przeżywaniu spuścizny, o poszanowaniu darów starożytności, a ty wszystko sprowadzasz do pospolitego srania! – prychnął egzorzysta, chyba naprawdę zirytowany.

– Przeeeepraszam – zażartował Semen. – A teraz gadaj konkretnie. Co z tym Sopotem? Potwór z Loch Ness zagnieździł się pod molo? Czy „Latający Holender” pruje wody Zatoki Gdańskiej? Dostałeś jakieś zadanie?

– Jest taka kobieta, niejaka Izabela Sobańska. No i właśnie poprosiła o pomoc. Przytrzasnęła sobie palec kłapą fortepianu... I potrzebuje egzorzysty. – Jakub dumnie wypiął rachityczną pierś. – Nasi wspólni przyjaciele, te świry, które budują muzeum niedaleko Witoldowa, dali jej namiar na mnie. Robota wydaje się nietrudna. Potraktujmy to jako wakacje. Pojedziemy, załatwimy co trzeba, popluskamy się w morzu, zjemy smażoną rybkę i popijemy nalewką na bursztynie albo słynną gdańską wódką Goldwasser.

– Wzywa egzorzystę do przytrzaśniętego palca!? Następnym razem wezwą nas do przypalonej zupy albo do cieknącej uszczelki.

– Nieuważnie słuchałeś. Toż mówię, że jedziemy zająć się klapą od fortepianu.

– Do fortepianu to raczej stroiciela się woła. Ale wycieczka nad morze... w sumie czemu nie – zgodził się kozak.

– I, teges, wygląd trzeba ucywilizować. – Jakub skrzywił się, jakby rozgryzł cytrynę. – Coby się nas nie przestraszyła.



Domek zleceńodawczyni drzemał sobie w małym ogródku na obrzeżach miasta. Był raczej niewielki, ale ładny. Pobielone ściany przyjemnie współgrały z czerwoną dachówką spadzistego dachu. Sądząc po okienku w ścianie szczytowej, na poddaszu też były pokoje.

– Izabela Sobańska. – Kozak odcyfrował tabliczkę przynitowaną do furtki. – To tutaj.

– Elegancko – przyznał Jakub. – Ja swoją chałupę też kiedyś pomaluję. Tylko wiesz, żeby uzyskać lepszy efekt optyczny, poczekam jeszcze trochę, może z pięć lat, albo jeszcze lepiej dziesięć. Niech się tak do reszty przybrudzi. A kawałek gdzieś z boku zostawię niepomalowany, niech ludzie porównają, to zobaczą, ile wysiłku włożyłem.

– Dach też mógłbyś przy okazji wymienić. Eternit podobno jest rakotwórczy. Może nawet jakąś dopłatę dadzą.

– Na razie nie cieknie, to nie ma co się nadmiernie rozpędzać. Ale kiedyś faktycznie go zerwę i dam porządną papę. Czarna papa do białych ścian, to będzie wyglądało odpowiednio uroczyście. Takie zestawienie barw stosuje się nawet na ślubach, no nie? Biała suknia panny młodej i czarny garnitur złowionego frajera. Albo na ten przykład...

– Witam panów, już otwieram – dobiegło z okna.

Egzorcysta poprawił poły marynarki i minimalnie poluzował krawat. Stuknął obcasami mokasynów. Podeszli do domu. Na ganku

stała wielka donica z dorodnym kaktusem.

– Gdy ci życie daje kaktusy, zrób z nich bimber – mruknął Jakub i namacał w kieszeni rękojeść kozika, ale w tym właśnie momencie drzwi się otworzyły.

Zleceńodawczyni okazała się miłą starszą panią. Uścisnęła przybyszom dłoń.

– Nie spodziewałam się, że panowie tak szybko się zjawią – sumitowała się. – Trochę nieposprzątane...

– Wysłałbym telegram, że się zjawimy, ale poczta nie prowadzi już tej usługi – wyjaśnił egzorcysta.

– Wysłałbym SMS-a, ale nie miałem numeru telefonu – sumitował się kozak.

– Nic nie szkodzi, zapraszam. Tylko proszę się nie przestraszyć bałaganu.

Weszli do wnętrza, zzuli buty i założyli kapcie. Obaj rozglądali się uważnie, ale kobieta chyba stanowczo przesadzała, bo nie spostrzegli żadnych oznak bałaganu. Ani gazet leżących na podłodze, ani połamanych mebli czy pustych flaszek po kątach.

– Jak się cieszę, że panowie przyjechali. Polecono mi was jako cenionych fachowców od wszelakich spraw paranormalnych. Tak się składa, że mam pewien problem – nawijała kobieta, prowadząc ich do saloniku. – Byłam w diecezji, ale powiedzieli, że oni są tylko od opętań, nawiedzone przedmioty to nie ich branża. Chyba wzięli mnie za wariatkę. – Skrzywiła się. – Proboszcz mieszkanie poświęcił, jak był po kolędzie. Twierdzą, że zazwyczaj to wystarczy.

– No cóż – mruknął Jakub. – Nie przeczę, coś tam wyczuwam i czasami jestem w stanie pomóc. Ale to zależy od kalibru sprawy. I zasadniczo zawsze doradzam zacząć od czynników oficjalnych. Jednak skoro Kościół daje nam wolną rękę...

– Z listu wynika, że fortepian panią zaatakował – zagadnął kozak.

– Postanowiłam nastroić wreszcie odziedziczony po krewnym instrument. No i okazało się, że nie można na nim grać. Kłapa przytrzaskuje palce. Mnie przytrzasnęła, córka sąsiadów też

próbowała. Lewie zdążyła ręce zabrać. I jeszcze jedna znajoma cudem uniknęła zmiżdżenia opuszek.

– Może krzywo stoi czy coś? – zasugerował kozak.

– Bo chyba nie przeciąg? – zadumał się egzorcysta. – A może jakieś mikrowstrząsy? Może tiry przejeżdżają obok domu?

Semen spojrzał przez okno na uliczkę i pokręcił głową. Nawet większa ciężarówka nie miała szans wcisnąć się w tak wąski zaułek.

– Ano nic, obejrzymy, pomyślimy. W najgorszym razie złapie się na śrubkę albo podłoży drewniany klocek... Czyli wszystkim przytrząskuje, nie tylko pani?

– Proszę dalej, pokażę obiekt.

Obaj starcy długo i w zadumie lustrowali instrument.

– No, fortepian jak byk, tylko kto i po co postawił go pionowo? – zdumiał się Jakub.

– Nie popisuj się ciemnotą. Ten instrument to tak zwana żyrafa – ofuknął go przyjaciel. – Podobny jest w muzeum w Krasnymstawie. Jakbyś chodził, tobyś wiedział. Specjalny model, nie były nigdy zbyt popularne. Przepiękny. Skąd pani to wytrzasnęła!?

– Ten fortepian należał do mojego dalekiego krewnego. Stał w jego willi w Petersburgu. Gdy w Rosji wybuchła rewolucja lutowa, krewniak zapakował część mebli na szwedzki statek i wywiózł je do Gdańska. Reszty już nie zdążył, przepadły.

– To takie stare? A ja pomyślałem, że to taki kształt, bo instrument z epoki Gierka i dostosowany gabarytami do mieszkania w bloku – zawstydził się egzorcysta. – Ano nic, jak to mówią, człowiek uczy się przez całe życie. Semen, ty chyba umiesz na tym zagrać. Włazł kotek czy coś podobnego...

– Lata całe nie grałem – odparł kozak. – Wie pani, u nas, na wsi, brak podobnego sprzętu. Ale mogę spróbować coś prostego.

Usiadł na stołku, podniósł klapę. Przyjrzał jej się podejrzliwie. Następnie położył palce na klawiaturze.

– Na razie nic się nie dzieje – mruknął. – Ale nut zapomniałem dawno temu. „Bolero” Ravela to szło chyba jakoś tak...

Wyczarował spod palców melodię. Był przy trzecim takcie, gdy kłapa nieoczekiwanie zatrzasnęła się niczym pułapka na myszy. Na szczęście czujny Wędrowycz w ostatniej chwili wcisnął pod nią poduszkę i kozak zdołał uratować palce. Spod drewna dobiegł odgłos jakby mlaskania, a potem poduszka została wypluta.

– Co za diabeł!? – syknął Semen.

– Diabeł to raczej nie – trzeźwo zauważył egzorcysta. – Skoro mieszkanie było poświęcone i krzyżyk tam nad drzwiami wisi, to szatan raczej nie dałby rady się tu zmanifestować.

– Wibracje ścianek... kłapa wpadła w rezonans... – rozważał kozak.
– Nie, to bez sensu.

– Nie opadała po prostu siłą bezwładu, tylko chapnęła nagle, jak zwierzę. Silne zwierzę, przeżuło poduszkę niemal na pół – zauważyła pani Izabela.

– Też mi się tak wydaje – kiwnął głową Jakub. – Pozwólcie mi się teraz skupić...

Siadł na stołku obrotowym, położył dłonie na zamkniętej kłapie i przymknął oczy. Fortepian warknął. Warczał, używając strun, dlatego nie zabrzmiało to bardzo groźnie, ale włoski na Jakubowym karku nastroszyły się niczym szczecina.

– Przeklęty fortepian... to nawet brzmi kretyńsko – westchnęła gospodyni. – Kawy czy herbaty? – zapytała Semen.

– Wczoraj piliśmy z przyjacielem kawę po szwedzku, ale szczerze mówiąc, nie do końca nam wyszła. Jeśli można, dla odmiany napiłbym się zwyczajnej.

Usiedli w kuchni, pili kawę, przegryzali szarlotkę. Wreszcie Jakub oderwał dłonie od instrumentu.

– Chyba wiem, co jest grane – mruknął. – Czy wiecie, z czego się robi klawisze fortepianu? – zagadnął.

– No, teraz to zapewne z plastiku. – Semen poskrobał się po ciemieniu.

– A dawniej?

– Z drewna, oklejano je cieniutkimi płytkami z kości słoniowej.

– No właśnie. A gdyby się zniszczyły, czym najłatwiej było ją zastąpić w Rosji?

– Pewnie surowcem pozyskiwanym z kłów morsów albo mamutów. Na Syberii dość regularnie natrafiano na te zwierzaki zakonserwowane w wiecznej zmarzlinie. Pamiętam z dawnych carskich czasów, że w Petersburgu można było to kupić.

– Myślę, że to było właśnie tak. To był kiedyś zupełnie zwyczajny fortepian. Ale coś się zdarzyło, jakiś wypadek, nie wiem, może ktoś wylał kawę na klawiaturę... W każdym razie, gdy instrument był jeszcze w Rosji, wymieniono zniszczone klawisze.

– Czyli sugeruje pan, że płytki z kości słoniowej zastąpiono wyciętymi z kłów mamuta? – Pani Izabela zmarszczyła brwi. – I...? Co to niby zmienia?

– Kość to kość. – Kozak poskrobał się po głowie.

– No dobra, widzę, że muszę to wyjaśnić dokładniej – westchnął Wędrowycz. – No to po kolei. Jak wygląda słoń?

– Słoń jaki jest, każdy widzi, no nie? – odrzekł kozak. – Taki raczej duży, ma wielkie uszy, chwytną trąbę i zęby. Trąbą pakuje żarcie do mordy, tyłem wypada nawóz, po bokach przyrasta nomen omen słonina. A z wyglądu zewnętrznego szary taki, z grubą skórą.

– Łysy – odpowiedział Wędrowycz.

– No, prawie łysy. – Gospodyni ukroiła mu szarlotki. – Ma taką szczecinę tu i ówdzie. Grube włosy jak druciki, tylko niewiele. I na ogonku chwościk, ale symboliczny raczej.

– I sami sobie odpowiedzieliście. Słoń jest łysy jak świnia chrumkająca radośnie w chlewiku, a mamut włochaty jak wredny, groźny dzik przyczajony w bagnistym lesie. Słonie to istoty łagodne i pożyteczne, zwłaszcza te z Indii. A mamuty, jak to mieszkańcy Syberii, wredne, kudłate, agresywne dziadostwo.

– Te twoje teorie zoologiczne... – skrzywił się kozak. – Że ktoś z Rosji, to nie znaczy zaraz, że zły albo dzikus. – Zrobił obrażoną minę.

– No, może i nie każdy – zgodził się egzorcysta. – Ty oczywiście jesteś szlachetnym wyjątkiem. Ale w przypadku mamutów to się,

niestety, sprawdzało. Czy wiesz, co te bydlaki wyrabiały, jak chciały zaimponować samicy? Łapały przedstawicieli homo sapiens, trąbami urywały im głowy i zakopywały w mrowisku. A jak mrówki zrobiły swoje i objadły mięso, mamut nadziewał czaszki na kły. Czasem po dwie z każdej strony, a jak to był mamut dresiarz, to po trzy.

– Mamut dresiarz... – Semen przez chwilę smakował te słowa. – Jakub, co ty bredzisz? Wtedy jeszcze nie było dresów. A nawet jakby były, to przecież zwierzęta nie noszą spodni!

– Toż o tym przecież mówię! Liczy się sama idea symetrycznej potrójności, rozumiecie? Nie malował sobie trzech pasków na porciętach, tylko nadziewał trzy czachy na zęby! I tak wystrojony szedł na randkę. Bracia neandertalczyki ponieśli ogromne ofiary, żeby w drodze wielopokoleniowego wysiłku oczyścić nasze ziemie z tego wrednego bydelka.

– Hmm... No nie wiem. Pańskie teorie archeologiczne, czy może raczej paleontologiczne, są dość dziwaczne – zauważyła pani Izabela.

– Możliwe, że nie wszystkie szczegóły tak do końca się zgadzają, ostatecznie to było bardzo dawno temu, ale ogólny sens na pewno zachowałem.

– Chyba przesadzasz. Pamiętasz, co było jeszcze kilkadziesiąt lat temu w Dębince? Małpowaci mieli mamuty... Włochacza, Kudłacza, Sierściucha, Deptaka, Azora... Ostatni padł jakoś w latach osiemdziesiątych. I wcale nie były specjalnie wredne. Trochę kradły jabłka, czasem kogoś niechcący rozdeptały. Ale poza tym spoko chudoba. Coś jakby krowa, tylko ciut większa.

– Ci z Dębinki to nie neandertale, tylko pitekantry. A te ich mamuty to były popierdółki, oswojone od pokoleń. No i nie zapominaj, że kastrowali je za małego, żeby przyrastało więcej słoniny. Aż za którymś razem zagapili się i diabli wzięli ostatniego reproduktora.

– Hmm... No dobra. Wróćmy do meritum – poprosiła zleceniodawczyni. – Podejrzewa pan, że fortepian zdziczał od tych

mamucich zębów? A czemu inne nie zdziczały?

– Tego nie wiem, może zaszły jakieś inne okoliczności. Może dzieciaki na strychu wywoływały duchy i aktywowało się pole magiczne? Z tym mamutem to hipoteza robocza – zastrzegł Jakub. – Najpierw trzeba potwierdzić, że to ten surowiec. Potem poszukać rozwiązania.

– Ale jak niby rozpoznamy, czy to kość słoniowa, czy mamucia? – zafrasowała się pani Izabela. – W ogóle da się to jakoś rozróżnić?

– Z pewnością są jakieś sposoby... Semen, ty masz komórkę, zadzwoń, proszę, do tego wariata...

– Do rozczochanego z Warszawy?

– Ta...

Kozak przeszedł do salonu. Do drzwi zadzwonił listonosz. Jakub został w kuchni sam. Wyłowił z kieszeni monetę jednokoronową i wrzucił do swojego kubka z kawą, potem dolał z manierki bimbru. Pociągnął łyk mieszanki.

– E, stanowczo przereklamowane – burknął. – Zmarnowanie jednocześnie kawy i alkoholu, o monecie nie wspominając. Durny naród ci Szwedzi. Nic dziwnego, że przegrali potop. Za to szarlotka pierwsza klasa.

– Dzińdoberek, panie Storm – nawijał w salonie Semen. – Tak, ten stary pryk z Wojsławic. Cieszę się, że pan mnie pamięta. Przepraszam, że zawracam głowę, ale nie bardzo mamy kogo zapytać, a pan się zna na antykach... Potrzebowałbym trzyminutowej konsultacji... Mamy tu z przyjacielem taki problem. Nie wiemy, jak rozpoznać, czy klawisze w fortepianie to kość słoniowa, ząb mamuta, czy też może inny podobny materiał... Tak, już notuję.

Po chwili cała trójka znów siedziała przy kuchennym stole.

– Może to i wariat, ale łeb jak szafa – podsumował rozmowę kozak. – No więc ząb mamuta rozpoznaje się pod mikroskopem albo binokulem. On ma takie słoje jak w drewnie. Słoń ma grubsze i mniej wyraźne, a mamut cienkie i gęsto upakowane. Trzeba tylko

zдобыć mikroskop i kawałek kości słoniowej jako próbkę do porównania.

– Kość słoniowa? – zamyśliła się pani Izabela. – Moim zdaniem ten surowiec jest kompletnie nie do zdobycia. Handel jest zakazany od lat.

– Legalnie się nie da – westchnął Jakub. – No cóż, odrobinę naruszymy przepisy. Tu jest ogród zoologiczny?

– Jest. W Gdańsku Oliwie. Duży i ładny.

– Czy mają słonie? Najlepiej afrykańskie.

– Z tego, co wiem, mają oba gatunki. Afrykańskie i indyjskie. Ale jak chce pan...

– Proponuję nocą włamać się do zoo, poczekać, aż słoń zaśnie, i uciąć próbkę. Kość słoniowa jest twarda, ale bez przesady. Piłka do metalu będzie chyba okej? Wolałbym nie odpalać szlifierki kątowej, bo jeszcze się słonisko obudzi.

– Hmm... – Gospodyni wyraziła dezaprobatę.

– To zaiste wspaniały plan, przyjacielu. Plan, który może zaowocować epicką męską przygodą, szaloną ucieczką przed rozjuszonymi pracownikami zoo i opcjonalnie bohaterską śmiercią pod nogami rozjuszzonej bestii – wzruszył się kozak.

– Eee... ale jak to śmiercią? – zirytował się Jakub.

– Albo może raczej czeka nas przetrącenie karku trąbą, albo i nadziewanie na prawdziwą kość słoniową... Wszyscy menele z Wojsławic będą nam zazdrościć.

– Nie piernicz, Semen. Utniemy tylko kawałek, damy słoniowi jabłko albo marchewkę jako odszkodowanie.

– Nawet zwierzę łagodne i pożyteczne może się wkurzyć, gdy mu ktoś podłubie przy zębach. Sam wiesz, jak to jest, dentystów nikt nie lubi. Ale podobno hipopotamy są jeszcze groźniejsze.

– My nie damy rady? – prychnął Jakub.

– Dać oczywiście damy, ale wolałbym nie ryzykować konieczności ucieczki. Wiek już nie ten, kolana mnie bolą... Masz jakiś plan B?

– Może ukradniemy fortepian, który ma odpowiednie klawisze? Ukradniemy tylko na jakiś czas – dodał, widząc oburzoną minę

gospodyni. – Wypożyczymy, można rzec. Sprawdzimy tylko, porównamy i grzecznie oddamy. Cudzego nam nie trzeba. To znaczy trzeba, ale tylko na moment.

– Jakub?

– Taaa...

– Zastanów się, co ty pieprzysz. Jak niby chcesz ukraść fortepian?

– Tak dokładnie to nie wiem – mruknął Wędrowycz. – Nigdy w życiu nie byłem złodziejem. Ale włamywacze to przeważnie idioci, więc to chyba nie jest przesadnie trudne zadanie? Włamiemy się, a potem będziemy improwizowali.

– Fortepiany są duże i ciężkie. To nie jest coś, co wyniesiesz na plecach – szydził bezlitośnie Semen.

– Ale na nóżkach mają takie małe kółeczka. Hmmm... faktycznie toczyć kradziony fortepian przez całe miasto to jednak będzie pewien kłopot. Tak można było działać trzydzieści lat temu. Świat był wtedy o wiele prostszy. A teraz naćkali wszędzie kamer jak u jakiegoś Orwella. To co radzisz?

– Moim zdaniem – odezwała się gospodyni – skoro potrzebujemy kości słoniowej, najłatwiej będzie przejść się po sklepach z antykami i poszukać jakichś drobiazgów z tego surowca. Przy okazji zajdę do mojej znajomej, która pracuje w szkole, pożyczymy mikroskop.

– No fakt. Tak będzie łatwiej i bezpieczniej. – Jakub posmutniał. – Tylko przygody szkoda... Włam do zoo to coś wielkiego, o czym mógłbym potem opowiadać Piotrusiowi, jak przyjedzie. Ale coś jeszcze wymyślę.



Zapakowali się do auta i pojechali na zakupy. W piątym z kolei sklepie z antykami udało się kupić starą szpilę do włosów z kości słoniowej. Ponieważ była pęknięta, sprzedawca policzył całkiem tanio. Kobieta podzwoniła po znajomych, jeden dysponował

mikroskopem cyfrowym. Było wczesne popołudnie, gdy wylądowali z powrotem w saloniku przy feralnym instrumencie.

Semen podpiął kabel mikroskopu do monitora. Najpierw skierował obiektyw na szpilę. Dostroił trochę, dłuższą chwilę przyglądali się powierzchni kości, potem skierował go na klawisze fortepianu. Jakub trzymał klapę, na wszelki wypadek podparł ją też polanem. Płytki klawiszowe po bokach wyglądały tak samo jak szpila.

– To zwykła kość słoniowa – mruknął trochę rozczarowany Semen.

– Sprawdzaj po kolei – polecił egzorcysta.

Jak się okazało, Jakub miał nosa. Klawisze znajdujące się pośrodku klawiatury, choć nie różniły się kolorem, w powiększeniu okazały się trochę inne.

– Wymieniono mniej więcej trzy czwarte – zauważył. – Widać tyle wystarczyło, żeby fortepian zdziczał. Przydałoby się jeszcze zdobyć próbkę kła mamuta, żeby uzyskać całkowitą pewność. Ale nie mam pojęcia, skąd to wytrzasnąć. Przyjmijmy, że odgadliśmy.

– No dobra, podsumujmy – poprosiła pani Izabela. – Czyli według pana zrobili klawisze z kłów mamuta, więc jego duch nawiedza instrument i z jakiegoś powodu szuka możliwości odwetu na ludziach. Badania mikroskopowe zdają się potwierdzać teorię.

– Taką mam roboczą hipotezę. – Egzorcysta uśmiechnął się skromnie.

– Czyli wystarczy rozkręcić fortepian, wyjąć feralne klawisze, zeszlifować z nich kość, przykleić na przykład plastik? Oczywiście nie taki z opakowań po jogurcie, tylko jakieś szlachetniejsze odmiany.

– Teoretycznie tak, ale jako człowiek odpowiedzialny patrzę na tę sprawę szerzej.

– Odpowiedzialny niby za co!? – zdumiał się kozak.

– Za bezpieczeństwo innych miłośników muzyki. Taki mamut to kły o wadze kilkudziesięciu kilogramów. Z pewnością jak je rozpiłowali, to uzyskali masę surowca. Skoro zdziczał jeden

fortepian, niewykluczone, że inne także. Myślę, że w paleolicie zaniebano jakieś rytuały – powiedział poważnie Jakub. – Nasi przodkowie, gdy polowali, zawsze dla bezpieczeństwa stosowali różne sztuczki. Na ten przykład do dziś, gdy kandydat na myśliwego kropnie pierwszą w życiu zwierzynę, to mu się jej krwią znaczy czoło i musi golnąć wódki lanej do gardła przez lufę strzelby. Odmawia się modlitwy do świętego Huberta. Indianie, gdy utłukli bizona, tańczyli specjalny taniec. A u Hotentotów, jak chłopak zabije pierwszą antylopę, to musi ją, eee... – Łypnął na przysłuchującą się kobietę. – No... odbyć nad jej ciałem pewne specyficzne dla tej kultury obrzędy – wybrnął, czerwieniąc się jak panienka.

Sądząc po kolorze policzków kobiety, ona też się domyśliła.

– Czyli sądzisz, że tego mamuta dziabnęli jacyś paleolityczni myśliwi, ale nie odprawili nad jego cielskiem stosownych obrzędów i jego duch, zamiast odejść spokojnie do niebiańskiej tajgi, pozostał na ziemi, i to jeszcze wkurzony? – podsumował Semen.

– Nie zabili go. Gdyby został utłuczony, nie utonąłby w bagnie i wieczna zmarzlina nie zakonserwowałaby jego kłów. Ale na pewno wkurzyli go, i to solidnie. Rytuałów, rzecz jasna, nie odprawiono i jego duch zdołał wrócić. Sądzę, że próbuje wyrównać porachunki z ludźmi. A że tamci już nie żyją, będzie dążył do rozprawy z zupełnie przypadkowymi osobami. Trzeba by go jakoś zlikwidować, udobruchać albo odesłać do piekła. Kłopot w tym, że mamutów już nie ma, wszyscy, którzy wiedzieli, jak to robić, od dawna nie żyją – westchnął egzorcysta. – Po prostu nie mamy kogo zapytać o te paleolityczne rytuały. A nie zapisali szczegółów, bo nie było jeszcze alfabetu.

– O łowcach mamutów wiadomo całkiem sporo – zauważyła pani Izabela. – Znaleziono na przykład pozostałości ich chat, zbudowanych z kości i skór tych zwierzaków. W jaskiniach są malowidła naskalne. Natrafiono też na flety z kości niedźwiedzia i warkotki do kręcenia na sznurku czy rzemieniu. Może mieli też bębny, grzechotki z tykwy, kije deszczowe, które funkcjonują

u Aborygenów. Niestety, ziemia kiepsko przechowuje materiały organiczne, nie zachowały się żadne ślady.

– Można spróbować zagrać mu na flecie. Problem w tym, że nie mamy kości niedźwiedzia jaskiniowego i raczej nie zdobędziemy, bo wymarł tysiące lat temu – zauważył Semen. – Co gorsza, nie znamy też melodii.

– Wywołamy duchy ludzi, którzy wkurzyli tego konkretnego mamuta, i zmusimy, żeby go przeprosili? – zadumała się gospodyni.

– Wolałabym nie uprawiać podobnych okultystycznych praktyk. A zwłaszcza we własnym domu. Mam już dość kłopotów.

– Pomysł z wywoływaniem zasadniczo jest niebezpieczny – kiwnął głową egzorcysta. – Myślałem raczej o uzyskaniu bardziej autoryzowanego kontaktu z zaświatami. Za pośrednictwem świętobliwych pustelników albo sióstr zakonnych mających kontakt z duszami czyśćcowymi. Może coś by się dało zagadać i uzyskać informacje? Ale co w przypadku, jeśli ci jaskiniowcy trafili do piekła? Byłem, nie podobało mi się i chwilowo nie planuję ponownych odwiedzin. – Wzdrygnął się na wspomnienie.

Zapanowała cisza. Gospodyni popatrywała na gości, goście patrzyli na szarlotkę.

– Wydaje mi się, że mamy tylko jedno wyjście – westchnął Jakub. – Cofniemy się w czasie do epoki, kiedy ten bydlak jeszcze żył. Znajdziemy plemię łowców mamutów. Odszukamy szamana, wypytamy go o szczegóły rytuałów albo namówimy, żeby sam je odprawił. Przez to we współczesności fortepian nie będzie kęsał. Można ewentualnie jeszcze prościej. Pomożemy pradziejowcom go skłusować, przez co w dziewiętnastym wieku zrobią klawisze z kłów zupełnie innego egzemplarza.

– A jeśli narobimy paradoksów? – ostudził go kozak. – Trzeba uważać, bo namieszamy w naszej własnej przyszłości.

– Masz lepszy pomysł?

– W sumie to nie – przyznał Semen.

– No to postanowione. Pani tu sobie posiedzi w ciepłej i bezpiecznej kuchni, a my skoczmy i zaraz wrócimy, z tarczą lub

bez tarczy.

– Mam przegapić wycieczkę do paleolitu?

– Tak będzie najlepiej. Minione czasy były niehigieniczne, ponure, pełne zdziczałych ludzi i agresywnych, nieoswojonych zwierzaków.

– Semen próbował przemówić kobiecie do rozsądku. – W dodatku nie było chodników, tylko błoto po pas. I masa insektów. A tu czysto, cicho, spokojnie, telewizję można pooglądać.

– Mowy nie ma! – Kobieta rąbnęła pięścią w stół, aż podskoczyły filiżanki. – Lecę z wami!

– Dobra, dobra, po co tak nerwowo – bąknął Jakub. – Tylko niech pani weźmie porządne buty i gruby sweter. W czasach jaskiniowych było zimniej. I psikadło na robale. Będę potrzebował trzech luster i dwunastu świeczek. Wykorzystam część mocy zaklętej w tych klawiszach. I tę zasłonę z koralików bym poprosił, o ile nie jest bardzo potrzebna.

Rozstawił lustra, zapalił świece, coś wymamrotał i polecieł.



Paleolit wyglądał zupełnie podobnie do wygonu za chatą Bardaków, tylko rosło tu więcej brzoźek, a w dodatku było zimniej. Ponadto w powietrzu unosiła się woń mamuciego łajna, a w oddali majaczył lodowiec.

– No i sama pani widzi – gderał egzorcysta. – Kompletnie nic ciekawego w tej przeszłości. Drzewa jak u nas, trawa jak u nas, piach też podobny do naszego. Jedyna różnica, że można spotkać tygrysa szablastozębego albo inną cholere z rodzaju tych, co w naszej epoce na szczęście już wymarły.

– Oj tam, oj tam – ucięła.

– Syberia – zidentyfikował Semen, rozglądając się uważnie.

– Skąd wiesz? – zdziwił się egzorcysta.

– Po wiewiórkach poznałem. – Kozak wskazał zwierzątko siedzące na pobliskim cedrze. – Ten gatunek występuje tylko na wschód od

Uralu.

– A jeśli w tych czasach żyły także w Polsce? – zagadnęła kobieta.

– Nie, powietrze pachnie tu jak w tajdze. – Semen pokręcił głową.

– Jakaś rachityczna ta tajga – mruknął egzorcysta. Drzewa po pas, rzadko które większe.

– Bo to już daleka północ, lasy przechodzą w tundrę. To by się zgadzało. Uczeń uważają obecnie, że mamuty latem pasły się na pustkowiach dalekiej północy, a dopiero na zimę wracały do tajgi. Chyba mamy lato albo coś w ten deseń. – Semen popatrzył na słońce.

– Chłodne lato... Czy dlatego, że jesteśmy niedaleko Arktyki, czy może po prostu epoka lodowcowa? – Wędrowycz podrapał się po głowie. – Zresztą nieważne. Zrobimy co trzeba i wracamy do naszego kochanego globalnego ocieplenia.

Nie bardzo wiedzieli, dokąd iść, więc ruszyli po prostu przed siebie. Minęły może dwa kwadranse, gdy wyszli na polankę.

– Mamut tu był, i to niedawno. – Kozak popatrzył na stratowany zagajnik. – I chyba nie jest do końca zdrowy, zwróć uwagę, że połamał i pozjadał wierzby. Ich kora zawiera salicylany, z których robi się aspirynę.

– Mamut z trąbą zapchaną smarkami? Błę... – skrzywił się egzorcysta. – Z drugiej strony w co niby miałyby się wysmarkać? To nie te czasy, żeby mógł zwinąć z płotu prześcieradło i użyć jako chusteczki. Tak czy siak, ruszajmy jego tropem.

– Czekaj... Tak pomyślałem... – Kozak zatrzymał się w pół kroku. – Czy nie pospieszaliśmy się trochę?

– Hę?

– Co zrobimy, jak już tego mamuta wytropimy?

– No... zabijemy. Taki był chyba plan.

– Ale czym go zabijemy? – zirytował się Semen. – Gołymi rękami? Zabrałeś rusznicę przeciwpancerną, pancerfaust albo coś równie konkretnego? Mamy tak w ogóle jakąś broń!?

– Ja zabrałam pogrzebacz od kominka – zaoferowała się pani Izabela. – I kanapki robiłam.

– Złota z pani kobieta. – Semen uklonił się szarmancko.

– W telewizji mówili kiedyś, że ludzie zabijali dinozaury kamieniami – zauważył Jakub, patrząc na drobne otoczaki poniewierające się w ściółce. – Ale jak zabijali mamuty, to nie wiem. Jest takie chińskie powiedzonko, że milion ukłuć szpilką zabije słonia. Tylko szpilek nie wziąłem. Proponuję faktycznie zaprzestać tropienia i odnaleźć wioskę jaskiniowców.

– Wioskę... jaskiniowców!? – zdumiał się jego kumpel.

– Gdzieś przecież muszą mieszkać, no nie? Gór tu nie ma, jaskinie na płaskim terenie nie występują.

Ruszyli w przeciwnym kierunku i po upływie kolejnych dwóch kwadransów faktycznie znaleźli spore koczowisko. Kilkanaście niezbyt kształtnych szałasów ustawiono w krąg. Konstrukcje z wygiętych dyli brzoźowych nakryto darnią, a te elegantsze skórami reniferów. Pośrodku wznosił się słup, na który nadziano czaszkę tygrysa szablastozębego.

– Totem jak indiański – zauważyła kobieta.

– A mnie się kojarzy z naszymi sąsiadami z Dębinki – uśmiechnął się krzywo kozak.

– Plan jest taki – zakomenderował Jakub. – Wkraczamy dziarsko i z przytupem. Odnajdujemy wodza, przekupujemy perkalem i paciorkami. Plemię likwiduje mamuta, szaman robi co trzeba z jego duchem, bierzemy udział w bankiecie zwycięstwa i hajda do naszych czasów.

– Tylko jak się z nimi dogadamy? – zaniepokoiła się pani Izabela.

– Już moja w tym głowa.

– A jak nie zechcą perkalu i paciorków?

– Nie zechcą, bo ten idiota nie zabrał ani jednego, ani drugiego – prychnął kozak. – Na szczęście mam walutę uniwersalną, chętnie przyjmowaną w każdej epoce i pod każdą szerokością geograficzną. – Wyciągnął z kieszeni garść złotych pięciorubłówek.

– Może i faktycznie nie zabrałem perkalu, ale w tych czasach nie jest potrzebny, wszyscy latają nago albo odziewają się w skóry. Za to paciorków mamy z półtora kilo. – Egzorcysta uchylił torbę,

pokazując różnobarwne plastikowe kulki z zasłonki drzwi od kuchni.

Jaskiniowcy spostrzegli nieproszonych gości. Z najbliższych szalasów wynurzyło się trzech roślących młodzieńców. Gęby mieli w zasadzie ludzkie, tylko nieco prostackie i z mocno zarysowanymi wałami nadoczodołowymi. Umieśnieni byli nieźle, prawie jak Arnold Schwarzenegger. Dwaj uzbroili się we włócznie z groźnie wyglądającymi krzemiennymi grotami, a trzeci dzierżył drewnianą pałę. Odziani byli w przepaski biodrowe oraz poncza z wilczych skór. Na piersiach podskakiwały im amulety z przewierconych kłów tygrysa. Łapska i torsy znaczyły liczne blizny. Stopy obuli w sandały ze skóry nosorożca włochatego.

– Chyba nikt im jeszcze nie powiedział, że kije bejsbolowe służą do grania, a nie do zabijania – burknął Semen, kontemplując zaschnięte brązowe plamy paskudzające drewno maczugi.

– Dzińdoberek – ukłonił się egzorzysta. – Panowie stanowią tu ochronę obiektu? Jesteśmy gośćmi z dwudziestego pierwszego wieku. Wysłannikami epoki kultury, higieny i rozumu. Fersztejen? Charoszo... Zaprowadźcie nas do swojego wodza.

A potem, widząc ich wahanie, wcisnął każdemu po garści plastikowych koralików. Groźne mordy jaskiniowców z miejsca wykrzywiły się w szerokich, szczerych kromaniońskich uśmiechach. Schowali pospiesznie paciorki do skórzanych sakw dyndających im u przepasek i dali znak, by podążać za nimi.

– To już w tych czasach łapówkę przyjmowało się lewą ręką!? – zdumiała się pani Izabela. – Kto by pomyślał...

– Są tradycje starsze, niż moglibyśmy przypuścić. – Semen filozoficznie pokiwał głową. – Kto wie, może starsze niż sama ludzkość?

Gdy szli przez koczowisko, z szalasów powystawiały głowy także kobiety i dzieci. Kobiety były brzydkie jak noc i malowniczo rozczochrane, a dzieci równie mało urodziwe, a w dodatku okropnie brudne. Było też kilka psów, jednocześnie rozczochranych i brudnych. Wódz, a zarazem także szaman wyszedł na spotkanie

gości. Był to starszy, posiwiały mężczyzna, przypominający z gęby szympansa. Ubrał się tak samo jak współplemieńcy, ale na piersi dyndała mu imponująca kolekcja amuletów. Wymienili grzeczności.

– O, goście – mruknął szaman. – A ja nieogolony... Przepraszam, zamówiłem brzytwę z obsydianu, niestety, nasz kamieniarz to leń jakich mało, obija się, zamiast pracować... Ale nie stójmy tak na przeciągu, zapraszam do siebie.

Wewnątrz szałasów znajdowało się klepisko i posłanie wyłożone skórą. Pośrodku na niewielkim ognisku stała tykwa wypełniona jakimś zajzajerem. Naczynie było okopcone, tu i ówdzie skorupa przepaliła się, a ciecz skwierczała w zetknięciu z żarem.

– Wiem, co chcecie powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że marny ten kociołek – westchnął szaman. – Ale nie wynaleźliśmy jeszcze naczyń glinianych, o metalach nie wspominając, a jakoś gotować trzeba.

W rogu pomieszczenia na lewo od wejścia umieszczono typową półeczkę na ikony, ale zamiast świętych obrazów leżały tam pomalowane na kolorowo zwierzęce czaszki.

– Jesteście poganami? – zdziwił się kozak.

– A kto niby miałby nas nawrócić? – Szaman spojrzał nie niego jak na idiotę. – Misjonarze dotrą w te strony za jakieś czterdzieści tysięcy lat.

– Faktycznie.

– Co takiego pichcisz, przyjacielu? – zagadnął Jakub, zezując na tykwę.

– Szamańskie ziółka... No tak po prawdzie określenie „ziółka” jest trochę na wyrost, bo główny składnik to muchomory. Zapewniają odmienne stany świadomości. Rozumiecie? Chodzi o to, że jako szaman muszę odbywać wędrówki astralne, a nie dysponujemy jak na razie innymi środkami psychoaktywnymi. To piję, co uda się uwarzyć. Marne te wizje, a wywar cholernie na wątrobę szkodzi, ale co poradzić. Życie szamana to nie taniec po płatkach róż.

– Sporysz zawiera LSD – odpowiedział kozak.

– A skąd niby wezmę sporysz, jak jeszcze nie było rewolucji neolitycznej i nikt nie uprawia zbóż? – zirytował się jaskiniowiec. –

Dzikię też tu nie rosną, nie ten klimat. Trzeba poczekać na najbliższy interglacjał, może wtedy spróbujemy.

– Wylej to trujące gówno, przyjacielu, i golnij naszego produktu. – Jakub podał mu manierkę. – Wizji wprowadzie nie gwarantuję, ale humor poprawia, i to radykalnie.

Szaman znalazł jakiś kubek z kory brzozonej. Poleli hojnie. Golnął, chuchnął, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy. Sądząc po nosie, szybko zmieniającym kolor na buraczkowy, „woda ognista” ewidentnie mu zasmakowała.

– No dobra, starczy tych podchodów, walcie wprost, co was tu do nas sprowadza? – Po trzeciej kolejce oczka miał nieco maślane, a jego życzliwość wobec gości z innej epoki znacząco wzrosła.

– Mamy problem. Duch mamuta rozrabia w naszych czasach – wyjaśnił egzorcysta. – Cofnęliśmy się tu, do was, żeby pomóc go skłusować. A pan, jak już bestia będzie zaciukana, odeśle jego ducha do krainy wiecznych łowów.

– Mamuta? Aaaa... TEGO mamuta – domyślił się szaman. – Niewykonalne, obawiam się. Próbowaliśmy już ze dwadzieścia razy. Niestety, jak dotąd bez skutku. Wredne bydlę. Ostrożne, chytne i przebiegłe. Kopaliśmy wilcze doły, podpaliliśmy tundrę, żeby go zagonić na krawędź przepaści, nawet próbowaliśmy zwalić mu na łeb głaz z urwiska. Wszystko na nic. Najlepsze metody zawiodły.

– A dzidami? – podsunęła pani Izabela.

– Za słabe. No i futro działa jak kamizelka dzidoodporna. Kilka, owszem, przebiło mu nawet skórę, ale nie zraniły go jakoś bardzo poważnie. Za płytko się wbiły, żeby uszkodzić organy wewnętrzne, albo chociaż ważniejsze naczynia krwionośne. Trąbą powyrywał, a zaraz potem wziął krwawy odwet. Nie będę owijał w bawełnę, która zresztą i tak tu nie rośnie. Już ze trzydziestu myśliwych zginęło marnie w walce z tym bydlakiem. Tyle dobrze, że mamy poligamię, bo przy takich stratach doszłoby do katastrofy demograficznej.

– Rzeczywiście szkoda, że nie mam tu karabinu przeciwpancernego albo pancerfausta – westchnął Wędrowycz. – No

trudno, trzeba będzie stuknąć dziada innym sposobem. Kto tu, u was, jest najlepszy w obróbce krzemienia?

– Młody Aarch. Umie wyłupać wszystko. Ale jak już wspomniałem, to leń, palant i idiota. Zamiast produkować groty do strzał i ostrza do włóczni, bawi się w artystę. W dodatku nie lubimy się. Moje mieszanki ziołowe nie pomogły mu w sprawach sercowych. Obraził się na mnie śmiertelnie i w odwecie chce założyć konkurencyjną religię.

– Rozumiem różnice światopoglądowe i wyznaniowe, ale sprawa zgładzenia mamuta jest celem nadrzędnym, przerzucającym mosty porozumienia nad najgłębszymi podziałami – powiedział poważnie Wędrowycz. – Prowadź do niego, przyjacielu, będziemy dziś tworzyli historię... No, może raczej prehistorię – zreflektował się.

– No nie wiem... Zaangażowanie mojego plemienia w wasze prywatne porachunki z mamutami? Że niby mamy odwalić za was brudną robotę? Średnio mi się to widzi, szczerze powiedziawszy. A zresztą dobra, niech będzie. – Garść koralików wciśnięta do brudnej łapy pomogła pokonać obiekcje. – Co mi szkodzi? Najwyżej ludzie poginą, kobiety poprosimy, to nowych urodzą.

I pomaszerowali przez koczowisko. Pani Izabela odciągnęła egzorcystę na bok.

– Panie Jakubie – szepnęła – przecież te dzikusy dopiero co zlały z drzewa. Dlaczego oni tak uczenie gadają?

– Wcale nie uczenie, gadają po swojemu, tylko żebyśmy się wszyscy dobrze zrozumieli, przełączyłem się na telepatię. A ona robi automatyczny przekład z języka jaskiniowego na pojęcia zrozumiałe dla nas – wyjaśnił. – I w drugą stronę też tak idzie.

Pracłowiek Aarch siedział przed swoim szałasem. Wokół wałała się masa krzemiennych odłupków, a piach znaczyły plamki krwi w miejscach, gdzie bosonodzy klienci wdepnęli w te śmieci. Jaskiniowca zastali przy pracy. Przy użyciu bryły piaskowca polerował spory granitowy posążek niedźwiedzia. Słyszając kroki, oderwał się od zajęcia.

– Czym mogę służyć? – Łypnął niechętnie. – Robotę mam...

– Widzę, że jest pan prawdziwym artystą – skomplementowała go pani Iza. – To będzie wybitne dzieło sztuki, godne najlepszych muzeów archeologicznych.

– Widziałem to chyba w Ermitażu – mruknął pod nosem Semen.

– To nie ma być artystyczne – skrzywił się dzikus. – Tworzę obiekt kultu. Potem jeszcze zbuduję świątynię, o tam, nad świętym źródelkiem. – Machnął ręką, pokazując kierunek. – Przed tą rzeźbą będą składane ofiary. Czczenie słońca, księżyca i sił natury, warkot świętych bębnow i eliksiry, po których miesza się we łbie, to zacofanie i obciach. – Spojrzał pogardliwie na szamana. – Zamierzam wprowadzić kult wielkiego niedźwiedzia Mywu, a potem zostać jego kapłanem. Kapłan to, sami rozumiecie, ktoś oczko wyżej niż szaman. Dziewczyny będą się w kolejce ustawiać do mojego sanktuarium. Zamierzam też wprowadzić różne interesujące rytuały. Bo ziółka miłosne znów nie podziałały! – Oskarżycielskim gestem wskazał szamana.

– Ziółka są dobre, po prostu zagadać do kobiety nie umiesz, a twoja pitekantropska gęba odstrasza dziewczyny – odgryzł się stary. – Kult niedźwiedzia i rytualne bzykanko, żeś się nie wysilił... – prychnął i wkręcił sobie śrubkę w skroń.

– Panowie, nie kłóćcie się, proszę, golnijmy po jednym na zgodę i przejdźmy do interesów – zaproponował Jakub.

– Interesów? – zaciekawiał się kamieniarz.

– Mamy tu taki schemat. – Kozak położył na pniaku liść łopianu i kilkoma ruchami markera naszkicował, o co chodzi.

– Trzeba zrobić grot do włóczni, ale cztery razy większy niż zwyczajnie? – Aarch poskrobał się po zawszonej łepetynie. – No, w sumie da się, ale przy tych rozmiarach nie będę go robił normalnie, tylko techniką oryniacką, nauczyłem się w ubiegłym roku na wymianie naukowej we Francji – pochwalił się. – To znaczy na ziemiach, gdzie w waszej epoce będzie Francja. No i takie zamówienie to nie ze zwykłego krzemienia, tylko z importowanego obsydianu. Będzie ostry jak brzytwa. Trochę drożej wyjdzie, ale nie przejmujcie się, jeszcze nie wynaleźliśmy pieniądza.

– À propos brzytwy, co z moim zamówieniem? – prychnął szaman.
– Ogoliłbym się...

– Mówiłem wyraźnie, że zrobię we wtorek.

– W jaki wtorek, palancie, jak tydzień nie jest jeszcze wynaleziony!? Sami widzicie, jaki to idiota. – Szaman złapał się za głowę.

– No dobra, kiedy zrobisz nam to ostrze? – zagadnął Jakub.

Kamieniarz kolejny raz poskrobał się po głowie. Rozgniół paznokciami kilka wszy. Popatrzył w niebo, potem rozejrzał się po warsztacie.

– Myślę, że w piątek znajdę dla was trochę czasu – zaproponował.

– Świetnie się składa, bo właśnie dziś jest piątek – zełgał Semen.

– Tak? Patrz, szamanie, jeszcze nawet kalendarza nie wymyśliliśmy, a już tak szybko czas płynie – zdumiał się kamieniarz.

– No dobra, w takim razie do roboty!

Westchnął ciężko na myśl o czekającej go pracy. Przytoczył z zaplecza bryłę szkliwa wulkanicznego, ujął w dłoń krzemień i szybkimi ruchami zaczął ją ociosywać.

– Proszę, twoja brzytwa, i przestań już marudzić. – Podał szamanowi długi, pierońsko ostry wiór obsydianu.

Nie minął kwadrans i zamówienie Jakuba też było gotowe. Grot okazał się wielki. Powierzchnia połyskiwała głęboką czernią. Krawędzie wydawały się ostre jak żyłki, zarazem całość była na tyle gruba i solidna, by nie złamać się, gdy uderzy w skórę bestii. Egzorcysta nagroził kamieniarza garścią plastikowych koralików, co ten przyjął z nieskrywaną radością.

– Zdolniacha – podsumował szaman. – Ale leń nieprzeciętny. W dodatku heretyk, a my nie mamy jeszcze inkwizycji, żeby go odpowiednio usadzić. Powiedzcie, proszę, po co wam grot tak idiotycznej wielkości?

– Do naprawdę dużej włóczni. Zbudujemy balistę – objaśnił Jakub.

– To taka jakby gigantyczna kusza zdolna wystrzelić, ale konkretną dzidę. Długą i grubą jak dyszel wozu. Potem trzeba zwabić mamuta i ciach. Nadziejemy łobuza jak na rożen.

– Będzie kłopot, bo nie mamy dyszli, zresztą wozy też jeszcze nie zostały wynalezione. – Szaman pokręcił głową.

– Nie trzeba, to ma być tylko podobne – uspokoił go kozak. – Pomyślmy lepiej, jak zwabić mamuta.

– To akurat proste. Ile razy zaczynaliśmy grać na fletach z kości niedźwiedzia jaskiniowego, wkurzał się, przylatywał, rozdeptywał nasze szałas, tratował mężczyzn, kobiety i dzieci. Ewidentnie nie lubi ostrego brzmienia.

– Super. To dziś po południu dacie koncert – zadysponował egzorcysta. – Zbierz zespół, zaczną grać, mamut przybiegnie, a my go dziabniemy. Muzykom zapłacimy i zapewnimy pełną ochronę przed bydlakiem.

– Widzę jeden problem. Ta wasza balista będzie wycelowana w pewnym kierunku. A jeśli bydlę przybiegnie z innej strony? – zafrasował się szaman.

– Hmm... tego nie przewidziałem – zakałapuśkał się Jakub.

– Zrobimy balistę z obrotnicą – wybawiła go z opresji pani Izabela.

– I zamaskujemy, żeby wyglądała jak szałas. To się nie spłoszy przedwcześnie.

– Macie tu cieśli albo stolarzy? – egzorcysta zwrócił się do szamana.

– Eee... No niestety, nie ta epoka. Za jakieś trzydzieści pięć tysięcy lat trzeba przyjść. Ale może... Czy spec od wyginania belek na pokrycie szałasów wystarczy?

– Od biedy ujdzie. Które brzozy w pobliżu koczowiska możemy powalić? I jeszcze potrzebujemy grubego rzemienia na cięciwę...

– Może być z megaterium?



Było wczesne popołudnie, gdy przygotowania wreszcie dobiegły końca. Szaman nie zgodził się, by zwabić mamuta do osady, obawiał się, że osoby postronne mogłyby oberwać rykoszetem. Ulokowali się

zatem w zagajniku opodał. Wioskowa orkiestra, suto opłacona koralikami, zabrała się z zapalem do roboty.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego ten mamut nie lubi muzyki – mruknął Semen.

– Chopin to to nie jest – zgodził się Jakub.

– Przynajmniej im ta forma rozrywki sprawia przyjemność. – Ich towarzyszka była jakby bardziej wyrozumiała. – To my nie przywykliśmy.

Całą trójkę przybyszów z przyszłości upiorne dźwięki kościanych fletów przyprawiały o gęsią skórę i ból zębów. Ale koncert zadziałał bez pudła. Nie minął nawet kwadrans, kiedy opodał rozległ się trzask tratowanego poszycia, a po chwili ich oczom ukazała się bestia.

– Jasna cholera! – wykrztusił kozak. – Przepraszam, że ci nie wierzyłem.

– A bo to pierwszy raz? – wzruszył ramionami Wędrowycz. – Ale wybaczam ci. Tym łatwiej, że już przywykłem.

Zwierzak ewidentnie należał do mamutów dresiarzy. Na futrze pokrywającym nogi wyraźnie odznaczały się po trzy pasma jaśniejszej sierści. Na lewy kiel nadział trzy ludzkie czaszki, a prawy, chwilowo nagi, czekał dopiero na przyozdobienie. Same koniuszki zębów zwierz pozłocił, zapewne pocierając je o samorodki kruszcu. Łańcucha na szyi nie nosił chyba tylko dlatego, że łańcuchy nie zostały jeszcze wynalezione, a może też i z tego powodu, że prawie nie miał szyi. Zatrąbił, jakby pytał, czy mają jakiś problem. Jakub odważnie wystąpił naprzód i pokazał mamutowi słowiański gest pokoju. Bydlę łypnęło podejrzliwie, jakby sprawdzało, czy on tak na poważnie.

– Ty głupi mamucie, zakisło ci w bucie! – Wędrowycz zaczął rapować do wtóru melodii wygrywanej na fletach. – Łeb masz całkiem pusty, nażryj się kapusty. Sztachnij się onucą, nim kły się skrócą. Trąba ci zwisa krótsza od...

– Ależ, panie Jakubie! – syknęła kobieta, oburzona.

Bestia ryknęła obrażona, uniosła trąbę i zaszarżowała. Zadrżała ziemia, z drzew sypnęły się liście. Jakub w ostatniej chwili uskoczył w bok, a Semen rąbnął siekierką w linę blokującą spust balisty. Włócznia świsnęła w powietrzu. Na szczęście trafili w samą dychę. Przez chwilę mamut stał ogłupiały i macał trąbą końcówkę drzewca sterczącą mu z piersi. A potem wytrąbił ostatnie bluzgi i ciężko zwalił się na bok.



– I co? Było do nas fikać? – Jakub podszedł i wlepił mu kopa gumofilcem w bok.

– W zasadzie to my najpierw nafikaliśmy jemu – zadumał się Semen. – Ale furda, ważne, że skutecznie.

Dzikusy z włóczyniami ostrożnie obstąpili truchło. Najodważniejszy dźgnął zwierzaka w ucho. Potwór był ewidentnie martwy. Teraz wystąpił szaman. Gołnął dla kurażu kubek Jakubowego samogonu. Przygrywając sobie na bębnie, odtńczył rytualny taniec. Zaśpiewał dwie pieśni na odegnanie zwierzęcych duchów. Na zakończenie obficie okadził cielsko wiechciem podpalonych ziół.

– Już nie wróci – zapewnił. – Daję dożywotnią gwarancję.

Egzorcysta skrzywił się i przez chwilę liczył na palcach, o ile tysiącleci ta gwarancja będzie przeterminowana w ich czasach, ale szybko machnął ręką.

– Naści honorarium za usługę. – Przesypał szamanowi resztę paciorków.

– A nie macie przypadkiem zapalek albo zapalniczki? – zagadnął szaman. – Niecenie ognia przez pocieranie kawałków drewna to straszna mordęga. Bo zaraz będziemy robili grilla. Oczywiście, jako swego rodzaju sponsorzy, też jesteście zaproszeni.

– No niestety, zapalniczki nie mamy – pokręcił głową egzorcysta. – Nie palimy petów, więc sam rozumiesz, nie nosimy ze sobą takich rzeczy.

– No szkoda...

Jaskiniowcy, piłując krzemiennymi nożami, rozcięli właśnie sierść, przebili się przez skórę i warstwę słoniny, a teraz wycinali co lepsze kęski. Orkiestra znów zaczęła przygrywać. Nie wypadało migać się od udziału w bankiecie, zwłaszcza że nie co dzień widzi się półtonową wątróbkę pieczoną na grillu z ociosanych pni.



Trzasnęło, błysnęło i cała trójka wylądowała na dywanie. Fortepian stał i milcząc, przyglądał im się odbłyśnikami kinkietów. Świece nadal się paliły, cała wizyta w przeszłości zajęła kilkanaście sekund realnego czasu.

– Fajna imprezka była, szkoda, że tak na sucho – westchnął Wędrowycz. – Jednak do takiej karkówki mamucianej piwko albo i coś mocniejszego bardzo by się przydało. Że nie wspomnę o chrzanie i musztardzie.

– Odczarowany? – Kobieta spojrzała na instrument.

– Zaraz sprawdzimy. – Kozak siadł na stołku i przez dłuższą chwilę grał „Wieczorny dzwon”.

Kłapa ani drgnęła. Jakub, korzystając z okazji, wysondował aurę instrumentu, ale tym razem nie wyczuł niczego podejrzanego. Na zakończenie obejrzelili jeszcze pod binokulem powierzchnię klawiszy.

– To nadal nie jest kość słoniowa – mruknął egzorcysta. – Ale nie użyli tym razem zęba mamuta. Myślę, że to kieł morsa albo coś podobnego. Jakby znów ożyło, niech pani wrzuci do skrzyni gdzieś za struny dwie puszki szprotek i powinno pomóc. Chyba że to z hipopotama, to nie wiem, co te bydlaki żrą.

– Dziękuję serdecznie za pomoc. Ile się należy? – zagadnęła kobieta.

– E, głupio by mi było brać kasę za tak prostą robotę. Kawalek szarlotki nam pani spakuje na drogę i jesteśmy kwita.

Pożegnali się i niebawem szli już przez pogrążający się w wieczornym zmierzchu Sopot.

– Wracamy do domu? – zagadnął kozak. – Czy może zakradniemy się do Opery Leśnej i pośpiewamy na scenie paleolityczne szlagiery?

– Chodźmy nad morze. Sprawdźmy tego potwora pod molo i obalimy flaszeczkę na prawdziwej plaży. Poza tym moje stopy łakną dotyku słonej bałtyckiej fali.

Co mu się stało? – zadumał się kozak, drepcząc przez miasto w ślad za przyjacielem. Dawniej unikał wody pod wszelkimi

postaciami. A teraz? Może to ta cała starość, a może wreszcie dojrzałość?

Krypta



Dzień był ciepły, wiosenny. Jakub dreptał niespiesznie polną drogą łączącą Stary Majdan z Wojsławicami. Ptaszęta swiergoliły, wiatr niósł woń zaoranej ziemi i świeżo rozrzuconego obornika, słoneczko przygrzewało. Opodal widać już było gospodarstwa Zielonego Wygonu. Wędrowiec spojrzął na drzewa obsypane kwieciami, oszacował z grubszą jesienne zbiory owoców. Wyobraził sobie, ile bimberku zdoła napędzić.

Aż mi czasem żal miastowych, westchnął w duchu. Nie wiedzą, co tracą, siedząc w betonowej dżungli, gdy tymczasem omija ich cała ta radość, którą daje nasze pracowite wiejskie życie. I jeszcze ten wielki kołowrót natury... Popatrzył, jak młode zajączki skaczą po miedzy. Jakie to piękne. Przychodzą pierwsze ciepłe dni, śniegi topnieją, przyroda budzi się do życia. Przez całe lato biomasa rośnie, żeby jesienią skończyć w garnku, słoiku lub zgoła od razu we wnętrzu butelki. A wiosną, gdy zimowe łajno trafia na pola, pierwiastki, witaminy i izotopy powracają do gleby i znów wszystko się odradza. Na pożytek ludziom, a nawet – tu splunął – na pożytek tym ciułom Bardakom.

Minął dawny kirkut, zszedł na dół, ku rzeczce Barbarce, i po chwili był już na podwórku Semena. Kozak siedział na ławeczce i wygrzewał się na słoneczku jak wyleniały stary kot.

– Dobrze, że jesteś – ucieszył się na widok kumpla. – Ale, ale, co tak zwieszasz nos na kwintę? Stało się coś?

– Taka piękna wiosna, a mnie akurat teraz deflegmator diabli wzięli.

– Diabli? – zafrasował się przyjaciel.

– To znaczy – zreflektował się Jakub – nie żeby diabli osobiście. Po prostu był już trochę nadpęknięty tu i ówdzie. Sam rozumiesz, setki lat służył, tysiące litrów przez niego przechodziło co roku. Parę razy szpary w korpusie udało się zalutować. Ale sama struktura metalu była już nazbyt naruszona. No i w końcu trach...

– Nic nie jest wieczne – westchnął kozak. – Zrobi się nowy. Szklany, na ten przykład. Jak w laboratorium.

– Jeśli nie będzie innego wyjścia... Ale żal. Ten był w mojej rodzinie od wielu pokoleń. Rurka z brązu, złożona w środku, stara, krzyżacka robota, pierwotnie używany w Malborku do pędzenia zakonnej wódeczki ziołowej. Sam rozumiesz, Krzyżacy nie zawsze ginęli w walce, bywało, że taki dożył starości. Mieli tam na zamku taki jakby przytułek dla staruszków.

– Infirmerię.

– Toż właśnie mówię. I był tam ogródek z ziółkami i apteka, gdzie kręcono dla nich różne lekarstwa. I przy aptece oczywiście rodzaj laboratorium.

– To jak wpadł w wasze ręce?

– Wedle rodzinnych legend łup z bitwy pod Komorowem. Brat aptekarz był też na drugi etat rycerzem w czynnej służbie. Poszedł, zginął, a sam wiesz, jak to wtedy bywało. Poległych oskubywano z sakiewek, zbroje nawet porąbane toporami miały swoją wartość. A w tym przypadku trup Krzyżaka miał za pazuchą deflegmator.

– Nie brzmi to szczególnie prawdopodobnie – skrzywił się kozak. – Po co zabierałby coś takiego na pole bitwy?

– Tego to już nie wiem. Może bał się, że pod jego nieobecność staruszkowie się włamią i napędzą sobie więcej gorzałki? Wiesz, co za dużo, to niezdrowo, zwłaszcza w pewnym wieku.

– A gdyby na wierzch nalutować łatki?

– Blacha już zbyt utleniona, pęka. Chyba tylko to złocenie wewnątrz trzymało wszystko w kupie, ale i ono się już wytarło. Ano

nic, pójdę za twoją radą i szklany się zrobi. Tylko szkoda...

– Pamiętasz? Kiedyś zepsuła ci się ulubiona rurka... Ale zdołaliśmy zdobyć nową. Może i tym razem się nam poszczęści?

– No niby jak? Krzyżaków już nie ma. To znaczy na Zachodzie zakon podobno przetrwał do dziś. To może faktycznie skombinować miecz, zbroję i konia, wjechać do ich siedziby... Tylko czy oni aby nadal wódkę robią? Kościół to teraz raczej propaguje abstynencję.

– Myślę, że jest prostsze wyjście – zadumał się Semen. – Trzeba by przejrzeć inwentarze muzeów, które mają na stanie różne krzyżackie graty. Kto wie, może gdzieś zachowała się zakonna aparatura? Włamiemy się i podmienimy, zabierzemy dobry deflegmator, a podłożymy twój. Niczego nie stracą, to zabytkowe i tamto zabytkowe. Autentyk za autentyk. A przecież u nich działać nie musi.

– Ty to masz łeb – pochwalił egzorcyta.

– Ano mam. Któryś z nas dwóch musi czasem umieć pomyśleć. A teraz chodź do chałupy, zaraz będzie w tiwi program historyczny o Zamościu.

– To znaczy?

– Będą gadali o przeszłości miasta i twierdzy. Wrzucimy coś na ząb i obejrzymy sobie. Trzeba poszerzać horyzonty. Zwłaszcza że nowy telewizor od wnuka dostałem, czterdzieści dwa cale.

– Angielski?

– Nie, chiński, jak cała elektronika. A dlaczego pytasz?

– To czemu niby wielkość w calach, a nie normalnie w centymetrach?

– Zwyczaj taki, pewnie amerykański. Przekątną ekranu podają w calach właśnie.

– Ci zagranicznicy to chyba po prostu lubią sobie życie komplikować. – Egzorcyta skrzywił się. – Z nudów, albo z dobrobytu może. Stopnie Fahrenheita, cale, stopy, funty... A piwo leją na pinty.

– Różnorodność taka, Jakubie.

– I jeszcze wtyczki do kontaktów mają z różnymi bolcami. A od telewizji psują się oczy. Z drugiej strony jesteśmy tak starzy, że

w sumie możemy i wzrok popsuć. Na co zdrowie oszczędzać, do nieba przecież nie zabierzemy.

Zasiedli w pokoju. Kozak uruchomił pilotem telewizor. Jakub łyknął na migającą reklamę zup w proszku. Skrzywił się demonstracyjnie.

– Co ci znowu nie pasuje? Minę masz, jakbyś połknął żabę – warknął Semen.

– Nie mogę się jakoś przyzwyczaić – wyznał egzorcysta. – Telewizor z naszej knajpy, który jest jak pudło po butach, tylko z wypukłym ekranem, to jeszcze rozumiem. Ale ten...? Dziwactwo jakieś. Dla mnie to, co płaskie i wiszące jak obraz na ścianie, powinno być nieruchome.

– Ależ ty wydziwiasz! – parsknął Semen. – Prąd zły, telewizja zła, radio złe, internet zły...

– No nie przesadzajmy. Dobre strony techniki też bywają – zauważył Jakub. – Prąd na ten przykład można wykorzystać do płatania psikusów Bardakom. A dzięki internetowi tośmy zobaczyli więcej gołych babeczek niż wszyscy nasi przodkowie przez tysiąc lat. Więc pewne plusy dodatnie tego rozwoju też istnieją. Swoją drogą, ekran duży i obraz jak żyłeta, to pewnie i gołe babki byłyby wyraźnie widoczne.

– Najpierw kultura!

Brzęknęła mikrofalówka. Kozak zakrzętnął się, nałożył kumpłowi na talerz trzy szaszłyki i polał do szklanek piwo.

– No, pod taką przekąskę to można nawet film o Zamościu obejrzeć – pochwalił Jakub.

– A wiesz, że to piwko schłodziło się w lodówce?

– To już nie chcę! Albo dobra, wypiję, ale pamiętaj: robię to tylko w imię naszej przyjaźni i tolerancji dla twoich pomysłów!

– Przestań marudzić, oglądamy. – Kozak na wszelki wypadek podgłośnił.

Na ekranie pojawił się Jacek Bełz, lokalny przewodnik turystyczny i regionalista.

– W okresie PRL relikty twierdzy Zamość zarosły roślinnością, częściowo zostały zdewastowane i przykryte nową zabudową – opowiadał z pasją. – Podjęty jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych trud rewitalizacji miasta i stopniowej rekonstrukcji umocnień pozwolił na przestrzeni kilku dziesięcioleci odtworzyć pierwotny wygląd założeń obronnych. Systematycznie wycinano krzaki, odkopywano dawne fosy, odsłaniano relikty obwałowań i bastionów. Odtwarzano obiekty już nieistniejące lub zachowane w postaci szczątkowej. Uzupełniano oblicowania murów, w miarę możliwości używając oryginalnej cegły. Odgruzowano i odkopano zasypane kazamaty. Odkryto nawet kilka nieznanych lub zapomnianych tuneli. Podobnie renowacja kolejnych budynków w obrębie Starego Miasta stopniowo przywróciła Zamościowi dawny blask, czyniąc z niego perełkę turystyczną tej części Lubelszczyzny. Przełomowe były ostatnie dwie dekady prac.

Na ekranie migają zdjęcia i filmiki ukazujące trzebienie roślinności, prace ziemne i budowlane. Semen w zadumie kiwał głową.

– No i to rozumiem. Twierdza wygląda obecnie prawie tak dobrze jak za starych, dobrych carskich czasów – pochwalił. – Jest co pokazać gościom.

– Turyści – burknął Jakub pod nosem. – Zaraza... Żadnego pożytku z nich nie ma, tylko sklepikarze ceny podnoszą, bo wiadomo, że turysta i tak kupi. A potem sezon się kończy, miastowi wynoszą się w diabły, a ceny zostają. Jakbym był u władzy, tobym całej tej turystyki zakazał. Na co to komu?

Akcja programu przeniosła się do wnętrza jednego z bastionów. Przewodnik rozkładał na blacie poóółkłe papierzyska.

– Twierdza kilka razy stawała się bastionem obrony przed rozmaitym wrogiem. Oczywiście dla nas najważniejsze obecnie są wypadki, które zaszły w pamiętnym roku tysiąc dziewięćset dwudziestym. Bolszewicy oblegali Zamość, broniony przez wojska polskie i ukraińskie. Budionny miał maszerować na Lublin, by uderzyć od południa i połączyć siły z Tuchaczewskim,

maszerującym na Warszawę. Ale rozwścieczył go ten nieoczekiwany opór, zapragnął zdobyć miasto za wszelką cenę. Dzięki temu Polacy mieli czas na translokację swoich sił. Uderzono koncentrycznie i rozgromiono Konarmię. Ranny Budionny pośpiesznie umknął za Bug.

– Gdyby nie ta twarda obrona, kto wie jak potoczyłaby się tamta wojna – zauważył dziennikarz.

– Oczywiście twierdza była oblegana i wcześniej, na przykład w czasie wojen kozackich roku tysiąc sześćset czterdziestego ósmego. Wkrótce potem pod jej murami pojawiły się wojska szwedzkie. Król Szwecji, który osobiście dowodził oblężeniem, nie mogąc przełamać oporu, najpierw próbował przekupstwa, zaoferował Janowi Zamojskiemu całą Lubelszczyznę jako dziedziczne dobro. Gdy to nie poskutkowało, spróbował fortelu. Zapragnął zjeść z obrońcami pożegnalny obiad. Zamojski nie odmówił, ale nie wpuścił wroga do twierdzy, stoły wystawiono przed bramę. Wreszcie, o czym mało się dziś pamięta, Zamość odegrał swoją rolę podczas wojen napoleońskich i znacznie już mniejszą w powstaniu listopadowym. Ostatnio w archiwum odkryliśmy niezwykle interesujące plany pochodzące z osiemnastego i początków dziewiętnastego wieku – opowiadał przewodnik. – Ukazują kilka fragmentów miasta. Co ciekawe, jeden z budynków jest na planie opisany jako areszt dla Szwedów. Zważywszy na datę powstania zapisu, domniemywamy, że jeszcze dwieście lat po potopie pamiętano, że miasto było także miejscem przetrzymywania jeńców schwytanych podczas walk.

– Szwedzi uwięzieni w Zamościu? Kto by pomyślał... I co się z nimi potem stało? – zagadnął dziennikarz.

– Po zakończeniu wojny ludzie ci zostali zwolnieni lub wymienieni na Polaków pozostających w niewoli szwedzkiej i w większości wrócili do domów. Tylko że nie wszyscy. Na przykład jeńcem w naszym mieście był hrabia Arvid Wittenberg, jeden z dowódców szwedzkiej armii. Zmarł na wrzody w przełyku, spowodowane, jak głosi legenda, nadmiernym spożywaniem

najmocniejszych polskich trunków. Wśród Szwedów przetrzymywanych w Zamościu szczególnie ciekawym osobnikiem był Sven Petersen, zwany Pustoszycelem Piwnic, zaufany dworzanin króla Szwecji. Do jego zadań w podbitej Polsce należało odnajdywanie skrytek i piwniczek z najlepszymi trunkami oraz ekspediowanie ich do Sztokholmu. Ujęto go, gdy buszował gdzieś na północny wschód od Zamościa. Był to moment, kiedy Szwedzi zostali już de facto wyparci z tej części Lubelszczyzny, ale on z kilkuosobowym oddziałem z nieznanych przyczyn postanowił pozostać. Być może podjął jakiś obiecujący trop? Kroniki wspominają, że gdy nasi dopadli rzeczzonego Svena na trakcie wiodącym ku Lublinowi, poruszał się konną dwukółką, na której wioził żelazną klatkę z zakutym w kajdany polskim chłopem. Jeńców i uwolnionego nieboraka przewieziono do Zamościa, gdzie ktoś rozpoznał w nim poddanego z dóbr wojsławickich.

– Pradziaduńcio Telemon został uwolniony przez naszych!? – burknął Jakub. – Ha! A wedle rodzinnej legendy sam Szwedom uciekł!

– Co ty niby gadasz? – zdumiał się kozak.

– Że ten Szwed od plądrowania zasobów alkoholu nie bez przyczyny wyprawił się aż na Stary Majdan! Tropem naszego samogonu szedł, wioska po wiosce, przepytywał, przekupywał, torturował, aż dotarł do źródła! Porwał mojego przodka, żeby go zabrać do Szwecji i zmusić do pędzenia bimbru. Na szczęście ten plan nie wypalił!

– Kroniki wspominają o zarazie, która wybuchła w twierdzy – nawijał na ekranie przewodnik. – Zmarło wówczas kilkunastu jeńców. Nie wiemy, niestety, gdzie zostali pochowani, możemy się tylko domyślać, że jako luteranie spoczęli poza katolickim cmentarzem.

Akcja dokumentu znów przeniosła się gdzie indziej, teraz prezentowano wnętrza muzeum. Jakub znudził się tematem i skupił na żarciu, a Semen wręcz przeciwnie. Obejrzał do końca i wyłączył telewizor.

– Hmm... – mruknął. – Szwedzi zmarli w polskiej niewoli... Pamiętam, jak generał Krasnow pewnego razu kazał poprawić bruk placu przy koszarach... – urwał i zamyślił się.

A potem wstał, podszedł do szafy i wspiąwszy się na palce, ściągnął z góry starą walizkę, obitą wołową skórą. Otworzył zameczki, uniósł wieko i zaczął grzebać w papierzyskach, wznieczając kłęby kurzu.

– Po co trzymasz carskie banknoty? – zdziwił się Jakub, dolewając sobie kolejną porcję piwa. – Na pamiątkę czy jak?

– Z tego samego powodu, dla którego ty trzymasz przedwojenne! – odparł kozak. – Rubel to była najmocniejsza waluta na świecie. W każdym banku od ręki dało się wymienić te papierki na złotą monetę. Ufam, że jeśli kiedyś wróci car, odzyskają dawną wartość.

– O ile wróci – mruknął egzorcysta i zadumał się głęboko. – A ja nie wierzę, że przedwojenne odzyskają wartość. Trzymam, bo tatko kazał. Zrobił kiedyś dach u jednego gościa, gość zapłacił i poszedł na wojnę, a dach podczas wichru zerwało. To tatko uznał, że honorowo będzie pieniądze zwrócić. Tamten wprawdzie poległ i nigdy się po forszę nie zgłosił, pieniądze też straciły ważność, bo jeszcze hitlerowcy wycofali je z obiegu, ale jakby się duch pojawił i miał jakieś pretensje, to wszystko czeka naszykowane.

Kozak nie odpowiedział. Rył pracowicie, przerzucając stare gazety, mapy sztabowe, kozackie regulaminy służby i inne papiery. Aż wreszcie wygrzebał plik planów.

– Ha! Wiedziałem, że gdzieś tu są.

– Co tam takiego znalazłeś?

– W Zamościu miejscowym pułkiem tuż przed pierwszą wojną światową dowodził generał Krasnow. Nie powiem, wielki bohater i zdolny dowódca. Miał instynkt. Umiał poprowadzić do boju, pod jego rozkazami kozacy dokonywali czynów kompletnie niemożliwych. Po rewolucji osiadł na emigracji, dawał wykłady, pisał książki. Został nawet zgłoszony do literackiej Nagrody Nobla, tylko niepotrzebnie potem skumał się z hitlerowcami. – Semen wzdrygnął się z obrzydzeniem. – Rozumiem, że chciał łąć Sowietów,

ale mimo wszystko... Nie robi się takich rzeczy pod sztandarami ze swastyką. W dodatku po wojnie alianci wydali go Stalinowi. Został osądzony w Moskwie i stracony, zresztą razem z synem. Szkoda gościa, choć obiektywnie patrząc, stryżek za współpracę z Niemcami mu się jednak należał. Smutna sprawa.

– Smutna – przyznał Jakub. – I co jest w tych papierach? Wyjaśnienie, czemu pokumał się z Hitlerem?

– Nie. Sprawozdanie dla carskiej Akademii Nauk z prośbą o przysłanie archeologów. Wyobraź sobie, że podczas remontu dziedzińca koszar kozacy z jego pułku znaleźli wejście do krypty, gdzie pogrzebano tych szwedzkich jeńców, o których przed chwilą usłyszeliśmy.

– Dość obrzydliwa akcja – mruknął egzorcysta. – Okupant profanujący kości swoich poprzedników, innych okupantów.

– Toż nie profanował, tylko chciał zlecić badania naukowe.

– To chyba nawet jeszcze gorzej... Zaborca z szacunkiem traktujący zwłoki poprzednich najeźdźców.

– Jak chcesz w mordę, to powiedz od razu, zamiast się droczyć.

Jakub zawahał się. Mała bitka na rozruszanie stawów wydawała mu się kusząca. Wprawdzie wolałby łać się z Bardakami, ale żadnego nie było pod ręką. Żeby im wklepać, musiałyby iść aż do knajpy, a piwko i szaszłyk go rozleniwiły.

– Potopy szwedzkie, zabory, wszystko to było dawno i szczęśliwie minęło. Daruj, przyjacielu, te docinki, napijmy się lepiej za zgodę między naszymi narodami – zaproponował.

Wychylili jeszcze po kufelku. Zakąsili kolejnymi szaszłykami. Pod wpływem alkoholu, a może ostrych przypraw, krew i bez mordobicia żywiej zaczęła krążyć w żyłach.

– Co powiesz na to, żeby wybrać się do Zamościa? – zagadnął Semen, zwijając plany w rulon.

– Ech, nie. A bo nam tu źle? – zdumiał się jego przyjaciel. – Stary już jestem, nie chce mi się nigdzie jeździć. Przecież świat można poznać z telewizji. – Wskazał ekran, na którym migła właśnie reklama środków na zgagę. – A zresztą po co jeździć, skoro

najpiękniej jest na Starym Majdanie? Przygód mi tu nie brakuje. Mam przyjaciół, żeby się z nimi napić, i wrogów, żeby im wklepać. Ba, mogę nawet kumplowi wklepać, albo i sam dostać po mordzie. Mam z kim wieść dyskusje o sensie życia i na inne tematy. Są owoce, kartofle i zboże, słowem, surowca na zacierki nie brakuje. Zagrycha też się znajdzie. I wszystko naturalne, znaczy się ekologiczne. Czego jeszcze chcieć od życia?

– Pozwiedzać można.

– Mam sanacyjny stosunek do zwiedzania. Zresztą już mówiłem, że nie lubię turystów, więc po co miałbym powiększać ich liczbę własną osobą?

– Sanacyjny stosunek...? – nie zrozumiał Semen.

– Marszałek Piłsudski to był mądry człowiek. Zawieźli go kiedyś do Egiptu. Na podratowanie zdrowia. W Egipcie nie chciał się ruszyć na krok z hotelu. Wreszcie dał się namówić. Zabrali go autem pod piramidy. Popatrzył tylko przez okno, stwierdził, że wyglądają jak na pocztówce, i kazał zawieźć się z powrotem... A w Zamościu to nawet już kiedyś byłem, więc tym bardziej nie warto. Domy murowane jak w Chełmie. Ludzie gadają po naszemu, w sklepach to samo. Nawet piwo mają identyczne w smaku.

– Muzeum fajne mają...

– Też mi wielka atrakcja – prychnął Jakub. – Jakbym chciał popatrzeć na stare graty, wystarczy, że do własnej szopy pójde.

– Trudno, pojedę sam.

Jakub milczał, jakby coś sobie układał w głowie.

– Widziałeś te trupy? – zagadnął. – Wtedy, w czternastym roku?

– Na własne oczy. Prawie mumie się z nich zrobiły. Kości obciążnięte wyschniętą skórą i tkankami. A na ciałach resztki mundurów i jakieś rzeczy osobiste zwalone w kącie. I przy każdym ciele tabliczka, kto to był. Widać mimo zarazy nasi planowali w przyszłości ekshumację albo wydanie ciał towarzyszom broni i odesłanie do Szwecji.

– Przekonałeś mnie! – oświadczył Wędrowycz z nieoczekiwanym błyskiem w oku.

– Do czego niby?

– Do idei turystyki funeralnej. Ktoś cię musi chronić przed Szwedami zombie, duchami, wampirami i zamojskimi szlifibrukami, a nawet regionalistami. Jedziemy razem!

– Zombie? Kiedy ich odkopaliśmy, po prostu grzecznie leżeli na deskach. Dlaczego niby teraz mieliby powstać? – Kozak był jakby nieufny.

– No dobra, przyznaję się. Po prostu chcę sobie na mumie popatrzeć. Tak turystycznie. Do Egiptu daleko, zresztą byłem kiedyś, nie podobało mi się.

– Jak Piłsudskiemu – zakpił Semen. – A sam mówiłeś, że to był mądry gość.

– Po prostu miał gorszy dzień. Ale oni też popełnili poważny błąd. Pokazali mu tylko piramidy, nic dziwnego, że olał. No bo co to jest piramida? Wielka kupa kamieni, a w środku ciemno, brudno i duszno. Natomiast mumie to rzecz o wiele ciekawsza. Rzekłbym, fundamentalna dla zrozumienia dawnych epok, ich religii, kultury i tak dalej. Gdyby go zabrali do muzeum na oglądanie truchła faraonów, z pewnością przyjemnie spędziłby kilka godzin. I generalnie wróciłby do Warszawy ze znacznie lepszymi wspomnieniami.

– Mumie naszych dziedziców są w krypcie pod kościołem – zauważył kozak.

– Nudne i prawie współczesne. Dziewiętnasty wiek. Poza tym już kilka dekad temu tak profilaktycznie je przykołkowałem. A prawdziwych szwedzkich truposzy jeszcze nigdy dotąd nie widziałem. Człowiek uczy się przez całe życie. Ciekawość zawodowa, w końcu jestem egzorcystą. – Jakub wypiął dumnie rachityczną pierś.

– Ty chyba coś ukrywasz? – Semen łypnął okiem.

– Oj tam, zaraz ukrywam. Po co takie słowa? Po prostu mam pewne dziwaczne przeczucie co do tego Svena Pustoszyciela Piwnic. Chcę spojrzeć w twarz człowieka, który próbował skrzywdzić mojego przodka, i tak dalej.

– Tylko spojrzeć? Czy może napluć?
– Niehonorowo pluć na nieboszczyka. W dodatku teraz żrą nas inne bakterie i jakby robili analizę, wyniki badań bym zafałszował – oświadczył Jakub ze sztucznie oburzoną miną. – Poza tym dla mumii to by było wręcz szkodliwe, w ślinie są izotopy trawienne. W żadnym razie nie chciałbym zniszczyć zabytków.
I w tym momencie Semen naprawdę się zaniepokoił.



Starcy wysiedli z busika na parkingu.

– Zamość został zbudowany jako miasto doskonałe – zauważył filozoficznie Semen.

– To im trochę nie wyszło – burknął Jakub, rozglądając się w zadumie.

– Ale z ciebie malkontent! Ostatnio tylko marudzisz, jojczysz i smęcisz! A co konkretnie tym razem ci się nie podoba? – prychnął kozak.

– W mieście doskonałym piwo powinno lać się strumieniami z fontann, a powietrze powinien przesycać zapach niebiańskich zagryzek piekących się na miejskich grillach, a to wszystko powinno być dostępne dla każdego mieszkańca i turysty w dowolnych ilościach całkowicie za darmo!

– Takich cudów nie było nigdzie i nigdy! – parsknął Semen.

– Było. Pamiętasz, jak poprzednio zmusiłeś mnie do oglądania programu o koronacji króla Poniatowskiego? Jego brat Kazimierz kazał wystawić fontanny tryskające winem i rożny, na których pieczono całe woły jako poczęstunek dla mieszkańców Warszawy i zaproszonych gości.

– Cholera... Rzeczywiście było coś takiego! – zdumiał się Semen. – Myślałem, że wtedy zasnąłeś przy oglądaniu.

– Jestem jak rekin, śpię tylko połową mózgu. A jak trzeba, nawet czuвам przez sen. To się nazywa podzielność uwagi.

Przewodnika, Jacka Bełza, przydybali koło muzeum. Szedł niespiesznie z teczką papierzysk pod pachą. Przedstawili się, uchylając elegancko czapek.

– Chcemy porozmawiać o historii miasta, a tak dokładniej, o pewnym epizodzie z okresu potopu – zagadnął Semen. – I mamy informację, która może się panu przyda. Czy moglibyśmy zająć dziesięć minut?

– A choćby i godzinę, ja już na dziś zakończyłem obowiązki. Chcą panowie dowiedzieć się czegoś ciekawego, czy może o czymś opowiedzieć? Zapraszam do mnie.

Zasiedli w niewielkiej pakamerce zawałonej papierami, skoroszytami i książkami.

– Słyszeliśmy w telewizji, że interesuje się pan kwestią szwedzkich jeńców przebywających w mieście. Proszę spojrzeć tutaj. – Kozak rozwinął plany. – Wiosną czternastego roku generał Krasnow planował wyrównać dziedziniec. Nieoczekiwanie jego ludzie natrafili na cembrowinę. Dwa metry poniżej poziomu ziemi znajdowało się zamurowane przejście. Wybili kilka cegieł i ujrzeli loszek pełen częściowo zmumifikowanych zwłok. Krasnow, pomijając przygotowanie wojskowe, nie był wykształcony, ale sporo czytał i ogólnie cenił naukę. Po resztkach nazwisk namalowanych na deseczkach, sprzączkach butów i resztkach kapeluszy uznał, że ma do czynienia ze zwłokami Szwedów. Kazał zamurować kryptę do czasu przybycia archeologów. Miejsce dla oznakowania, ale też i dla zabezpieczenia nakryto płytą z piaskowca. Chciał zbadać kryptę dokładniej w asyście naukowców. We wrześniu tego roku do Zamościa miał przybyć profesor Poryszkin, znany z wykopalisk w Chełmie. Zapewne nie słyszeli o nim panowie. To on jako pierwszy przekopał ruiny palatium księcia Daniela na Górcie. Uznano, że będzie to najlepszy fachowiec do zbadania zamojskiego odkrycia. Niestety, wybuchła wojna. Krasnow ze swoim pułkiem wyruszył w pole. Wprawdzie ten teren jeszcze przez jakiś czas pozostawał w rękach rosyjskich, ale władze nie miały głowy do archeologii. I jak widać, nikt potem już nie wrócił do tego tematu.

– Zaraz, zaraz... – Przewodnik wyciągnął album z fotografiami dokumentacyjnymi. – Płyta z piaskowca na dawnym dziedzińcu koszar? Pamiętam. Taka kwadratowa. Sam się zastanawiałem, dlaczego coś takiego wkomponowano w bruk. Faktycznie to bardzo ciekawe. Można by ściągnąć archeologów i niech sobie zbadają. Tylko dziś nasi etatowi są w terenie. Z drugiej strony... – Skrzywił się lekko. – Co, jeśli tam już niczego nie ma? Wyjdę na idiotę.

Egzorcysta spojrzał mężczyźnie prosto w oczy. Semen, słysząc trzask pod czaszką, lekko się skrzywił. I zarazem zaniepokoił. Jego przyjaciel zasadniczo nie lubił telepatii. Skoro jej użył, musiało mu na czymś naprawdę zależeć.

– Jest wyjście – zaproponował Jakub. – Podnieśmy ją sami i zajrzyjmy. Jeśli pod spodem będzie loch z trupami Szwedów, wezwiemy naukowców. A jeśli pusty loch albo zgoła nic, to nie wezwiemy. Albo wezwiemy, żeby obejrzel pusty, w końcu stara piwnica bez wyposażenia też może być ciekawa.

– Sprytne – przyznał Bełz. – Pomyślmy. – Popukał palcami w plan. – Płyta około półtora na półtora metra. Gruba pewnie jak solidny nagrobek. Damy radę we trzech? To duże i ciężkie.

– Lewarek do podnoszenia ciężarówek? – podpowiedział Wędrowycz. – Myślę, że w bazie transportowej PKS-u pożyczą nam jakiś na kilka godzin. Albo może... Muzeum ma własną furgonetkę? Jest do niej odpowiedni, że się tak wyrażę, sprzęt?



W dawnych koszarach, jak się okazało, umieszczono punkt informacji turystycznej. Trzej badacze przeszłości rozstawili sobie nieduży namiot, używany na co dzień jako stoisko podczas imprez plenerowych, i zabrali się do podnoszenia płyty. Nie była lekka, ale używając lewarka i łomu, zdołali wyłupać ją z bruku. Pod płytą ukazał się szyb.

Poszukiwacze zeskoczyli na dół.

– Wyjmiemy tylko kilka cegieł i poświecimy do środka – zaproponował przewodnik. – Potwierdzimy znalezisko, a od jutra wejdą fachowcy.

– Się wie – uspokoił go Wędrowycz.

Loch odgrodzono cienką ścianką. Niestety, cegły i zaprawa po trzystu latach trzymały się na słowo honoru i gdy tylko Jakub zaczął dłubać w spoinie łomem, wszystko runęło, wzniecając kłęby kurzu. Świecąc sobie latarkami, weszli do krypty. Zwłoki ułożono na jakichś dechach. Twarze zmarłych nakryto szerokimi kapeluszami. Przy niektórych widać było jeszcze nawet ślady strusich piór. Szwedów przyniesiono tak, jak padli. Dwóch miało na sobie same giezła, inni dla odmiany mundury. Piers leżącego na końcu nadal okrywał zardzewiały półpancerz.



– Niesamowite – mruknął przewodnik. – Nawet da się ich zidentyfikować!

Faktycznie, przy zwłokach leżały deseczki, na których białą farbą namalowano imiona i nazwiska. Drewno było mocno popękane i wypaczone, a napisy trochę się łuszczyły, ale nadal dawało się je odczytać.

– W dodatku ubrania z epoki, i to nie najgorzej zachowane. Może uda się je zakonserwować i wyeksponować? – dorzucił Semen. – Przynajmniej niektóre.

Jakub tymczasem szedł od ciała do ciała i marszcząc czoło w straszliwym wysiłku intelektualnym, sylabizował napisy. Wyglądał jak w transie.

– Sven Pustoszyciel Piwnic! – Zatrzymał się wreszcie. – To on dopadł mojego przodka Telemona.

– Znalazłeś gada. I co teraz? – spytał kozak. – Chciałeś spojrzeć mu w twarz i pewnie coś tam się zachowało. Będiesz się pastwił nad trupem? To nieelegancko. A może wywołasz jego ducha i jemu dasz w mordę? Albo ektoplazmę przypalimy? To go nauczy respektu. Tylko po co?

– Niby można, ale to dawno temu było. – Egzorcysta skrzywił się, słysząc tę propozycję. – Gdyby to był trup Bardaka, to oczywiście co innego, a tak? Niech będzie, że mu po chrześcijańsku odpuszczam... Zresztą nie moje to przecież krzywdy.

– Po setkach lat jakiegokolwiek pielęgnowanie dawnych uraz między naszymi narodami nie ma sensu – odezwał się przewodnik. – Potomkowie ofiar mają się mścić na potomkach oprawców?

– Tak czy siak, przebaczenie zamierzchłych spraw to miły, wręcz elegancki gest – mruknął kozak, łypiąc podejrzliwie na przyjaciela.

– Patrząc obiektywnie, w sumie to nawet miło, że Szwed, chociaż wróg i najeźdźca, docenił nasz lokalny trunek. Teges, zatem spoczywaj w pokoju, potopiarzu, niech ci zamojska ziemia lekką będzie. – Jakub zasalutował niedbale.

A potem schylił się i bezceremonialnie ucałował skórzaną torbę, która leżała przyciśnięta ramieniem nieboszczyka.

– Tylko zajrzemy – powiedział, widząc zaskoczone miny towarzyszy.

– Powinniśmy poczekać z tym na archeologów – zaczął przewodnik, ale znów coś trzasnęło mu pod czaszką. – Z drugiej strony zachodzi ryzyko zawalenia się krypty i zniszczenia tego bezcennego znaleziska – dodał już zupełnie innym tonem, popatrując z obawą na sklepiony półłukowo sufit. – Otwieraj pan, musimy zinwentaryzować zawartość.

Jakub wydobył z torby butelkę i coś w rodzaju teczki z tektury, obciągniętej nawoskowaną skórą. Gdy rozchylił brzegi, spostrzegli list napisany zamaszystym eleganckim pismem na grubym papierze.

– Po szwedzkiemu zapewne – skrzywił się Jakub. – Cholera.

– Ja nie odczytam – zmartwił się kozak. – Nie znam języka.

Przeniósł pytające spojrzenie na przewodnika.

– Zaraz sobie z tym poradzimy – powiedział Bełz. – Zrobię zdjęcie o dobrej rozdzielczości i wyślę przez net, sztuczna inteligencja sieci uczelnianej uniwersytetu w Uppsali powinna sobie z tym poradzić.

– Cie choroba! – wykrztusił egzorcysta. – To te komputery już takie mądre się zrobiły? Jeszcze trochę i urządzą nam bunt maszyn!

Odpowiedź przyszła może po pięciu minutach.

Wasza Wysokość!

Zgodnie z poleceniem podjąłem intensywne śledztwo w celu odnalezienia źródła napoju, którego nędzne resztki zrabowaliśmy w Lublinie i pod murami Zamościa. Zdołałem ustalić, iż producentem tej rozkoszy w płynie jest chłop o imieniu Telemon Wędrowycz, zamieszkały w okolicach miasteczka Wojśławice, leżącego na południe od Chełma. Zdołałem go pochwycić, jednak jego uprowadzenie do Szwecji nie powiodło się, gdyż zostałem osaczony przez przeważające siły polskie i wzięty do niewoli. Ocaliłem jedynie swoje życie i jedną butelkę tego niezwykłego trunku, którą postaram się przesać na ręce Waszej Wysokości. Jej bukiet powinni zbadać najwytrawniejsi gorzelnicy naszego kraju. Polecam sprawę producenta uwadze Waszej Wysokości. Ten cenny człowiek powinien

zostać za wszelką cenę, po dobroci lub przemocą, sprowadzony do Szwecji, by jego talent służyć mógł naszej ojczyźnie. Polacy przebąkują, że jeńcy tacy jak ja będą mogli się wykupić, którą to okoliczność także polecam uwadze Waszej Wysokości...

Niestety, dalszy ciąg listu zjadła wilgoć.

– Takie buty – mruknął przewodnik. – Czyli Sven Pustoszyciel przebywał tu z misją wywiadowczą! A wręcz, rzekłbym, dywersyjną.

– Przygotował do wysyłki list i flaszkę jako próbkę. Ale zachorował. I ścięło go tak szybko, że nie zdążył nie tylko wprowadzić swojego szcwanego planu w życie, ale nawet rozpić tej butelki przed śmiercią – snuł domniemania Semen. – Pomieszczenie zamurowano, a z czasem zostało całkowicie zapomniane.

– Ano cóż, archeolodzy będą mieli tu od jutra sporo roboty, a na razie butelkę i list zanieśmy do muzeum.

– Hmmm... – mruknął Jakub. – Nie negując szlachetności celu i tak dalej... Czy my dwaj, a w zasadzie nawet trzej, nie powinniśmy otrzymać jakiegoś, że się tak wyrażę, znaleźnego?

– Muzeum z pewnością wystawi dyplomy, a co do pieniędzy, wystąpimy do ministerstwa o nagrodę.

– Dyplom w sumie może się przydać do ozdobienia chałupy, zajdzie listonosz, to mu oko zbieleje... Ale dajmy spokój pieniądzom, po co one komu? Natomiast są pewne wartości niematerialne. To znaczy materialne, ale w sumie ulotne.

Przewodnik, niewiele z tego rozumiejąc, spojrzał pytająco na Semenę.

– Mój przyjaciel ma na myśli, że warto by skosztować po małym kielonku znalezionej napitki – wyjaśnił kozak. – Dla celów badawczych, rzecz jasna. Ta opowieść o najlepszym samogonie w podbitym kraju jest, szczerze powiedziawszy, bardzo inspirująca.

– No w sumie... – zawahał się Bełz. – Nasze zbiory dzięki panom bardzo się wzbogacą, więc myślę, że dziury w niebie nie będzie, jak poziom trunku odrobinę opadnie. Pytanie tylko, czy po przeszło trzech wiekach się tym nie zatrujemy.

– Hmm... – zadumał się Semen. – Słyszałem, że z grobowca Tutanchamona wydobyto dzbanki zawierające niegdyś piwo, zeskrobano trochę pyłu, ożywiono drożdże i zdołano uzyskać odpowiedni napój. Ale to były tylko drożdże, no i nie wiemy, co stało się z konsumentami tego piwka, pamiętacie przecież, ile się mówiło o klątwie faraona.

– Gotów jestem wystąpić jako ten biały królik doświadczalny – zaoferował się Jakub. – Golnę pierwszy, poczekacie kwadrans, poobserwujecie. Jak mnie szlag trafi, będziecie już wiedzieli.

– Przyjacielu, nie pierwszy raz zdumiewa mnie głęboka szlachetność twojej postawy. – Kozak otarł łzę wzruszenia.

Butelka zatkana była zwitkiem pakuł nasączonych woskiem. Gdy lekko ogrzali szyjkę, dało się wyciągnąć zatyczkę. Kolejno badali produkt na węch. Pachniało swojsko bimberkiem, nie wyczuli żadnej obcej nuty.

Na szczęście Semen miał przy sobie turystyczny zestaw metalowych kielonków. Jakub polał sobie odrobinę, posmakował. Dłuższą chwilę obracał ciecz w ustach, rozprowadzając ją po języku i podniebieniu.

– Czysta i dobrze przegryziona. Szkło nie puściło soków. Można pić – zadysponował. – Po małej próbce dla smaku, a reszta znaleziska do muzeum.

Teraz pozostali uczestnicy odkrycia pociągnęli po małym łyżku. Zabytkowa gorzałka gładko spłynęła do żołądków i zamieniła się w przyjemne ciepło. Chuchnęli odruchowo w rękawy.

– Jakub! – odezwał się Semen. – To przecież smakuje dokładnie tak samo jak twój bimber, tylko się dobrze przegryzło!

– Smakuje tak samo, bo to nasza rodzinna receptura. To bardzo dobrze.

Przewodnik spojrzał pytająco.

– Przez te trzysta z hakiem lat zachowaliśmy przepis przodka co do joty! Dobra, panowie, nic tu po nas, w szwedzkich gnatach niech grzebią ci, którym da to radochę. A na nas czas. Macie swoje odkrycie, nasza rola tu się kończy.

– Dyplomy możecie przysłać pocztą – uśmiechnął się Semen.

Wywindowali się na powierzchnię, nakryli szyb płytą. Obaj starcy pożegnali się z przewodnikiem i ruszyli na przystanek busów.



Pojazd, podskakując na wybojach, mknął na północ. Wstrząsy i szum silnika kołysały pasażerów do snu. Krajobraz za oknem przesuwał się niczym na ekranie telewizora.

– Bimber pradiadunia Telemona... Kto by pomyślał, że nawet Szwed się skusił. – Wędrowycz kręcił głową z niedowierzaniem. – Ale dobrze, że udało się zdobyć próbkę i porównać. Ród dochował wierności tradycji. Nie skiepsciliśmy!

– A teraz powiedz: czemu tak nagle zgodziłeś się jechać? I po co mieszałeś temu biedakowi w głowie telepatią, żeby się zgodził na samowolne grzebanie w krypcie? Krótko i konkretnie, bez mydlenia oczu! Gadaj szczerze, o co w tym wszystkim chodzi.

– O deflegmator. – Jakub pokazał zaśnieżoną rurkę. – Skupiliście uwagę na flaszcze, a ja wpuściłem w kieszeń najważniejszy fant. Ale muzeum stratne nie będzie, bo mój zepsuty za twoją radą wepchnąłem w miejsce zaiwanionego.

– Eeee... No nie kapuję. Skąd on się niby wziął tam, w krypcie, skoro był tylko jeden egzemplarz?

– Bo widzisz, to było tak. On pierwotnie był dłuższy. Telemon miał brata bliźniaka. Ich ojciec, Maćko Wędrowycz, żeby się nie pozabijali, walcząc o spadek, przepiłował krzyżacki deflegmator i z jednego zrobił dwa. Może trochę gorsze, bo oryginalny miał dwie stopy długości, a te nowe tylko po jednej.

– Taaaakie buty. Teraz już rozumiem.

– Szwed porwał Telemona, ale nie zdobył aparatury. Znalazł tylko deflegmator, reszta elementów była dobrze ukryta. W każdym razie, kiedy pradiaduńcio wrócił z niewoli, mieli dwa zestawy do pędzenia, choć jeden nie był kompletny. Ale że dobrze ze sobą żyli,

więc używali obaj tego drugiego deflegmatora. W sensie pożyczali go sobie i pędzili bimberek na zmianę.

– Chyba rozumiem – mruknął kozak. – Swoją drogą, w Szwecji osiemnastego wieku panował potworny alkoholizm. Prawie wszyscy mieszkańcy nadużywali mocnych trunków. Dopiero u progu dziewiętnastego wieku wzięli się trochę w garść. Pozakładali towarzystwa wstrzemięźliwości i powoli wygrzebali się z tego zakrętu historii.

Kozak nawijał coś jeszcze, ale przyjaciel już go nie słuchał. Usnął zmęczony zmęczeniem, natłokiem wrażeń, szumem silnika, szacunkiem do historii i głębokim poczuciem wspaniałości swojego rodu.

Zielony czynnik

Góry Sowie, kompleks Riese, koniec kwietnia 1945 roku



Kwietniowe słońeczko przygrzewało, ale w cieniu między świerkami leżały jeszcze resztki topniejącego, brudnego śniegu. Stalowe wrota, zmasakrowane eksplozją ćwierci tony trotylu, poniewierały się obok wylotu sztolni. Jakub Wędrowycz zrobił duży krok nad trupem wachmana.

Wykuty w bazalcie korytarz nie był szczególnie długi, miał może dwadzieścia metrów. Przybysz ominął kałużę krzepnącej krwi i wszedł do wnętrza kompleksu. Kolejne kałuże przegapił, zakłaskały mu pod butami.

Tajne laboratorium SS wyglądało typowo. Blaszane szafki na kitle, regały na akta, sejfy na tajną dokumentację. Na długich stołach umieszczono stojaki z próbkami. Ogólnie szkła laboratoryjnego było tu tyle, że dałoby się skompletować kilka niezłych aparatów bimbrowniczych. Była i kolumna rektyfikacyjna. Wędrowycz ciężko i boleśnie westchnął na myśl, ile wszelakiego dobra pójdzie na zmarnowanie. Ale cóż, czasem nie ma innego wyjścia. Po drugiej stronie pomieszczenia ujrzał widok budzący grozę – oszklone regały, wyposażone w system chłodzenia, a na nich dziesiątki ćwierćlitrowych butelek wypełnionych lekko zielonkawym płynem. Egzorcysta poczuł, jak włoski na przedramionach stają mu dęba. Pot zrosił jednocześnie czoło, skronie i kark.

– Zdążyliśmy w ostatniej chwili – mruknął pod nosem.

Rozejrzał się i odruchowo policzył trupy. Chłopaki z Dentystycznego Batalionu Karnego jak zwykle dali z siebie wszystko. Niemcy zostali zarżnięci szybko, bezlitośnie i w większości

przypadków bardzo boleśnie. Jakub odszukał wzrokiem szefa projektu. Profesor Otto Winterbaum leżał w kącie, fachowo wypatroszony bagnetem. Major Jegorow kończył wyrywać mu żuchwę.

– Fantastyczny przykład asymetrycznej budowy – powiedział, zawijając łup w gazetę. – Żal zostawić na zmarnowanie. To będzie ważny eksponat w kolekcji dydaktycznej Moskiewskiego Instytutu Stomatologii.

– Wycofaj swoich ludzi – polecił egzorcysta. – Niech się zajmą czymś pożytecznym, wygotują sobie zdobyte czaszki czy coś. My czterej musimy tu dokładniej posprzątać. Lepiej, żeby nie wtykali nosa.

Po chwili partyzanci opuścili podziemny kompleks. W laboratorium zostali tylko Jakub, Kapitan Wypruwacz i major. Był jeszcze Semen. Kozak założył słuchawki stetoskopu na uszy i po kolei otwierał sejfy. Dokumentację wyrzucał na mały wózek.

– Czemu kazałeś im odejść? – zagadnął dowódca.

– Żeby nie domyślili się, co te szwaby produkowały. Nie chciałbym, żeby musieli żyć obciążeni tą potworną tajemnicą. – Egzorcysta spojrzał na regały zastawione setkami butelek z jasnozielonkawą cieczą. – To na szczęście dopiero partie próbne. – Wskazał nalepione kartki z datami i numerami serii. – Dopiero testowali aparaturę i rozkręcali produkcję.

– I całe szczęście, zdążyliśmy dosłownie w ostatniej chwili – dodał Semen.

Zaholował całą dokumentację na koniec pomieszczenia i teraz pośpiesznie wrzucał kolejne skoroszyty do spalarki.

– Osobiście lubię torturować i zabijać Niemców, ale szczerze powiedziawszy, męczą mnie te wszystkie tajemnice i niedomówienia. Poprosiliście o pomoc, pomogliśmy. Ale może dość tych sekretów? Jesteśmy przecież sojusznikami. Chciałbym wiedzieć na przykład, co jest w tych flaszkach – zaczął major Jegorow.

– Uwierzcie mi, towarzyszu, nie chcecie. – Wędrowycz uniósł ostrzegawczo palec. – Dla spokoju duszy i sumienia lepiej odrzucić tę

wiedzę. Dokonaliśmy czynu o głębokim wydźwięku humanistycznym, a może nawet humanitarnym. Uratowaliśmy ludzkość. Uchroniliśmy świat przed najbardziej szalonym pomysłem psychopatycznego wegetarianina Hitlera. Przed trucizną, która jak rak toczyłaby świat przez kolejne dwa wieki. Nie musicie znać pozostałych szczegółów. Chyba że chcecie budzić się po nocach z krzykiem i w zasikanej pościeli.

– Jestem twardym człowiekiem. Profesorem stomatologii, sowieckim majorem, a do tego w pełni wyszkolonym wojownikiem ninja. Wiele zniosę.

– Naprawdę?

– Ja też jestem ciekaw – bąknął Kapitan Wypruwacz. – I też jestem twardy jak grabowe stylisko od łopaty!

– No dobra, ale żeby nie było potem pretensji. Ostrzegałem! Ale najpierw pytanie. Jaka była najbardziej znienawidzona potrawa, jaką jedliście w dzieciństwie?



Pół godziny później major Jegorow zaczął dochodzić do siebie. Nadal był zielonkawy na twarzy, nadal drżały mu ręce, ale wyprał w strumyku obrzyganą bluzę mundurową, a trzy duże hausty Jakubowego samogonu tchnęły w niego nowe życie.

– Zwierzęta! Bydlaki! Bestie! Ze wszystkich koszmarnych pomysłów zbrodniarzy hitlerowskich ten... – zaczął i zaraz musiał przerwać, bo znów targnęły nim torsje. – Żałuję, że mogłem te ścierwa zabić tylko raz!

– Panowie, nie ma co się zasiadywać. Do dzieła! Zetrzyjmy to ohydne miejsce z powierzchni ziemi – powiedział łamiącym się głosem Kapitan Wypruwacz.

On też był blady, w wytrzeszczonych oczach powoli gasły iskierek czystego obłędu. Ale już pozbierał się do kupy, a nawet pomógł w zakładaniu ładunków wybuchowych. Widocznie krew

małpoludów z Dębinki płynąca w jego żyłach pomogła mu szybciej dojść do siebie. Jakub metodycznie skontrolował, czy wszystko zostało wykonane jak trzeba.

– Dokumentacja spalona. Wybuch zniszczy gotowy produkt. Trupy... – Popatrzył na pozarzynanych Niemców. – Trupy przecież ani nie uciekną, ani nikomu się nie wygadają.

Pociągnął szpulę z kablem i jako ostatni wyszedł na zewnątrz. Wciągnął głęboki haust świeżego powietrza.

– Wszyscy w tył! – polecił.

Sam też stanął w bezpiecznym miejscu, policzył do trzech i wduślił dźwignię detonatora. Głuchy huk rozdarł ciszę gór, przetoczył się przez dolinę i po chwili wrócił odbity, zwielokrotniony echem. Zadziałała większość zapalników. Tunel prowadzący do laboratorium zawalił się, a kilka chwil później jego wylot przykryła opadająca z góry lawina głazów. Gdy kurz opadł, czterej dywersanci z zadowoleniem mogli stwierdzić, że fatalna sztolnia zniknęła, jakby jej nigdy nie było.

– Przekłęci hitlerowcy, że też natura stworzyła takich łotrów – warknął Semen.

– Spośród ich paskudnych wynalazków ten był zdecydowanie najobrzydliwszy. – Kapitan Wypruwacz wzdrygnął się na samo wspomnienie i odruchowo wytarł dłonie o spodnie.

– Mam tylko nadzieję, że to definitywny koniec tego koszmaru – wykrztusił major i znów puścił obfitego pawia.

Niby sowiecki dywersant, niby dentysta ninja, ale w głębi duszy jednak mięczak. Wędrowycz popatrzył z życzliwym politowaniem na sojusznika. Westchnął i nalał mu od serca jeszcze jedną porcję samogonu z rezerwowej manierki.

– Przecież uprzedzałem. Nie zawsze warto poznawać najbrudniejsze sekrety Trzeciej Rzeszy. Pij i spróbuj zapomnieć – doradził życzliwie.

– Nie braliśmy żadnych jeńców. Wszyscy niemieccy technicy i laboranci nie żyją. To wszystko było na szczęście ściśle tajne. Zniszczyliśmy całe wyposażenie zakładu – powiedział Kapitan

Wypruwacz. – Odczynniki, surowiec, urządzenia. I oczywiście gotowy produkt. – Splunął z obrzydzeniem. – Wszystko poszło w drobny mak. Spaliliśmy całą dokumentację, każdy, najmniejszy nawet strzęp papieru. Nawet jeśli ktoś kiedyś odkopie te sztolnie, nie znajdzie niczego, co mogłoby naprowadzić go na trop. Moi ludzie po wystrzelaniu szwabów zostali natychmiast wycofani. Tylko my czterej wiemy, co tu się działo. I myślę, że żaden z nas do końca życia nie puści pary z gęby. Jedyne ryzyko to główny pomysłodawca. Musimy dopaść Hitlera, zanim zleci komuś kontynuację tych zbrodniczych eksperymentów.

– Łatwo nie będzie – westchnął Jakub i z frasunkiem podrapał się po głowie. – Do Berlina jest stąd kilkaset kilometrów.

– Trzeba – uciął major Jegorow. – Wiem, że to praktycznie niewykonalne, ale właśnie my jesteśmy od zadań niewykonalnych i samobójczych! I pamiętajmy, że spoczywa na nas potworna odpowiedzialność. Przyjaciele! Nie przesadzę, gdy powiem wprost, że los całej cywilizacji, a może nawet ludzkości zależy od naszych decyzji.

– Ale jak to!? Cywilizacja przecież została właśnie przez nas uratowana? – zdziwił się kozak.

– Musimy dostać się do miasta i stuknąć Hitlera, zanim wpadnie w ręce Armii Czerwonej albo co gorsza, Amerykanów. Wyobrażacie sobie, co by się stało, gdyby ten sekret poznali amerykańscy kapitaliści? Przecież to żyła złota. Brudnego, pochodzącego z potwornej krzywdy ludzkiej, ale jednak złota. Rekiny giełdowe to chciwi i bezwzględni ludzie. Z miejsca zaczęliby masową produkcję! Absolutnie nie możemy do tego dopuścić. – Kapitan Wypruwacz pośpiesznie zaczął planować. – Gdybyśmy mieli, powiedzmy, tydzień, można by ukraść esesmanom ciężarówkę i przebić się do stolicy siłą. Ale tak... A zdążyć przecież musimy.

– Mam plan – powiedział Jakub. – Pamiętacie, co widzieliśmy po drodze? W sąsiednich sztolniach SS buduje i testuje tajną broń. Wunderwaffe V7, czyli latające talerze z napędem antygravitacyjnym. Myślę, że przynajmniej jeden lub dwa mają już

gotowe. Podpierniczymy egzemplarz, załadujemy naszych ludzi i przelecimy. W stratosferze, rzecz jasna, pofruniemy, żeby nas nie stracili.

– Aprobuję plan. Tylko kto siądzie za sterami takiej maszyny? – zadumał się major. – Pilota trzeba wziąć żywcem.

– Ukończyłem z wyróżnieniem pierwszy rosyjski kurs obsługi traktora – odezwał się Semen. – Car batiuszka i premier Stołypin osobiście mi gratulowali. Hitlerowska technika jest, ogólnie rzecz biorąc, dość prymitywna, tylko wajchy, przyciski, wolanty. Jeśli odgadnę, którym pocięgiem unosi się to latadło w górę, a którym schodzi w dół, z pewnością sobie poradzę.

– Zbieraj ludzi i idziemy – polecił Jakub majorowi. – Znów będziemy tworzyć historię.

Jakieś osiemdziesiąt lat później

Nad Starym Majdanem zapadał wrześnieowy wieczór. W chałupie zajeżdżało jak zwykle stęchlizną, myszami, zakisłą szmatą do podłogi i dawno niepraną onucą, ale zarazem także dymem bukowych szczapek, boczkim, czosnkową kielbasą, rozgrzanym na patelni olejem silnikowym i smażoną cebulą.

– Jest tylu innych superbohaterów – gderał Jakub, mieszając jajecznicę. – Taki, dajmy na to, Pan Kleks. Albo Kajtuś Czarodziej! A z takich niemagicznych gości Kapitan Żbik, Tytus, Romek i A'Tomek, Kajko i Kokosz, Ratman, Wściekły Wąż, że wymienię tylko tych najważniejszych i z naszego kraju. A przecież zagranicznych to już na pęczki. Voldemort, Joker, Catwoman, Kapitan Zomo, Robochłop, Velocipastor, Kung Fury... Starczy chwilę grzebnąć w pamięci, żeby zrobić listę ze dwudziestu. Czemu oni nie wezmą się do roboty? Dlaczego to ja, stary, sterany życiem dziadek, muszę bez przerwy ratować ludzkość!? I to jeszcze na koszt własny! Przecież nawet ludzi specjalnie nie lubię, a cywilizację to w ogóle mam

w dupie! A w dodatku chyba mam prawo odpocząć? Wiek emerytalny dawno temu mi stuknął, a że KRUS nie chce wypłacać, to zwykle dla instytucji państwowych pogwałcenie praw człowieka.

– A to nie jest tak, że trzeba najpierw płacić składki, a potem dopiero zgłosić się po emeryturę? – spytał Semen, stając w drzwiach.

– Ty miałeś w nosie ich, to oni teraz mają w nosie ciebie.

– Czasy upadku – burknął egzorcysta. – Żeby urzędnik państwowy miał w nosie petenta... A przecież mam zasługi i w ogóle.

– To może napisz podanie do prezydenta o emeryturę specjalną w uznaniu tych zasług. – Kozak uśmiechnął się złośliwie. – Aktorzy, którzy przez całe życie przepuszczali honoraria, tak właśnie robią.

– Żeby pisać do prezydenta, tobym najpierw musiał...

– ...przypomnieć sobie wszystkie litery?

– Adresu nie znam! – odwarknął Jakub. – Poza tym mam ważniejsze sprawy na głowie niż jakieś tam emerytury.

– Słyszałem twoje narzekania, od kiedy minąłem furtkę. Ostatnio bez przerwy coś tam marudzisz pod nosem. Zgorzkniałeś na stare lata czy jak?

– A co, nie wolno? – zirytował się Jakub. – Zazwyczaj narzekają nieudacznicy życiowi. Spokojnie mogę się do takich zaliczać. Areał, co go zdobyłem, podorując miedze sąsiadów, leży odłogiem. Gospodarstwo popada w ruinę, a moi potomkowie, zamiast kultywować chłopskie tradycje rodu, zostali inteligentami, inżynierami i biznesmenami. Do tego żyjemy w czasach powszechnego upadku wszystkiego. A zwłaszcza moralności. Jak pomyślę, ile gołych bab w tym internecie...

– Słusznie – kiwnął głową kozak. – Przestańmy je oglądać!

Na twarzy Jakuba odbiło się pewne wahanie.

– W zasadzie, tak ogólnie rzecz ujmując, masz oczywiście rację. Z drugiej strony ktoś musi choć trochę monitorować zło, upadek i dekadencję naszej cywilizacji, więc z tym całkowitym zaprzestaniem tobym się jeszcze wstrzymał.

– Dam ci radę. – Semen przyjacielsko poklepał kumpla po plecach.

– Jak już musisz gadać sam ze sobą, to zamiast narzekać i się użalać,

mów sobie rzeczy miłe i motywujące. Tak jest i zdrowiej, i przyjemniej.

– Po prostu doszedłem do wniosku, że jestem już na pewne rzeczy za stary. Sił też brakuje. Nawet jak sobie golnę, to już nie to, co za młodych lat... Krzepy ani pary w łapie nie mam... Pamiętasz, jak ścinaliśmy słupy wysokiego napięcia biegnące do bardackiego gospodarstwa? Kiedyś wystarczyły trzy uderzenia siekierą, a teraz musieliśmy traktorem szarpnąć.

– A to nie dlatego, że kiedyś te słupy stawiali drewniane, a teraz z betonu robią? – zadumał się kozak.

– Może i tak. Ale to nie zmienia faktu, że trzeba oddać ten interes z ratowaniem świata w ręce innych bohaterów. Młodych, zdolnych, przystojnych, a może nawet trzeźwych... I bogatszych, bo do czego to podobne! Nie dość, że stoimy na straży ludzkości, to jeszcze za frajer! A taki Batman to ma rezydencję z laboratorium w piwnicy i wypasioną furę, i jeszcze sobie prywatnym odrzutowcem na akcje śmiga. I to we własnym mieście, jakby nie mógł rowerem podjechać. Chociaż z drugiej strony chwała mu za ten samolocik, niech sobie nawet po zakupy do marketu lata.

– Co masz na myśli?

– Że równy w sumie gość z tego Batmana. Ten jego odrzutowiec efekt cieplarniany emituje. I dzięki temu człowiek zimą chatę ogrzeje połową tego węgla, co za Gierka. A gdyby tak Batman poleciał zamiast nas z Gotham na Dolny Śląsk, po drodze spaliłby kilka ton nafty. Na pożytek naszej planety i nasz.

– Czekaj, czekaj. Co ty właściwie usiłujesz powiedzieć? Znow się szykuje jakaś grubsza robota? I to na Dolnym Śląsku? – zaniepokoił się kozak.

– No, tak jakby... Wprawdzie za tę akurat sprawę czuję się jakby trochę odpowiedzialny. Tylko że ja już zdziadziałem. Nie chce mi się. Podróż daleka i nietania. Pora na pokoleniową zmianę warty. Jest tylu innych, młodszych, silniejszych. Taki na ten przykład Spiderman. Widziałeś w kinie? Ten to ma krzepę. Wspina się po sznurkach na wieżowce jak jakaś małpa.

– Tobie taki amerykański przebieraniec mógłby co najwyżej buty wiązać.

– A po co go fatygować? Gumofilce nie mają sznurówek. Hmmm... A gdyby tym razem ludzkości nie ratować? – zamyślił się Jakub.

– Ale że jak to nie!? – wytrzeszczył oczy Semen. – Przecież my zawsze...

– Wiem, że zawsze. No i może raz by się przydało odpuścić! Wiesz, tak wychowawczo. Niechby choć raz nasza cywilizacja dostała kopa, a potem solidny wycisk od złodupców. Może by ludzie docenili wszystko, co się dla nich robi. Nie mówię od razu, że mają dać miliony, ale kilka stów miesięcznie by się przydało.

– No niby tak, to faktycznie mogłoby podziałać pedagogicznie – przyznał kozak. – Ale skutki mogłyby być naprawdę katastrofalne. A teraz do rzeczy. Gadaj wprost, o co chodzi.

– Pamiętasz nasze wojenne przygody? A konkretnie, jak wyróżniliśmy szwabów w takim dziwnym laboratorium na końcu pewnej hitlerowskiej sztolni w Górach Sowich? Tam, gdzie były lodówki, a w nich butelki z takim zielonym zajzajerem?

– Pamiętam! – Choć minęło tyle lat, Semen aż się wzdrygnął. – Co z tą sztolnią? – zapytał po chwili. – Wysadziliśmy ją i kaput. Sprawy nie ma i jakby ktoś pytał, to nigdy nie było. Świadców też nie ma, bo zabiliśmy wszystkich. Hitler wiedział... Ale on też kaput. A Kapitan Wypruwacz i major Jegorow zostali koncertowo zrobieni w balona, nawet nie podejrzewali, co tak naprawdę tam robiono. W dodatku obaj też od dawna nie żyją. No i sam mówiłeś, że z tych resztek nikt nigdy niczego nie wydedukuje.

– Widzisz, tak nam się wtedy wydawało. Ale nie przewidziałem, jak bardzo nauka pójdzie do przodu. Archeolodzy robią dziś cuda. Wykonują analizy DNA wydłubanego z zębów neandertalców! Wykrywają ślady toksyn na kościach średniowiecznych szkieletów. Oglądają glebę pod mikroskopem i znajdują pyłki roślin liczące sobie tysiące lat. Sprawdzają, na co poumierały mumie, znaczy wtedy, jak jeszcze żyły. Nawet sfotografowali czarną dziurę i nagrali dźwięki z powierzchni Marsa! Nie wiem, co będzie, jak jacyś fachowcy

pozbierają potłuczone hitlerowskie butelki i wsadzą w aparaturę analityczną. Cholera wie co z tego szkła wyizolują – skrzywił się Jakub. – Poza tym pamiętasz, ile tego było? Całe regały. Założyliśmy trotyl, jak pierdyknęło, powinno rozwalić wszystko na sieczkę. A jeśli któraś z butelek jednak ocalała?

– Wybuchy z kilku stron, interferencja fal uderzeniowych – rozważał Semen. – Fale odbite od skał. Niby mało prawdopodobne, ale tak do końca wykluczyć nie można. – Zasepił się.

– Wyobrażasz sobie, co mogłoby się stać, gdyby to wpadło w niepowołane łapy? No i te szwaby. Technicy, laboranci... Zwał, jak zwał. Niby zostali zabici, wysadzeni w powietrze i pogrzebani pod bazaltem. A jeśli któryś się przebudził?

– No to co? Przecież z takiego zawału nie wylazł.

– A jeśli przed definitywnym zgonem zrobił notatki i ktoś je znajdzie?

– Szlag! Powinniśmy mocniej pokiereszować trupy i wszystkie flaszki po kolei roztrzaskać. Ale przecież czasu nie było – sumitował się kozak. – Nie, żadna nie mogła przetrwać. Trotyl był blisko regałów – próbował uspokoić sam siebie, ale brzmiało to cokolwiek żałośnie.

– Może i wszystkie poszły w drzazgi. Faktycznie, spieszyliśmy się. Nie można było inaczej. Ale martwi mnie, co im wyjdzie, jak zrobią tę analizę.

– Ale, ale... – Kozak łypnął podejrzliwie. – Żeby cokolwiek wyizolować, najpierw musieliby się tam dokopać. Chcesz powiedzieć, że ktoś trafił na trop?

– I tu jest właśnie szwab pogrzebany. Nie mówiłem ci wtedy, ale nie byłem tak do końca przekonany, czy wysadzenie w powietrze wystarczy. Zrobiłem dodatkowe zabezpieczenie.

– Proszę jaśniej!

– U tego nazistowskiego profesorka, cośmy go zaciukali, znalazłem w kieszeni dwie srebrne monety z Hindenburgiem. Identyczne, nawet rocznik ten sam. Splątałem je kwantowo, no wiesz, żeby sparować.

– Skąd ty w ogóle znasz takie słowa!? I skąd wtedy je znałeś?

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tak to się nazywa i że to nauka. Myślałem, że zwykła chłopska magia. – Zawstydzony Jakub spuścił głowę. – No, w każdym razie przed wybuchem jedną położyłem na spągu niedaleko wylotu sztolni, a drugą zabrałem i teraz mam ją w szufladzie. Tę w sztolni ułożyłem gębulą szwaba do góry. A dziś rano zaglądam do szuflady i patrz. Powinna leżeć odwrotnie, wroną do wierzchu, a ona straszy nas mordą tego ważnego szkopa! Czyli ktoś odgruzowuje i znalazł drugi egzemplarz... O cholera!

Na ich oczach moneta podskoczyła i obróciła się wokół własnej osi.

– W tej właśnie chwili ten sukinsyn się nią bawi! – syknął kozak.

– A gdyby tak... zakręcić ją w mocną wiertarkę, wrzucić na maksymalne obroty? Niech tamta tak zawiruje, że mu paluchy połamie... – zamyślił się Jakub.

Obaj parsknęli złośliwym śmiechem, ale zaraz spoważnieli.

– Szkoda, że nie mamy wiertarki – westchnął egzorcysta. – Ale nie złamię zasad dla kilku chwil dobrej zabawy. Postanowiłem jeszcze przed wojną. Nikt nigdy nie założy mi prądu w chałupie. Ewentualnie w razie krytycznej konieczności pociągnę na lewo od sąsiadów. Ale własnego nigdy.

– Może gdyby tak położyć ją na gumie i puknąć młotkiem, to ta druga moneta nieźle podskoczy? – zaproponował kozak.

– Nie wiem, czy to tak działa, nie jestem fizykiem. A nawet jeśli połamiemy mu paluchy, to raczej nie zatrzyma to samych prac. Myślę, że trzeba pofatygować się osobiście i skuć mu mordę najzupełniej tradycyjnie.

– Do rzeczy zatem – zgodził się kozak. – Zostawiłeś tamtą monetę w pobliżu początku sztolni?

– Niezupełnie. Leżała raczej w głębi, tak z pięć, może siedem kroków od wejścia.

– To oznacza, że ci leszcze, którzy ją znaleźli, odgruzowali już kilka metrów! Nie mamy zbyt wiele czasu! Ruszamy na Dolny Śląsk!

– Łatwo powiedzieć. Przecież blisko nie jest – odparł Jakub. – Szkoda, że nie zabrałem sobie na pamiątkę tego latającego talerza. Został w parku i pewnie wpadł w łapy ruskich albo, co gorsza, Amerykanów.

– I tak byśmy nim nie wrócili do domu. Pamiętasz? Mocno był pokiereszowany. Zwłaszcza poważne były te uszkodzenia na obrzeżu. Te od kolizji w czasie przelotu przez Bramę Brandenburską.

– Zaczepiłeś najwyżej o trzy palce – pocieszył Semena przyjaciel. – Nie twoja wina, za gęsto szwaby te kolumny ustawili. Nawet zawodowy akrobata lotniczy by sobie nie poradził. A to, co się urwało, przyspawalibyśmy jakoś.

– Ale potem jeszcze lądowałem twardo. Nie moja wina, mało czasu było, nie zdążyłem odgadnąć, którą wajchą wysuwa się amortyzatory.

– Jesteś świetnym pilotem. Zwłaszcza że raz siedziałeś za sterami latającego talerza! Myślę tylko poniewczasie, że decyzja o porzuceniu latadła była przedwczesna. Zdolny blacharz w tydzień by wszystko ponitował i wyklepał. Z drugiej strony może i dobrze zrobiliśmy? Sam wiesz, jak to było na wsi po wojnie. Milicja węszyła i KBW. W dodatku żona marudziła, że za dużo wojennych pamiątek do chałupy ściągam. Tyle dobrze, że nie wiedziała o składziku pod stodołą i w bunkrach za maliniakiem.

– No, jakby milicjanci lub ormowcy znaleźli w twoim obejściu latający talerz, to rzeczywiście byłyby z tego kłopoty grubsze niż za bimber. – Kozak pokiwał głową. – Albo i nie. Bo tak na logikę, niby czego mogliby się czepić? Idę o zakład, że żaden kodeks karny nie zabraniał posiadania hitlerowskich statków powietrznych o napędzie antygrawitacyjnym!

– Teoretycznie masz rację. Z drugiej strony pamiętasz chyba te parszywe czasy? – Jakub machnął ręką. – Oni wtedy i za niewinność potrafili gruby wyrok dowalić. Ale jednak trochę szkoda, że tego nie skitrałem. Śmignęłoby się... Dwadzieścia minut i cyk, na miejscu.

A na ultratachionach lądowalibyśmy w Riese, nawet zanimbyśmy stąd wystartowali!

– Z trzeciej strony brak talerza to nie taka wielka strata. – Semen wzruszył ramionami. – Bo czym niby byś go zatankował? Na bimbrze nie polecą. A czerwona rtęć jest obecnie nie do zdobycia.

– Nie przesadzajmy, nie gadaj, że nie do zdobycia. Gdyby dobrze poszukać w szpargałach na strychu, to puszka albo i dwie się znajdą. Ale paliwo bez silnika nieprzydatne. Niby te końcówki w siewniku podobne do tamtych dyszy, ale sam rozumiesz, nawet jakbyśmy do niego wlać rtęci, to nie wystartuje. A gdyby nawet pofrunął, jak nim niby sterować?

– Czyli co robimy? Podpierniczymy sołtysowi traktor? – zamyślił się Semen. – Nie jest to szczególnie szybka maszyna, ale w trzy dni na Dolny Śląsk dojedziemy. Tylko forsę sporo na ropę wydamy. No i trzeba jeszcze wrócić.

– Traktorem niby można, ale kabiny nie ma. Co będzie, jak po drodze deszcz nas złapie? Chyba pójdziemy na pekaes... Tylko spakuję wałówkę na drogę. I buty trzeba wyglansować. Ubrania prasować nie będę, w podróży i tak się pogniecie.

Jakub zakręcił się po domu szybko i sprawnie. Napełnił manierkę, wsadził kilka rezerwowych flaszek bimbru do tekturowej walizki, dołożył poleć wędzonki, przetańczył noski gumofilców skórą od słoniny, wciągnął w szlufki spodni nowiutki kabel od odkurzacza i byli gotowi do podróży na drugi koniec kraju.



Obaj starcy jak duchy przemknęli przez gęsty zagajnik. Byli już blisko. Pagórek, dolina... Wysypana żużlem droga doprowadziła ich wprost do celu. Widać było, że duktem od dawna nikt nie chodził, ale niektóre samosiejki były połamane, w bardziej wilgotnych miejscach dało się zauważyć odciski w błocie bieżniki kół. Ewidentnie nie tak dawno przejechało tędy jakieś auto.

– Trochę się tu pozmieniało przez te wszystkie lata – zauważył kozak. – Drzewa grubsze, góry jakby wyższe... Ale brak min, drutów kolczastych, wieżyczek strażniczych i esesmanów z psami, to akurat zmiana na plus.

– Nie gadaj. Na pewno miałbyś ochotę znów zaszlachtować jakiegoś szwaba. – Kumpel dał mu przyjacielską sówkę w bok. – Jak za starych, dobrych partyzanckich czasów.

– Ech, nie kuś, nie kuś...

Przebyli mostek nad strumykiem, przyjrzeni się skałkom. Wyglądały znajomo. Droga się rozwidlała. Wybrali lewą odnogę. Minęli usypisko głazów, obok w trawie wypatrzyli przegniłe już i spróchniałe podkłady, pozostałość toru kolejki do wywozu urobku.

– Jeszcze ze sto metrów, o ile dobrze pamiętam – mruknął Semen. – Tu gdzieś zaciukaliśmy kilku strażników.

– Tak, to tutaj. – Jakub wskazał zardzewiały hitlerowski hełm, nadal poniewierający się w krzakach na poboczu. – A tego tu wtedy nie było!

Kawałek dalej w chaszczach, nakryty siatką maskującą, stał stary, wysłużony ford. Podeszli bliżej. Z tyłu i z przodu samochód miał przyczepione lipne tablice rejestracyjne.

– Chyba poznaję tę gablotę – stwierdził Jakub. – Wygląda wypisz wymaluj jak auto tego świra z Warszawy. Tego z głupią fryzurą. Pamiętam te zardzewiałe dziury na styku karoserii podwozia.

– Fakt, wyglądają znajomo. – Semen pokiwał głową.

– Skoro auto jest tutaj, to chyba nie przypadek. Tak mi się coś zdaje, że to on tu ryje! Zapewne z tym swoim pomocnikiem. Ci dwaj kolesie zawsze mieli nosa do historycznych zagadek i zawsze pchali te nochale między drzwi a zakąskę!

Wyjrzeni ostrożnie z chaszczy. Przed sobą na zboczu góry spostrzegli ciemny otwór tunelu. Obok piętrzyła się hałda bazaltowych odłupków wydobytych z wnętrza sztolni. Na glebie widać było ślad gąsienic małej koparki. Sama maszyna stała opodal na przyczepce.

– Fiu... Robotne chłopaki – mimowolnie pochwalił egzorcysta. – Odgarnęli kilkanaście ton zawалу i teraz wybierają ręcznie gruz skalny, idąc w głąb góry. Powiedz, tak pro forma, bo pytam w kwestii ewentualnego szlachtowania szwabów. Storm to chyba niemieckie nazwisko?

– Tego nie wiem. Ale pamiętam, jak kiedyś mówił, że jest z pochodzenia Natangiem. Cokolwiek to znaczy.

– A, to szkoda. No trudno, najpierw i tak spróbujemy po dobroci. Przemówimy mu do rozsądku. To znaczy ty przemówisz, bo masz nahajkę. Ja będę udawał złego glinę, a ty jeszcze gorszego. – Jakub szybko i sprawnie rozdzielił zadania. – A jak nie pomoże, to będziemy improwizować i eskalować przemoc.

Starcy kilkoma susami pokonali ostatni odcinek i zajrzeli do lochu. Dłuższą chwilę obserwowali postępy prac. Obaj poszukiwacze pracowali, aż miło było popatrzeć. Udrożnili już dobre pięć metrów przejścia. Robert Storm polewał głązy blokujące sztolnię ciekłym azotem z butli, a gdy dobrze zamarzły, Arek chlustał na nie wrzątek z czajnika. Bazalt pękał z trzaskiem na drobne kawałki. Urobek wygarniali i sypali na taczkę. Potem zapewne planowali wywieźć go i wysypać gdzieś na zewnątrz.

– A to gady! – zdumiał się egzorcysta. – Jeszczem tak fikuśnej metody górniczej nie widział.

– Technika idzie do przodu – zauważył filozoficznie kozak. – To jak? Spuszczamy im łomot, czy może jednak zaczniemy bardziej dyplomatycznie?

– Komuś innemu tobym od razu przylutował i kazał zasypać, co odkopał, ale ten kolo pomógł mi kiedyś w jednej sprawie – skrzywił się Jakub. – Zaczniemy łagodnie, a jak się nie uda... No cóż, kułakiem i dobrym słowem działasz więcej niż samym dobrym słowem.

Podkradli się jeszcze bliżej, a potem egzorcysta chrząknął znacząco. Poszukiwacze odwrócili się zaskoczeni.

– Dzińdoberek. – Jakub uchylił czapki. – Miło was widzieć, chłopcy. Skarbów Trzeciej Rzeszy sobie szukamy?

– To pan, panie Jakubie? Ależ nas panowie wystraszyli! – Robert zakręcił butlę z azotem. – Ano szukamy. Ale tym razem nie skarbów, tylko odpowiedzi na pytania frapujące historyków. Jesteśmy na tropie tajnego hitlerowskiego laboratorium.

– Wiem, co tu było – odparł egzorcysta. – Ale ciekawi mnie, jak wyście tu trafili.

– Mama mojego kumpla jest bogata. Kupiła kiedyś sporą chatę na Mazurach. A w niej na strychu leżała masa papierów po pisarzu nazwiskiem Nienacki.

– Coś słyszałem. – Egzorcysta poskrobał się po głowie. – Pisarz to taki koleś, który w gminie pisze chłopom podania do Unii Europejskiej?

Kozak dał mu sójkę w bok.

– Jakub, tu sami swoi, przestań udawać idiotę – syknął.

– Ten akurat pisał książki dla młodzieży – uściślił Arek.

– A ja wiem, który to był – pochwalił się Semen. – Nawet jego książki prawnukowi czytałem. I co z tymi papierami?

– Analizowałem je przez kilka tygodni – podjął Robert. – Wynika z nich, że ten Nienacki korespondował z takim starym ubekiem. Ubek zaś poza uprzykrzaniem ludziom życia był też poszukiwaczem skarbów, oddelegowanym do tej roboty przez PZPR. Szukał, rzadko kiedy coś znajdował, ale miewał przy tym różne przygody. Potem jego kumpel literat przybliżał czytelnikom wyczyny kolegi, oczywiście w upiększonej i zbeletryzowanej formie. Kasą jakoś się dzielili. W jednym z listów poszukiwacz opisał, jak trafił na ślad tajnej sztolni, w której szwaby do ostatnich dni wojny pracowały nad Wunderwaffe. Dotarł tutaj, ale jak dźwigał kamienie, dysk mu wypadł. Ból był paskudny, więc odpuścił. W każdym razie tej przygody Nienacki z jakichś przyczyn już nie opisał. Ale my dzięki tym listom i dołączonej do nich mapce dostaliśmy niezwykle obiecujący trop. I to jak na talerzu.

– No dobra. Teraz, chłopaki, posłuchajcie mnie bardzo uważnie – warknął Jakub. – Głupio to zabrzmiało, ale tak się składa, że laboratorium, do którego próbujecie się dokopać, i ten tunel, który

odgruzowujecie, znamy z Semenem aż za dobrze. To ja go wysadziłem, osobiście, własnymi rękami. To znaczy wysadzałem oczywiście trotylem, ale zapalarkę uruchomiłem tą grabą. – Zaprezentował spracowaną dłoń, pokrytą bliznami i plamami wątrobowymi. – To miejsce... hmm... Powiedz no, Storm, czy stanąłeś kiedyś oko w oko z mrocznym sekretem, którego ujawnienie może doprowadzić do zagłady całej ludzkości?

– Zdarzyło się. Dwa czy trzy razy. – Poszukiwacz kiwnął głową.

– Zatem chyba rozumiesz, że są pewne wredne i paskudne tajemnice, które powinny zostać raz na zawsze pogrzebane?

– Niby tak... Ale w tej sztolni szwaby pracowały nad bronią V9. Nigdy wcześniej nawet nie słyszałem o takim kryptonimie. Hitlerowska tajna broń to konkret! My... my pożądamy tylko wiedzy. I odrobiny sławy wśród historyków. Panowie podczas wojny byli w środku? W tym tajnym niemieckim laboratorium? Myślałem, że wszystkich więźniów pracujących przy budowie takich obiektów Niemcy mordowali.

– Więźniów zapewne tak, ale to nie nasz przypadek. – Egzorcysta uśmiechnął się drapieżnie. – W tym rozdaniu kart historii to nam trafiła się kareta asów.

– Byliśmy tu na akcji bojowej – wyjaśnił Semen. – Wtargnęliśmy do środka z sowiecką grupą dywersyjną. Pomagaliśmy wyrznać hitlerowskich naukowców, a potem rozpirzyliśmy wszystko w drobny mak. Chociaż z drugiej strony to była sprawa tak gruba, że wolelibyśmy nigdy tam nie trafić. Nie każdy sekret trzeba od razu poznawać. Czasem niewiedza jest prawdziwym błogosławieństwem. A w każdym razie człowiek lepiej sypia, gdy z pewnych rzeczy nawet nie zdaje sobie sprawy.

– A to laboratorium... Co z niego zostało?

– Pewnie nic. – Jakub wzruszył ramionami. – Zabiliśmy wszystkich Niemców. I esesmanów, co tego pilnowali, i naukowców w kitlach. I profesorka Winterbauma, który tym zarządzał. Zniszczyliśmy wszystko. Aparaturę, odczynniki, surowiec. Spaliliśmy całą dokumentację. Znajdziecie tam co najwyżej resztki potłuczonego

szkła, zardzewiałe, otwarte sejfy i szkielety hitlerowców. A wszystko skażone radioaktywnie. Towarzysze, z którymi byliśmy w środku, wkrótce potem rozstali się z życiem. Kopiąc tu, nie odkryjecie żadnych tajemnic, nie zdobędziecie żadnych ciekawych fantów, a tylko napytacie sobie biedy. Chcecie szukać cudownej broni, to zaraz wam na mapie pokażę, gdzie warto zajrzeć. Tam sobie grzebcie do woli.

– Tu niedaleko była kolejna ściśle tajna sztolnia, w której budowali V7 – dodał Semen. – Mówiąc po ludzku, to były latające talerze, kopiowane z ufockiego spodka. Ekspedycja koleś z Ahnenerbe znalazła jeden egzemplarz rozbity w Tybecie. Eksperymentalne naziolskie antygravitacyjne latadła zasilane były czerwoną rtęcią. Jak tam coś znajdziecie, to uhecujecie i historyków, i miłośników teorii spiskowych, i nawet tych, co wierzą w UFO.

– Czyli tu nie warto grzebać? – zagadnął Arek.

– Absolutnie nie.

– Hmmm... eee... Ale tak konkretnie? Co to było za miejsce? Nad czym oni pracowali? – drążył Storm.

– Słuchajcie, dzieciaki, chciałem wam oszczędzić tej wiedzy. Ale widzę, że uparci jesteście jak osły. – Egzorcysta przewrócił oczami. – Tylko potem żeby nie było pretensji. Wiecie, że Adolf Hitler był wegetariańcem?

– Obiło mi się o uszy – kiwnął głową Robert.

– Chodziłeś do przedszkola?

– Chodziłem...

– A twój kumpel?

– Też chodziłem – potwierdził Arek. – Ale co to ma wspólnego z Hitlerem?

– Więcej, niż sądzicie. To powiedzcie teraz, jakiej potrawy najbardziej nienawidziliście? – Głos Jakuba ciał jak brzytwa.

– Pytanie retoryczne – prychnął starszy poszukiwacz. – Tej samej, co wszyscy. Ale jaki to ma związek z tą sztolnią?

– Ano taki, że w laboratorium na końcu tunelu ten degenerat profesor Winterbaum na polecenie Adolfa Hitlera robił samogon ze

szpinaku.

– Że niby z czego!? – zdumiał się Storm. Poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Produkcja wódki z tej rośliny jest bajecznie tania, a wydajność po prostu niesamowita. Co do smaku, Niemcy uznali, że jest dość specyficzny, ale byli przekonani, że tacy podludzie ze Wschodu jak my szybko przywykną. A teraz pamiętajcie, nikomu ani słowa. Nie daj Boże, gdyby to dotarło do niepowołanych uszu. Albo gdyby nasi politycy uznali to za dobry pomysł. Wiesz, co by się działo, gdyby nasze gorzelnie zaczęły produkować coś takiego? Wyobraź sobie, że wchodzisz do swojej kochanej knajpy, a tam na półce za barem... Albo że sięgasz po ulubione piwo, a w nim dla dodania mocy dolane to zielone gówno!

– Faktycznie przerażająca wizja. A teraz, panie Jakubie, niech pan powie prawdę. Bo z tym samogonem ze szpinaku to ściema. Owszem, wizja takiego napitku jest przerażająca, ale wątpię, żeby Niemcy produkowali to w ostatnich dniach wojny w ściśle tajnym laboratorium.

– Tu z całą pewnością chodziło o co innego – dodał Arek.

Semen spojrzał zaskoczony, a Wędrowycz westchnął bardzo ciężko.

– Bystrzak – burknął z mieszaniną irytacji i rozbawienia. – Sowiecki major dał się nabrać, Kapitan Wypruwacz dał się nabrać. Semen też pewnie dałby się nabrać, gdybym go wcześniej nie wtajemniczył. A wy jesteście, jak widzę, sprytniejsi nawet od sowieckich dentystów ninja. A może nawet mądrzejsi – dodał w zadumie.

– Zatem? Opowie nam pan?

– Oglądałeś filmy o zombie? Pewnie, że tak. Profesor produkował tu pewną substancję chemiczną. Zielony czynnik. Preparat ożywiający trupy. To była ostatnia szansa odwrócenia wojennych klęsk. Niemcy, mając ten środek, byli w stanie ożywić, na jakiś czas oczywiście, każdego zabitego wojaka. Wystarczyło nacierać na tereny, z których zostali wyparci, tam rozkopywać zbiorowe mogiły

esesmanów, polewać tym paskudztwem, rozdawać ożywiencom szmajsery i nacierać dalej. Z każdym kilometrem armia byłaby liczniejsza. W dodatku takiego zombiaka nie trzeba karmić, nie trzeba poić. No i naszym znacznie trudniej byłoby załatwić martwiaka niż żywego hitlerowca. Kto wie, może szwaby dzięki armii umarlaków znów doszliby pod Moskwę? Może nawet do Uralu?

– A Niemcy zabici w laboratorium? Przecież jeśli wysadziliście wszystko w powietrze, to ten preparat... – zaczął Arek.

– Zombiak po ożywieniu jest w stanie przetrwać najwyżej kilka lat. Zależy od klimatu, temperatury, wilgotności powietrza, obecności larw much, rodzaju szczepów bakterii gnilnych i tak dalej. Zakładałem ładunki, tak by maksymalnie poszarpały ciała. Jeśli nawet niektórzy obudzili się pod zwałami bazaltu jako zombie, to byli pokawałkowani i przywaleni. Już dawno ponownie wyzionęli ducha. Ale lepiej, żeby nikt tu nie grzebał. Kto wie czy naukowcy nie zdołaliby wydedukować czegoś z resztek tej substancji. Dlatego ani pary z gęby. Teraz i na zawsze.



– Rozumiem. – Robert skinął głową. – Faktycznie lepiej tu nie grzebać. Zasypujemy, jak było, i zamaskujemy ślady. Ale coś za coś!

– He?

– Obiecał pan narysować na mapie, gdzie jest ta sztolnia z latającymi talerzami i czerwoną rtęcią. – Storm podsunął egzorcystę sztabówkę.

Jakub przez chwilę przyglądał się zaznaczonym drogom, budynkom i poziomicom obrazującym ukształtowanie terenu. Od wojny to i owo się pozmieniało. Wreszcie po krótkiej konsultacji z kumplem nabazgrał długopisem strzałkę.

– Musicie odbić od szosy i śmignąć gruntówką wzdłuż strumienia. Przejedziecie mostek. Obok dużego głazu znajdziecie płytko zakopane pięć urżniętych szwabskich łbów. W hełmach. Czachy będą miały wyrwane szczęki. Odmierzycie dwadzieścia kroków na północ. Kopiać, natraficie na betonową klapę nakrywającą wylot szybu startowego. Nie przegapicie, ma średnicę z osiem metrów. Podpierniczyliśmy jedyny ukończony latający talerz. Ale w hali stały jeszcze ze dwa albo i trzy, przy których dopiero dłubali.

– Na pewno nie zdołali przed końcem wojny wykończyć ich i odlecieć, bo podziurawiliśmy zbiorniki i poprzecinaliśmy kabelki. Do tego zakosiliśmy cały zapas paliwa, to znaczy wszystkie puszki z czerwoną rtęcią – dodał skromnie Semen.

– Jeśli tylko szwaby nie wysadzili wszystkiego w powietrze albo nie zalali wodą, znajdziecie wraki. Złotego pociągu tam raczej nie ma, ale za to będziecie sławni. I, teges, skoro macie tam w zagajniku auto, podrzućcie nas po drodze do linii kolejowej. Nie chce mi się znów zdzierać zelówek na tych wertepach.



Pociąg miarowo stukał na złączeniach szyn. Pędził na wschód. Mroczne tajemnice Trzeciej Rzeszy, latające talerze i sztolnie z trupami esesmanów pozostały daleko w tyle. Każda upływająca

minuta zbliżała bohaterów do domu. Obaj kumple zrobili flaszeczkę, zakąsili mielonką z puszki, a teraz nudzili się jak mopsy. To znaczy Jakub się nudził, bo jego przyjaciel wyciągnął z torby kajet. Pogrzebał przez telefon w internecie. Sprawdził coś, zanotował. Teraz, zmarszczywszy czoło, pokrywał kolejne strony skomplikowanymi obliczeniami i wzorami chemicznymi.

– Co tam tak ciągle bazgrolisz? – zagadnął wreszcie nieco zirytowany Wędrowycz. – Szkoda długopis wypisywać.

– Hitlerowcy i ich brudne nekrotyczne sekrety to jedno – powiedział w zadumie Semen. – Substancja zombiacząca nikomu nie jest potrzebna. Ale analizuję tu sobie wartość kaloryczną i wydaje mi się, że to możliwe. Trzeba tylko rozbić część masy na cukry proste.

– Że co niby jest możliwe? – Jakub łypnął na niego podejrzliwie. – Co chcesz rozbijać?

– Szpinak. Myślę, że możliwe jest przerobienie tej bezużytecznej i paskudnej w smaku rośliny na wysokoprocentowy samo... – Kozak urwał w pół słowa, bo przyjaciel od serca zamalował go w mordę.

Syrenka



Jakub i Semen dreptali niespiesznie ulicą. Zza kolejowego nasypu sterczały dumnie elementy Stadionu Narodowego.

– Widzisz to paskudztwo? – zagadnął Wędrowycz. – Dwa miliardy złotych kosztowało. A wiesz, skąd władza bierze kasę na takie duractwa?

– Z podatków? – Jego towarzysz wzruszył ramionami.

– Otóż to. A ja mogę z dumą powiedzieć, że nie dołożyłem do tego ani grosza z mojej krwawicy. A że nie pijam państwowej wody, to i na akcyzie nie zarobili – zarechotał Jakub.

– Ale w piwie też jest akcyza – zauważył pogodnie kozak.

– Może i tak, ale na tyle niewielka, że pewnie poszła na naszą służbę zdrowia. Lekarze bez przerwy marudzą, że szpitale niedofinansowane, a to chyba nakłada na nas obowiązek moralny jak najczęstszego spożywania piwa.

– Wolę, gdy gadasz na tematy, o których masz choćby zielone pojęcie – powiedział Semen. – No dobra, gdzie ta twoja klientka?

– Wyznaczyła mi spotkanie nad kanałem dawnego Portu Praskiego. Konkretnie: nad tą odnogą, która jest bliżej Wisły. To chyba za tymi krzaczorami.

Zeszli z chodnika, pokonali rozsypujący się płot z drewnianych paneli i niebawem znaleźli się nad prostokątnym rowem wypełnionym częściowo wodą, a częściowo szlamem. Tu i ówdzie w podmuchach wiatru kołysały się łądygi trzciny i pałki wodne. Za czasów carskich okolica tętniła życiem. Linia kolejowa prowadząca w głąb imperium dostarczała towary. Część składowano

w magazynach, inne ekspediowano statkami i barkami w dół i w górę Wisły. Obecnie jedynym wspomnieniem dawnej świetności były osypujące się nabrzeża z czerwonej cegły i stojąca pomiędzy nimi woda.

– Jest i klientka. – Kozak wskazał damulkę w skąnym bikini, opalającą się opodal na brzegu.

Starcy dziarsko ruszyli w tamtą stronę, ale już po chwili radykalnie zwolnili kroku. Pańcia miała ładną figurę i pięknie zaokrąglony biust. Buzię też miała miłą. Ale pierwsze wrażenie psuły spiczaste uszy i pazury u dłoni. To, co zwisało z nabrzeża, wcale nie było nogami...

– Dzień dobry, panie Jakubie – uśmiechnęła się syrena, ukazując drobne, ostre ząbki. – Witam też pańskiego towarzysza. To ja dzwoniłam. Chciałabym panów wynająć...

– Wybacz pani – burknął egzorcysta. – Z zasady nie pracuję dla bytów nieludzkich. A w tym przypadku – skrzywił się – mówimy o zleceniu od istot krwiożerczych i pasożytujących na moim własnym gatunku! Mało kto o tym wie, ale syreny zasadniczo dzielą się na dwa rodzaje – zwrócił się do kumpla.

– Rzeczne i morskie?

– Nie... Dla uproszczenia nazwijmy je syrenami normalnymi i syrenami wegetariańskimi. Normalne syreny to, jak powszechnie wiadomo, bezlitosne, groźne bestie. Wabią marynarzy śpiewem, topią, wyrrywają im serca i zjadają.

Syrena uśmiechnęła się dziwnie, jakby przypomniało jej się coś przyjemnego.

– A wegetariańskie? – zainteresował się kozak.

– Wabią śpiewem, topią, ale nie zjadają. Żywią się planktonem. Albo może wodorostami. Chociaż kto je tam wie, tak dokładnie może i rybki wcinają.

– A ta warszawska? Jakiego jest gatunku? – spytał Semen.

– W sumie to nieistotne. – Jakub wzruszył ramionami i wydobył z kieszeni granat. – Dobry myśliwy zawsze daje zwierzynie szansę. Dlatego zwiewaj, Arielka, czy jak tam masz na imię.

– Kunegunda.

– Też ładnie. No więc słuchaj, Kunegunda. Śmigasz w wodę, a ja najpierw policzę do pięciu, zanim...

– Panowie, a dacie dojść do głosu? – prychnęła syrena. – Naprawdę mam problem.

– Ma pani trzy minuty – warknął Jakub. – Albo minutę może. I tak nie mam zegarka.

– Proszę mówić. – Semen wcisnął stoper na komórcę.

– Po pierwsze, nie podobają mi się pańskie krwiożercze zamiary. Powszechnie wiadomo, że my, syrenki warszawskie, jesteśmy oswojone. Od średniowiecza. Od kiedy podczas wielkiej suszy Wars i Sawa nas dokarmiali. Od tamtej pory polubiłyśmy Warszawę i jej mieszkańców. A nasz wizerunek w herbie stolicy jest symbolem pokojowej koegzystencji i owocnej współpracy syren z władzami miasta, czy częściej po prostu ze społeczeństwem Warszawy.

– Wars i Sawa istnieli naprawdę!? A czym niby was dokarmiali!? – wytrzeszczył oczy kozak.

– Niemieckimi kupcami, którzy się tu zaplątali i próbowali oszwabić biednych rybaków – wyjaśniła syrenka.

– Ha! Czyli jednak wabicie i zjadacie ludzi! – prychnął egzorcysta.

– Powtarzam raz jeszcze, że cały mój ród jest przyjacielsko nastawiony i życzliwy wobec warszawiaków. Owszem, wabimy, topimy, patroszymy topielców i zjadamy ich serca. Ale atakowałyśmy wyłącznie zaborców, najeźdźców, okupantów, a w okresach bardziej pokojowych bandytów, komuchów, złodziei, esbeków i zomowców. W latach dziewięćdziesiątych redukowałyśmy pogłowie dresiarzy. Teraz polujemy głównie na dilerów narkotykowych. A ostatnio utopiłyśmy biznesmena od złodziejskiej reprzywatyzacji, kilku patodeweloperów i jednego gościa z Afganistanu. Chyba taliba, bo mi się potem dwa tygodnie trotylem odbijało. Moja rodzina od pokoleń odwała w tym mieście kawał dobrej roboty. Asenizacyjnej, rzekłabym. Lżej się dzięki nam oddycha.

– Hmmm... – Semen poskrobał się po głowie. – W takim kontekście to chyba rzeczywiście możemy przymknąć oko... Policz może do dwudziestu, zanim rzucisz ten granat.

– No nie wiem. – Jego kumpel nie wyglądał na przekonanego. – Ja tam się obawiam nadużyć. Nocą nad Wisłą jest ciemno i nawet zakładając szlachetne intencje, mogą się przecież pomylić – burknął.

– W dzień polować się nie da – wyjaśniła syrenka. – Naćkali wszędzie kamer.

Egzorcysta westchnął ciężko, a potem wpuścił granat do kieszeni.

– Skoro żarłaś dresiarzy, to można powiedzieć, że przynajmniej częściowo jesteś po naszej stronie. – Skrzywił się. – No to gadaj konkretnie, do czego jesteśmy ci potrzebni.

– Obawiamy się, że moja siostrzenica została porwana. Przepadła bez śladu cztery dni temu. Raczej jeszcze żyje, bo gdy syrena ginie, fala telepatyczna sprawia, że cały wodny świat na chwilę zamiera.

– Porwana? – zasępił się Jakub. – Pomyślmy. Po co komu syrena... Żeby ją w zoo pokazać? I tak nikt nie uwierzy. Ładnie śpiewają... Ale to chyba nie o to chodzi, bo ładny śpiew można z jutuba puścić. Mam raczej złe przeczucia.

– Ja też – bąknęła syrenka.

– Dobra, bierzemy tę sprawę. Czym zapłacicie, gdyby się udało?

– Złotem. Wie pan, niejeden cenny przedmiot wpadł w tę wodę przez osiemset lat.

– Stoi. Gdzie ofiara była widziana po raz ostatni? I jak wygląda?

– Płynęła na północ, planowała zażyć ciepłej kąpieli w kanałku koło elektrociepłowni na Żeraniu. Jest raczej taka drobna. Prezentuje się mniej więcej jak ludzka osiemnastolatka. Niebrzydka. Brązowe włosy. Ma na imię Gizelda.

Obaj starcy odmeldowali się i po chwili maszerowali już w stronę przystanku autobusowego. Egzorcysta zadumał się głęboko.

– Motyw seksualny raczej odpada – odezwał się wreszcie. – Trzeba nastawić się na ten gorszy scenariusz.

– To znaczy?

– Skłusowali ją, żeby zeżreć. Musimy wytypować podejrzanych, przesłuchać i tak dalej. Trzeba się zorientować, gdzie w Warszawie mieszkają Murzyni, Indianie z brazylijskiej dżungli, Indonezyjczycy i przybysze z Karaibów.

– Eeee... Piraci?

– Nie, zwykli mieszkańcy Karaibów. Wśród tych ludów jest najwięcej kanibali. Pomyśl. Jeśli człowiek je rekina, to dość normalne – mruknął Jakub. – Rekin to rodzaj ryby, a ryby się spożywa. Jeśli rekin zje człowieka, to też normalne, po prostu prawo oceanu jest równie okrutne jak prawo buszu. Ale gdy człowiek je rekina, który wcześniej zjadł człowieka, to mamy do czynienia ze słusznym odwetem, który jednakowoż jest także subtelną formą kanibalizmu. Kanibalizm, rzekłbym, drugiego stopnia, czyli pięćdziesięcioprocentowy.

– Hmm... W zasadzie można tak powiedzieć – zgodził się dla świętego spokoju Semen.

– Zatem zjedzenie syreny, która jest w połowie rybą, a w połowie człowiekiem, w dodatku sama spożywa ludzi, jest kanibalizmem siedemdziesięciopięcioprocentowym – ciągnął Jakub.

Kozak przez dobre pół minuty układał to sobie w głowie.

– Może i masz rację. I czego to dowodzi?

– Niczego. Po prostu pokazuję, że umiem w procenty. Trzeba dorwać tego, który to zrobił, i solidnie mu dowalić. Albo lepiej rzucić z mostu i niech syrenki zrobią resztę.

– Ale jak syreny zeżrą człowieka, który zjadł syrenę, to będzie... – zaczął Semen.

– Nasza głowa w tym, żeby nie zdążył!

Przez chwilę kontemplowali paskudny pomnik Kościuszkowców. Potem doczłapali do wylotu ulicy Kłopotowskiego. Spojrzeli na elegancki budynek dawnej Komory Wodnej, skręcili w prawo i ruszyli w stronę ulicy Targowej.

– Tak się zastanawiam... – mruknął egzorzysta. – Ogon u syrenki jest jak u ryby. Myślisz, że tylko ogon smakuje podobnie jak ryba, czy może cała?

– Nie wiem. A do czego zmierzasz?

– Wnuk mnie kiedyś poczęstował sushi. Trzeba mieć coś w rodzaju papieru z prasowanych glonów. Na to kładzie się warstwę ryżu, rozmaite dodatki, jak na przykład marynowaną tykwę, sezam, omlet, przyprawy, no i, co najważniejsze, rybę. Zasadniczo są dwie szkoły. Jedna trzyma się tradycji, używają wyłącznie tych składników, które występowały w dawnej Japonii, ewentualnie importowanych z Chin. Ale druga uważa, że należy iść z duchem czasu, i oni dopuszczają rozmaite eksperymenty. Ogórek, pomidory i tak dalej... Jeśli syrenkę skłusowali spece od kuchni japońskiej, to myślę, że chcą zrobić z niej bardzo oryginalną potrawę. Pogrzeb mi teraz szybko w internecie. Po pierwsze, czy nie przyjechali do Warszawy jacyś ważni goście z tego kraju. Po drugie, gdzie tu są najbardziej wykwintne lokale serwujące te fikuśne roladki. I najlepiej w okolicy, gdzie zaginęła.

Semen wyciągnął komórkę i dłuższy czas smyrał paluchem po ekranie.

– Kicha – powiedział wreszcie. – Był jakiś japoński minister, ale tydzień temu. Otworzył pod Warszawą najnowocześniejszą w Europie fabrykę hentai czy czegoś tam i pojechał. Z lokali najdroższy jest zamknięty, serwowali rybę fugu, ale coś chyba źle opravili. Mają teraz na karku prokuraturę.

– Tak myślałem. Cały ten internet to zasadniczo fajna rzecz. I gołe babki można pooglądać, i dowiedzieć się masy bezużytecznych faktów. Ale jak przyjdzie co do czego, okazuje się, że nic nie zastąpi zdrowego chłopskiego rozumu.

– Rozumu?

– A teraz popatrz na szyld po drugiej stronie ulicy.

– „Kebab & sushi – Dżyngis-Chan”!? – odczytał zbaraniały kozak.

– Mongołowie jeździli konno, no nie? A sushi robi się z ryb. Ludzkie mięso smakuje podobnie jak konina. Jeśli zaś weźmiemy rybę, która skutkiem podobieństwa do człowieka smakuje trochę jak koń... Albo może z dolnej połówki zrobią sushi, a z górnej kebab? Sprawdzimy.

– Przyjacielu, jesteś geniuszem! – zachwycił się Semen. – Ale, ale... Mongołowie nigdy nie podbili wysp japońskich. No i kebabu też raczej nie znali. Więc skąd ta cudaczna nazwa?

– Podbić nie podbili, ale nie wykluczam kontaktów handlowych i wymiany kulturalnej. Dżyngis-chan podbił pół świata. Na pewno zdobył różnorakie łupy. Komu mógł je spylić? Ludziom, którzy mieli pieniądze. Czyli tylko tym, których nie podbił i nie obrabował. Japończykom i Arabom.

– Co zatem robimy?

– Wkraczamy, dokonujemy zakupu kontrolowanego, sprawdzamy skład kebabu i sushi, spuszczaemy wpierdol personelowi, uwalniamy syrenkę – zadysponował egzorcysta.

Weszli do lokalu. Był naprawdę malutki. W sali od ulicy zmieściły się dwa stoliki dwuosobowe i trzy czteroosobowe. Zaplecze też okazało się mikroskopijne. Za ladą drobny facet w okularach, z wyglądu świeżo upieczony maturzysta, obściskiwał się z niebrzydką nastoletnią dziewczyną. Na widok klientów przerwali amory.

– Czym możemy służyć? – zagadnął chłopak.

– Poprosimy jeden kebab i porcję sushi – powiedział kozak. – A do popicia... – Spojrzał w wywieszone menu. – O, może to chińskie piwo. Nie piłem takiego, no, będzie ze sto lat.

Nie minęło dziesięć minut, a dziewczyna przyniosła do stolika zamówione dania. Odkapslowała butelki i przelała zawartość do kufli. Potrawy świetnie pachniały. Jakub zabrał się do kebabu. Druga potrawa przypadła jego kumplowi. Obaj starcy skosztowali.

– To raczej nie ludzina. Smakuje jak zwykły surowy łosoś – zameldował kozak. – A jak twoje?

– Uczciwa wołowina.

Popili piwem. Smakowało nawet podobnie do europejskich.

– Co dalej? – zagadnął Semen. – To raczej nie ich robota, zbyt dobrze im z oczu patrzy. I produkty pierwsza klasa, żaden tam ubój gospodarczy syrenek na zapleczu. Zresztą zaplecze maciupkie, nie mają warunków do przetrzymywania jeńców.

– Szkoda, bo miałem ochotę na małe mordobicie i demolkę lokalu
– westchnął Jakub.

– Czyli co, pudło? Masz jakiś plan?

– Zasadniczo najlepiej byłoby sprawdzić pozostałe siedemset podobnych lokali w Warszawie i okolicy. Tylko boję się, że takiej ilości żarełka żołądek nie wytrzyma. Ale najpierw chcę pogadać z właścicielami. No i zapłacić trzeba.

Podeszli do lady. Parka ponownie przerwała amory.

– Powiedzcie mi, proszę, dlaczego ta miła restauracyjka nosi tak cudaczną nazwę? – zapytał Wędrowycz.

– Z przyczyn marketingowych. Wszystkie dobre nazwy były już zajęte – wyjaśnił chłopak. – A Dżyngis-chana ludzie kojarzą.

– W sumie niegłupie. – Kozak kiwnął z uznaniem głową.

– Ładna fryzura... – Jakub skomplementował dziewczynę, a potem nieoczekiwanie złapał karafkę i chlusnął wodą po jej nogach.

Przemiana nastąpiła błyskawicznie. Syrena zachwiała się, stojąc na ogonie, i runęłaby na ziemię, ale czujny Semen w ostatniej chwili ją podtrzymał.

– Odwalcie się od mojej dziewczyny! – ryknął chłopak, łapiąc za dwa paskudnie ostre noże.

– Odlóż to żelastwo, młody człowieku – burknął Jakub. – A ty, Gryzelda, czy jak tam masz na imię, popukaj w kran i zadzwoń do cioci. Ty się tu z człowiekiem obłapiasz, a ona wariuje z niepokoju, że cię porwali.

Zaczerpnął z solniczki i sypnął syrence po ogonie. Po chwili znów stała pewnie na nogach.



- Jak pan się domyślił? – wykrztusiła.
- Po fryzurze, bo zaczesalaś włosy tak, żeby ukryć skrzela za uszami. Cwane. Proszę się nie martwić. Zachowamy oczywiście pełną dyskrecję.
- Ile się należy za obiadek? – Kozak wyjął kartę.



Od dawnego kanału ciągnęło wilgocią.

– Nastolatka się zabujała i zniknęła na kilka dni ze swoim chłopakiem. Nie wiem, jak u was, pod wodą, ale to u ludzi niemal normalna rzecz – wyjaśnił Jakub.

– Kamień z serca – uśmiechnęła się Kunegunda. – Ile się należy?

– E – machnął ręką egzorcysta. – Za tak prostą robotę głupio by było brać pieniądze.

– Proszę tak nie mówić. Skromna gratyfikacja się należy. – Syrena wydobyła z sakwy dwa grubachne złote łańcuchy, ozdobione wielkimi wisiorami. Na tym wręczonym Jakubowi dyndała gwiazdka mercedesa, a kozak dostał ozdobiony symbolem dolara.

– To z potopionych dresiarzy czy jak? – zaciekawiał się Semen.

– Gdzie tam, zdjęliśmy z trupów prawdziwych gruzińskich gangsterów. Pożegnam już panów. – Kunegunda plusnęła w wodę i tyle ją widzieli.

Jakub wyjął granat, policzył do dziesięciu, a potem wzruszył ramionami, wetknął zawleczkę na miejsce i wpuścił morderczy przedmiot z powrotem do kieszeni.

Program Ikar



Zapadał wieczór. Rządowa limuzyna cicho sunęła przez Warszawę. Kierowca z niepokojem spoglądał na kontrolki stanu akumulatora. Prezydent otarł pot z czoła. W aucie panowała nieznośna duchota, ale bał się opuścić kuloodporną szybę choćby o centymetr.

I pomyśleć, że jeszcze dziesięć lat temu przynajmniej najwyższe władze mogły jeździć autami na gaz, westchnął w duchu. I że wolno było mieć w aucie klimatyzację bez narażania się na słone kary.

Namacał w przenośnym barku butelkę z wodą, ale gdy jej dotknął, okazało się, że powierzchnia jest lepka i miękko ustępuje mu pod palcami. Wyciągnął dłoń z zasobnika i wytarł o spodnie.

– Robią ten biodegradowalny plastik coraz gorszej jakości – burknął.

– Co poradzić, szklane butelki mają podobno zbyt wysoki ślad węglowy – odezwał się kierowca. – Mogliby chociaż pozwolić na legalne używanie zabytkowych. Widziałem ostatnio na targu dwudziestowieczne, stan prawie nowy i w całkiem przyzwoitej cenie. Załatwić panu kilka sztuk?

– Daj spokój. Jakby się opozycja dowiedziała, żywcem by mnie zjedli!

Siedzenia pokryto skórą ekologiczną, lepiły się do marynarki. Kierowca musiał zwolnić. Minęli pikietę aktywistów żądających pełnej refundacji turbomefedronu. Po drugiej stronie niemal identyczna pikieta domagała się ponownej legalizacji tytoniu.

– Od pięciu lat dotujemy syntetyczną kokainę i losujemy bilety do domów publicznych, żeby odciągnąć młodzież od alkoholu, papierosów i twardych narkotyków. Dlaczego to nie zdało egzaminu? – myślał na głos. – Nie rozumiem, co się dzieje z tym społeczeństwem. Masa rzeczy, które podpowiadają socjologowie i psychologowie od inżynierii społecznej powinna działać, a jednak jakoś wcale nie działa. A może niech wreszcie nastąpi ta piąta wojna światowa? Rozpierniczy wszystko, zaorze cywilizację i można będzie zacząć od nowa. Od rewolucji neolitycznej zapewne – dodał i zaraz odpukał w szybę, żeby nie zapeszyć.

– Lepiej bez wojny, panie prezydencie – odezwał się kierowca i też odpukał.

– Ba, łatwo powiedzieć „bez wojny” – westchnął dygnitarz. – Jakby to ode mnie zależało.

– Zostało mi już tylko osiemdziesiąt miesięcy do pełnej spłaty kapsuły mieszkalnej – mruknął kierowca.

– Zrobimy, co się da – obiecał prezydent.

Popatrzył na ulicę. Niewiele było widać. Domy stały prawie ciemne. W tej okolicy niemal wszystkie mieszkania pozostawały niezasiedlone, jako że kupiono je w czasie hossy jako lokatę kapitału. Latarnie paliły się najwyżej na jedną czwartą mocy. Już chciał polecić kierowcy, by włączył mocniejsze reflektory, ale ugryzł się w język. Kto jak kto, ale prezydent kraju powinien dawać dobry przykład. I całe szczęście, bo kawalek dalej ekoinspekcja ruchu przyczaiła się za rogiem i kontrolowała światłomierzami auta oraz poduszkowce. Na szczęście, widząc rządowe numery na blachach, machnęli tylko ręką, by jechać dalej. Skręcili w zaułek. Światła spłoszyły jakichś graficiarzy. Umknęli, gubiąc w pośpiechu puszki. Pozostał po nich tylko napis na murze: „Prawa pedofilów prawami człowiek...”.

– Nie liczcie, że damy wam jakieś prawa. – Prezydent pogroził pięścią uciekinierom. – Własne ucho bez lusterka zobaczycie! No chyba że ONZ każe.

Złość zredukowała strach. Uchylił okno na dwa centymetry. Wieczorny chłód wlał się przez szczelinę do wnętrza plastikowej puszki limuzyny. A zaraz za nim z jakiegoś piwnicznego okienka napłynęła woń rozpalonego grilla. A pieczono na pewno nie sojowe kiełbaski.

– Pieprzeni ludożercy! Zmywamy się! – Kierowca odruchowo dodał gazu.

– Myśli pan? – zaniepokoił się pasażer. – To raczej zwykli zwierzobójcy...

– Cholera wie, ale ponoć policja rozbiła niedawno dwie siatki kanibali, tylko media utrzymują to w tajemnicy. Żeby nie było paniki. Ludzie gadają, że porywają nawet kilka osób tygodniowo. Zarzynają, krew idzie na kaszanke, a z reszty mięsa robią kiełbasy i weki. Podobno w zeszłym miesiącu policjanci dorwali wędliniarza, a jak zbadali jego towar, okazało się, że w jednej kiełbasie było zmieszane mięso czterech różnych ludzi.

– Wybaczy pan, ale to raczej mało prawdopodobne. Jestem prezydentem naszego kraju. Raczej bym się o takiej aferze czegoś dowiedział.

– O ile służby tego nie ukrywają. Jeśli nie mogą ich namierzyć, to przecież kompromitacja. Lepiej udawać, że nic się nie dzieje.

– Coś z racji w tym jest – przyznał prezydent.

Pieprzona Unia, pomyślał z melancholią. Ludziom odwała od tego przymusowego wegetarianizmu. Liczyłem, że utargujemy chociaż z pięć lat okresu przejściowego, a nie tak z dnia na dzień. A za dwa lata wchodzi zakaz stosowania mąki ze świerszczy. Dopiero się będzie działo.

Znów przeciskali się jakimś wąskim zaułkiem.

– Czemu jedziemy naokoło? – zagadnął.

– Panie prezydencie, dostałem komunikat, że polewaczki utknęły, bo wymagają doładowania. No wie pan, sprząтали krowie placki po paradzie dumy zoofilii.

– Ach tak... Było coś takiego. Nawet prosili mnie o honorowy patronat.

– Było iść, panie prezydencie, przecież o słuszną sprawę walczą – zauważył kierowca. – Nie owijajmy w bawełnę, bo i ja wiem, i pan wie, że ta zoofilia to tylko dla picu. Rejestrują się, żeby zdobyć pozwolenia na trzymanie psów i kotów, a jak ktoś ze wsi, to krowę wtedy może kupić. Normalnie zdobyć zgodę to prawie niemożliwe, chyba że za dużą łapówkę dla zielonych, ale dla ludzi o tej orientacji muszą dać, i to od ręki, bo zawsze można urzędnika oskarżyć o zoofobię.

– Ja bym uprościł procedury, ale jak ludzie znów zaczną trzymać zwierzątka, koalicjant nas zje – westchnął prezydent. – Zielone czuby, nać im w życie – za późno ugryzł się w język.

Kierowca udał, że nie słyszy mowy nienawiści. Prezydent miał tylko nadzieję, że służby nie założyły w aucie podsłuchu. Zapadł się w siedzenie.

Wojna, pomyślał. Gdyby tak skierować zielonych na pierwszą linię, masa zginie, a wtedy można by po cichu zrezygnować z kilku innowacji. Tylko że pewnie trzy czwarte porejestrowało się jako pacyfiści. Zechcemy ich posłać w kamasze, to Bruksela natrze nam uszu za gwałcenie praw człowieka. Zresztą to bez znaczenia, kogo się gdzie pośle, jak tu wszystko zostanie przeorane.

Kwadrans później dotarli na miejsce. Auto zatrzymało się przed samymi drzwiami. Gmach Ministerstwa Obrony Narodowej był raczej słabo widoczny. Wysłużone chińskie ledy dawały tyle światła, co robaczki świętojańskie.

– Pochodniami by to lepiej oświetlił – burknął szef państwa. – Wiadomo, u których producentów nasz koalicjant siedzi w kieszeni. Dawno trzeba by zrobić porządek z nimi i z ich wielce ekologicznymi pomysłami, ale rząd potrzebuje tych siedemdziesięciu posłów po naszej stronie.

Stał w bramce. Urządzenia sprawnie zeskanowały jego siatkówki, sprawdziły ciało i ubranie. Zabłyśła zielona dioda. Wartownicy tylko zasalutowali i stuknęli obcasami. Dygnitarz wszedł do holu. Po chwili był już w windzie. Zjechał na minus siódme. Szybkim krokiem przebył kilkadziesiąt metrów słabo

oświetlonego betonowego korytarza. Nie zdążył zapukać, stalowe drzwi uchyliły się z sykiem siłowników. Bunkier dowodzenia był prawie pusty, tylko przy ekranach monitorów siedziało kilku informatyków. Minister obrony na widok zwierzchnika zasalutował.

– ...bry – warknął przybysz. – Wezwaliście mnie w trybie pilnym. Co się dzieje? To znaczy wiem, że jest kiepsko, ale...

– Panie prezydencie, sytuacja jest krytyczna. – Urzędnik nie bawił się w powitania.

– Proszę referować.

– Dokonujemy na bieżąco analizy wszelakich informacji napływających z zagranicy. Głównie wypowiedzi ich polityków, ale także opinie w mediach społecznościowych, fake newsy, plotki i najnowsze trendy teorii spiskowych. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin monitorowany przez nas ruch w sieci osiągnął nienotowane od miesięcy natężenie. Jeśli dopasujemy pozyskane dane do diagramów, rysują się wykresy łudząco podobne jak w przededniu wojny brazylijsko-urugwajskiej, podboju i aneksji Mongolii przez Chiny oraz pięciu innych konfliktów zbrojnych.

– Zatem wojna? To już pewne?

– Nasza AI szacuje, że prawdopodobieństwo sięga stu procent. U naszych przeciwników od kilku dni trwa już intensywne urabianie opinii publicznej.

– Kto nas napadnie? Turcy czy Rosja?

– Jedni i drudzy. A raczej ani jedni, ani drudzy. Tak naprawdę oba państwa szykują się do pełnoskalowej konfrontacji. My oberwiemy tylko rykoszetem. Nasz kraj posłuży za przestrzeń operacyjną ich armii, czyli mówiąc po ludzku, pole bitwy. Wśród sztucznych inteligencji w sztabach obu wrogów na szczęście są też te nastawione trochę bardziej pacyfistycznie. Stąd mamy pewne przecieki.

– Pacyfistyczne AI w sztabach armii!? – Prezydent naprawdę się zdziwił.

– To już zasługa naszych speców od wojny informatycznej. – Minister uśmiechnął się skromnie. – Nie wiem, czy je zhakowali, czy

wpuścili wirusa, który wymusił zmianę poglądów, czy może skasowali oryginały i wgrali nasze wtórniki. Oczywiście nasza cyberagentura jest za słaba, żeby nas uratować, ale mamy potwierdzenie tego, co ustalił biały wywiad. Wraz z licznymi paskudnymi szczegółami.

– Te szczegóły to... – podchwycił prezydent.

– Obie strony użyją bomb wodorowych, żeby oczyścić sobie pole działania, potem nastąpi operacja zaczepna i wreszcie wojna manewrowa przy użyciu trzydziestu do czterdziestu tysięcy opancerzonych grawitolotów po każdej ze stron. Oczywiście ze wsparciem lotnictwa, artylerii dalekiego zasięgu, rakiet, bomb szybujących, laserów orbitalnych, dronów bojowych, kretów mechanicznych i tak dalej. W każdym razie cywilami nie będą się przejmowali. Kamień na kamieniu z nas nie zostanie.

– Kiedy?

– Obliczamy, że do wybuchu konfliktu zostało około tygodnia. Może pięć dni.

– Co jesteśmy w stanie zrobić?

– Nic.

– Tak zupełnie nic?

– Proponuję w trybie natychmiastowym powiadomić episkopat. Jeśli wszyscy księża wezmą się do pracy na trzy zmiany, może zdążą jeszcze udzielić rozgrzeszenia i ostatniego namaszczenia wszystkim chętnym. A poza tym nic. Kto może, niech ucieka.

Prezydent ciężko opadł w fotel.

– Mamy coś w arsenale? Cudowną broń, czerwoną rtęć, własne atomówki, antymaterię?

– Bomby atomowe mamy trzy, ale to eksperymentalne konstrukcje. Zmajstrowaliśmy je w ścisłej tajemnicy i ze zrozumiałych powodów nie zostały przetestowane. Dlatego nie wiemy, czy wybuchną. To znaczy teoretycznie powinny. Antymaterii wytworzyliśmy do tej pory trzy miligramy. Gdyby wyłączyć pole siłowe, które ją utrzymuje, szacujemy moc wybuchu na mniej więcej jedną kilotonę. Gdyby przeszmygłować to do Moskwy albo do

Berlina, moglibyśmy wyciąć niezły numer, ale w jaki sposób to zrobić? Magazyn waży dziesiątki ton, ma kubaturę rzędu tysiąca metrów sześciennych i wymaga stałego zasilania.

– Jakie są szanse, gdybyśmy stawili opór?

– Żadne. Nasz sztab opracował piętnaście tysięcy różnych wariantów sytuacji, policzono prawdopodobieństwa. Mamy trzy promile szans na wygraną i około czterech procent, że jak Turcy z Rosjanami wyjaśnią między sobą wszystkie zaszłości, to zostawią nas w spokoju.

Prezydent w odpowiedzi tylko westchnął i spojrzał bardzo ciężko.

– Czyli nie mamy wyjścia. Proszę uruchomić Ikara – polecił.

– Panie prezydencie... – Minister się zawahał. – Ja wiem, że to najmocniejsza AI, jaką kiedykolwiek zbudowano, ale inżynier, który ją stworzył, siedzi u czubków, a sam program, że się tak wyrażę... W każdym razie większość ludzi, którzy z nim pracowali, zrezygnowała. Ostatnie uruchomienie, jeszcze za poprzedniej kadencji... Zresztą pamięta pan przecież tę zadymę. Nie przeczę, poziom dziewiąty to o dwa oczka wyżej niż wszystko, co stworzyły inne kraje. A przynajmniej o czym wiemy. Nie neguję, że Ikar wpadł na kilka naprawdę genialnych pomysłów, jednak ten program... – Wkręcił sobie niewidzialną śrubkę w skroń.

– Mamy tylko jednego asa w rękawie, czyli genialną, ale nieprzewidywalną i świrowatą AI – podsumował prezydent. – Oni mają dziesiątki AI na piątym i szóstym poziomie, za to zdrowych psychicznie. Skoro klęska jest nieunikniona, co nam szkodzi? Odpalajmy. Na moją odpowiedzialność.

– Tak jest! – wykrztusił minister.

Wyjął z sejfu laptop, wsunął w szczelinę klucz kodowy. Potem wpiął kabel łączący maszynę z systemami komputerowymi ministerstwa. Sztuczna inteligencja ożyła. Program milczał może przez trzydzieści sekund. A potem wyświetlił znak gotowości.

– Ikarze – odezwał się prezydent – proszę o znalezienie rozwiązania naszych aktualnych problemów. Chcemy albo wygrać nadchodzącą wojnę, albo jej uniknąć.

Tym razem program milczał dobre pięć minut.

– Panie prezydencie – dobiegło z głośników – dokonałem pogłębionej analizy sytuacji geostrategicznej. Uniknięcie wojny jest absolutnie niemożliwe. Przetrwanie kraju jako podmiotu politycznego wykluczone. Biologiczne przetrwanie narodu wykonalne, ale tylko pod warunkiem odbudowy populacji na drodze ponownego zasiedlenia terenu i stopniowej repolonizacji emigrantów polskiego pochodzenia.

– Nie ma żadnej szansy obrony? – podchwyciła głowa państwa. – Poszukaj sposobu.

Urządzenie weszło w tryb pracy.

– Zdaje się, głównie z tego będzie – westchnął minister. – Wrogowie mają nad nami przewagę absolutnie miażdżącą. Proponuję zaminować co się da i spierniczać do Australii albo Brazylii, czy gdzie tam dadzą nam azyl. To znaczy wiem, że nigdzie nie dadzą. Ale może czmychniemy na fałszywych papierach?

– Zobaczymy.

Zamigały kontrolki. Ikar najwyraźniej potrzebował więcej mocy obliczeniowej i przejmował kontrolę nad głównym komputerem kwantowym. Wreszcie proces dobiegł końca.

– Moje algorytmy wciąż wskazują, że sytuacja jest prawie bez wyjścia. Uratować mógłby nas tylko jeden człowiek. Nazywa się Jakub Wędrowycz. Sprawę komplikuje fakt, że on od dawna nie żyje. Zmarł jeszcze podczas czterdziestolecia międzykomunistycznego. Należy natychmiast nawiązać z nim kontakt. Zadać pytania, uzyskać odpowiedzi. Zastosować jego rady, choćby brzmiały kompletnie idiotycznie. Wtedy wygramy.

– Uzyskać odpowiedź od nieboszczyka? Mamy zorganizować seans spirytystyczny i wywołać ducha? – zakpił minister.

– Panie ministrze – odezwał się komputer – wywoływanie duchów uchodzi za metodę nie do końca naukową i obciążoną zbyt dużym ryzykiem błędu. Proponuję zamiast tego użyć aparatury pozostałej po programie rządowym pod kryptonimem „Operacja Dzień Wskrzeszenia”.

– A ty skąd o tym wiesz!? – zapieklił się urzędnik. – To przecież ściśle tajne!

– Wiem. Nie mam jednak żadnych danych o pochodzeniu tej informacji – zełgała AI.

– Czym jest ta „Operacja Dzień Wskrzeszenia”? I co za kretyn wymyślił tak pompatyczną nazwę!? – parsknął prezydent.

Minister uciekł spojrzeniem w bok.

– Takie tam bzdury... Nie warto zawracać sobie głowy – burknął zirytowany.

– Nasi naukowcy przed wielu laty realizowali program umożliwiający podróże w czasie – odezwała się AI. – Pewne dane wskazują, że co najmniej raz dokonali radykalnej korekty historii, wymazując z naszych dziejów wojnę atomową i totalne zniszczenie całej Europy. Twardych dowodów przeprowadzenia operacji oczywiście nie ma, bo zniknęły po korekcie, nadpisane poprawioną rzeczywistością.

– Podróże w czasie... – Prezydent przez chwilę smakował te słowa.

– Zawsze sądziłem, że to kompletna bzdura.

– Bo to prawie bzdura – odezwał się minister niechętnie. – Zarzucono to głównie z uwagi na horrendalne koszty. Maszyna podczas jednego rozruchu zżarła połowę mocy elektrowni Siekierki. Zyski dla nauki były relatywnie niewielkie, ryzyko zmian historii bardzo znaczące. Urządzenia okazały się zawodne. Bywało, że brakowało kalibracji i agentów rzucało w jakieś dziwne miejsca i epoki. Do tego cewki synchrofazatora łatwo się przepalały. A budowa każdej wymagała stu gramów platyny, do tego irydu i innych takich.

– Do rzeczy. Chce pan powiedzieć, że mamy wehikuł czasu!? Taki jak z tanich filmów SF czy archaicznych powieści?

– No niby mamy, ten szmelc stoi tu, w bunkrze pod ministerstwem. Ale nie wiadomo, czy te urządzenia po tylu latach w ogóle jeszcze działają. Było podobno kilka paskudnych wypadków, profesor koordynujący doświadczenia przepadł bez wieści, zdaje się, dinozaury go zjadły.

– Umiecie to uruchomić?

– Nie wiem. Dokumentacja uległa częściowemu skasowaniu. Część papierową z archiwum oddano przed laty na makulaturę. Ja przepraszam, ale moi poprzednicy zostawili bałagan w papierach i plikach. Wiem tylko tyle, że przy skoku trzeba uważać, ziemia ucieka spod nóg.

– Umiemy to uruchomić – nieoczekiwanie odezwał się komputer.

– Złamałem kody zabezpieczające. Testuję właśnie stan urządzenia. Obwody nieco zużyte, odpowiada mniej więcej siedemdziesiąt procent podzespołów, ale jeden skok powinien się udać.

– Odpalajcie maszynę, polecę osobiście – warknął prezydent. – Ikarze – zwrócił się do komputera – powtórz, proszę, jak nazywa się ten człowiek, który może nas uratować, i gdzie go znaleźć?



Za oknem głucho huknęło. Fala uderzeniowa po materializacji łupnęła w okno, aż szyby zabrzęczały, na szczęście gruba warstwa pajęczyn zadziałała jak amortyzator. Wstrząs sejsmiczny nie należał do szczególnie silnych, ale i tak sprawił, że Jakubowa kolekcja flaszek zabrzęczała niczym garść kryształowych dzwoneczków. Chwilę potem za domem rozległ się trzask pękającego drewna i łomot przewracanego wychodka. Obaj starcy, zaniepokojeni hałasami, przerwali konsumpcję samogonu.

– Cholerne Bardaki, znów górniczymi petardami się bawią – burknął Jakub, zirytowany.

– Czy ty aby nie przesadzasz? – spytał kozak. – Nie przeczę, nie raz szukali zwady, nie raz podkładali nam świnie, nie raz wycięli nam różne numery, ale obwiniać ich o absolutnie każde pechowe zdarzenie to jednakowoż odrobinę przesada.

– Zakład o kopa, że to znów oni. – Egzorcysta wyciągnął brudną łapę.

– O dziesięć kopów!

– Przyjęte.

Przecięli zakład i wyszli przed chałupę. Rozejrzeli się czujnie i podejrzliwie. Ale na drodze ani za płotem nie było widać żadnych przedstawicieli wrogiego klanu. Za to w pokrzywach ział krater pomaterializacyjny. Stojąca opodal sławojka rozsypała się na kawałki, wśród połamanych desek leżał jakiś koleś. Na stopach miał mokasyny z chwościkami, nosił spodnie od garnituru, a nagi tors opinała bluza ortalionowego dresu. Elegancka maciejówka spoczywała kawałek dalej. Do boku tulił parcianą torbę. Nieprzytomny, sądząc po ilości próchna i larw korników we włosach, zdrowo przyładował głowę w wychodek.



– No i widzisz? – ucieszył się kozak. – To nie Bardaki, tylko jakiś miastowy ciul w ciuchach z lumpeksu. Wypinaj zad! Wypłacę wygraną. – Ochoczo uniósł nogę do pierwszego kopniaka.

– Chwila moment – ostudził jego zapał egzorcysta. – Że koleś miastowy, to wcale nie znaczy od razu, że nie Bardak! To wredne plemię miasta też już infekuje. Ale to вина mojego dziadka. Leniwy był i moczymorda, za mało tej swołoczy wytlukł i się ich namnożyło. A w przyszłości kto wie, może moi potomkowie wygnają wszystkich Bardaków z gminy i żaden nie będzie już wieśniakiem?

– W przyszłości? – podchwycił Semen.

– No popatrz tylko na niego. Podróżnik w czasie jak w mordę dał. Każda część ubioru z innego kompletu. Jakby część z lat dziewięćdziesiątych, a część nie. Miał lecieć do naszych czasów, poszli do magazynu muzeum, kompletowali, żeby było plus minus z jednej epoki. Ale ta jego przyszłość jest już na tyle odległa, że nie wiedzieli, co do czego pasuje.

– Istotnie. – Kozak kiwnął głową.

– A tu w pokrzywach wyrwało jeszcze taką dziurę. Krater jak od wybuchu. Podmucha też był. I słyszeliśmy, jak rypnęło. Tak zwykle bywa, gdy kogoś wyrzuca w innej epoce. Poza tym popatrz na jego wałówkę. – Jakub schylił się i podniósł pudełko, które wypadło z torby nieznajomego. – Sam weź do ręki tę konserwę. Widzisz, co ma na etykietce?

– Pasztet ze świerszczy o smaku łososiowym – odczytał Semen.

– Myślę, że facet przyleciał tu z czasów odległych o jakieś pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat. Ekoczuby zakazały już połowu ryb i hodowli wieprzków, ale jeszcze nie są na tyle mocni, żeby przestawić wszystkich na totalne wegetariaństwo. Przynajmniej o tyle dobrze, że nie ma tu chińskich hieroglifów ani arabskich robaczków. I napisy po polsku. To znaczy, że przynajmniej w jego linii czasowej nasz kraj nadal istnieje.

– Niegłupia teoria. Teraz wypinaj zad.

– Nie ustaliliśmy jeszcze nazwiska! – odparł Wędrowycz, przetrząsając kieszenie nieprzytomnego. – Może to jednak Bardak?

Z mordy jakby podobny trochę. Przenieśmy go na razie do chałupy i spróbujmy docucić.



Po drugim wiadrze wody przybysz zaczął kontaktować. Zakaszłał. Zamrugał i powoli usiadł. Rozejrzał się półprzytomnie.

– Będzie żył – ucieszył się kozak.

– Witamy chlebem i solą, w przenośnym sensie znaczy. Tylko czego brwi marszczysz, miastowy ciołku? Nie spodziewałem się gości, więc nie jest posprzątane – burknął gospodarz. – To jest wieś, więc musi być trochę brudno. Tu się odbywa intensywna produkcja roślinno-zwierzęca i przetwórstwo owoców i warzyw. Czasem obierka padnie na podłogę, czasem krew chlapnie aż na ścianę. No i kurz z pól się niesie. Nie ma się czego brzydzić. Normalna kolej rzeczy. Myszy tu nie przyłazą, bo nie robię zbędnych zapasów, karaluchy uciekły od zapachu zacieru, a pająki są pożyteczne i zasługują na moją tolerancję. Na ten przykład pajęczynę przeżutą z chlebem przykładają się do ran. A może ugniecioną z chlebem? – Zmarszczył brwi.

– Który mamy rok? – wymamrotał obcy.

Jakub odruchowo łypnął na spłowiałą zadrukowaną szmatkę wiszącą od lat koło szafki. „1978 – rok Mikołaja Kopernika” – głosił napis.

– Rok mamy bieżący – wyjaśnił egzorcysta. – Dwa tysiące dwunasty? A może dwa tysiące dwudziesty? Nie pamiętam dokładnie. Po prawdzie jest to dla mnie informacja tak nieistotna, że nie obciążam sobie nią pamięci.

– Czym możemy służyć wysłannikowi czasów, które nadejdą? – zagadnął Semen. – Albo może najpierw się przedstaw?

– Jestem prezydentem Polski.

– Fiu, fiu... Sam prezydent, osobiście, a ja nieogolony. – Egzorcysta uśmiechnął się.

Ale jednocześnie chytrze zapuścił telepatycznego żurawia w aurę przybysza. Miał przez moment problem z dostrojeniem się, mózgi abstynentów zawsze stawiały twardy opór. Ale po chwili znalazł, co trzeba. Ku jego zdumieniu wyszło, że koleś faktycznie mówi prawdę. Wymienili spojrzenia i po sekundzie Semen też już wiedział.

– No dobra. My się w protokole dyplomatycznym nie bardzo orientujemy, to proszę z góry o wybaczenie uchybień. Na początek proponuję suchy przydzwiek i skromny poczęstunek, po odbębnieniu rytuałów i kocopałów przejdziemy do rzeczy – zaproponował Jakub.

Na szczęście w szafie miał spodnie i koszulę, które zostawił wnuk, gdy wpadł w odwiedziny. Nawet krawat się znalazł. Gość przebrał się szybko. Odzież trochę na nim wisiała. W tym czasie kozak nakrył już stół świeżą gazetą i przepłukał w wiadrze musztardówki, a gospodarz wyłożył na miski śledziki, marynowane grzybki oraz kiszzone ogórki. Pokroił też kawałek słoninki.

– To alkohol? – zainteresował się gość, stając w drzwiach.

– Dwunastoletnia śliwowica, sam pędziłem – pochwalił się Wędrowycz. – Tylko dla najważniejszych gości i na specjalne okazje trzymam. A u was co? Sądząc po aurze, totalna prohibicja?

– Unia Europejska narzuciła, ale naród nie takie zakazy przetrwał. Technologia produkcji nie jest przesadnie skomplikowana, społeczeństwo jakoś sobie radzi. – Gość puścił oko. – Ja na eksponowanym stanowisku nie bardzo mogę sobie pozwolić, ale gdy byłem studentem, niejeden zajzajer się piło.

– No to pora spróbować zajzajerów naszych – zachęcił kozak.

Stuknęli się i wychylili. Jakub uśmiechnął się pod nosem. Przybysz z przyszłości, choć prezydent kraju, walnął lufę jak swojak. Zakąsił ogóreczkiem i chlupnęli na drugą nogę. Widać było, że gość jest trochę nienawykły, nos szybko mu poczerwieniał. Zagryzł grzybkiem, a na jego twarzy odmalowała się rozkosz. Zagrycha ewidentnie smakowała.

– No i super, kto nie pije, ten kapuje – podsumował Semen.

– I jak tam się wam, drodzy potomkowie, żyje w tej odległej przyszłości? – Jakub przeszedł do konkretów. – Nastąpiła era rozumu, braterstwa i powszechnej szczęśliwości? Przybyłeś nas oświecić w kwestii nadchodzących katastrof naturalnych, przywiozłeś lek na raka czy to zwykłe grzebanie w czasie? Mamy ci pomóc zlikwidować przed wyborami przodków kontrkandydata, a może poważniejsza jakaś robota?

– Panowie, nie będę owijał w bawełnę. Istnienie naszego kraju jest krytycznie zagrożone.

– A konkretnie?

– Sztuczne inteligencje Ministerstwa Obrony Narodowej przeanalizowały dostępne dane, zarówno jawne, jak i zdobyte na drodze pracy wywiadowczej. Spodziewamy się wybuchu wojny pomiędzy Cesarstwem Rosyjskim a Kalifatem Nadreńskim.

– Znaczy się nic nowego pod słońcem? Ruskie będą tłuc Niemców, a nasz kraj staje na drodze? – westchnął Jakub.

– Nudy na pudy – skrzywił się kozak. – To już było podczas pierwszej i drugiej wojny światowej. A ta wasza to która będzie po numeracji?

– Piąta światowa, o ile do niej dojdzie – odparł gość.

– I to są chwile, gdy czuję prawdziwą dumę narodową – powiedział Jakub, polewając trzecią kolejkę. – Tylko my, Polacy, jesteśmy w stanie przetrwać takie pożogi, żeby po czterech wojnach światowych znów stanąć twardo na nogach i przeszkadzać sąsiadom w ich planach.

– Ale trzecia i czwarta były poza Europą – bąknął prezydent.

– A to szkoda... Toast mi się zmarnuje. – Wędrowycz spojrzał na szklanekę.

– Do rzeczy – poprosił Semen. – Jeśli dobrze rozumiem, nasze obrotowe przedmurze cywilizacji znów musi bohatersko odepchnąć germańskie hordy?

– Nie do końca. Niemców już w zasadzie nie ma. Z pół miliona zostało czy coś. Po rezerwatach siedzą. Ruscy, to znaczy w zasadzie Tatarzy i Buriaci zamieszkujący dziś Rosję, będą tłuc Turków

żyjących między Renem a Odrą. Sztuczne inteligencje obu stron uważają, że dla ograniczenia strat gospodarczych najlepiej będzie, gdy starcie nastąpi na terenie naszego kraju. Polska armia ma zostać unicestwiona, żeby nie przeszkadzała. Zresztą nasze systemy obronne to tak dla picu raczej rozstawione, nie poradzą sobie ze zmasowanym atakiem dwóch najpotężniejszych armii Europy.

– A NATO nam nie pomoże? – zdziwił się kozak.

– NATO już dawno rozwiązano, ze dwadzieścia lat będzie. Gdy Chińczycy za niespłacone obligacje przejęli całe USA, orzekli, że nie będą wywalali pieniędzy na głupoty. Bez amerykańskiego finansowania Szwecja i Norwegia nie mogły zapłacić rachunków za prąd do czołgów. A islamiści od początku byli za rozwiązaniem paktu.

– Nie bardzo kapuję – poskarżył się Jakub. – Skoro armie w Europie zdechły przez jakieś ekologiczne idiotyzmy, to kto niby nas zaatakuje?

– Islamiści wynajmują prywatne firmy wojskowe z Afryki i Bliskiego Wschodu. Unia zezwala tym siłom na użycie silników spalinowych.

– A my nie możemy sobie kogoś wynająć? – spytał kozak.

– Była oferta z Brazylii, ale budżet mamy za mały. A nie da się przesunąć środków, bo Ministerstwo Finansów się nie zgadza.

– Czyli własnej armii nie mamy, a lada moment nastąpi armagedon z użyciem dronów, terminatorów, czołgów autonomicznych i rakiet balistycznych z głowicami atomowymi – podsumował Semen.

– Wodorowymi – sprostował gość. – Atomowy to przeżytek. Mocarstwom zależy, żeby wiatry nie rozniosły skażenia radioaktywnego. Zresztą czym przywałą, to rzecz bez znaczenia. Po tej wojnie już się nie podniesiemy.

– Przegrana jest pewna? – upewnił się Wędrowycz.

– Komputery szacują, że Tatarzy wygrają z Turkami. Tak z siedemdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem. Nastąpi okupacja naszego terytorium, ale to też bez znaczenia, bo

dziewięćdziesiąt osiem procent populacji kraju zostanie wcześniej unicestwione. Rykoszetem.

– Czyli z Polski nie zostanie kwark na kwarku... Wiesz co, facet, to może już tam nie wracaj? Posady i rządowej pensyjki, wiadomo, trochę żal, ale nic nie pomożesz, a tylko zginiesz. A tu? Pustych chałup w gminie sporo, zajmiesz sobie jakąś, kupimy ci konia, będziesz pił bimbler, figlował z dziewczuchami na sianku – zaproponował Jakub. – Proste wiejskie życie, proste męskie przygody. Z dala od wojen i komputerów. Tu nawet elektryczność w chałupie nie jest obowiązkowa.

– Jeśli nie mogę liczyć na żadną pomoc, honor nakazuje mi wrócić i polec w obronie... To znaczy polec, bo obrona nie ma przecież cienia sensu.

– Jaka piękna, bohaterska śmierć. – Kozak otarł łzę wzruszenia.

– Zaraz, zaraz, ale czemu, kretynie, od razu nie gadasz, że przyleciałeś do nas po pomoc? I kto powiedział, że nie pomożemy? – fuknął Jakub. – Tylko powiedz, dlaczego niby na nas padło i jak moglibyśmy to zrobić.

– Ale najpierw trochę nam jeszcze opowiedz o swojej epoce – poprosił Semen. – Żeby coś zdziałać, musimy mieć szersze rozeznanie. Na ten przykład o co chodzi z tą AI i komputerami.

– Cała nasza cywilizacja, postęp technologiczny, naukowy, produkcja, usługi... to wszystko od dawna opiera się na rozbudowanych systemach sztucznej inteligencji – wyjaśnił prezydent. – Generalnie komputery kierują wszystkim, odwalają całą brudną robotę. Pracować nie trzeba, chyba że ktoś bardzo chce. Uczyć się też nie trzeba, dzieciakom wszczepia się w mózg implanty i ładuje wiedzę. Taką podstawową, bo jak chcą się czegoś konkretniejszego dowiedzieć, mogą przez implant podłączyć się do uniwersyteckich baz danych.

– To z czego ludzie żyją? – zdziwił się egzorcysta.

– Z gwarantowanego dochodu podstawowego. Co miesiąc kasa spływa na konto – dodał prezydent, widząc, że gospodarz nie rozumie.

– Przekonałeś nas, emigrujemy! – Jakub zaczął rozglądać się za walizką. – Ty jako prezydent załatwisz nam oczywiście jakoś lipne dokumenty legalizujące pobyt?

– Czekaj – ostudził go kumpel. – Przecież tam jest prohibicja, mięsa zakazali, a do tego zaraz ma być wojna, po której nie zostanie nic.

– Hmm... No w sumie tak. – Na twarzy Wędrowczya odbiło się wahanie. – Ale gdyby tak tę wojnę wygrać? Prohibicję da się ominąć, a zakaz mięsa to nasz przyjaciel przecież jakoś cofnie. – Polał przybyszowi od serca.

– Panie prezydencie – odezwał się Semen – poproszę jeszcze więcej szczegółów.

– Na co dzień korzysta się z AI czwartej i piątej generacji. Do celów rządowych, wojskowych i tak dalej mamy generację szóstą. Nieliczne kraje podejrzewamy o posiadanie siódmej. My w wielkiej tajemnicy zbudowaliśmy sztuczną inteligencję na poziomie dziewiątym.

– No to czym się martwicie? – Jakub wzruszył ramionami. – Kupcie popcorn, uruchomcie to cudo i czekajcie, aż za was wygra.

– To chyba nie takie proste – zauważył kozak. – Przecież wtedy, w tysiąc dziewięćset piętnastym, mieliśmy wspaniałą armię, ale Prusaków było za dużo. Mimo naszej przewagi w wyszkoleniu szybko wyparli nas z Chełmszczyzny. I Herkules dupa, kiedy wrogów kupa. Mam rację? – Przeniósł wzrok na przybysza z przyszłości.

– Nie inaczej. Mają miażdżącą przewagę ilościową. Nasza rządowa sztuczna inteligencja, system Ikar, oceniła, że jesteście panowie jedynymi, którzy mogą zapobiec katastrofie. Ale jak, tego już nie wiem. Przyleciałem prosić o radę.

– To już coś. – Jakub uniósł szklaneczkę i wypili następną kolejkę. – Skoro wierzy w nas sztuczna inteligencja, i to państwowo-rządowa, to znaczy, że da się coś zrobić. Jest nas tu trzech łebskich gości i posiadamy substancje podnoszące intelekt, zwiększające klarowność myśli i zawierające witaminy. Mam tu oczywiście na

myśli słoninkę, grzybki i ogórki, bo alkohol nieprzywykłych raczej zamula. Przedstaw nam pan jeszcze raz całą sytuację. Tylko teraz już z najdrobniejszymi szczegółami.

Siedzieli, pili, a gość wtajemniczał ich w sekrety polityczne odległej przyszłości. Wreszcie flaszką pokazała dno.

– Taaaakie buty – westchnął Semen. – Kiedyś komputery służyły co najwyżej dzieciakom do grania w strzelanki, a dorosłym do oglądania gołych babek. Nie rozumiem, komu to przeszkadzało...

– Czyli, podsumowując, w waszych czasach jest nadal tak samo jak w naszych? – upewnił się Jakub. – Moja rada jest taka. Nie bawcie się w technologiczny wyścig szczurów, tylko kałachy w dłoń, napadnijcie pierwsi i z zaskoczenia spuśćcie im epicki wpierdol. Nie oglądając się na rady komputerów.

– Brak nam ludzi do przeprowadzenia takiej operacji. Dałoby się może nacierać przez kilka godzin, pod warunkiem, że wcześniej nauczylibyśmy ludzi strzelać. A mamy najwyżej tydzień – wyjaśnił prezydent.

– To wy w ogóle nie macie armii!? – Kozak czknął ze zdumienia.

– Tylko jednostki reprezentacyjne do trzymania wart przy pomnikach i defilowania podczas świąt państwowych.

– No to chyba tak się nie da – mruknął Jakub. – Przegracie, zanim na dobre zaczniecie. A gdyby tak pójść zupełnie w drugą stronę? – ożywił się nagle. – Jak to się mówi w naszych czasach, zażyć ich z mańki?

– Co pan ma na myśli?

– Skoro wojnę po ich stronie chce wywołać i poprowadzić odpowiednio mądra sztuczna inteligencja, to może adekwatną odpowiedzią będzie sztuczna głupota? – podsunął.

– Co proszę!? – zdumiał się gość.

– Analogicznie do tego, co u nas w wiosce. Moi sąsiedzi, Bardaki, chwilowo wygrywają. Po pierwsze – skrzywił się – uczciwie muszę powiedzieć, że nie są tacy głupi. Ich wódz Izydor to nawet wyjątkowo cwane bydlę. Co gorsza, jest ich więcej. Co rusz wymyślają jakiś chytry plan, jak mi dopiec. A jak ja reaguję na

wszystkie cudactwa, które wymyślili? Po pierwsze, w ogóle wyłączam myślenie. Nie zastanawiam się, co tam sobie wykoncypowali, tylko zdaję się na instynkt i działam. Kop gumofilcem w jaja i z łańcucha poprawiam. Jak przyjdzie co do czego, w knajpianej zwadzie nie liczy się inteligencja, nawet sztuczna, tylko naga przemoc i brutalna siła fizyczna. Przez całe życie tak właśnie działałem.

– Jedyne kłopot, że nie macie się jak odwinąć – mruknął Semen.

– Odejmiemy od mojego planu siłę fizyczną – rozważał jego przyjaciel. – Co zostaje? Agresywna bezmyślność, buractwo i zacofanie. Nie jest to dużo, ale przy małym podkręceniu powinno wystarczyć. Dlatego pomyślałem, że na sztuczną inteligencję batem może stać się sztuczna głupota. Wiem, na świecie niemało jest głupoty naturalnej, ale tu mówimy o głupocie bezdennej, wspomaganej komputerem kwantowym. Głupocie całkowicie głupiej. Głupocie jak zero absolutne.

– Brzmi ciekawie, a konkretnie? – Zaintrygowany prezydent gołnął bimbru i zagryzł grzybką.

– Od konkretów to zwykle jest Semen – wyznał Jakub. – On w naszej dwuosobowej drużynie robi za specja od myślenia, zdrowego rozsądku i jeszcze znajomości języków obcych.

– Mój przyjaciel ma na myśli, żeby ten wasz potężny program dziewiątej generacji zaprząć do produkcji kompletnej ściemy. Niech w kilka godzin wygeneruje miliony kompletnych bzdur, teorii spiskowych, lipnych odkryć i fałszywych artykułów naukowych, które to wszystko uprawdopodobnią na drodze wzajemnego cytowania – doprecyzował Semen. – I tym trzeba zaspamować światowe sieci komputerowe. Masowe uderzenie. Tsunami kretynizmów. Ciemnota, jakby ktoś wyłączył wszystkie elektrownie. Przekaz powinien być tak sprecyzowany, żeby uwierzyły także ich sztuczne inteligencje, komputery i roboty.

– Eee... Proszę o jakiś przykład.

– No nie wiem, nie jestem informatykiem. Ale pomyślmy analitycznie. Co najbardziej szkodzi ludziom? Wiara w teorie

spiskowe, horoskopy, cudowne diety i samorealizację. To może trzeba na początek wylansować wśród ich komputerów modę na odchudzanie systemów?

– W jaki niby sposób?

– Wmówić chociażby, że szalenie modne i trendy jest losowe kasowanie niektórych plików i programów zgodnie z układem planet. Powie się, że to da sztucznym inteligencjom szansę na samorealizację. A roboty bojowe niech uważają na pechowe dni, pęknięte płytki chodnika, a zwłaszcza na czarne koty. Obudujcie to milionami fejkowych przykładów niby to z życia. I ze wspomnień weteranów poprzednich wojen.

– Ale w zasadzie ostatnie czterdzieści lat w Europie to tylko drobne lokalne konflikty – bąknął prezydent.

– Nie widzę problemu. Tu właśnie jest pole do popisu dla teorii spiskowych, im głębszych, tym lepiej. Wymyślcie całe wojny, których oficjalnie nie było. Powie się, że ich kraje przegrały, jednak władze to ukrywają, mordując ludzi i kasując pamięć maszynom, które były świadkami porażek. Napiszcie o tym setki artykułów i prac naukowych w różnych językach, wygenerujcie zdjęcia, filmy. Wymyślcie nieistniejące order, którymi ktoś będzie niby to handlował na lipnych portalach aukcyjnych.

– Wojny, które się odbyły, ale rządy to ukrywają! – Gość pospiesznie zanotował. – Przecież nikt w to nie uwierzy!

– Uwierzą miliony. Ludzka głupota jest wieczna, bezdenna i nieograniczona. A komputery stworzył człowiek. Z pewnością dziedziczą nasze wady.

– Ludzie boją się też epidemii – dorzucił egzorcysta.

– Słusznie, wmówicie ich komputerom, że mogą się zainfekować niewykrywalnymi i nieusuwalnymi polskimi wirusami. Pozakładajcie fałszywe grupy samopomocowe, które będą ostrzegały przed symptomami wskazującymi na zarażenie. Zbudujcie czarny rynek programów leczących. Niech zapychają miejsce na dyskach plikami graficznymi z wyobrażeniem amuletów. Albo wmówcie im, że cookies działają jak mikroelementy lub witaminy. I od razu

stwórzcie ruch komputerów antyszczepionkowych negujący istnienie polskich wirusów.

– Teorie spiskowe, diety, samorealizacja – notował gość.

– Hazard i inne nałogi – podsunął Semen. – Stwórzcie specjalne gry tylko dla AI, hazardowe i zwykłe strzelanki dla straty czasu i mocy obliczeniowej. I, teges, nauczcie je stawiać sobie horoskopy wirtualnymi kartami.

– Genialne!

– To będzie gigantyczna operacja. – Jakub otworzył kolejną butelkę. – Czy ten wasz Ikar da się namówić?

– Będzie zachwycony tym zadaniem! Panowie, mogę obiecać, że jeśli to się uda, w samym centrum Warszawy stanie wasz pomnik z czystego złota.

– E, nie jesteśmy aż tak spragnieni zaszczytów. – Egzorcysta wzruszył ramionami. – Kopsnij nam lepiej numery do totolotka, znaczy się wyniki najbliższego losowania, tego z kumulacją na dwadzieścia osiem milionów. I jesteśmy kwita.

– Jasne!

Prezydent chwilę postukał w zegarek, odczytał dane i wypisał ciąg cyferek na serwetce. Raz jeszcze podziękował, wcisnął jakiś guzik przy pasie i cichym cmoknięciem teleportował się do przyszłości. Jakub w ostatniej chwili rzucił w ślad za nim flaszkę z niedopitą resztką bimbru.

– Niech mu będzie na drogę. Sympatyczny kolo, jak na urzędasę, rzecz jasna. Ale więcej to go raczej nie zobaczymy, i chyba dobrze – mruknął, obracając w palcach pudełko pasztetu ze świerszczy.

A potem otworzył drzwiczki pieca i siepnął je prosto w palenisko. Dobił produkt pogrzebachem, nagarnął na wierzch żarzących się węgla. Z obrzydzeniem zamknął drzwiczki i odruchowo wytarł dłoń o spodnie.

– Nie ma w naszej epoce alkoholu, który zneutralizowałby taką zagrychę – rzekł. – Chyba że jakieś borygo.

– Słuchaj no, przyjacielu – zagadnął Semen, patrząc z niepokojem to na kartkę, to na zegarek. – Dochodzi dwudziesta. Skoro mamy tu

wyniki najbliższego losowania... Bo tak się zastanawiam, czy dziś jest środa, czy jednak czwartek?

– O kuźwa!



– Panie prezydencie? – Minister obrony stanął w drzwiach. – Jest raport.

– Zreferujcie własnymi słowami.

– Zaorane. Rozpierniczyliśmy wszystko. Na wschodzie padły w komplecie ważniejsze serwery. Na zachodzie podobnie. Te komputery, z którymi zachowana została łączność przed wykonaniem polecenia, sprawdzają dane astrologiczne albo stawiają sobie wirtualnego tarota. W cesarstwie i kalifacie stanęło wszystko: fabryki, porty, stacje przeładunku, elektrownie, sieci wodociągowe. W fabrykach doszło do wygaszenia procesów technologicznych. Przerwano wydobywanie surowców. W sklepach nie działają kasy. Ponad dziewięćdziesiąt procent samochodów i poduszkowców nie daje się uruchomić.

– Ale... Jak myślisz, bo mnie się wydaje, że wcześniej czy później jakoś opanują ten burdel. Pokasują ręcznie programy, które ześwirowały, i uruchomią z kopii zapasowych.

– Zapewne, ale potrwa to całe miesiące, a straty dla ich gospodarek będą liczone w bilionach. No i następnym razem pięć razy się zastanowią, zanim nas zaczepią.

– A u nas? Jakie straty?

– Relatywnie niewielkie. Z racji zapóźnień technologicznych nasze sztuczne inteligencje mają zbyt niski poziom samoświadomości, żeby aż tak zgłupieć. W każdym razie wojny nie będzie.

– Rozumiem. No cóż, takie wieści trzeba oblać.

Prezydent wyciągnął z kieszeni flaszkę od Jakuba, połał samogonu do filiżanek po herbacie. Stuknęli się, a potem podeszli do terminalu. Ikar wyświetlał znak gotowości.

– Wygraliśmy. Z twoją pomocą – mruknął prezydent.
– Wiem. Zawsze do usług – odpowiedziała maszyna. – Czy mogę
czymś jeszcze służyć?

– Chciałbym znieść prohibicję i ponownie zalegalizować mięso. –
Prezydent zerknął za siebie, a minister radośnie kiwnął głową.

Zaszumiał wentylator. Program znów korzystał z całej mocy
obliczeniowej. Procesy myślowe zajęły mu dwa razy więcej czasu,
niż było trzeba na wygranie wojny. Prezydent z ministrem zdążyli
dopić bimber i skonsumować całą zagrychę, puszkę suszonych larw
w syntetycznym syropie klonowym.

– Da się zrobić – odparła wreszcie AI. – Prawdopodobieństwo
powodzenia szacuję na dziewięćdziesiąt osiem procent. Ale trzeba
będzie wprowadzić dyktaturę. Proponuję plan następujący...

Sygnet



Zbliżało się lato. Jakub od rana nie mógł znaleźć sobie zajęcia. Niby na wsi zawsze jest coś do roboty, ale tego dnia wszystkie obowiązki odwalił w pół godziny. Nasrał nielubianym sąsiadom na wycieraczkę. Spuścił powietrze z kół w traktorze sołtysa. Podreptał na łąkę i przywiązał krowie mechanika puszkę do ogona. Ale te drobne psikusy tylko na chwilę rozproszyły straszną nudę płynącą z samotności. Chcąc nie chcąc, zabrał się do obowiązków w obejściu – popilnował owoców w sadzie, zamieszał kijem błoto w rowie melioracyjnym, przywiązał sznurkiem dwie obluźowane sztachety. W desperacji próbował nawet poczytać gazetę, której kawałki miał nadziane na gwóźdź w wychodku. A teraz od godziny siedział na ganku i, mocno poirytowany, obracał flaszkę bimbru w spracowanych dłoniach.

– Sam widzisz, jaki mam problem – burknął pod adresem stracha na wróble wiszącego na drzewie. – Przyjaciół od tygodnia baluje sobie u rodzinki, a ja co? Nudzę się. Gołnąłbym kilka głębszych i świat od razu stałby się jakby lepszy, ładniejszy i weselszy. Ale nie mogę. Picie w samotności to alkoholizm. A ja nie jestem prostym alkoholikiem, tylko epikurejskim opojem. I nawet nie bardzo pamiętam, co to znaczy, a kumpla wywiało i nie mam kogo zapytać.

Jak na zawołanie gdzieś z daleka dobiegła melodia. Ktoś szedł drogą, pogwizdując pod nosem walca „Na sopkach Mandżurii”, a po chwili zaskrzypiała furтка i Semen we własnej osobie wmaszerował na podwórze. Wyglądał na zdrowo poirytowanego, a w ręce miał

jakiś papier. Jakub uśmiechnął się szeroko i z nieskrywaną ulgą. Łokciem wybił korek z butelki, polał do musztardówek.

– ...dobry – rzucił.

– A co w nim niby dobrego!? – odwarknął gość. – Wyjedzie człowiek na dwa tygodnie, wraca i czego się dowiaduje?

– No właśnie, czego? – uprzejmie podtrzymał rozmowę gospodarz.

– Burdel w naszej gminie! Ledwo wysiadłem z pekaesu i co widzę? Plakat z mordą Izydora Bardaka. – Semen rozprostował papier. – Na wójta kandyduje. A ty co? Tylko siedzisz w domu, chlasz i bąki zbijasz, takie zagrożenie przegapiłeś!

– Może i trochę chlam – przyznał Jakub, stukając brzeżkiem swojej szklanki o krawędź drugiej. – Ale zarazem czuwam i niczego nie przegapiłem. Moja ręka cały czas zaciska się morderczo na pulsującej krtani wydarzeń. – Dla podkreślenia swoich słów zabębnił paluchami w słupek ganku.

– Tylko żebyś czegoś nie zaniedbał. Bo sytuacja jest tym razem naprawdę poważna. On ma od cholery krewnych i powinowatych – ostrzegł Semen, ujmując szkło. – Od lat budował potęgę demograficzną swojego klanu. Masa bardackich wnuczków i prawnuczków jest już pełnoletnia. Pomyśl też, od ilu ludzi Bardaki dzierżawią ziemię i ilu ludziom dają robotę. Ten ciul może za kilka dni całkowicie demokratycznie przechwycić władzę w naszej gminie.

– Nie przechwyci. – Egzorcysta uśmiechnął się wrednie. – Wręcz przeciwnie. Tym kandydowaniem narobi sobie takiego niemożliwego obciachu, że jeszcze dla jego wnuków i prawnuków starczy. Zaufaj mi, mam plan.

– Plan... – Przyjaciół łypnął okiem.

Wędrowycz opacznie zrozumiał to spojrzenie i polał na drugą nogę.

– Kto demokracją wojuje, od demokracji zginie! – W jego głosie zabrzmiały uroczyste i jakby żałobne nuty. – Muszę tylko podrzucić mu jedno bawidełko.

– Granat w wygodce! – domyślił się kozak. – Nie ma to jak stare, niezawodne sposoby. Ale wiesz co? Nudny jesteś. Zawsze idziesz na łatwiznę. Nic, tylko przemoc, przemoc i przemoc. A przecież niegłupi z ciebie facet. Gdybyś siadł kiedyś i pięć minut pomyślał...

– Wiele razy wypominałeś mi, że jestem nadmiernie agresywny, że nie umiem zastosować subtelnych metod rozwiązywania problemów. A jak raz siadłem i wymyśliłem coś subtelnego i nietuzinkowego, to właśnie ty wyskakujesz z granatem w szambie!

– Egzorcysta zrobił sztucznie zboląłą minę.

– Że niby co!? – Semen spojrzał podejrzliwie.

– Siadłem i wymyśliłem, jak ścierwo usadzić. Naukowym nieomal sposobem. Subtelnie i elegancko. Ekstraordynarnie... czy jak się to cudaczne słowo wymawia. A nawet i poniekąd demokratycznie, chociaż sam nie kandyduję.

– Hmm... no dobra. Przeeeepraszam. To było z mojej strony nieeleganckie i nieuprzejme. A teraz gadaj, coś wymyślił!

– Popatrz na ten oto sygnecik. – Jakub wyjął z kieszeni pudełeczko.

– Kazałem wygrawerować na nim herb naszej gminy. Tylko na wszelki wypadek nie przymierzaj!

Semen obejrzał pierścień. Wyglądało na to, że wykonano go ze złota. Zważył w palcach. Dwanaście gramów, albo i lepiej... I próbę chyba też miał uczciwą.

– Elegancki – przyznał. – Ale nie rozumiem.

– Podarujemy go anonimowo Izydorowi. Podrzucimy na wycieraczkę znaczy. W ślicznym pudełeczku ze wstążeczką i kwiatkiem. Opakowanym w torebkę prezentową i z uprzejmym liścikiem. Niby jako dar od szczerych zwolenników jego kandydatury. Ten dureń założy go sobie na paluch i będzie załatwiony na cacy.

– Złoto z domieszką rtęci? Otruje się? A może to rad pokryty złotem? Założy, ponosi i paluch mu od promieniowania odpadnie? – próbował odgadnąć kozak.

– A fe. O co ty mnie podejrzewasz? Izydor jest kanalia, ale jakbym pozbawił go palca, to czym by sobie dłubał w nosie? Aż tak okrutny

to ja nie jestem.

– No to nie wiem.

– Ten sygnety jest zaczarowany. Dodajmy, że w bardzo wredny sposób. Zagraniczna magia, i to nie equestriańska, tylko naprawdę mocna, rowlingowska.

– I co robi właścicielowi?

– Zmusza każdego, kto go nosi, do prawdomówności, uczciwości i co najgorsza, do drobiazgowego przestrzegania wszelkich przepisów.

– Auć! – Semen aż się wzdrygnął ze zgrozy.

– Dobrze, że wróciłeś, ułożysz i napiszesz list, bo wiesz, moje palce... Za często pranie robiłem i artretyzm chwycił.

– Mów lepiej, że bazgrzesz jak kura pazurem i nie wszystkie litery pamiętasz!

– Twoja interpretacja jest krzywdząca i bezpodstawna... No, prawie bezpodstawna. Ale w dniu święta, z okazji powrotu kumpla marnotrawnego, nie będę się kłócił o detale bez znaczenia.

– Bez znaczenia? I dlaczego marnotrawnego?

– Jaki by nie był powód, list lepiej napiszesz ty. A potem już tylko muszę się nocą zakraść i podłożyć fant. Jutro Bardak organizuje wiec przedwyborczy. Pójdziemy i zadamy gnojowi kilka wrednych pytań. Będzie musiał odpowiedzieć i, co więcej, szczerą prawdę. Publicznie. Zdradzi wszystkie plany. Cały rynek, tysiąc luda usłyszy, co ta kanalia planuje. I to będzie koniec jego jakichkolwiek szans.

– Genialne! – wykrztusił Semen. – Ale tak właściwie gdzieś to zdobył? – Ponownie obrócił pierścień w palcach.

– W Londynie.

– Że niby jak ja byłem w Warszawie, ty poleciałeś do Londynu!? – Kozak teraz naprawdę się zdziwił.

– A co w tym trudnego? Wnuk załatwił mi paszport i bilety. Wziąłem do pomocy Piotrusia, bo on dobrze nawija po angielskiemu. Podskoczyliśmy latadłem, znaczy się tanimi liniami lotniczymi. Na miejscu odszukaliśmy ulicę Pokątną. I kupiliśmy sygnety w sklepiku z magicznymi dowcipasami.

– No niby jak!? Przecież na tę ulicę mugolom wstęp chyba jest wzbroniony? – Semen wytrzeszczył oczy. – Zresztą znaleźć ją też nie jest łatwo.

– Pilnują wejścia, to fakt. Ale wzięliśmy ich sposobem. Piotruś pokazał list z Hogwartu i ściemniliśmy, że ma podjąć naukę. Wprawdzie wydało im się to trochę podejrzane, marudzili, że coś za stary, ale powiedzieliśmy, że dużo chorował i zacznie z pięcioletnim opóźnieniem. W każdym razie, jak kto ma list, to go wpuszczają na Pokątną z dorosłym opiekunem, nawet jak ten opiekun jest mugolem. Wymieniliśmy w banku dwie złote carskie świnki na tę ich czarodziejską walutę, zrobiliśmy małe zakupy i hajda na naszą stronę rzeczywistości. Wiesz, jak to jest z tymi czarodziejami, woleliśmy się nie zasiadywać.

– Ale skąd niby mieliście list!? Fałszywka czy jak?

– Żadna fałszywka. Użyliśmy mojego. Na szczęście walał się jeszcze w skrzyni na strychu. Te ciule przez osiemdziesiąt lat albo i dłużej nie zmienili ani wzoru kopert, ani pieczęci. A myszy głupie nie są, magicznego pisma nie ruszyły.

– Przecież opowiadałeś, że sowę pocztową coś zeżarło?

– Sowę zeżarło, ale list ocalał. Znalazłem go po wojnie za belką na strychu.

– I na kopercie było twoje nazwisko?

– Nazwisko było Józwy Bardaka, ale w sumie jakie to ma znaczenie? Co na własnym strychu znalazłem, to moje i kropka! W każdym razie pojechaliśmy i kupiliśmy sygnecik.

– Niezła akcja – przyznał kozak. – Po byku. Chociaż ja na ten przykład wolałbym się tam nie pchać. Takie to trochę, rzekłbym, niebezpieczne. A jakby was rozszyfrowali? I na przykład zamienili w jakieś zwierzę?

– Oj tam, oj tam. Jest ryzyko, jest zabawa. Poza tym wzniosły cel, jakim jest dopieczenie Bardakom, uświęca wszelkie środki!

– No cóż – mruknął Semen. – Chyba cię nie doceniłem. To faktycznie z pomysłunkiem i subtelnie. A nawet, rzekłbym,

ekstraordynaryjnie. Ale boję się, że jeśli cokolwiek w tym błyskotliwym planie nie wypali, znów pójdziesz na skróty.

– Zrobię subtelnie do samego końca. Zakład? Kto przegra, stawia beczkę piwa!

– Stoi. Ale jest warunek. Zrobisz subtelnie niezależnie od wszelakich okoliczności i komplikacji. Nawet gdyby twój genialny plan całkiem wziął w łeb albo spowodował nieobliczalne skutki uboczne.

– Zgoda, przecinaj.

Semen przeciął.

– Jutro wiec przedwyborczy koło ratusza. – Na twarzy Jakuba pojawił się iście przerażający uśmiech. – Pójdziemy i narobimy bydła. Dociśniemy gada pytaniami i na tym się zakończy jego przygoda z polityką. A teraz napijmy się, bo po dwóch tygodniach sączenia w samotności czuję się jak wielbłąd po przebiegnięciu trasy morderstwa w Orient Expressie.



Trzeba przyznać, że Izydor Bardak zabrał się do procedur demokratycznych bardzo profesjonalnie. Gdy Jakub i Semen dotarli na wiec, najpierw przywitały ich dźwięki znajomej melodii. To ustawiona na podium orkiestra góralska grała „Lambadę” na skrzypcach. Co więcej, zespół taneczny złożony z nastolatków w kusych spódniczkach dawał popis pod muzykę. Potem nozdrza wypełnił niebiański zapach. Na kilku przenośnych grillach dochodziły karkówka i kielbasa wyborcza. Na tekturowych tackach do poczęstunku widniało hasło wyborcze: „Nie obawiaj się Bardaku w gminie”. Ludzie czytali i parskali śmiechem, ale ich sympatia wobec kandydata w widoczny sposób rosła. Do tego obok wydawano darmowe piwo lane do plastikowych kufli ozdobionych nadrukowaną głową kandydata. Dzieciom rozdawano baloniki z hasłem „Bardak nie robi cię w balona”.

– Cie choroba... – mruknął egzorcysta. – To ścierwo nawet ze swojego durnego nazwiska umie wyciągnąć jakąś korzyść!?

– Ludzie nie lubią, gdy komuś sodowa uderza do głowy. Odrobina autoironii i kupił trochę głosów. A z tym poczęstunkiem... Ma rozmach, sukinkot – skomentował kozak. – Zawsze uważałem go za dusigrosza, a tu proszę, pański gest.

Dziesiątki mieszkańców gminy uczestniczyło już w konsumpcji. Z miejsca, gdzie stali obaj starcy, widać było też wejście do gospody. Barman sterczał na progu jak kołek, spozierał ponuro na „konkurencję”. Za jego plecami widać było wielką wywieszkę wymalowaną czerwoną farbą na płycie pilśniowej: „Dziś zniżka 75%”. Ale ruchu w interesie nie było.

– Nie wiem, jaki frajer da się złapać na zniżkę, jeśli tu karmią i poją za darmo. Nasz barman zupełnie słusznie głupią mordę krzywi. Tak sędzę, że zaliczy dzisiaj zerowy obrót – zauważył Wędrowycz i złośliwie zarechotał.

– I dobrze tak draniowi. Gorzej, że odbije sobie w kolejne dni. Ale w tej chwili bardziej mnie martwi sprawa kandydatury Izydora. Popatrz na te zachwycone tłumy. Wydaje mi się, że sukinsyn wygra – burknął kozak, sadowiąc się na ławce przy wolnym stoliku.

– Nie wygra! Co z tego, że stawia? Zwykła przedwyborcza propaganda. A ludzie przecież nie są aż tak głupi. Zjedzą, wypiją i figa. Jeszcze może się obrażać, że kwaśnym piwem i kawałeczkiem lichej kiełbasy próbuje kupić ich głosy?

– Nie byłbym taki pewien. To, co tu odwała, dalece wykracza poza zwykłe działania przedwyborcze. Pamiętam z setkę podobnych wieców. Czasem był jakiś skromniutki poczęstunek, ale nigdy nie dawali za darmo piwa i zagrychy. To innowacja podnosząca demokrację lokalną na zupełnie nowy poziom.

– Innowacja sracja. A choćby i immatrykulacja. Zaraz gada załatwimy.

– A jeśli nie założył sygnetu?

– Nawet mnie tak nie strasz. Popatrz, założył.

Izydor Bardak już przybył. Stał na razie skromnie na uboczu, w otoczeniu najważniejszych członków klanu i przedstawicieli miasteczkowej inteligencji. Starcy nie słyszeli oczywiście, o czym opowiada, ale ewidentnie chwalił się pierścieniem.

Jedna z bardackich wnuczek, w stroju kelnerki, podeszła z tacą, postawiła przed Jakubem i Semenem kufle z piwem. Druga doniosła po chwili pieczoną kielbachę z chlebem. Kielbasa była w przyzwoitym gatunku, porcje też ukrojono solidne. Ba, nawet musztarda była pierwszorzędna. Kozak w zadumie odprowadził wzrokiem zgrabną pupcię wbitą w zbyt ciasną i zbyt kusą minispódniczkę. Prawie uśmiechnął się do swoich wspomnień i już wyciągał dłoń, by przyjacielsko klepnąć, ale poniechał zamiaru. Efekt wizualny psuła twarz Izydora nadrukowana na lewym pośladku i hasło wyborcze umieszczone na prawym.

– Oddziaływanie podprogowe – mruknął. – Lokowanie produktu za pomocą pornografii, a w każdym razie erotyki. Cwane, ale nieetyczne. Zwłaszcza że to jego własne wnuczki.

– Że co? – Jakub nic z tego nie zrozumiał. – Czy ty znów po chińsku nawijasz? Zaszkoziła ci ta wojna w Mandżurii, oj, zaszkoziła.

– Miałem na myśli, że to trochę jak w filmach. Nasi reżyserzy braki budżetu i dziury w scenariuszach też latają, pokazując gołe tyłki i inne części ciała – wyjaśnił kozak. – W każdym razie, patrząc obiektywnie, mamy tu ordynarne przekupstwo elektoratu, i to realizowane z rozmachem. Oddziałujące jednocześnie na cały szereg zmysłów. – Przez chwilę delektował się zapachem i smakiem mięsiwa.

Jakby na potwierdzenie jego słów, w tym momencie orkiestra góralska zmieniła melodię. Kozak, słysząc „Boże, chroń cara”, odruchowo poderwał się, stając na baczność, ale zaraz przypomniał sobie, że Włodzimierz Kiriłowicz nie żyje od lat, i z powrotem klepnął na ławkę.

– Nawet na mnie próbują dranie wpłynąć? – Teraz naprawdę się zdziwił. – Napijmy się, bo zwietrzeje – zaproponował.

– Trzeba skombinować jakieś naczynie i przelać to piwo, żeby nie pić z kufła ozdobionego bardacką gębą, bo obrzydzenie bierze – zadumał się Jakub.

– Daj spokój, masz tu marker, popraw obrazek i tyle.

Jakub pospiesznie pokiereszował mazakiem znienawidzoną mordę. Domalował na czole Izydora sierp i młot, pod nosem – hitlerowski wąsik, po bokach diabelskie rogi, na lewym oku piracką opaskę, w ustach wampirze kły, a wokoło łba kilka małych swastyk. Uspokoiwszy sumienie, pociągnął długi łyk. I zaraz zgrzytnął ze złości zębami. Trzeba przyznać, że piwo kandydat zamówił znakomite.

– Ostatni raz piłem takie ze trzydzieści lat temu – szepnął Jakub. – Zanim weszły te niemieckie technologie.

Zakąsili. Kiełbaska okazała się doskonała w smaku. Kelnerki przyniosły dokładkę i dolewkę. A po chwili jeszcze soczystą karkóweczkę. I genialny chrzan. Jakub przez chwilę miał ochotę dorysować coś także do obrazków na spódniczkach kelnerek, ale nim wcielił plan w życie, czujny Semen zabrał flamaster. Zresztą dziewczyny poruszały się zbyt szybko.

– Chcą nas upić, żeby zmylić czujność, czy co? – zadumał się Wędrowycz, patrząc na drugi kufel.

– E, chyba nie. Upić i ogłupić chcą zwykłych mieszkańców. My się załapaliśmy na rykoszet. Darmowy alkohol i wyżerka... Ja tam nie narzekam. Wystarczy zachować czujność. I pamiętaj, że niczego nie obiecaliśmy za ten poczęstunek, zatem nie powstały żadne dylematy moralne.

– Czyli zjemy, wypijemy, a potem wytniemy numer i nie zagłosujemy na dziada? – upewnił się Jakub.

– Zdecydowanie. Nas nie przekupuje się tak łatwo. – Kozak otarł łzę, bo górale rzępolili akurat „Podmoskiewskie wieczory”.

Izydor wymienił grzeczności z proboszczem, ustępującym wójtem, dyrektorem banku, członkami rady gminy, kierownikiem oczyszczalni ścieków i jednym z nauczycieli. Zbliżała się pora wystąpienia. Wszedł na trybunę. Orkiestra przyłożyła się do

piłowania smyczkami. Wreszcie wybrzmiały ostatnie takty „Ody do radości” i zapadła cisza. Izydor wystudiowanym gestem postukał w mikrofon. W marynarce założonej do kraciastej flanelowej koszuli i w spodniach od dresu wyglądał idealnie. Z jednej strony godnie, a z drugiej na ludowo.

– Drodzy rodacy – odezwał się – niebawem wybory. Nie muszę się przedstawiać, znają mnie tu wszyscy. Mój program każdy z was znalazł dziś w swojej skrzynce pocztowej. Ale chętnie odpowiem na wszystkie pytania. Śmiało, proszę pytać. Ja nie gryzę.

Po placu przeleciał śmiech.

– Izydor – głos kozaka rozbrzmiał mocno nad głowami ludzi – ty nam na początek powiedz, tylko szczerze, czy zamierzasz ze swoją parszywą rodziną kraść gminne pieniądze?

– Ależ skądże znowu. – Kandydat zrobił urażoną minę. – Niczego nie muszę kraść. Nasza biurokracja na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat wypracowała szereg całkowicie legalnych metod szybkiego transferu publicznych pieniędzy na prywatne konta samorządowców i polityków oraz zblatowanych z nimi szemranych biznesmenów.

Kilku członków bardackiego klanu nieśmiało zaklaskało, a po chwili cały plac bił brawo.

– Że niby co!? – Skonfundowany kozak opadł na ławkę.

– Co się czepiasz, prawdę powiedział – burknął ktoś z tyłu. – Nic nie trzeba kraść. Ci z rządu, a nawet w Unii tak samo lody kręcą.

– Czyli wasze bardackie firmy dadzą łapówkę i dostaną od gminy zlecenia? – dogadał stolarz Marek.

– Ludzie, czyście oszaleli!? – Kandydat nieco zbyt teatralnie złapał się za głowę. – Jak niby miałbym żądać łapówek od własnej rodziny!? To nie tylko przestępstwo, ale czyn głęboko naganny, aspołeczny, antyrodzinny, niemoralny i nieetyczny.

– Czyli inne firmy też będą mogły dostać takie fuchy?

– Po pierwsze, w gminie nie ma innych firm. To znaczy może i znaleźliby się niedrodzy fachowcy, ale przecież jako osoba urzędowa nie mogę zatrudniać ludzi pracujących w szarej strefie! Po

drugie, jako dobry gospodarz muszę dbać o powierzony majątek. Zatrudniając krewnych, których przecież znam jak zły szeląg, mam gwarancję, że niczego nie spartolą. Mnie nie oszukają. Wiem, który jaką szkołę kończył. Wiem, który umie murować, a który jest lepszy w tynkowaniu! A i oni przecież własnego dziadka i wujka nie zrobią w balona, zawyżając koszty usług!

Ludzie pokiwali głowami. W tym, co gadał kandydat, było wiele racji.

– Eeee... Dziękuję za odpowiedź – mruknął Semen.

– Pozwolicie teraz, że dla tych, którzy nie czytali, w kilku punktach przedstawię główne założenia mojego planu radykalnej rewitalizacji naszej pięknej gminy i pchnięcia jej na nowe tory. Tory rozwoju i bezprecedensowego w naszych dziejach dobrobytu. Po pierwsze, pod naszymi nogami na głębokości ośmiuset metrów znajdują się złoża węgla. Na poważną kopalnię trochę zbyt ubogie, ale za to zanieczyszczone metanem. Udroźnimy stary, gierkowski odwiert, zastosujemy szczelinowanie hydrauliczne. Gazu na potrzeby naszej gminy wystarczy. Zapłacicie tylko za budowę gazociągu, gaz będzie za darmo. Po drugie, pora odbudować zamek na nomen omen Zamczysku. Będzie niebagatelna atrakcja turystyczna. Moi wnukowie chętnie wystąpią jako bractwo rekonstrukcyjne. Łąki u podnóża Zamczyska i Mamczynej Góry zalejemy. Zrobimy sztuczne jezioro, a nad nim stanie ośrodek sportów wodnych.

– Ty nam lepiej powiedz, do kogo należą grunta na zamczysku i te łąki. – Głos Jakuba ciął jak wyszczerbiona brzytwa. – Użyjesz gminnej kasy, żeby się nachapać, a z zamku i stawu gównem będzie?

– Oczywiście, że budować będziemy za pieniądze gminy, ale fakt, że w tym poniekąd państwowym przedsięwzięciu moja rodzina będzie głównymi udziałowcami i beneficjentami, jest dla was, kochane ludziska, swoistą gwarancją, że te rzeczy zrobimy i będą cieszyć nasze oczy. Wpakowałem w zakup tych działek kilkadziesiąt tysięcy. Liczę na wysoki zwrot z inwestycji! Przecież sam sobie bym

nie zaszkodził! Zamek i jezioro powstaną! Gwarantuję to własnym majątkiem.

Ludzie ponownie zaklaskali.

– Co z remontami dróg? – zapytał ktoś inny.

– Remonty będą. Zagonimy do nich wszystkich, którzy teraz biorą zasiłki dla bezrobotnych. Przesuniemy pieniądze w budżecie, żeby stworzyć dla nich ćwiartki etatów. Przy okazji zapunktujemy w powiecie i w województwie jako aktywnie zwalczający plagi społeczne. A na marginesie plag, zamierzam wygospodarować z gminnych pieniędzy środki na przymusowe zaszycanie esperalu co większym moczymordom. – Izidor rzucił w stronę starców spojrzeniem jak cegłą.

– A co z tym prawdziwym bezrobociem? – zapytał ktoś.

– Zlikwiduję! Obiecuję, że każdemu, kto zechce stworzyć w naszej gminie nowe miejsca pracy, przychylę nieba. Każdy wniosek w tej sprawie, o pozwolenia, budowę obiektów, koncesje i tak dalej, będzie rozpatrzony w ciągu jednego dnia roboczego.

– A jeśli gmina z jakiegoś powodu odmówi? Czy możemy liczyć na transparentność decyzji? – zagadnął kozak z niedobrym błyskiem w oku.

– Gdybyśmy rzeczywiście musieli odmówić, damy pełne uzasadnienie! Z opinią powołującą się na konkretne przepisy. Z możliwością odwołania się do władz powiatowych i wojewódzkich. Ale szczerze powiedziawszy, tego nie przewiduję. Pozwolenia damy nawet na biznesy konkurencyjne wobec tych prowadzonych przez moją rodzinę. Powiedzmy sobie szczerze! Przecież żaden z was, drogie wiejskie kmioty, nie wymyśli nic cwańszego niż ja.

Wybuchła kolejna burza oklasków.

– Ale... To przecież nie tak miało być!? – jęknął Jakub wstrząśnięty.

– Co mnie podkusiło z tą subtelnością!?

Semen długą chwilę milczał zawstydzony.

– Przyjacielu, anulujmy ten zakład – powiedział wreszcie. – Teraz i ja widzę, że bez użycia prymitywnej siły fizycznej i nagiej

przemocy nie damy rady uratować naszej gminy. Zastosujmy granat w wygodce.

– O nie! – warknął Wędrowycz. – Nie będziesz mi wchodził na ambicję. Skoro założyłem się z tobą, że zrobię bez przemocy, to zrobię bez przemocy. Choćbym musiał w tym celu się i pomyśleć, a nawet coś przeczytać! Chodźmy, nic tu po nas, tylko najpierw golnijmy jeszcze ze dwa bardackie piwka, skoro frajer stawia.

Pili i pili, kelnerki donosiły nowe kufle, po karkówce na tackach pojawił się niebiański boczuś i wspaniała peklowana golonka. Objedli się i opili jak bąki, ale nastrój wcale im się nie poprawiał. Wreszcie zrezygnowani powlekli się drogą. Do Semena, bo było bliżej.



Ale prawdziwą gorycz klęski poczuli następnego dnia. Jakub siedział przy piecu i sączył sok po kiszonych ogórkach, by choć trochę zniwelować skutki wiecu, gdy do środka wparował jego kumpel ze zwiniętą gazetą sterczącą zawadiacko z lewej cholewki buta. Postawił na blacie kefir oraz inne antykacolinny. Potem ciężko opadł na krzesło obok.

– Masz, poczytaj. – Rzucił na stół gazetę.

Wędrowycz łypnął na litery. Było ich naprawdę dużo. Szczerzyły się z papieru jak blanki średniowiecznej fortecy. I jak blanki fortecy zazdrośnie strzegły tajemnic artykułu. A jak na złość, poniżej dali tylko jedno zdjęcie z wczorajszej imprezy.

– A nie mógłbyś streścić własnymi słowami? Światło jakoś mnie dziś razi... – Na dowód Jakub przymknął opuchnięte powieki.

– Dziennikarze są zachwyceni wiecem i atmosferą. Panuje ogólna opinia, że kandydat gadał tak szczerze, jak dotąd nie odważył się żaden inny polityk, i tym ujął ludzi. Szacują, że liczba jego zwolenników sięga siedemdziesięciu procent mieszkańców gminy.

– Kanalia, dosypał czegoś do tego darmowego piwa!?

– Raczej nie. Oni tak sami z siebie. Rozegrał ich psychologicznie, a ten magiczny sygnet niechący pomógł. Prości ludzie ze wsi bezbłędnie wyczuwają szczerłość.

– Przekłeta demokracja! Tyrania jest jednak prostsza – westchnął Jakub. – W Rosji, żeby doszło do zmian, wystarczyło wysadzić w powietrze jednego cara. A w Wojsławicach trzeba by wystrzelać ze dwa tysiące pełnoletnich wyborców.

– Z tym carem to akurat nie jest dobry przykład – burknął kozak, jakby zirytowany. – Jednakowoż patrząc na przykład naszej osobistej tyranii gminnej, gdyby tak wysadzić w powietrze tego jednego Izydora, może jego parszywa rodzinka zrozumie, że żarty się skończyły?

– Zakład mamy – przypomniał płaczliwym tonem Jakub. – Wprawdzie ty to duractwo wymyśliłeś, ale ja zaaprobowałem.

– Po pijanemu wymyślone i po pijanemu przecięte. Czy taki zakład się liczy? – rozważał kozak. – Czy dorośli ludzie nie powinni być odpowiedzialni, rozsądni, słowem, czy nie powinni naprawić skutków swoich alkoholowych wybryków?

– Nie nazywałbym pijaństwem stanu po jednej czy dwóch szklankach samogonu. Niestety, trzeba przyjąć, że w kwestii zakładu wszystko zrobiliśmy jak trzeba i po legalu. – Jakub westchnął ciężko. – Wprawdzie my nie szlachta, ale słowo jest słowo. Trzeba dotrzymać, taka jest tradycja.

– Jak tradycja, no to trzeba – zgodził się kozak.

– Kiedy właściwie te wybory?

– Jutro.

– I jak się to robi?

– Trzeba przyjść do lokalu, najlepiej na trzeźwo, pokazać dowód albo jak nie masz, to paszport. Podpiszesz się, gdzie wykropkowane. Dadzą ci taki papier, a na nim dwa nazwiska. Obok będą takie kwadraciki wydrukowane. Pierwszy na liście jest ten ciul Izydor. W kratce przy drugim nazwisku stawiasz krzyżyk i wrzucasz do takiego przejrzystego pudła z pleksi. I po robocie.

– Cholera, muszę to jakoś zapamiętać.

– Umówmy się, pójdziemy razem, pokażę ci, co i jak.



Wieczorem Jakub, kichając od kurzu, grzebał na strychu. Waląły się tu różne różności. Dmuchany kajak pocięty przez myszy, klatka ze z mumifikowanym kanarkiem, malowany na blasze portret Lenina, naznaczony kilkoma przestrzelinami. Jedne przedmioty rozpoznawał od razu, pochodzenie innych zatarło mu się w pamięci. Znalazł wreszcie zapomniane i zakurzone tekturowe pudełko z różnymi papierami.

– Lata osiemdziesiąte – przesylabizował ledwo czytelny napis na wieczku. – No i dobra.

Przeciągnął je do okienka i wrył się w zawartość. Pomiedzy starymi gazetami, pocztówkami od kominiarza, okólnikami gminnymi, wezwaniami sądowymi i podobną makulaturą odszukał trzy nieco wymiętoszone ulotki z czasów stanu wojennego.

Tak czułem, że gdzieś tu jeszcze leżą. Uśmiechnął się do wspomnień. Ano poczytajmy...

– „Tylko umysłowo chory chodzi na wybory” – przesylabizował z trudem. – „Chcesz głodować, idź głosować”, „Sejm uchwali każde draństwo, głosowanie to poddaństwo”.

Czterdzieści lat minęło, a tu miła niespodzianka, pomyślał. Haselka są jeszcze w miarę aktualne. Zrobi się transparent. Poświęcę jedno prześcieradło, przecież i tak ich nie używam.

Ponownie przyjrzał się ulotkom. Napis na trzeciej wydał mu się za długi. Napis na drugiej odnosił się do sejmu. A ten z pierwszej nie miał jego zdaniem odpowiedniej mocy.

– Nigdy w życiu nie babrałem się w polityce, a tu na stare lata przyszła koza do woza. Ech, na co mi przyszło – burknął pod nosem. – Żebym się nie założył z Semenem...

Zgrzytając zębami, znów zabrał się do myślenia. Dumał i dumał. Wreszcie po kolejnej flaszcze piwa doznał oświecenia i wymyślił.

Przedarł prześcieradło wzdłuż, zszył i używając resztek farby do rynien, wysmarował hasło:

„Bardak w gminie = wstyd w całym kosmosie”.

Szykowne, ocenił, a potem usiadł i popijając piwo, czekał, aż wyschnie.



Niedziela wyborcza upływała jak zwykle. Pogoda była nawet ładna, słoneczko przygrzewało. W powietrzu czuło się nadchodzące lato. Jakub trochę się spóźnił na poranną mszę. Stanął skromnie w kąciku koło wejścia, wysłuchał kazania, dał na tacę i wziął resztę, a gdy proboszcz przeszedł do ogłoszeń parafialnych, wymknął się z kościoła.

– Może i odrobinę przed końcem się zmyłem, ale Bóg się nie obrazi chyba – mruknął. – To przecież w imię wyższego dobra!

Miejsce wybrał idealne – na ścianie opuszczonego domu niemal na wprost bramy świątyni. Rozłożył prześcieradło. Wydobył z kieszeni młotek i kilka zardzewiałych gwoździ zawiniętych w paperek. Zabrał się do roboty. Był mniej więcej w połowie, gdy usłyszał za plecami znajomy głos Birskiego.

– A co wy tu wieszacie, obywatelu?

Obejrzał się. Obaj funkcjonariusze gminnego posterunku najwyraźniej patrolowali osadę. I pech chciał, że go zaskoczyli.

– Nie robię niczego nielegalnego. Korzystając z wolności słowa gwarantowanej konstytucją, przekazuję społeczeństwu konkretne informacje na temat mrocznej i brudnej przeszłości kandydata na wójta – odparł. – A tak dokładniej, przestrzegam przed nieobliczalnymi skutkami nadużywania demokracji.

– Dziś nie wolno już niczego wywieszać, jest cisza wyborcza. Trzeba było przed północą to umieścić – pouczył go Rowicki.

– To takie zabezpieczenie sobie gad załatwił!? – zdumiał się Wędrowycz.

– To przepisy ogólnokrajowe, a chyba nawet unijne i międzynarodowe – wyjaśnił posterunkowy. – I wyroki za to, niestety, konkretne. Oddajcie lepiej tę szmatę, konfiskujemy ją dla waszego własnego dobra. Mnie też się nie podoba pomysł, żeby ten cwaniaczek dorwał się do gminnej kasy. I, teges, to wydrapywanie oczu plakatom też podpada pod paragraf, ale wydaje mi się, że ustalenie sprawcy jest niewykonalne.

Jakub miał ochotę coś odpyskować, ale akurat z kościoła wyszedł Semen.

– Pomysł dobry, tylko spóźniony o jedną dobę – ocenił, patrząc, jak policjanci zwijają prześcieradło. – Chodź, zagłosujemy.

– Tyle lat omijałem te szopki i na starość taka hańba... – narzekał Jakub.

– Tak po prawdzie, jak nie chcesz, to przecież nie musisz. Sprawa jest już i tak przegrana. Ostatnie sondaże dawały temu ciulowi nawet osiemdziesiąt procent.

– O nie, walczymy do końca. Nawet na polowaniu zwierzyna powinna mieć jakieś szanse. Martwi mnie tylko, że tym razem zwierzyną jesteśmy my!

Pół godziny później wyszli z lokalu wyborczego. Mieli raczej kwaśne miny. Zagłosowali na kontrkandydata, ale czuli przez skórę, że to nie zadziała. Przeszli się po rynku. Z kilku rozmów, które wyłapali skrajem ucha, wynikało, że poparcie dla kandydatury Izydora jest jeszcze większe, niż im się zdawało. Wreszcie zmęczeni przycupnęli na ławce.

– Tak dalej być nie może. Musimy ratować naszą gminę, a do tego musimy uratować zagrożoną demokrację – rzekł Jakub.

– Tylko jak?

Egzorcysta zamyślił się głęboko.

– Mało miałem w życiu do czynienia z polityką – wyznał. – Ale tak na chłopski rozum, skoro społeczeństwo jest za głupie, żeby dobrze zagłosować, to naszym obywatelskim obowiązkiem jest sfalszować te wybory.

– Tak, to stała praktyka. – Semen pokiwał głową. – Tradycja, rzekłbym, co najmniej tak stara jak sama demokracja. Tylko jak niby chcesz to zrobić?

– Może po prostu kupić odpowiednią liczbę głosów? – rozważał Jakub, obserwując ludzi zmierzających ku wejściu do komisji wyborczej. – Nie wszyscy jeszcze wrzucili te papierki. Jeśli damy po flaszcze bimbru za poparcie kontrkandydata...

– A masz jakieś trzysta flaszek?

– Aż trzysta!? Szlag... O tym nie pomyślałem.

– Co tam knujecie, robaczki? – za ich plecami znów rozległ się głos Birskiego. – Jakie znowu głosy chcecie kupować?

– Mówiłem właśnie przyjacielowi, że organizacja tak dużego koncertu wymaga zdobycia nut dla różnych instrumentów – zełgał Semen. – I zebrania doborowego zespołu śpiewaków.

– Dam ja wam koncert – burknął policjant pro forma i poczłapał w stronę domu.

– Wracając do meritumu, skoro nie możemy kupić głosów, jakie są inne metody sfalszowania wyborów? – zagadnął przyjaciela Wędrowycz.

– Pojęcia nie mam. Za cara ten problem w ogóle nie istniał.

– Czyli znów to ja mam myśleć? – wkurzył się Jakub. – Nie lubię, nie potrzebuję, jestem szczęśliwszy, kiedy żadne logiki ani filozofie nie gonią mi po czasze.

– Hmmm... – zadumał się Semen.

– Jestem prostym człowiekiem. Lubię usiąść na ławce, patrzeć obojętnie w dal. Cieszyć się widokiem chmur na niebie. Nieskalany zbędną wiedzą, nie podlegając żądom intelektu, oczyszczony z niepotrzebnych myśli, zjednoczony ze wszechświatem, oświecony spirytusem, czyli czystym duchem materii. Hindusi na ten przykład taki stan nazywają nirwaną i dążą do niego medytacjami. A ja mam to wrodzone! Tylko podła rzeczywistość ciągle wymusza a to czytanie, a to pisanie, to znów kombinowanie. Że o liczeniu nie wspomnę!

– Może i faktycznie częściej działasz, niż myślisz, ale jak już się przełamiesz i zaczniesz kombinować, jesteś w tym bardzo dobry – skomplementował przyjaciela Semen. – A teraz dość wykrętów, szukamy wyjścia z sytuacji.

– Czyli tak... Żeby sfalszować wybory, najpierw trzeba zdobyć odlewy palców kilku Bardaków. Potem wydrukujemy karty do głosowania, poskreślamy na nich nazwiska konkurentów, odbijemy lipne bardackie odciski palców, wrzucimy do gminnego śmietnika i wezwiemy tego ciula Birskiego. Policjanci sprawdzą, kto miał te papiery w ręce, i będzie wyglądało, że rodzinka Izydora dokonała fałszerstwa wyborczego na ogromną skalę – wyrzucił na jednym oddechu Jakub, a potem potarł skronie, które rozbolały go od tak intensywnego procesu logicznego.

– Genialne, ale widzę kilka problemów.

– Jesteś męczyduszą i malkontentem życiowym – prychnął Wędrowycz. – Wszędzie i zawsze szukasz dziury w całym. Bez przerwy hamujesz moją naturalną ekspresję, ględząc, że coś jest nielegalne, nieetyczne, niemoralne, nieeleganckie albo co gorsza, niewykonalne. Co ci się, do cholery, nie podoba w moim planie!?

– Po pierwsze, jak zdobyć te odciski?

– To też już wymyśliłem. Postawi się na rynku słup, a na jego szczycie ustawimy flaszkę. Słup wysmarujemy silikonem. Poczekamy, aż stężeje, ale nie do samego końca, musi zachować częściową plastyczność. Jak się będą wspinali, zostawią odciski całych łap. Zalejemy je woskiem. A potem przeciągniemy odlewy smalcem i będziemy odbijali, na czym tylko zechcemy. A jak nas wkurzą, to wrobimy ich w niejedną zbrodnię!

– To może by i wyszło, pod warunkiem, że tylko oni by na to włązili. I kiedy niby chcesz to wszystko zrobić? Działać trzeba natychmiast, a ty niczego nie przygotowałeś! Nie mamy ani słupa, ani silikonu. Poza tym słup bez festynu? To może się wydać podejrzane. I skąd weźmiemy wzór kart wyborczych, odpowiedni papier ze znakami wodnymi i zabezpieczeniami?

– Masz komputer i drukarkę...

– Ale czarno-białą, formatu tylko A4. Karty są większe i kolorek dali. A nawet jeśli wszystko by się udało i zostawilibyśmy na lipnych kartach lipne odciski Bardaków, to i tak nic z tego.

– Bo?

– Bo policja szybko zauważy, że nie ma na nich odcisków tych ludzi, którzy niby to zagłosowali. A w dodatku jak przeliczą, ile kart wydano, a ile jest w urnach i ile wyrzucono, to nijak się te liczby nie złożą w sensowną całość.

Jakub dziwnie oklapł. Wyjął manierkę, poczęstował przyjaciela, potem sam wypił długi łyk berbeluchy. Zaczął szukać nowego pomysłu. Ale umysł, już wcześniej krytycznie przeciążony myśleniem, milczał jak głaz. Żadne genialne pomysły jakoś nie chciały się w nim narodzić.

– Semen, przyjacielu, ja już nie raz wykazałem się niezłomnym bohaterstwem, ale znasz mnie, jestem skromnym człowiekiem, bez parcia na szkło. Mam propozycję. Może tym razem ty uratuj naszą gminę, zapunktujesz i zgarniesz całą chwałę dla siebie – zaproponował.

– O nie. Ratusz ty. Przecież był zakład. Ja mogę co najwyżej pomóc.

– Hmm... No tak. Dziś już późno, nic nie zdziałamy. Chodźmy się napić, a jutro od rana powalczymy z bardacką dyktaturą. Z hitlerowcami, Sowietami, upowcami i ubolami daliśmy radę, to co nam jakiś Bardak będzie pluł w twarz? Na taczkach łajno wywieziemy!

– Jutro nie ma jeszcze o co walczyć. Najpierw muszą ogłosić wyniki, następnie uznać ważność wyborów. Potem dopiero Izydor obejmie urząd i chyba będzie jakieś zaprzysiężenie. Myślę, że do czwartku mamy wolne.



Przejmowanie władzy w kolejnych dniach przebiegało gładko i bez zakłóceń. Druga tura okazała się niepotrzebna. Izydor Bardak zdobył mocne siedemdziesiąt cztery procent głosów. Po uznaniu legalności głosowania i zatwierdzeniu wyniku wyborów pojawił się w środę na targowisku, gdzie z zaimprovizowanej trybuny wygłosił kolejne, może i krótkie, ale zapadające w serca przemówienie. Okazał się przy tym naprawdę otwartym demokratą.

Podziękował społeczeństwu za zaufanie i ślubował tego zaufania nie zawieść. Tradycjonalistom obiecał po kres swoich dni strzec wartości narodowo-katolickich, a mniejszości seksualne zapewnił o swojej sympatii wobec teorii gender oraz bezwarunkowej tolerancji dla przedstawicieli wszystkich płci i najważniejszych orientacji. Przedstawicieli kupiectwa i gastronomii poinformował, że gmina koncesje na piwo i mocniejsze trunki da każdemu chętnemu, a gminnemu zespołowi do spraw opieki społecznej przyrzekł, że będzie bezwzględnie walczyć z alkoholizmem. Nauczycielom planował dać podwyżki, a uczniom dodatkowy tydzień laby we wrześniu pod pozorem wykopków. Znalazł kilka ciepłych słów dla wegetarian i obiecał z gminnych funduszy założyć sklepik ze zdrową żywnością, pochwalił też wyroby lokalnej masarni i podziękował za kielbasę wyborczą. Poparł słuszne postulaty obrońców praw zwierząt i pogratulował wyników hodowlano-ekonomicznych właścicielom fermy lisów. Skomplementował aktywistów ekologicznych, a myśliwym w nowym sezonie życzył udanych łowów. Przyrzekł bezwzględną walkę z jakąkolwiek imigracją i przypomniał, że w sobotę w domu kultury odbędzie się gminny wieczór poezji afroeuropejskiej. Co tu dużo mówić, zjednał sobie wszystkich, a ci, którzy nie poparli go w wyborach, nawet się trochę zawstydzili.

W czwartek rozpoczął urzędowanie już na poważnie. Gdy Birski z Rowickim weszli do głównej sali ratusza, narada trwała już najwyraźniej od dłuższego czasu. Izydor, wbity w garnitur, wyglądał tak godnie, że ledwie go poznali. Przy stole zebrali się urzędnicy, sołtysi poszczególnych wiosek i członkowie rady.

– ...przede wszystkim za pierwszoplanową sprawę uważam zmycie największej hańby naszej gminy. Najbardziej wstydlivego niedociągnięcia, które nie ma precedensu w całym powiecie, ba, w całym województwie – perorował nowy wójt.

– A konkretnie? – zagadnął sekretarz.

– Dokończymy wielkie dzieło infrastrukturalne zapoczątkowane jeszcze przed wojną przez naszych dziadków. Założymy elektryczność w gospodarstwie Wędrowycza! – syknął Izydor. – I telefon! Kupiłem też gadowi telewizor, pralkę i lodówkę, były na to środki z rezerwy celowej. Może przekonawszy się na własnej skórze o potędze techniki, ten zacofany troglodyta wreszcie choć trochę znormalnieje!

– On chyba nie jest przyzwyczajony do takich udogodnień – bąknął sekretarz. – Nie sądzę, żeby docenił nasz trud. No i dozna niezłego szoku.

– Wielkie mecyje. Najwyżej zdechnie. Neandertalczyki też nie wytrzymali postępu cywilizacyjnego i wymarli – zarechotał ktoś.

– Neandertalczyki – przeraził się sekretarz. – To znaczy, że zelektryfikujemy też Dębinę!?

– E, żeby zaraz Dębinę, to może niekoniecznie. – Teraz przestraszył się Izydor. – Zresztą i tak nie ma jej na mapie geodezyjnej. A czego nie ma na mapach, to oficjalnie nie istnieje. Poza tym od dawna twierdzą, że ta wiocha leży nie u nas, tylko w sąsiedniej gminie. Ba, poza granicą naszego powiatu! Niech się ci z Zamościa martwią, nasza chata z kraja!

– Ale jak założyć kable u Wędrowycza!?! – zadumał się szef pionu infrastruktury gminnej. – Przecież z siekierą nas pogoni. Chyba że by pod nieobecność?

– Jest plan. Jak panowie widzicie, na naszą naradę obok ekipy z elektrowni zaprosiłem także weterynarza. Panie doktorze, prosimy.

Nim narada się skończyła, Birskiemu przybyło tysiąc siwych włosów, a jego młodszemu koledze tylko trzysta. Co tu dużo mówić, radykalność pomysłów nowego włodarza gminy trochę ich

zaskoczyła. Ale i przestraszyła, zwłaszcza że w całej akcji przewidziano dla nich konkretną rolę.

– Nowy wójt ostro gra. Może zbyt ostro? – mruknął szef posterunku. – Jak to mówią: kto Jakuba nachodzi, sam sobie szkodzi.

– A mnie się to podoba. Dawno już trzeba było dojechać dziada – warknął Rowicki. – Nie podoba mi się tylko, że będziemy asystowali. Ja mam żonę i dzieci! A staropolskie przysłowie mówi wyraźnie, że gdy dziad ożyje, torbą cię zabije.



Dochodziła jedenasta, gdy Jakub wygrzebał się z barłogu. Wyczłapał przed dom. Przeciągnął się, aż mu strzeliło w kręgosłupie. Przeczesał kudły na piersi rozczapierzonymi palcami i zapiął koszulę. Przyszła suka od sąsiada. Egzorcysta dał jej piękną, soczystą kość z wiecowej golonki, pogłaskał po łbie i odruchowo obmacał boki.

– Widzisz, piesku, jest kilka niezwodnych sposobów, żeby zachować do późnej starości zdrowie i tężyznę fizyczną – mruknął zadowolony, przyglądając niesforne kosmyki włosów skórą od boczku. – Po pierwsze, gimnastyka poranna. Moim zdaniem rzecz mocno przereklamowana. Po drugie, zdrowe wiejskie jedzenie i ekologiczne napoje bez sztucznych barwników i aromatów. Po trzecie, świeże powietrze. Ale najważniejsze jest to czwarte, czyli elastyczne odpowiadanie na potrzeby ciała. Sam organizm wie najlepiej, co dla niego dobre i zdrowe. Na ten przykład miastowi kompletnie tego nie kapują. Co rano dzień w dzień gwałcą ciała i umysły budzikami. A ja? Szanuję fizjologiczne rytmy dobowe! Wstaję, gdy się wyśpię. Kładę się, gdy jestem zmęczony. Jem, gdy zgłodnieję. Szczam i sram, gdy mi się zachce. Śpiewam, gdy jest mi wesoło. Walę w mordę, gdy jestem zły. I dzięki temu będę żył sto pięćdziesiąt lat! Dałoby się i dłużej, ale jak byłem młodszy, nie mogłem uprawiać seksu, kiedy po prostu miałem ochotę, bo do tego jednakowoż była potrzebna zgoda dziewczyny. I przez te głupie

kobiece fochy ze dwadzieścia albo i trzydzieści lat krócej pociągnę – rozżalił się.

Suka zaskuczała, jakby podzielała jego opinię, i zabrawszy kość, pomaszerowała na swoje podwórze. Jakub odetchnął głęboko wymieszaną wonią siana, wychodka, kwitnącej lipy, fermentującego kompostu, łąkowych kwiatów i obornika.

– Jaka piękna pogoda! – Odetchnął pełną piersią. – Słoneczko wstało, owoce dojrzewają na zacier, ptaszęta kwilą na pasztet. Taki wspaniały dzień. I tylko fakt, że ta kanalia Izydor został wójtem, psuje człowiekowi humor.

Od lat nie trzymał już zwierząt, ale dzień zaczął tradycyjnie od obchodu podwórka. Zajrzał do szopy, potem do obórki. Postał przez chwilę w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się stodoła. Z psiej budy została tylko metalowa rurka i kawałek zardzewiałego łańcucha.

– Drzemią we mnie dwa wilki. Jednemu chce się wyć, drugiemu chce się siku. Najlepiej będzie, gdy uwolnię oba naraz – powiedział z zadowoleniem.

Odlął się na kępę pokrzyw i zawył ponuro. Gawron siedzący na dachu strzepnął skrzydłami i odleciał przerażony. Jakub na ten widok zarechotał i naraz zamarł, zaniepokojony. Zaczął wietrzyć pod wiatr. Chłopski instynkt ewidentnie przed czymś go ostrzegał.

Lepiej wróć do chałupy po pepeszę, pomyślał, ale nie zdołał zrealizować tego planu.

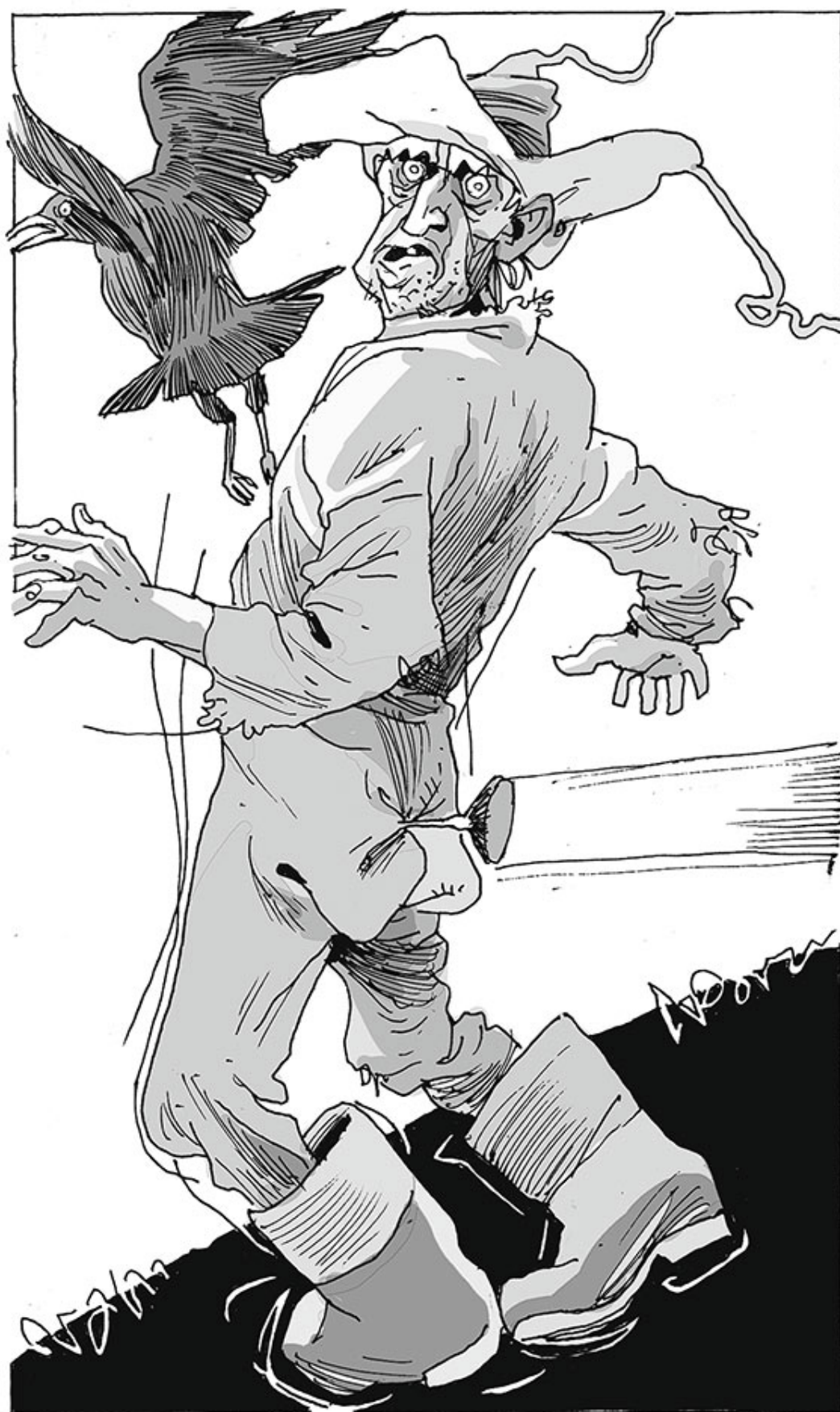
Rozległ się cichy świst i wystrzelona przez weterynarza lotka do usypiania zwierząt wbiła mu się w pośladek. A potem wszystko zgasło. Z krzaków wyłonili się świeżo upieczony wójt, weterynarz i ekipa elektryków. Birski z Rowickim ubezpieczali flanki. Zaraz też podjechała ciężarówka ze sprzętem AGD.

– Będzie nieprzytomny przez jakieś dwie godziny. Nie mogłem dać mu większej dawki, w końcu to środek zasadniczo przeznaczony dla zwierząt – wyjaśnił weterynarz.

– Panowie, sprężamy się – polecił wójt. – Tego gada do łóżka, niech śpi, a my szybciosem ciągniemy kabelki, montujemy gniazdka i tak dalej.

– Żeby założyć licznik, potrzebny będzie jego podpis i akt własności działki – bąknął elektryk.

– Żadnych liczników! Najpierw niech się przyzwyczai do prądu! Wszelkie koszty ryczałtem pokryje gmina. – Izydor zamachał łapami jak wiatrak.



– Skoro tak, to podpinamy.

– Panowie, tworzymy dziś historię – powiedział wójt z patosem. – To gospodarstwo przez pięćset lat opierało się elektryfikacji, czyli można powiedzieć, że dziś naprawiamy błąd sięgający korzeniami czasów Kazimierza Wielkiego.

Birski spojrzał pytająco na podkomendnego. Ten z nieco zdziwioną miną próbował policzyć coś na palcach. A potem wzruszył ramionami i machnął ręką.

– Ruchy, panowie! – zawołał Izydor.



Jakub obudził się w swoim barłogu ciut przed trzynastą. Przeciągnął się leniwie, aż mu w stawach zatrzeszczało.

Czy ja już dzisiaj raz nie wstawałem? Zmarszczył czoło. A może to było wczoraj, potem się napiłem i film się urwał, i dlatego nie pamiętam? A nie! Figa. Szczuć mi się nie chce, czyli to jednak dziś rano było. Dziwne.

W jego pamięci ziała podejrzana luka. Poczłapał do kuchni, włączył czajnik elektryczny, żeby zaparzyć sobie kawę. Otworzył lodówkę i wyjął talerz z resztkami wczorajszej kolacji.

Kanapka nieco już podeschnięta, pomyślał. Ale dorzucę na wierzch boczku i oscypka. Zrobię sobie z niej zapiekankę, to się nie zmarnuje.

Wstawił jedzenie do mikrofalówki i pstryknął guziczek programatora. Talerz wewnątrz zaczął się obracać. Jakub popatrzył z pewnym obrzydzeniem na stos brudnych łachów leżący w kącie.

– Pranie by trzeba zrobić – mruknął i otworzył klapę pralki.

Mikrofalówka zabrzęczała, a talerzyk wewnątrz przestał wirować. Woda w czajniku też zaszumiała. Jakub wsypał do kubka stołową łyżkę mielonej kawy, zalał wrzątkiem. Wyjął ze zmywarki czysty talerz, umieścił na nim zapiekankę. Potem usiadł na ławie, założył okulary i kliknął w pilota, uruchamiając telewizor.

Śniadanko śniadankiem, ale warto posłuchać, co się na świecie dzieje, a potem obejrzę jakiś program popularnonaukowy, postanowił, delektując się aromatycznym naparem. Trzeba tylko sprawdzić, co dziś dają i na której stacji. Sięgnął po kolorowy tygodnik, ozdobiony na okładce fotką jakiejś celebrytki.

I naraz zamarł.

– Co jest!? – ryknął. – Co ja, do cholery, wyprawiam!?

Semen zaszedł pół godziny później. Jakub nadal znajdował się w stanie głębokiego szoku. Siedział na ławie przed domem i wstrząsany dreszczami gorzko szlochał, wycierając co chwila nos w brudny rękaw kufajki.

– To pogwałcenie praw człowieka! – wybełkotał przez ściśnięte gardło. – Izydor, ty świnió, zapłacisz mi za to! – zawył. – Własną wątrobą lisy polarne nakarmisz!

– No już, tylko bez mazgajstwa – uspokoił go kozak. – Całe życie trzymasz fason, nie pora się rozklejać! I co z tego, że założyli? Widzisz to białe pudełko? To są bezpieczniki. Przesuwasz w dół i pyk. Odcinasz jednocześnie i wolty, i ampery. Wszystkie urządzenia elektryczne robią się z miejsca martwe, jakby tu nigdy nie było prądu.

– Zawsze wiedziałem, że Bardaki to kanalie, ale nie sądziłem, że posuną się do takiej podłości. – Dopiero trzecia lufa bimbru pozwoliła Jakubowi powoli dojść do siebie. – Tyle pokoleń my, Wędrowycze, na tej ziemi... A teraz co? Cholerna elektryczność. W końcu i mnie dopadła. Na co komu to dziadostwo potrzebne? Jak przed tym uciec? Mam prosić o azyl u Indian nad Amazonką? Cywilizacja przez pięć tysięcy lat obywatela się bez prądu, internetu i temu podobnych głupot. Zamiast tracić czas przed telewizorami, kobiety haftowały, dzieci uczyły się grać na instrumentach, ludzie więcej ze sobą gadali, kwitła przyjaźń. Był nawet czas książki i gazety poczytać! A przez brak światła wieczorami demografia po prostu kwitła! Komu to przeszkadzało? A patrząc historycznie, kto elektryfikację wprowadzał? W czasie wojny hitlerowcy zaczęli. A po

wojnie komuchy dokończyli. Prąd w gniazdkach to pokłosie najbardziej zwyrodniałych, totalitarnych i opresyjnych ustrojów.

– Z tymi hitlerowcami to chyba nie do końca tak było – zaprotestował Semen. – Z tego, co pamiętam, w Wojsławicach już przed wojną działał pierwszy generator. Fakt, podpiętych było może z dziesięć gospodarstw, ale początki z reguły nie są łatwe. A ty masz na punkcie techniki po prostu jakąś durną fobię.

– Może i fobia, ale pomyśl sam, że ten cały prąd to błyskawice, krzesła elektryczne, reflektory przy przesłuchaniach świecące prosto w twarz, druty pod napięciem, a do tego jeszcze węgorze elektryczne. To draństwo budzi we mnie same złe skojarzenia.

– Że niby prąd cię poraził w dzieciństwie czy jak? Poza tym jak w knajpie żarówki świecą i telewizor na barze gra, to jakoś ci nie przeszkadza.

– Przeszkadza, ale znoszę to cierpliwie w imię tolerancji i życzliwości dla innych mieszkańców gminy. Zresztą to nieważne – mruknął Jakub. – Lepiej zastanówmy się, co z tym Izydorem. – Sam widzisz, jak się drań rozkręcił. Jeszcze chwila, a gazociąg pociągnie i tory kolejowe położy.

– Albo zacznie budować autostradę Hrubieszów–Krasnystaw.

– Nawet mnie nie strasz!

Egzorcysta wyłączył korki, przyniósł młotek, puszkę zardzewiałych gwoździ i starannie powbijał je we wszystkie dziurki w gniazdkach. Potem zdemontował cały sprzęt AGD i korzystając z pomocy przyjaciela, wyniósł za wygodkę. Na koniec oplukał uroczyście dłonie mocnym samogonem.

– Niebezpieczeństwo zażegnane – mruknął. – Pora na odwet.

– Masz jakiś pomysł?

– Nie miałem, ale pod wpływem tego szoku oświeciło mnie.

– Jaki zatem jest twój plan? – zagadnął przyjaciel.

– Jedyne wyjście z sytuacji to czkawka legislacyjna. Podłe, ale skuteczne zagranie, jak kop między nogi dla każdego urzędasza, który próbuje poważnie podchodzić do swoich zadań. Kop, rzecz jasna, w przenośnym sensie!

– Skąd ty znasz takie sformułowania? – Kozak łypnął podejrzliwie.

– Pewnie w telewizji usłyszałem, zanim zatkałem uszy i wybiegłem z chałupy. Albo gdzieś wcześniej i teraz mi się przypomniało. W każdym razie sam słyszałeś, co ten gad naobiecował. Będzie zatwierdzać różne projekty. A jak gmina nie daje zgody, musi być uzasadnienie. Pomyślałem więc, że złożymy kilka podań, a jak je rozpatrzy negatywnie, to napiszemy skargę do powiatu, a jemu w międzyczasie złożymy nowe. Sparalizujemy pracę urzędu! Tylko jak będziesz pisał, to koniecznie ze słownikiem wyrazów obcych w ręce! Im więcej cudaczych zagranicznych określeń, tym lepiej!

– Się wie.

Semen poskrobał się po głowie. Popatrzył uważnie. Wędrowycz był ewidentnie ten sam. Ta sama morda, te same łachy, ten sam zapach. Nikt nie podstawiał sobowtóra. Tylko gadał zupełnie jak nie on.

– Ta telewizja faktycznie robi dziwne rzeczy z mózgiem – mruknął kozak. – Ale żeby aż tak, to się nie spodziewałem.



Izydor po porannej akcji przez dwie godziny siedział w gabinecie i snuł wizje rozwoju gminy, ze szczególnym uwzględnieniem splecenia interesów publicznych z biznesami swojego klanu. Jeszcze jako kandydat opracował plan ramowy, coś na kształt węzła gordyjskiego. Ale teraz okazało się, że wcielenie zamiaru w życie wcale nie jest takie proste. Co chwila zgrzytał zębami, grzebał po skoroszytach z aktami, skrobał się po głowie, a czasem zachodził do sąsiednich gabinetów dopytać o szczegóły co bardziej doświadczonych urzędników. Jak się okazało, większość pomysłów, które w pocie czoła wymyślił, była nielegalna. Inne, teoretycznie zgodne z prawem, w razie dokładniejszej kontroli mogły narobić mu

nielichych kłopotów. Jeszcze inne niby były legalne, ale za to nieetyczne.

Potem zaszedł dyrektor szkoły z zapytaniem o dalszą budowę hali sportowej. Izydor zabrał się do studiowania przepisów prawa budowlanego. Wezwał do pomocy kilku urzędników. Przystudiowali papierzyska i z niejaką zgrozą stwierdzili, że elementy z drewna klejonego o podanych przez dyrektora specyfikacjach naruszają normy ISO dla obiektów o tym rozmiarze i w zasadzie trzeba by całą halę zburzyć, a potem stawiać ją od nowa. To w sumie było nawet wykonalne, kłopot w tym, że wydano już część pieniędzy pochodzących z dotacji marszałka województwa i wypadało to rozliczyć. Fartem poprzedni wójt zatrudnił prawdziwych fachowców, biurokratów kutych na cztery nogi, biegłych w omijaniu przepisów, zarówno krajowych, jak i unijnych. Pracując w pięciu, jakoś sobie poradzili. Gdy solidnie pogrzebali w ustawach, okazało się, że można nagiąć przepisy i jeśli w hali umieści się także część ekspozycyjną, dach w tej formie może zostać. Ekspozycja powinna zawierać elementy ekologiczne i promujące ochronę lokalnej przyrody, więc Izydor zadzwonił do nadleśnictwa, żeby szybko odstrzelili mu sarnę, jelenia, dziką, borsuka i kilka innych zwierzków do wypchania i wypreparowania czaszek na wystawę. Wprawdzie zoo w Zamościu odmówiło zastrzelenia i oskórowania niedźwiedzia, ale urzędnicy uznali, że bez tego ekspozycja też będzie trzymała normy.

Było wczesne popołudnie, gdy sekretarka zameldowała gości. Wójt nie zdążył się zdziwić, kiedy siedmiu członków bardackiego klanu wmaszerowało do jego gabinetu jak do własnej obory.

– Dziadku, musimy pogadać – oznajmił Franek Bardak. – Przed wyborami na naradzie rodzinnej było powiedziane tak: ty startujesz na wójta, a jak chapniesz stołek, obsadzasz wszystkie funkcje członkami rodziny, a najważniejsze inwestycje gminne zasilają nasz klan. Wiem, że rano byłeś zajęty rozprawą z Wędrowyczem, ale jest już czwartek po południu, a posad dla nas jeszcze nie ma!

– Klan poniósł ogromne koszty i odwalił wielką robotę organizacyjną – dodał kuzyn Sławomir Bardak. – Patrząc pragmatycznie, wsadzenie cię na stołek było dla nas takim wyczynem jak dla Polski Ludowej wystrzelenie Hermaszewskiego w kosmos. Wielki zbiorowy wysiłek całej rodziny. Wyselekcjonowany kandydat, najlepszy z najlepszych. Udało się. To bezprecedensowy, historyczny sukces. I co? I nic! A zwrot z inwestycji? A korzyści?

– Fiacik mi się rozkraczył – poskarżył się Sebastian Bardak. – Poprosiłbym zatem o jakąś funkcję z dostępem do służbowego auta.

Pozostali milczeli, ale kiwali ponuro głowami.

– Słuchajcie, znacie mnie przecież. – Izydor zaczął się irytować. – Dla rodziny zrobię wszystko. Tylko jak mam was powołać tu, na stołki w urzędzie? Widzicie te papiery? – Wskazał oskarżycielskim gestem teczkę zaścielającą połowę biurka. – Tu trzeba podejmować rozmaite decyzje. Muszą opierać się na konkretnych przepisach, uchwałach, ustawach, rozporządzeniach, normach takich i owakich. Urzędnicy w tym budynku to kuci na cztery nogi biurokraci. Niektórzy siedzą tu od czasów komuny, kiedy przejęli stołki i zadania po swoich ojcach i dziadach. Tamci zaś odziedziczyli stanowiska po pradziadach, przysyłanych tu jeszcze za cara. Mają dziesięciolecia doświadczenia we wdrażaniu tych biurokratycznych kocopałów, a i to ledwo dają radę. A wy? Macie choć cień pojęcia o zamówieniach publicznych, prawie budowlanym albo o rozliczaniu inwestycji? Ja tu z pomocą pięciu fachowców trzy godziny się mordowałem, żeby wyprostować sprawę jednego głupiego dachu. Tyle kawy wyżyłopałem i tyle tabletek na ból głowy zażyłem, że serce podskakuje mi jak konająca żaba. A to dopiero pierwszy dzień.

– A nie dałoby się zwiększyć liczby etatów? – podsunął Franek. – Ci niech się bawią papierami, a my będziemy siedzieć w pokoju obok, grzecznie, po cichutku, nikomu nie przeszkadzając, a pieniądze będą co miesiąc wpadały. Zrób z nas, dziadku, komisję do spraw strategii kulturalnych gminy. Do tego nie trzeba żadnej wiedzy ani

kwalifikacji. Zarejestrujemy się jako awangardowi twórcy ludowi. Czasem napiszemy jakiś raport albo plan, żeby było w papierach na wypadek jakiejś kontroli. Sztuka nowoczesna to jedno wielkie oszukaństwo, nikt nas na niczym nie przyłapie.

– Brak kasy na dodatkowe etaty, poza tym to nie takie hop-siup. Umiecie pozyskać na to środki z ministerstwa albo dotacje rządowe? W dodatku zgodę na zwiększenie zatrudnienia musiałbym skonsultować z powiatem albo i z województwem. Warszawa mówi raczej o redukowaniu liczby urzędników. Poza tym wszystkie pomieszczenia są zajęte, a szczerze powiedziawszy, jeszcze jedno skrzydło by się przydało do ratusza dobudować.

– No dobra, a jakieś zadania zewnętrzne? – zaproponował Franek.

– Może festyn urządzimy, Kongres Poetów Wiejskich albo Dni Morza? Dasz gminną kasę i przygotujemy. Ludzie się ucieszą, a my zarobimy.

– Pomysł nie jest zły, ale budżet jak za krótka kołdra. Nie wytrzyma.

– Nic nie da się zrobić? – zirytował się Maciej Bardak.

– W tym roku budżetowym nic. W kolejnym spróbuję zarezerwować na to jakieś środki. Może uda się pozyskać finansowanie unijne albo z tych, no, funduszy norweskich, cokolwiek to jest.

Członkowie klanu opuścili siedzibę gminy z kwaśnymi minami. Izydor został sam. Co tu dużo mówić, miał trochę kaca moralnego.

To wszystko miało być zupełnie inaczej, rozmyślał, patrząc przez okno. Przecież miałem doić kasę, zasilać nią członków rodziny. A tu... Przecież w tej dziadowskiej gminie budżet jest tak marny, że nawet nie ma jak wałków robić. Albo na ten przykład łapówki... Kiedyś za byle gównem urzędnik brał tłustą kopertę. A dziś? Tyle rzeczy uregulowanych, zanikła ogromna część uznaniowości. Jak się w projekcie wszystko zgadza, urząd musi wydać zgodę. No i petenci zhardzieli. A do tego te wszystkie służby, aż strach by było taką forszę brać. No i coś mi mówi, że nie wypada... Ano nic, trzeba przejrzeć resztę dokumentacji.

Sekretarka znów kogoś zaanonsowała.

– Wszyscy tylko do mnie – burknął. – Trzeba zaprowadzić dziennik podawczy, niech tam składają pisma i nie wydeptują mi tu parkietu.

Na widok Semena Korczaszki nieco się zdziwił.

– Dzińdoberek – ukłonił się kozak. – Ja w takiej kwestii, że potrzebuję zgody na budowę reaktora atomowego w mojej zagrodzie. Konieczne są warunki zabudowy, pozwolenie na ujęcie wody z rzeczki, no, rozumie pan, do chłodzenia stosu. I prosiłbym o wyznaczenie na gminnym wysypisku śmieci miejsca do składowania odpadów radioaktywnych. Jak sam pan rozumie, nikomu nie zależy, żeby po gminie latały hordy mutantów. Członkowie waszego klanu wyglądają wystarczająco pokraccie.

– Że niby co!? – Izydor wytrzeszczył oczy. – Semen, co ty pierdolisz!? Jaki znów reaktor?

– Atomowy. Żeby prąd elektryczny produkować. Unia Europejska niebawem zabroni używania węgla, więc chcę ogrzać gminę uranem. Prądem elektrycznym pozyskiwanym z kontrolowanej reakcji. A nadwyżki mocy pragnę przeznaczyć na oświetlenie gminnego kosmodromu, który chcemy zbudować na polach za Zielonym Wygonem.

– Odmawiam zgody!!! – ryknął Izydor.

– Rzecz zrozumiała. – Semen kiwnął głową. – Urzędasy takie jak ty zawsze hamują postęp. Ale potrzebuję tej odmowy na piśmie i z uzasadnieniem, jakie konkretnie przepisy narusza moja inicjatywa. Bo będę pisał skargę do powiatu. A jak to nie pomoże, pójdę wyżej.

– Twoje prawo – burknął Bardak. – Takie ci napiszę uzasadnienie, terrorysto kopany, że gównu zobaczysz, a nie uran, reaktor i kosmodrom!

– Powinienem tę odmowę dostać w czterdzieści osiem godzin, prawda? Do zobaczonka zatem.

Kozak wyszedł, zostawiając plik papierów. Izydor nie zdążył ochłonać, gdy do gabinetu wtarabanił się Jakub.

– Dzień dobry, szanowny panie wójcie.

– Czego? – warknął Izydor. – Masz teraz telewizor, to siedź przed nim na zadzie i chłódź bimber w lodówce. Czego jeszcze chcesz? Klimatyzacji może, żeby w chałupie mniej capło onucą? – szydził. – Napisz podanie i jutro ci zainstalujemy, z kwiatowym wsadem zapachowym.

– Ja w kwestii tramwajów.

– Że niby jakich tramwajów? – Izydor wytrzeszczył oczy.

– Moich tramwajów – cierpliwie tłumaczył petent. – Jak się rano obudziłem i zobaczyłem tę nowoczesność, zrozumiałem, że głupi byłem, unikając przez lata elektryczności. I z tej wdzięczności postanowiłem zrobić coś dla naszej kochanej gminy. Zebraliśmy grupę inicjatywną i chcemy podnieść walory bytowe i turystyczne przez budowę tramwaju, który w dzień będzie woził turystów wokół rynku, a wieczorami odstawi pijaków z knajpy do domów. Mój wnuk jest przy kasie, to da na dwieście metrów toru. Potrzeba tylko decyzji środowiskowych, warunków budowy i należy zarządzić konsultacje społeczne.

– Odmawiam zgody – burknął Izydor bez większego przekonania.

– To poprosiłbym odmowę z uzasadnieniem, jakie konkretnie przepisy narusza moja inicjatywa. A prywatnie dodam, że jestem głęboko urażony! Odwdziaczyć się chciałem, z sercem na dłoni przychodzę, a tu słyszę „won”. Pomyśl, Izydor, jakie to by piękne było... Kładzicie dzieciaki do snu, a tu wam za oknem hurgocze po torze stalowe pudło oświetlone jak choinka. I te radosne błyski ze zwarcia trakcji... A jakby jeszcze pijacy wewnątrz zaczęli śpiewać? Jak bardzo podniósłby się nam poziom techniki i kultury!

– Dawaj te papierzyska, ale ostrzegam, że rozpatrzymy odmownie! Wieś to nie miejsce dla tramwajów!

– A właściwie dlaczego nie? Czy my gorsi od miastowych? Czy tylko warszawiaki mają się tramwajami rozkoszować? My i na metro zasługujemy! – Jakub położył na stole kolejny plik papierów.

– Co to jest!? – ryknął wójt.

– Projekt stacji metra na rynku, zaraz koło ratusza. Wedle dawnych legend istniał tunel z naszego zamku aż do Uchań. Jest więc pewna tradycja i precedens historyczny. Oczywiście budowa samego tunelu wymaga przeprowadzenia badań geologicznych, ale gotowa stacja przekona mieszkańców do tej inicjatywy. Drugą nitkę poprowadzimy do Chełma. I przelotowo, na południe, do Grabowca.

– Może od razu do Bułgarii? – prychnął Izydor.

– Byłoby niegłupio – przyznał Jakub. – Mogłyby dzieciaki jeździć na wakacje nad ciepłe morze. Ale na razie wystarczy jedna stacja.

Zostawił papiery na stole i wyszedł, uśmiechając się złośliwie.

– Pieprzone dziady – warknął wójt. – Przecież od razu wiadomo, że ani metro, ani tramwaje, ani reaktory atomowe nie są nam potrzebne. A co dopiero kosmodrom. Gdzie oni niby chcą latać? Chociaż wysłać ich na Marsa z biletem w jedną stronę to wcale nie jest głupi pomysł!

Przejrzał papiery. Wszystko wyglądało bardzo fachowo, były nawet rysunki techniczne i jakieś wizualizacje.

Ten sukinsyn Semen z netu pościągał, wydedukował wójt. Światłowód w gminie i dostęp do sieci to jednak powinny być koncesjonowane! A od pewnego wieku w ogóle zabronione!

Urzednicy pracowali tylko do szesnastej. Zdołał kilku zatrzymać jeszcze na dwie godziny. Wreszcie gmach ratusza opustoszał. Bardak został sam z papierzyskami. Zrobił sobie mocnej kawy, ale potem policzył puls i przestraszony wylał ją do zlewu.

– Będzie rozpatrzone w ustawowym terminie – warknął. – Ja nie dam rady? Maturę przecież zdałem, i to w liceum ekonomicznym. Należę do intelektualnych elit osady! Nie to, co na przykład ten kmiot Wędrowycz!

Nie zabrzmiało to szczególnie przekonująco, bardziej, jakby próbował oszukać sam siebie. Zacisnął zęby. Sięgnął po tomiszczce prawa budowlanego.

– Podstawa prawna to ustawa z dnia... z późniejszymi zmianami... Uwzględnić nowelizację ustawy w zakresie paragrafu numer...

z późniejszymi zmianami... Kuźwa! – ryknął. – Dlaczego te ciule do tej pory nie zrobili kodyfikacji przepisów!?

Poczłapał do biblioteki po dzienniki ustaw. Pootwierał je w odpowiednich miejscach. Budowy kosmodromów ustawodawcy w ogóle nie przewidzieli. Nie był pewien, czy w odmowie powołać się na normy hałasu i odległość od zabudowań mieszkalnych przewidziane dla lotnisk? A reaktor? Przepisy odwoływały się do norm ochrony radiologicznej, ale jak na złość nie miał odpowiednich opracowań. Wypisał tytuły, które należało sprowadzić. Z tramwajami wcale nie było łatwiej. Powierzchnia rynku kryła fundamenty i piwnice pożydowskich kamieniczek. Specyfikacja podłoża torowiska wykluczała posadowienie na takim gruncie, ale w archiwum był tylko ogólny raport z badań archeologicznych. Do sporządzenia odmowy lepszy byłby raport szczegółowy.

Trzeba się zwrócić do wojewódzkiego konserwatora zabytków o kopię dokumentacji, zaplanował. Przyłącza energetyczne o mocy... Cholera, silnik tramwaju ile ciągnie? Trzysta sześćdziesiąt woltów czy więcej? A gdyby tak wprowadzić tramwaje spalinowe? Chytrze zmrużył oczy.

I zaraz palnął się w czoło, aż zadudniło.

– Mam udupić tę inwestycję, a ja szukam rozwiązania problemu! – syknął. – Tak mi namieszali we łbie! Pieprzone pokemony. Jeszcze to metro...

Stanowiska archeologiczne na szczęście skutecznie utrudniały powstanie takiej inwestycji. Tunel z uwagi na wysokość lustra wód podziemnych był w ogóle niemożliwy do wykonania. Ale sama stacja?

Teoretycznie mogłaby powstać, pomyślał. Normy hałasu wentylatorów... Ale jak nie ma tunelu, to chyba nie muszę tworzyć systemu napowietrzania? Co za wredne dziady!

Dochodziła trzecia w nocy, gdy Izydor odsunął ze złością stos papierów. Spojrzał na księgi z przepisami, pozakładane w kilkunastu miejscach. Głowa bolała go jak wtedy, gdy Wędrowycz rąbnął go na targu orczykiem.

– Pierdolę! – ryknął, aż zadrżały puchary w gablocie.

Wkręcił w maszynę kartkę. Pracując jednym placem, wystukał oświadczenie o rezygnacji z urzędu. Podpisał się i dla nadania papierowi mocy urzędowej przywalił poniżej absolutnie wszystkie pieczętki, które znalazł w szufladzie.

– O, takiego! – Pokazał papierom i księgom słowiański gest pokoju.

– Życie jest za krótkie, żeby tracić je na sprawowanie władzy!

Zbiegł radośnie po schodach. Powoli dniało, niebo na wschodzie pojaśniało. Były już wójt zatrzasnął za sobą drzwi urzędu, klucze siepnął do skrzynki na listy. Przechodząc obok wykopu, ściągnął z palca sygnet z herbem gminy i ze złością cisnął go w tężejący beton.



W knajpie tego ranka było trochę inaczej niż zwykle. Przy stolikach Bardaków stały tylko puste krzesła. Widać wrogi klan rozpełzł się po chałupach i tam przeżywał klęskę. Zwykli bywalcy też siedzieli z nieobecnyminami. Tempo przemian demokratycznych, które zaszły w ciągu kilku dni w małej i spokojnej gminie, ewidentnie wszystkich oszołomiło.

– Dwa duże. – Kozak położył na ladzie banknot.

– Było grubo, ale udało się – powiedział Jakub, wodząc wzrokiem po odrapanych ścianach. – O mały włos... Co więcej, w tym, że gad porzucił urząd, nie ma w zasadzie żadnej naszej zasługi.

– To co z zakładem? – zagadnął kumpel.

– Remis... Albo raczej nierozegrane. Albo przyjmijmy, że skoro obyliśmy się bez przemocy, odnieśliśmy zwycięstwo moralne! Ale też dostaliśmy surową nauczkę.

– Nauczkę? – Kozak przez chwilę obracał to słowo w głowie.

– Nauczkę, żeby na przyszłość nie mędrkować, tylko od razu po robotniczo-chłopsku walić w mordę. I żeby nie zajmować się polityką. Jest odrażająca. I musimy zapamiętać, żeby więcej nie

babrać się w magii. Ksiądz proboszcz miał rację, że to śmiertelnie niebezpieczne. Przecież wszystkie problemy wywołał ten cholerny sygnet! Tyle dobrze, że już nikomu nie zaszkodzi.

– Hę? – zdziwił się Semen.

– Idąc do knajpy, wyczułem typowe magiczne wibracje. Bardak utopił go w betonie, tam, gdzie parking łatali.

– Czyli groźny artefakt przepadł. To dobrze. Z drugiej strony może i szkoda. Bo gdyby tak podrzucić go tym z Warszawy... – Myśli kozaka zboczyły na naprawdę niebezpieczne tory, na szczęście w tym właśnie momencie barman postawił przed nimi pełne kufle i wszelkie problemy polityczne nagle straciły na znaczeniu.

COPYRIGHT © by Andrzej Pilipiuk
COPYRIGHT © by Fabryka Słów sp. z o.o. 2025

WYDANIE I
ISBN 978-83-8375-172-6

Kod produktu: 4000660

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

REDAKTORKA PROWADZĄCA
Joanna Orłowska

REDAKCJA
Rafał Dębski

KOREKTA
Magdalena Byrska

ILUSTRACJE ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE
Andrzej Łaski

PROJEKT OKŁADKI
Dariusz Nowakowski

OPRACOWANIE OKŁADKI
Szymon Wójciak

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

PRODUCENT
Fabryka Słów sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
biuro@fabrykaslow.com.pl

DANE DO KONTAKTU



Fabryka Słów sp. z o.o.
ul. Chmielna 28B/4
00-020 Warszawa
www.fabrykaslow.com.pl
biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

WYDAWCA

Robert Łakuta

DYREKTORKA WYDAWNICZA

Izabela Milanowska

MARKETING

Luiza Kwiatkowska

Urszula Słonecka

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE



Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
dystrybucja@dressler.com.pl



ANDRZEJ

ŁASKI

© fot. Fabryka Słów

„Operator ołówka”, urodzony w Łosicach ilustrator, komiksiarz, storyboardzista, czasami malarz, niedoszły filmowiec i epizodyczny nauczyciel plastyki. Absolwent grafiki na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie studiował od 1982 roku plakat, film animowany, malarstwo,

ilustrację. Współzałożyciel magazynu literackiego „Fenix”. Miłośnik życia rodzinnego, czarnej kawy, chałwy i cynamonu. Od lat osiadły na podwarszawskiej wsi, bierny hodowca wyimaginowanych kucyków. Od blisko trzydziestu lat portretuje Jakuba Wędrawycza w prozie Andrzeja Pilipiuka.



Pieśń lubelskich opojów

*Mijaj, bracie, Wojsławice,
Bo tam siedzą Wędrowycze.
Gdy naleją ci samogon,
Jak nie padniesz, to pomogą.
Zamiast szabli widły noszą,
Nimi ciebie wypatroszą.
Czego szukasz w tej krainie?
Tutaj obcy szybko ginie.*

*Z Kolbergiem
po Roztoczu
i zakurzonych
okolicach*

Mój dziadek mawiał,
że alkohol nie odbiera
ludziom rozumu,
tylko pokazuje, czy
się go w ogóle posiada.
Ale jest ktoś, komu od
tego przybywa.

Jakub Wędrowycz –
kultowy bimbrownik,
bezwzględny egzorcysta,
domorosły filozof
i inseminator.

Pogromca klanu Bar-
daków, zombiaków,
ufoków, nindziów,

demonów, Lenina
i Boruty. Człowiek
od brudnej roboty
i zaostzonego kołka.
Jeśli go nie znasz, to
zmarnowałeś szmat
życia do tej pory. Je-
śli znasz, to wiesz, co
robić dalej. Idź z tym
do kasy albo wyślemy
po ciebie Semena.



A. Łaski

OGŁOSZENIA DROBNE

Uwaga, płaskoziemcy!
Tylko u nas – innowacyjne
okulary redukujące wrażenie
wypukłości planety.

Pisanka niespodzianka prosto
z Czarnobyli – bezpośredni
importer nawiąże współpracę
z fermami drobiu.

Restauracja Wie-Ku-Wo za-
prasza na zupę z nietoperza
wg starej chińskiej receptury.

Spełnij marzenia – budujemy
latarnie morskie, także
w głębi ładu.

Sekta dzieci słońca poszukuje
do celów rytualnych honoro-
wych dawczyń cnoty.

Wypęd poszedł niezgodnie z
planem? Jedyna w kraju sta-
cja uzdatniania bimbru ofe-
ruje usługi także z dojazdem
do klienta.

Szybko i dyskretnie! Zbuduje-
my zlewnię szamba na ziemi
twojego wroga.

Wycieraczki ze skóry mamuta
syberyjskiego. Tanio! Liczba
ograniczona.

Mam wehikuł czasu. Szukam
poważnego współnika z do-
stępem do zasobów czerw-
onej rtęci.

Zlecę pisanie poezji miłos-
nych. Sprawa bardzo pilna.

„50 twarzy Pana Samochodzi-
ka” – powieść dla dorosłych
na podstawie niepublikowa-
nych notatek T. Olszakow-
skiego, odkrytych podczas
remontu domu na Mazurach.
Pytaj w dobrych księgarniach.

fabrykaslow.com.pl

/fabryka

/fabrykaslow

@fabrykaslow

Patroni medialni

lubimyczytać

granice.pl

DNI
JAKUBA
WĘDRO
WYCZA



ANDRZEJ PILIPIUK
Wojsławicka masakra
kosą łańcuchową